

Sztuka to najwyższy wyraz
samouświadomienia ludzkości
/.../
Dzieło sztuki – mikrokosmos
odbijający epokę.

Józef Czechowicz



Cena 10 zł (VAT 0%)
NR INDEKSU 352071
PL ISSN 0208-6220



a

4

(118) 2009

akcent

literatura i sztuka • kwartalnik



Marcińczak o Bobkowskim • Zuhński o Hrabalu • Reszczyk
o Pasierbic • Proza J. Lyczka, M. Czornyja, M. Felsenbauma
• Wiersze E. Mazur, A. Kamińskiej, K. Nowosielskiego,
J. Węgrzyna, M. Witkowskiego • Bruno Schulz w Teatrze
Osterwy • Rzym i Jerozolima: opowieść o dwóch miastach •
Rzeźby Mariana Koniecznego • Jak zilustrować patriotyzm?

AKCENT nr 4 (118) 2009

XXX
2009

a akcent

akcent

literatura

Wydawane na zlecenie Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego

Wojewódzkiego Ośrodka Kultury i Dziedzictwa Narodowego

Wydawnictwo Literackie

Warszawa

PL ISSN 0304-0220

Wydawnictwo Literackie

kwartalnik

© Copyright 2009 by Akcent

Zespół redakcyjny
MONIKA ADAMCZYK-GARBOWSKA
JANINA HUNEK
LUKASZ JANICKI
LECHOSŁAW LAMENSKI
WALDEMAR MICHAŁSKI (sekretarz redakcji)
ANNA RUMAN
EMILIA RYCZKOWSKA
TADEUSZ SZKOŁUT
JAROSŁAW WACH
BOGUSŁAW WRÓBLEWSKI (redaktor naczelny)
ANETA WYSOCKA

Łamanie
MAG: Arkadiusz Makowski

Korektura techniczna
Janusz Sołdecki

Stale współpracują:

*Bogusław Biela (Francja), Marek Daniłkiewicz, Ewa Dunaj,
Józef Fert, Ludwik Gawronski, Michał Głowiński, Andrzej Goworski,
Magdalena Jankowska, Alina Kochaneczyk, István Kovács (Węgry),
Marek Kusiba (Kanada), Jerzy Kutnik, Eliza Leszczyńska-Pieniak,
Jacek Łukasiewicz, Lukasz Marciniak, Anna Mazurek,
Wojciech Młynarski, Dominik Opolski, Wacław Oszała, Mykola Riabczuk
(Ukraina), Małgorzata Szlachetka, Jerzy Świąch, Bohdan Zadara*

Czasopismo patronackie **Biblioteki Narodowej**
wydawane na zlecenie **Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego**

Numer 4/2009 zrealizowano przy pomocy finansowej
Wojewódzkiego Ośrodka Kultury
ze środków Województwa Lubelskiego

„Akcent” korzysta w 2009 roku ze wsparcia
Kancelarii Senatu Rzeczypospolitej Polskiej
(projekt *Polskie rodawody, polskie znaki zapytania*)
oraz
Urzędu Miasta Lublin

Partnerem medialnym „Akcentu” jest **Radio Lublin S.A.**

PI. ISSN 0208-6220

NR INDEKSU 352071

© Copyright 2009 by „Akcent”

a

rok XXX

nr 4 (118)

2009

akcent

literatura i sztuka

kwartalnik

Na pierwszej stronie okładki:
Marian Konieczny – pomnik M. Curie-Skłodowskiej, Lublin, 1964. Fot. A. Makowski

Na czwartej stronie okładki:
Krystyna Michałowska – ilustracja do песни *Idzie żołnierz bojem, lasem*

Adres redakcji:
20-112 Lublin, ul. Grodzka 3, III piętro
tel. (081) 532-74-69
e-mail: akcent_pismo@gazeta.pl
www.akcent.gli.pl

Stronę www prowadzi Anna Cielawska

Materiałów nie zamówionych redakcja nie zwraca.
Redakcja zastrzega sobie prawo dokonywania skrótów.

Informacji o prenumeracie na kraj i zagranicę udzielają
urzędy pocztowe, Ruch SA, Kolporter SA i Ars Polona.

Cena prenumeraty krajowej na okres jednego roku wynosi 38 zł.

Pieniądze można wpłacać także bezpośrednio na konto wydawcy:
Wschodnia Fundacja Kultury „Akcent” Bank PEKAO SA, V O w Lublinie
nr rachunku: 50 1240 1503 1111 0000 1752 8667
lub przekazem pocztowym pod adresem redakcji,
podając wyraźnie adres prenumeratora
i zaznaczając na odwrocie przekazu „prenumerata Akcentu”.

W USA „Akcent” rozprowadzany jest przez następujące księgarnie:

Polish American Bookstore, „Nowy Dziennik” – Polish American Daily News,
21 West 38th Street, New York, NY 10018

Mira Puacz; „Pokonia” Bookstore; 2886 Milwaukee Ave.; Chicago, IL 60618

We Francji sprzedaż prowadzi:

Librairie Polonaise (Księgarnia Polska), 123 Bd St. Germain, 75006 Paryż

Wydawcy:

Wschodnia Fundacja Kultury „Akcent”, 20-112 Lublin, ul. Grodzka 3
Biblioteka Narodowa, Dział Wydawniczy Czasopism Patronackich
02-1016 Warszawa, ul. Niepodległości 213
tel. 22 608-23-74, tel./fax 22 608-24-88
e-mail: czaspatron@bn.org.pl

Nakład 1000 egz. Druk ukończono 8 grudnia 2009 r.
Druk: Multidruk S.A., Lublin, ul. Unicka 1

Cena zł 10,-

Spis treści

- Ewa Mazur: *wiersze* / 7
Lukasz Marcińczak: *Życie i inne fikcje* / 10
Jerzy Łyczek: *The Emigrant's Book* / 21
Aneta Kamińska: *wiersze* / 39
Agnieszka Reszczyk: *Wśród antynomii. Pasierba rozważania o kuliurze* / 45
Jakub Węgrzyn: *wiersze* / 53
Maksymilian Dymitr Czornyj: *Panowie, takie mieliśmy rozkazy:
Nigdy nie myśl* / 56
Kazimierz Nowosielski: *wiersze* / 65
Tadeusz Zubiński: *Kochał piwo i koty – Hrabal romantyczny* / 69
Michael Zeller: *Trzy golddollary, Bożonarodzeniowa nowina; Krótka lekcja
obcego języka* / 77
Mateusz Witkowski: *wiersze* / 81
Mardeczi Roshwald: *Rzym i Jerozolima: opowieść o dwóch miastach* / 85
Michael Felsenbaum: *Nocny anioł* / 96
Władimir Britaniszski: *wiersze* / 106
DWUGŁOSY
Edyta Antoniak i Wacław Oszejca: *O „Wierszach” Urszuli Jaros* / 110

PRZEKROJE

Nie tylko analitycznie

Alina Kochańczyk: *iwazkiewicz i Jeleński. Przyjaźni na odległość* [„Koresponden-
cja, Jarosław Iwaszkiewicz, Teresa Jeleńska, Konstanty A. Jeleński”]; Waldemar
Michalski: *Leśmian ciągle odkrywany...* [„Leśmian, Leśmian... Wspomnienia
o Bolesławie Leśmianie”]; Zofia Zarębianka: *Według obrządku Melchizedeka*
[Józef Życiński „Szlakiem miłości. Rozważania”]; Magdalena Rabizo-Birek:
Opowieści łowczyń snów [Krystyna Sakowicz: „Księga ocalonych snów”]; Wacław
Sadkowski: *O Kapuścińskim inaczej* [„Podróże z Kapuścińskim. Część 2. Opowie-
ści czteremastu tłumaczy”] / 116

Poeci. poeci...

Anna Mazurek: *Nic więcej* [Bohdan Zadura „Wszystko”]; Karol Maliszewski:
Robienie poezji z niczego [Piotr Sommer „Dni i noce”]; Renata Sławowy:
Oswajanie obcości [Magdalena Bielska „Wakacje, widmo”]; Ewa Dunaj:
Zmniejszyć rozdzielną ego [Dawid Markiewicz „Fiaszkiack”] / 136

PLASTYKA

Arkadiusz Woźniak: *Marian Konieczny – twórcza rzetelność
i konsekwencja* / 148
Eliza Leszczyńska-Pieniak: *Skarbczyk polskich pieśni* / 161

TEATR

Magdalena Janikowska: *Jak czytać Księgę? „Noc wielkiego sezonu” w Teatrze Osterwy / 169*

BEZ TYTUŁU

Leszek Mądzik: *Ines de Castro / 175*

NOTY

Ludwik Gawroński: *Zygmunt Puławski – zapomniany pilot i konstruktor / 177*

Noty o autorach / 183

EUROPEJSKA
STOLICA
KULTURY
LUBLIN
2016 KANDYDAT

Po drugiej miłość trudniej się nie kochać

EWA MAZUR

Biedne lustra. Dręczone obsesjami i paranojami, codziennie zmuszone oglądać nierzeczywiste światy, które pojawiają się i znikają. Niektóre opowiadają, że duchy nawiedzają je regularnie. Zbliżają blade głowy do ich delikatnych tafli, szczerzą zęby, wyczyniają jakieś przeraźliwe grymasy i niezrozumiałe gesty. Czasem czerwoną kredką malują sobie na środku twarzy krwawe plamy stygmatów.

Nie wiadomo, które mają gorzej. Te, które wiszą na stałych miejscach, mogą przynajmniej przyzwyczaić się do swoich halucynacji i łagodnie je ignorować. Z czasem tracą wzrok, ciemnicją, kurz, śniedz i patyna pozwalają zapomnieć o chorobie i łagodzą ból. Te małe, przenośne, mają chwile wytchnienia w ciemności i całkowitej izolacji od świata iluzji. Ale nagle, wyciągane na zewnątrz swoich spokojnych bytów, atakowane są światłem i obrazem, który boleśnie niszczy kruchą harmonię wewnętrzną. Duchy podchodzą blisko, dyszą, wykrzywają się, wstrętne jak masłci. Słabsze lustro może tego nie wytrzymać. Wtedy z płaczem pęka. Ostatnim świadomym spojrzeniem widzi z ulgą, jak przerażający świat rozpryskuje się na drobne kawałeczki, a duchy pobladłymi wargami szepczą: – Siedem lat nieszczęścia!

13 października 2004 roku, rankiem

Przepraszam

A może każdy z nas rodzi się dla tej jednej sprawy
Ptak dla głupiego trelu przed zmierzchem
Kotom na uciechę
Pies dla bezgłośniego pogoni
Za cieniem ptaka na łące
Człowiek dla jednej miłości
Choćby niespełnionej
Jednego tylko wiersza
Spazmu bólu
Westchnienia

Lekkość

Już mi nikt nie umrze.
Już mi wszyscy umarli.

8 czerwca 2009

Prawdziwa miłość trwa wiecznie (dobry romans się nie kończy)

trzy razy przysiągłszy
że nie opuszczę cię aż do śmierci
trzy razy umarłam
na szczęście
dopływ czasu
równoważy odpływ krwi

wreszcie po tylu latach
mogę czytać w tobie jak w książce
są w tobie wszyscy moi kochankowie
których
na szczęście zapomniałam

miłość to także sperma pot i śluz
więc koło łóżka kładę paczuszkę chusteczek
przecież musisz się wytrzeć nim pójdziesz
do niej

teraz tęsknisz za mną
tak samo jak ja za tobą
więc przygarniasz tę kobietę
ze złością
bo nie jest mną
jutro będę sprzątać po niej zmiętą pościel twoich oczu

Spotkanie

Czas zgęstniał
Zatyka mi pluća
Patrzę na ciebie
Jest wyraźnie szesnasta piętnaście
Widzę schody którymi pójdę w dół
I pociąg którym odjadę
Jutro znowu będę mogła latać

1 marca 2009

Po pierwsze – dla A.

Bo przyśniliśmy się sobie oboje
I teraz trzymamy się kurczowo
Ty mnie a ja ciebie
Na jawie nie ma nawet jednej osoby ni rzeczy
Ktorej urody sen by nie przewyższał

Po drugie – dla A.

W lustrze lewo jest prawo
Murze głębsze niebo płytsze
A ty kochasz mnie bardziej niż ja ciebie
I każde spojrzenie dzieli się
Na zielone i gładkie

14 grudnia 2008

Po trzecie – dla A.

Letnie trwa dłużej niż wrzące
Więc umieram z miłości tylko przez chwilę
A potem znowu się uśmiecham
Leniwie przymykam powieki
Oczekując twego dotknięcia
Zdaję się na przypadek
I tak
Twój zapach na mojej skórze
Jesi trwalszy niż perfumy
Pod Twoim spojrzeniem zastygam
Jak mucha na nagrzanym szybie
Uczę się powściągliwości w okazywaniu uczuć

Przeprowadzka

Tęgo domu już nie będzie
Rzeczy w pośpiechu składamy
Do kartonowych trumien

7 czerwca 2009

Jakże nieporadny był ten ślepiec
Nie widział nawet słońca
Patrz to jest jabłko
Mówił i podawał mi kamień
Tak ojciec to jest jabłko
Ujęłam kamień ogrzany jego ręką

4 marca 2009

Ewa Mazur

ŁUKASZ MARCIŃCZAK

Życie i inne fikcje

Nic nie piszę. Nie chce mi się, po co się męczyć. Wolę ganiać samochodem i cieszyć się każdym promieniem słońca i każdą ładną kobiecą nogą lub piersią. Życie przede wszystkim.

(Fragment listu Andrzeja Bobkowskiego)

Literatura polska obfituje w pisarzy, których talent eksplodował na emigracji. Być może nie całą prawdą jest zdanie profesora Pigionia, że nieszczęściem naszej historii było, iż do wrogów strzelaliśmy z brylantów – niektórzy z najbardziej utalentowanych młodych ludzi wcześniej wyjechali i nie wszyscy uczestniczyli w działaniach wojennych. Dzisiaj – równo 20 lat po pierwszych wolnych wyborach – mamy już prawo skonstatować, że zdecydowana większość pisarzy w kraju „źle obecnych” albo wcale nieobecnych, jeśli nie ciałem, to duchem powróciła na ojczyznę łono. I że ci ludzie, często mogący „tam” powiedzieć więcej niż „tutaj” dawało się pomyśleć, jakoś ukształtowali naszą świadomość.

Pozwólmy sobie na eksperyment. Wymieńmy tych pisarzy i publicystów emigracyjnych, których myśl wydała dzieła najwybitniejsze, oczami których patrzymy i oceniamy współczesny świat. Tych, którzy powiedzieli to, co powinno zostać powiedziane, ludzi, którzy gdyby nie istnieli, winni zostać wymyśleni. Kogóż wyliczymy? Oczywiście Giedroycia razem z Mieroszewskim, Gombrowicza i Miłosza, Herlinga-Grudzińskiego z Catem-Mackiewiczem, Wierzyńskiego i Lechonia, Vincenza ze Stempowskim. Kiedy wymienimy Andrzeja Bobkowskiego? Czy już w tym momencie? A może wcześniej pamięć albo predylekcja wywoła charakterystyczną postać Józefa Czapskiego, może Kota-Jeleńskiego, Mariana Pankowskiego czy nawet Jerzego Pietrkiewicza? Czy za plecami ich wszystkich możemy wreszcie postawić Bobkowskiego? A gdyby postawić go przed niektórymi z nich? Ba, a gdyby postawić go przed wszystkimi? Czy znajdzie się wówczas dawny krytyk, który nie obróci się w grubie, i jakiś żywy, który nie obróci się na pięcie, a wreszcie, czy znajdzie się dowcipny czytelnik, który nie zapyta, czy to nie jakiś nowy przewrót kopernikański?

Wartość dzieła każdego z wymienionych na tym polega, że choć byli to Polacy (dziwni Polacy, bo znajdzie się tam i Litwin, i Żyd, i homoseksualista, a prawie każdy był na bakier z Kościołem i najchętniej omijał majone w święta narodowe kapliczki), to jednocześnie wszyscy byli Europejczykami, co znaczy tyle, że mówili rzeczy zrozumiałe nie tylko tutaj, ale – co u nas rzadkie – zarazem zrozumiałe tam. Warto się zastanowić, dlaczego umieszczenie nazwiska Bobkowskiego (będącego prywatnie kimś być może gorszym niż oni wszyscy – cyklista!) przed ich nazwiskami wydaje się równie niestosowne, jak zgłoszenie wątpliwości przez autora cienkiego tomiku poetyckiego na uroczystym zebraniu Związku Literatów?

Może Bobkowski umarł za wcześnie (już w roku 1961), a może umarł za daleko (aż w Gwatemali) – kiedy więc w kraju rozpoczynała się dyskusja o „roli emigracji”, był już właściwie kimś z jakiegoś „kiedyś” i dziwnego „gdzieś”? Ale przecież Bobkowski nie umarł „bezpomnie” – *Szkiece piór-*

kiem, dziennik pisany w Paryżu w latach 1940-1944, ukazał się w paryskim Instytucie Literackim w 1957 r., w londyńskim wydawnictwie Kontra w 1984, w krakowskim X w 1987, w warszawskim Pomoście w 1988, a wreszcie w 1995 r. opublikowało go Towarzystwo Opieki nad Archiwum Instytutu Literackiego w Paryżu. I choć pisano o *Szkiecach* w superlatywach, to przecież ich autor do dziś pozostaje ubogim krewnym Gombrowicza czy Herlinga-Grudzińskiego. Dlaczego?

Być może również dlatego, że po wojnie pisał o Polsce marginalnie, a myślał o niej przeważnie źle – choć nie ma wątpliwości, że myślał wiele (o czym wiemy z obfitej korespondencji), a w końcu to tylko powinno się liczyć. Być może jednak najważniejsze jest coś innego – Gombrowicz też źle o Polsce myślał (i chętnie mówił), ale za to nieprzerwanie. Gustaw Herling-Grudziński w Neapolu, a Czesław Miłosz w Berkeley kłuli Polskę ostrymi piórami, ale im bardziej ją kłuli, tym bardziej przyznawali się do tego, że choć to miłość trudna, to jednak miłość. Herbert Polsce nie wybaczył, ale się z nią w końcu pogodził. A Bobkowski?

Bobkowski przeżył całą wojnę w Paryżu, chodząc do teatru, polując na rzadkie książki w antykwariatach i objeżdżając na rowerze stare zamki w południowej Francji, po czym – kiedy się w Europie „uspokoilo” – zamiast rozedrzyć publicznie szaty i na obczyźnie pracować dla Polski, zwinął manatki, z nikim się nie pożegnał i pojechał w świat. W *Szkiecach piórkiem* znajdziemy zapis wielce dla Bobkowskiego charakterystyczny – gdy było już jasne, że Francja padnie do nóg Hitlerowi, pisarz pewnego wieczora podczas spaceru po Ogrodzie Luksemburskim, kiedy dozorca ponaglał go do wyjścia, powiedział do żony: *Chodź, zamykają Francję*. Bobkowski w roku 1948 zamknął Polskę za grubymi drzwiami, a kluczyk – prawdopodobnie gdzieś na Atlantyku, pałac papierosa – wrzucił do oceanu. No więc może dlatego? Może dlatego.

Wydaje się, że stracimy z oczu część istotnej prawdy, jeśli do lektury wznawionych ostatnio opowiadań (po raz pierwszy wszystkich w jednym tomie) przystąpimy bez znajomości napisanych prawie dwadzieścia lat wcześniej *Szkieców piórkiem*. Wydane właśnie opowiadania są niczym 20 lat później Dumasa ojca; nie tylko zawiązania, ale też najistotniejszych zwrotów akcji szukać trzeba w dziele wcześniejszym – czytając *Punkt równowagi* powinniśmy pamiętać, że w *Szkiecach*, i tylko tam, zapisana jest geneza wszystkich upodobań i antypatii Bobkowskiego. Warto czytać te dwie książki razem, bowiem wbrew pozorom opublikowane teraz opowiadania to po trosze spowiedź Bobkowskiego, próba odpowiedzi samemu sobie, czy pustka po utraconej miłości da się czymkolwiek zapelnąć. Nie tylko dyskretnie dopowiadają one sens zastanawiającej decyzji o opuszczeniu Europy i wyjeździe na koniec świata, są przede wszystkim przedśmiertnym wyznaniem choroby, jakiej nabawił się w Paryżu – obsesji wierności. Wierności czemu? Wierności Europie, której już nie ma, a także wierności Polsce, której nigdy nie było i – jak pisarz prorokował – za jego życia nie będzie. A także żonie, której obiecał wierność, mimo że nigdy nie omieszkał odnotować wrażenia, jakie robiły na nim piękne kobiety – a więc wierności przede wszystkim Życiu.

Bobkowski wierzył, że wiernym można być wtedy tylko, gdy jest się wolnym, a jedno bez drugiego istnieć nie może. Jednak przypuśćmy, że Giedroyc pojechałby do Ekwadoru i zająłby się eksportem bananów, Herling-Grudziński zamiast pisać nocami dziennik komponowałby opery, a Lebenstein nie uczyłby swymi dziełami Polaków (dla których arbitrami eleganiarce byli Cyrankiewicz i Sokorski), że malarstwo nie skończyło się na Gierymskim – czyż nie byłibyśmy wtedy ubożsi? Pewnie byłibyśmy, o ile byśmy w ogóle byli. Ale dlaczego wierność Polsce musi być czymś cenniejszym niż wierność własnej żonie, dlaczego wierność jedne mu cieniowi ma się liczyć bardziej niż innemu? Bobkowski mógłby powiedzieć: „Kiedy jest wojna, trzeba walczyć.

trzeba nawet czasem dać się zabić. Ale właściwie dlaczego trzeba? A czy nie jest racją każdej wielkiej literatury stawiać pytania, na które nie znajdujemy odpowiedzi – czy Bobkowski nie dorzucił pytań nowych, jeszcze trudniejszych, do tych, które pozostawił po sobie Conrad?

Kim był ten Polak i Europejczyk, ale przede wszystkim człowiek? Bobkowski urodził się w Austrii (jego ojciec, w przedwojennej Polsce wojskowy, był profesorem w Akademii Terezańskiej), ale wychował się w Krakowie, gdzie ukończył gimnazjum i przez 3 lata studiował w Wyższej Szkole Handlowej. Tuż przed wojną po raz pierwszy wyjechał do Francji. Czy jednak wyjechał? Może powrócił? Jak wielu Polaków – chociaż w sposób nieporównanie głębszy – był Bobkowski frankofilem, Francja uosabiała dla niego to wszystko, co Europa dała światu wartościowego. Jeszcze w Polsce biegł opanował francuski i pisarzami, których najbardziej kochał, zawsze pozostali dlań Balzac i Flaubert. Francja to dla Bobkowskiego nieśmiertelny wzorzec – tam była miara wszystkiego: jak Polska była ojczyzną ciała, ojczyzną ducha była Douce France.

Ale czy mogła pozostać nią po wojnie? Czy jakiś szatański paradoks nie kazał znaleźć się Bobkowskiemu w czasie wojny właśnie w Paryżu i z bliska, z bardzo bliska, oglądać kolaborację Francji, francuską małość, całą tę degrengoladę, której przynajmniej dwa przykłady znajdujemy na każdej stronie Szkieł. Weźmy na chybił trafił fragment ze strony 347 – w bistro, jakich w Paryżu tysiące, rozmawiają obywatele, których we Francji miliony: *Człowiek jest patriotą, chciałby walczyć, ale nie ma jak. Musi siedzieć spokojnie i patrzeć. I wtedy jakaś okoliczna fille mieszkająca pewnie niedaleko i rozgrzewająca się pomiędzy jedną i drugą tournée przed swoim hotelem (...) zaczęła mówić – głośno i jakoś pieszczotliwie, jak do dzieci: – „Co można zrobić? Każdy może coś zrobić. Ja mam syfisy i częstuję nim Niemców. Każdy wyjeżdża z Paryża z pamiątką (...) Wczoraj zrobiłam już szesnastego! Czy można sobie wyobrazić okrutniejszą torturę niż dzień po dniu oglądać, jak rozsypuje się królestwo ducha?*

Na początku dziennika Bobkowski zanotuje: *Nie wierzyłem. Wychowałem się na mię Francji. A teraz co? Wali się – i to wali się jakby po cichu, pęka jak fastryga. Gdy Francja prosi o pokój, a władze nakazują wszystkim mężczyznom opuszczenie Paryża – Bobkowski kupuje rower i początkowo z dwoma jak on pracującymi we francuskiej fabryce polskimi robotnikami wyrusza na Południe. Przedzierają się w kolumnach zdeorientowanego wojska, które, choć przegrywa wojnę bez walki, weale nie traci animuszu. Czoło kolumny siedzi na skraju lasu, rozstawiono stoły i krzesła (wieźli to ze sobą) i kolacja odchodzi najspokojniej w świecie. Garden party. Z muzyką. Patefon gra, rubinowe butelki wina na stolach i weselo (...) Jakże inaczej przedstawia się naród w czasie pokoju i w czasie wojny. Wojna jest dla narodu jak rzucenie monety na marmurową płytkę; i choć nienawidzę wojny, to wydaje mi się, że trudno o lepszy probierz. Przypominam sobie, co myślałem o Francji z dawnych lat. Dziś zrozumiałem jedno, cechy, które są czarujące w czasie pokoju, które cenią się wysoko – te cechy francuskie są zgubne w tej epoce. W czasie pokoju zapomnieli o wojnie, w czasie wojny nie potrafili zapomnieć o pokoju. Na jednym z biwaków z rozmów z żołnierzami wywnioskowałem, że ta cała wojna była spacerem Niemców po Francji. Ten oddział tu nie był nigdy w walce. Na widok jednego samochodu pancernego (przez lornetkę) – wiali. Wtedy to się zaczyna, galop myśli, których nie można już zatrzymać, gdy raz zobaczy się kochaną kobietę w sytuacji, którą określić by można jako „nie pozostawiającą wątpliwości”.*

Trzeba żyć – prześnił się piękny sen, co było, nic będzie. Bobkowski przemierza rowerem Francję i odkrywa nowy świat – w sobie. *Leżałem na kierow-*

nicy i brałem ostre wirażę, pokładając się całym rowerem. Było coś upajającego w tej jeździe. W pewnej chwili najwyraźniej poczułem, że wszystko przestało mnie obchodzić. Teraz, kiedy to piszę, czuję, że pękło coś we mnie. Może nastąpiło zerwanie z przeszłością. Nareszcie. Jestem wolny w tym zamieszaniu. Może nawet zerwałem z samym sobą. Wspaniale. Rozpiera mnie. Żal? Za czym, do diabła? Za tamtym życiem? To był koszmar, bezustanne duszenie się. Koszmar lat gimnazjalnych, koszmar tego życia, do którego przykrawałem się, nie mogąc się nigdy spotkać z samym sobą. Rozmawiałem z sobą poprzez innych. I to poprzez kogo? Poprzez co? (...) Na dnie doliny jakiś drogowskaz mówił o wsi o 1500 metrów stąd z dopiskiem: „Kościół z XII wieku i most rzymski”. Bez namysłu skręciłem. Trzeba zwiedzić. Podobne momenty swoistej transgresji, kiedy człowiek rozpęka się na dwóch obcych sobie ludzi, są zwykle niedostrzegalne. Być może tutaj taki moment został utrwalony in statu nascendi. Odtąd Bobkowski będzie wyzwalal się z kolejnych mitów, pozostając może w XX wieku jedynym człowiekiem naprawdę wolnym.

„Zwiedza” Bobkowski Francję z Tadzkiem, kontrolując jego spojrzenie z własnym, coraz mniej zamglonym, bo pod pozłotą lakieru i farby dostrzega na wyciągnięcie ręki prawdziwe życie – tam, gdzie nikt go nie szukał. Tworzą tandem równie zgrani, jak kiedyś Kubuś Fatalista i jego Pan. To ta sama Francja, jedynie zamiast koni – rowery; Pan raz jeszcze próbuje przywołać dawną miłość: *Tadziu – zaczęłem – musisz jednak wziąć pod uwagę, że... Mówiłem może godzinę, może więcej. Karol Wielki, Dziewica Orleańska (czytał o niej), Ludwik XIV, Descartes, Rewolucja, Napoleon, XIX wiek – ten wiek, o którym można by mówić przez dwadzieścia wieków, tak był wielki i płodny, Wielka Wojna... Kubuś jest jednak bezlitosny: W końcu Tadzio przerwał: „Dobrze, ale ty ciągle mówisz „było”, „byli”. Napoleon, Dziewica Orleańska. Co mnie to obchodzi? Ja wiem to, co jest: Kurwa, królu kochany, a nie żadna dziewczyna! Być może lakt, że prosty towarzysz, warszawski szoferak, powiedział to, czego Bobkowski wzdragał się jeszcze domyśleć do końca, a więc to, co było aż tak uchwytnie, tak w gruncie rzeczy proste, działało trzeźwiąco i przyspieszało rewolucję. Bobkowski powoli wstępował na ląd – jedyny trwały i nienaruszalny. Wszystko inne chwiała się i rozpadało na jego oczach.*

Dojeżdżają do Carcassonne. *Wojna? Tu wiedzą o niej jedynie z opowiadań przyjezdnych. Słońce, wspaniale i soczyste, jedwabiste wieczory i noce, jak sierść czarnego kota. Od samego rana woda, rozleniwienie przeciżganych pływaniem członków. Bezgranicznie dobrze. Dogoniłem tu dawną Francję. I teraz wypiję ją wolno, wolniutko, jak kieliszek dobrego wina. A potem? Mój Boże... „Jutro”, „potem”, „w przyszłości” to są słowa z tamtej epoki. Przepadła, zginęła i niech jej historia lekką będzie. Gdyby tych słów nie potrafiło się odrzucić, to „teraz” straciłoby cały sens, cały urok. Chcę żyć tylko „teraz”. Od pierwszego dnia tutaj poczułem najdokładniej, że los pozwolił mi wyciągnąć jakąś olbrzymią wygraną i że trzeba cenić każdą minutę. Magazynuję je. Pełne, okrągłe, pachnące minuty i godziny.*

Między tymi słowami, zapisanymi w sierpniu 1940 roku, a Bobkowskim, który niespełna rok wcześniej myślał w Warszawie, wierząc, że przystąpienie Francji do wojny będzie kiedyś wspomnieniem słodkim jak zapach dzieciństwa, leżało teraz „dwadzieścia wieków”. *Siedziałem na rozgrzanym kamieniu, patrzyłem w niebo głaskany gorącym wiatrem, a po brodzie ciekł mi purpurowy sok zerwanych z krzaka winogron. Znowu nic nie myślałem – jadłem winogrona. Czulem tylko, jak intensywność życia wzmożła się we mnie do ostateczności. Czulem swoją młodość, przeżyłem ją w tych kilku chwilach tak, że krew powinna była mi trysnąć ze wszystkich por i pomieszać się z sokiem winogron. Złapałem życie, na moment, ale wyraźnie. To było wspaniale.*

Nową myśl wywołuje spotkanie w Nicei murzyński oddział z Madagaskaru, który przyjechał na wojnę z Niemcami, w ostatniej chwili „odwołaną”: *Szczęśliwcy! Za trzy tygodnie będą na Madagaskarze. Chętnie pojechałbym*

¹ Andrzej Bobkowski: *Szkieł piórkami*. Towarzystwo Opieki nad Archiwum Instytutu Literackiego w Paryżu, Wydawnictwo OJS, Warszawa 1993. Wszystkie nawiązania cytaty według tego wydania.

z nimi. Jaż po dwudziestu sześciu latach, w tak młodym wieku Europa wylazi człowiekowi bokiem i gardłem. Kolebka kultury... Żal mi, że nie zdążyłem już wyjechać. Może życie z początku byłoby trudne, ale byłoby życiem z jakimś planem. A nie taką zabawą z losem w ciuciubabkę, życiem systemem węgorka, przesłizgiwaniem się o jeden dzień dalej. I zamiast chodzić po ziemi, to chodzi się po galarecie ze świńskich nóżek i cielęcych głów. Bobkowski dopiero za osiem lat wyjedzie do Gwatemali, ale już 26 lipca 1942 napisze: *Zaczynam zbierać pieniądze na wyjazd z Europy. Beznadziejny Klaj. Od tej zlej miłości trzeba uciec – a uciec od niej można tylko na koniec świata. Ucieknie. Czy jednak naprawdę?*

Z każdej linijki dziennika wyciera przecież miłość, zawiedziona, ale potężna – czy Bobkowski naprawdę wierzył, że jemu się uda, że gdzieś się przed nią ukryje, czy nie było tak, że uciekając wiedział, że nie ucieknie? *Paryż i francuska myśl mają w sobie coś z szampana, brzoskwiń, burgunda, sardynek, serów. Soczyste, podniecające, łatwostrawne, pikantne, pełne smaku, lekkie. I życiowe. Nie lubią nadludzi i nadmysli. Tym zawsze przyciągną – choćby miało się ich dosyć z wielu innych względów, a nawet pogardzało jako ludźmi. Może ich postępowanie w tej wojnie jest tylko ludzkie, życiowe i praktyczne? Praktyczne na pewno. Najlepszy dowód, że idę teraz spokojnie z teatru i że mogę myśleć o tych rzeczach. Są bez honoru? To teraz. Był może w końcu wyjdą z honorem, a jeżeli nie – to i tak świat gotów im to przebaczyć i zapomnieć. Czegoż nie przebacza się pięknej kobiecie, bez której nie MOŻNA żyć?*

Była jeszcze druga strona medalu – ta sama Francja, która w pas kłania się Niemcom i podziwia niemiecką dyscyplinę (mierzącą Bobkowskiego najbardziej, bo tak różną od francuskiej swobody i nonszalancji), ta sama Francja entuzjazmuje się Rosją, barbarzyństwo nazywa postępem... Francuzi oszaleli na punkcie Rosji, zewsząd dochodzą Bobkowskiego głosy, że gratulują Polakom, opowiadając o uwalnianiu kolejnych polskich miast przez Rosjan: *Ja w Paryżu też mam ochotę kuć w mordę, ale musiałbym to zmechanizować, bo to Paryż i nie kilka osób na dzień, lecz dziesiątki i setki dają codziennie wyraz swej uprzejmości, gratulując mi na prawo i lewo (...). Przesłałem odpowiadać. W tłumie Francuzów, niczym Wernyhora, Bobkowski przostaje coraz bardziej osamotniony – Widzę przed sobą ciemnię, otchłań tępoty ideologicznej nasuwającej się na świat, jak jakaś czarna chmura, bezdeń dogmatów i scholastyki, fanatycznej i tępej religii, poczętej gdzieś w Azji. Cóż za upadek. W jednym z pism francuskich wychodzących w czasie okupacji czyta o Platonie – Pierwszy spośród naszych wielkich towarzyszy (camarades) w porządku chronologicznym jest potężnym geniuszem... Bobkowski jest dotknięty do żywego, czuje się nagle w sercu Europy niczym w wiosce ślepców – jeżeli po tej wojnie nie zrobi się wszystkiego, aby Platon był przede wszystkim Platonem, zwyczajnym Platonem, po prostu Platonem, to w takim razie nie ma o czym mówić. Jeżeli tego nie zrobi się, to trzeba będzie wynieść się tam, gdzie o Platonie wcale nie słyszano. Są jeszcze takie miejsca na świecie. To stanowczo lepsze i łatwiejsze do zniesienia (...). Czy w społeczeństwie towarzyszy „towarzysza Platona” można będzie się oburzać?*

Chłodnym okiem przygląda się Bobkowski, jak Francja wyprzedaje się z tego, co ma najcenniejszego – owego niewyraźnego esprit français, na który w nowym świecie, jaki wyłoni się po tej wojnie, nie będzie już zapotrzebowania. I coraz rzadziej w samej Francji zdarza się mu jeszcze spotkać Francuza, który to rozumie. Wtedy, niczym spiskowcy, rozmawiają przez chwilę językiem umierających – *Byliśmy zbyt szczęśliwi... Z każdym dniem ubywa Francji, czasem jeszcze w jakimś słowie, geście albo w kamieniu zaświeci tamten świat, na którym nikomu już nie zależy, bo jedni starają się o nim zapomnieć, a drudzy nigdy o nim nie słyszeli. Francja przypomina teraz ten opuszczony i dewastowany zamek w Sainte-Suzanne: W przesłicznych rusztowaniach dachu, będących jak koronka z belek, świstał wiatr. W niektó-*

rych pokojach zapadły się już sufity i tylko okopcone kominki wiszą jeden nad drugim, przyklepione do ścian. Ogarnął mnie smutek i wściekłość. Gardzi się tym opuszczonym i niepotrzebnym zamkiem, w proch sypie się klejnocik tej architektury, która nie uważała domu za maszynę do mieszkania. Jest źle, gdy patrzy się tylko wstecz, ale i źle, gdy patrzy się tylko naprzód, a może w ogóle nie patrzy? Cały dorobek kultury Mamy-Europy wydany dziś zostaje na łup umysłowości ludów bez przeszłości lub europejskiego chamstwa. Stojąc w tym zamku poczułem grozę – może po raz pierwszy tak wyraźnie – tego potopu. Od wschodu prze cham i barbarzyńca, od zachodu, na czteromotorowych fortełach latających, leci zwierzątka zdrowe i rumiane. A wewnątrz, broniąc podobno kultury – europejski cham chce zniszczyć jej resztki.

Czy ktokolwiek z naszych i nie tylko naszych pisarzy potrafił tak trzeźwo i przenikliwie widzieć w tych latach zapowiedź „wielkiej smuty” w całej Europie? I czy można się dziwić, że kultura i narodowość spelzły w oczach Bobkowskiego, dostrzegającego jedyną odtrutkę w biologii, w czystym strumieniu życia? *Walcząc z totalizmem, brniemy w jeszcze gorszy. Wszystko skręca się we mnie z bólu. I to nie z bólu polskiego – nie – z kosmicznego.*

Zostawmy przez moment Francję samą sobie, zmierzmy się z zagadnieniem (chciałoby się powiedzieć naczelnym w naszej literaturze, ale czy tylko w literaturze?) – Bobkowski a „sprawa polska”. Bobkowski jest w dziennikach trochę prorokiem. Jasność widzenia niespełna trzydziestolatka zdumiewa – nie znajdziemy na tych pięciuset stronach, gdzie Polska powraca jak refren z dzieciństwa, nawet cienia złudzeń, że my po tej wojnie znajdziemy się w obozie zwycięzców. Nie ma wątpliwości, że Bobkowski rozumiał politykę instynktownie, bezbłędnie potrafił w głądzie wydarzeń dostrzec znaczące konfiguracje, dzięki czemu trafiał do celu przed innymi. Tuż po podpisaniu układu Sikorski – Majski, pisze: *Kobra z królikiem też może zawierać układy, choć w wyniku końcowym prowadzą one tylko do jednego: do polknięcia królika przez kobrę. Po dokładnym i pieczołliwym obślinieniu, żeby głódziej poszło. Ta niezwykła przenikliwość młodego diarysty budziła nawet podejrzenia, czy Bobkowski nie „poprawił” dziennika post factum – przecież znajdziemy tam nie tylko prorocze sądy co do wartości układów ze Stalinem, którego – od kiedy tylko Związek Radziecki przystąpił do wojny – postrzegał jako jedyne jej faktycznego zwycięzcę. Tak samo osamotniony Bobkowski nie podzielał naiwnych przekonań co do determinacji sprzymierzonych wobec Rosji, ba, „wyprorokował” nawet zamach na gen. Sikorskiego. Spotkamy się też z przeswiadczeniem, że Polska odzyska po tej wojnie niepodległość nie wcześniej niż po 50 latach. W „Dzienniku” z 22-23. 11. 2008 r. Wojciech Cieśla pisze o tych wątpliwościach po zapoznaniu się z niedostępnym wcześniej rękopisem Szkiłow, zwracając Bobkowskiemu honor, którego ten zresztą nigdy nie stracił.*

Po trzymiesięcznym milczeniu, w styczniu 1944 r., Bobkowski notuje: *Nie pisałem. Od chwili gdy przyszłość stała się zupełnie niezagadkowa, gdy ma się pewność nadejścia nocy, po co pisać? (...) Po tylu latach kłamstwa, tego wstrętnego, duszącego i pętającego myśl kłamstwa, po tylu latach dogmatów czczych i nieludzkich, mamy znowu pogrążyć się w kłamstwie, w dogmatach, w upaniśwowionym zakłamaniu? Chyba tak... Ale czego się boję? Tego, że na miłość boską, każą mi znowu w coś wierzyć. Każą wierzyć, że jakaś demokracja lub ustrój komunistyczny są doskonale i jedyne. Że znowu z byle g... porobi się ideaty i ideologie, że znowu kłamstwo i propagandę usiawi się na cokale i robi z nich nowego Boga...*

O Polsce pisał Bobkowski kapitalnie, miał ten niepodrabialny francuski wdzięk, który pomaga o sprawach tragicznych mówić dowcipnie: *Epatujemy się obcymi pisarzami, ale jak jakiś nasz pisarz napisze coś i nie umieści w tym Polski, Polaka, małow i maków, strzechy, łanów, służącej, cięży i skrobanki (jeden z narodowych problemów), to on jest zły Polak. Jak Conrad, który raz*

wreszcie wpadł na świetną myśl pisania po angielsku. I nie o strzechach i malwach. I pomimo, że zrobił dla Polski więcej reklamy niż nawet Sienkiewicz, to Orzeszkowa uważała za stosowne mu nawymyślać. I nawet ludzie, którzy się nim zachwycali, nie potrafili jednak robić tego bez jakiejś głębinowej pretekstu, „że nie wrócił”. Nie wrócił, bo mu się lepiej podobało w Anglii i każdy człowiek powinien mieć prawo żyć tam, gdzie mu się najbardziej podoba. Są tacy, dla których Koluszki albo Radom są wszystkim, i bardzo to szanują, ale są tacy, którzy wolą włóczyć się po świecie i znajdują w tym świecie więcej niż w Koluszkach lub w Radomiu. I wtedy mówi się ze świątobliwym oburzeniem: „kosmopolita”, czyli prawie – Żyd. A czy może być coś gorszego – tak między nami – niż Żyd? Cały ten fragment, z ironiczną puentą, mógłby wyjść spod pióra Bolesława Prusa – rzeczywiście w Szkicach znajdziemy zachwyt dla stylu myślenia warszawskiego felietonisty i pewnie dlatego są tam też słowa wielkiej niechęci do Żeromskiego.

30 lipca 1944 roku Bobkowski zapisuje: *Nie widzę powodu, dlaczego Polska i dlaczego wszystko dla Polski. To, że się urodziłem Polakiem, jest takim samym przypadkiem jak to, że należę do pewnej warstwy społecznej, a nie do innej, że jestem biały, a nie czarny. Warstwa społeczna, kolor skóry – to są przesady i można na nie gwizdać, a ojczyzna to koniecznie coś świętego. Dlaczego? Nacjonalizm stał się też religią, i czyni bardziej ślepy, czym bardziej głębszy, tym bardziej godny poszanowania. Teraz już się mówi: „naszym obowiązkiem jest wracać niezależnie od tego, co będzie”. Dlaczego? Tylko człowiek nie jest fikcją – wszystko inne jest fikcją. Cały świat może być ojczyzną i każdy człowiek bratem. Bo świat to człowiek, przede wszystkim człowiek. I także już teraz na „niewracanie” znajduje się usprawiedliwienie w Polsce. Nie wracam dla Polski. Dlaczego? Nie wracam, bo po prostu nie mam ochoty i jeżeli uda mi się ruszyć dalej w świat, to się ruszę, bo mnie to ciągnie, bo ciekawi mnie świat i inni ludzie, bo życie w zakorkowanej butelce ojczyzny zupełnie mi nie odpowiada.*

W ciągu tych lat spędzonych we Francji myśl Bobkowskiego zatoczyła kolo, przeżył wszystko, na co nie starcza zwykle jednego życia. Wielki romans pisarza dobiegł kresu. Szkice piórkiem są przecież dziełem o miłości – wielkiej, prawdziwej, niespokojnej miłości do Francji. A czym są opowiadania? Mamy tu do czynienia z tym zawsze trochę podejrzanym związkim, w którym szuka się spokoju, w którym przyjaźń musi zastąpić miłość. Gwatemala to imię piękne, ale miłości tam nie ma. Czy dlatego w opowiadaniach Bobkowski nie dorównał samemu sobie? Jest w tym jakiś paradoks, że często dzieło życia powstaje en passant. Arcydzieło Rollanda, *Colas Breugnon*, przyszło na świat właściwie przez przypadek. Od dziesięciu lat pracując nad *Janem Krzysztofem*, który stać się miał jego opus magnum, nagle uczul potrzebę przewietrzenia umysłu – i zaczął bez planu pisać wspominki, wodząc piórem swobodnie, bawiąc się obrazami z przemieszanej kolorami palety wspomnień. I narodził się *Colas Breugnon*, któremu Jan Krzysztof niegodzien jest sandała rozsznurować. I podobnie z tym quasi-dziennikiem Bobkowskiego – nie ma tu śladu metody, gorące jeszcze obrazy z ulicy przenoszone są pospiesznie, zanim wystygną, do kratkowanego garnka – każdego wieczora pisarz zrzuca z serca ciężar i lekki jak ptak wybiega znowu na ulicę.

Otwierając opowiadania², od razu znajdujemy obrazek, jakby żywcem wyjęty ze *Szkiców*. Małe miasteczko rybackie we Francji, Niemcy fortyfikują brzegi przed spodziewaną inwazją sprzymierzonych, Francuzi „siedzą za zasłonami z koralików” i patrzą; proboszcz w fotelu „wielkim jak konfesjonal” rozsiadł się przed plebanią i rozgniąta na swojej łysinie komary, panny Pitou na wszelki wypadek spakowały się i trzymają na kolanach szklane gabloty z motylami, mer nawołuje do czujności – „comme en 1914...”. Wszystko miało być inaczej, życie każdego miało zostać przepolowione – na

przedtem i na potem. Traf chciał jednak, że Amerykanie lądują zupełnie gdzie indziej, miasteczku ominął desant, a historia obeszła je szerokim lukiem. W spadku po okupantach pozostaje trzech własowców z rozkazem wysadzenia niemieckich umocnień. Dobroduszni Rosjanie decydują się jednak ładunki wybuchowe spożytkować inaczej – łowią ryby za pomocą min przeciwczołgowych. Całe pudy ogłuszonych ryb ładują teraz w winnicy Valentina i wszyscy są zadowoleni – znowu jest spokój, a ryb i wina starcza dla wszystkich. Na myśl przychodzi Wyspiański ze słowami pasującym tu jak ulał: *Niech na całym świecie wojna, byle polska wieś zaciszna, byle polska wieś spokojna.*

I cała ta w gruncie rzeczy banalna historia skończyłaby się happy endem – gdyby nie nieszczęśliwa okoliczność, że „wyzwoliciele”, przez przypadek, sami wysadzają się w powietrze. W miasteczku rzeczy zostają po staremu, każdy otarł się o sprawy, o których do końca nie wiadomo, czy były wielkie, czy małe. Zepchnięto je zatem tam, dokąd zwykle nie schodzi się często, jak do piwnicy, gdzie przenosi się rzeczy do niczego niepasujące, bo też, Bogiem a prawdą, nie wiadomo co z nimi robić. Książd dalej walczy z komarami, panny Pitou opiekują się motylami, a czujny mer, jeśli tylko artykuł o „towarzyszu Platonie” dotrze i tutaj, stanie się pewnie patetycznym neofitą „starożytnego idealizmu”. I emiość tej Francji, przeżywającej swą świetność tak jakoś nieświetnie, nie mogłaby znaleźć sobie, i chyba dotąd nie znalazła, lepszego kronikarza niż Bobkowski. Znowu słychać tylko „plusk fontanny i cykanie świerszcza” – wojna przeminęła jak zapach palonych liści, który trochę powisiał w powietrzu i wiatr go rozproszył. W wyobraźni widzi się Bobkowskiego uciekającego od tego aż za ocean – gdy patrzy na tę swoją Francję i mógłby, jak subtelni paryżanie sprzed stulecia, pomachać jej chustką na pożegnanie. Ale pewnie splunął. Zresztą trudno powiedzieć – może wykonał jakiś pośredni gest.

Ale czy Bobkowski od Francji i Europy naprawdę uciekł? Choć on także „te sprawy” postanowił złożyć w jakiejś piwnicy, to szybko się okazało, że coraz więcej czasu zajmowało mu schodzenie do owej piwnicy i przesiadywanie właśnie nad „tymi rzeczami”. Stałe coś z niej wydobywał – nie tylko pierwsze, ale większość opowiadań przyrządzonych zostało ze spraw i rzeczy, które miały nie oglądać więcej światła dziennego i zostać wreszcie zapomniane. Trudny do określenia tragizm owego wybitnego pisarza z tego przecież wynika, że prawie wszystko, co napisał w Gwatemali – owym rajem, gdzie po raz pierwszy w życiu był naprawdę wolny – jest owocem schodzenia do piwnicy, skąd pachniało „siarką” indoktrynacji i „postępu”. Dlaczego Andrzej Bobkowski, rzucony w królestwo Josepha Conrada, nie potrafił się odnaleźć? Dlaczego Conrad, zrywając z Europą, urosł jako pisarz, Bobkowski, przeciwnie – swoją ucieczkę do wolności przyplacił utratą głosu? To nieodgadniona tajemnica. A jednak opowiadania Bobkowskiego stale nasuwają porównania z Conradem. Z powodu egzotycznego anturazu na pierwszy rzut oka, ale przede wszystkim ze względu na rodzaj walki o siebie, której nikt nie ogląda. Almayer i major Rocker, Marlow i kapitan Świdkiewicz, Lord Jim i Pochwaliski – to bohaterowie z tej samej półki, gdzie zwykle stawia się (przeważnie nieczytane) książki o moralności, ale moralności niezakorzenionej w żadnej religii – moralności bez imprimatur. Bohaterowie Bobkowskiego – a każdy z nich ma jego twarz – zdają się bowiem nieświadomi tego, że w sposób na pozór absurdalny walczą o wewnętrzne prawo do życia. Wiedzą jedno – są jak mechanizmy, które, jeśli przesusną się o jeden tryb za daleko, przestaną działać.

W opowiadaniach Bobkowskiego znajdujemy całą galerię outsiderów, o których czasem z zachwytem piszą gazety, by szybko potem o nich zapomnieć. Nie ma bowiem do ich „świata” żadnego klucza, zwykle oni sami nie potrafiliby odpowiedzieć, dlaczego opuszczają ucieszczony gościniec, by

² Andrzej Bobkowski: *Prose i wspominki*. Wydawnictwo Literackie, Kraków 2008. Wszystkie przytoczenia według tego wydania.

zaryzykować życie dla imponderabiliów, czasem dla gestów, których świadkami są przypadkowi przechodnie, a które najczęściej pozostają nienazwane. Jak mechanik Pochwalski, który kapitał uzbierany na założenie sklepu z częściami samochodowymi, przeznaczą na ratowanie wraku, częściowo zatopionego na bezludnej lagunie. Jak major lotnictwa Rocker porzucający służbę w armii, żeby wynajmować się u plantatorów do zraszania bawełny. Jak kapitan marynarki Świdkiewicz zajmujący się przybrzeżną kontrabandą. Jak pijący za dużo, bezbarwny urzędnik Niemann, który nagle zdobywa się na niepojętą odwagę, albo emigrant Sauczey, którego stać na niezrozumiały gest. Kim oni są? Bezimiennymi bohaterami, którzy nie wiedzą, co czynią? Rozbitkami bez przyszłości, walczącymi o swoje człowieczeństwo na bezludnych wyspach?

Bobkowski wyjeżdżając do Gwatemali na pewno miał świadomość, że dokonuje wyboru, który jest już jakoś anachroniczny, musiał czuć, że gest to patetyczny, nierozsądny, a może nawet – romantyczny? I wiedział, że on – wychowanek Kartezjusza i Balzaca, Montaigne'a i Rabelais'go – musi szukać głębiej, bo przecież w romantyzm nie wierzył nigdy, a pozytywizmem pogardził. Szukał, ale nie znajdował: *Prawdziwie ważkiej decyzji nie pobiera się prawie nigdy pod wpływem argumentów istotnie przekonujących. Naprawdę znajduje się je zwykle „po” i bardzo rzadko „przedem”.* (...) *Wcale nie jestem pewny, czy jakkolwiek ważną decyzję można w ogóle poddawać analizie. Jest ona sprawą instynktu, intuicji i przypomina raczej pociągnięcie za cyngiel w momencie przelomowym, w którym poza tym, że należało zań pociągnąć, nic się właściwie nie wie.*

W opowiadaniu pt. *Znierzch* znajdziemy znakomitą scenę: Bobkowski zegna się z Francją, rzec by można, po angielsku – gdy cały Paryż maszeruje pod Łuk Triumfalny, a na niebie rysowały się anemiczne dwa uda światła z reflektorów, rozwarłe w wielkie V, on (albo ktoś niezwykle do niego podobny) idzie w kierunku przeciwnym do ruchu wskazówek zegara, biorąc już w głębi duszy kurs na jakąś „Gwatemalę”. *Przy wejściu do kawiarni Rumpelmeyera tłoczyli się w drzwiach kelnerki w czarnych sukienkach z białymi fartuszkami, spoglądając tęsknie w stronę Pól Elizejskich. Nie dali im wychodnego, pomimo że cały Paryż był zamknięty i w kawiarni nie było nikogo.* Bobkowski (scena nazbyt pachnie *Szkicami piórkiem*, by mógł być to ktoś inny) siada, przez chwilę słucha złośliwości kelnerki na swój temat, wreszcie pod jego stolik spłynęła któraś z opryskliwym pytaniem, czego sobie życzy: *– Szampanu dla wszystkich!* (...) *Rzucili się z piskiem, zsuwając stoliki (...) i pochylając uśmiechnięte twarze. A we mnie wzbierała wściekłość pomieszana z kpinami z samego siebie. Małą, taną komedią w pustej kawiarni mściłem się na wielkiej komedii odbywającej się tam, pod Łukiem Triumfalnym, w Londynie, w Nowym Jorku, w setkach tysięcy miast i miasteczek (...) Położywszy na stoliku trzy tysiące franków, odsunąłem krzesło i wstałem wznosząc kieliszek. Kilkanaście par wesółych oczu spojrzało na mnie z wyczekiwaniem. „Za zdrowie zbrodniarzy pokoju”, powiedziałem głośno i wyraźnie, postawiłem pełny kieliszek na stoliku i wyszedłem szybko z kawiarni.*

O prawdziwej cenie, jaką zapłacił za opuszczenie wszystkiego, co znał i kochał, mówi Bobkowski w opowiadaniu zatytułowanym *List*: *Wiesz, szereg ludzi, którym odjęto nogę lub rękę, odczuwa potem do końca życia ból w członku „widmie”. Te bóle bywają nieraz tak silne, że utrudniają lub wręcz uniemożliwiają inwalidom przystosowanie się do ich nowego życia. (...) Operują nas pod narkozą, bardzo wielu zgadza się nawet z diagnozą, że niektóre odcinane kawałki były istotnie zgangrenowane, ale boli ich potem w „widmie” – boli nieraz nieznośnie. A więc sprawa nie była zamknięta – Bobkowski wciąż żył swoim wyborem, analizował go, a dźwięku ludzkiej mowy szukał w Europie. Banalna przechadzka, widok drzemiącego kota, który jeży się na widok psa – to wszystko wywoływało „widmowy ból”: *Ten kot jest dla mnie**

ilustracja tego wszystkiego, co dzieje się dzisiaj na Zachodzie. Ten kot to cały tak zwany Zachód. Skakanie na coraz to wyższe paczki z pełnym pogardy i wyższości fuknięciem w stronę psa.

Bobkowski, oczyszczający się na złotej plaży ze szlamu wntówień i codziennych zdrad, czuł się tam jednak jak umarli i rozmowy z umarłymi uznawał za najprzyjemniejsze. W opowiadaniu zatytułowanym *Nekyia* – na cześć sławnej jedenastej księgi umarłych w *Odysei* – przywołuje dialog Agamemnona z Odyseuszem: *Agamemnon radzi Odyseuszowi (powołując się na własne doświadczenia, bowiem w czasie jego nieobecności warunki uległy zmianie i biedny syn Atreusza nie nadawał się do towarzystwa), aby jeżeli pragnie wrócić do milej ziemi ojczystej, to krybden, a nie anafanda, tzn. w sekrecie, a nie jawnie. Oni też mieli swoje problemy repatriacyjne. Odyseusz posłucha jego rad i wróci krybden. Hm – tymczasem ani krybden, ani anafanda... Pisarz wymyśla dom, gdzie zebrali się umarli i zaludnia go tymi, którym wierzy: *Pokój ożywił się i rozróżniłem w pomroce kilka twarzy i sylwetek. Ten bon gros, potężny i otyły, to Balzac. Tak – od tyłu głowy do obcasów linia prosta, przód jak profil asa pikowego. Ponury jak Ajaks, siedzi po turecku wąsaty i lysawy Flaubert. Przechadza się pod oknem H. Taine. Oparty o resztki kominka stoi przygarbiony Renan. W drugim pokoju, bardziej odległe, migają białe peruki i białe pończochy... Posłuchajmy markiza de Custine: Rosja jest dziś oddalona zaledwie o cztery wieki od chwili najazdu barbarzyńców, podczas gdy Zachód przeszedł przez ten sam kryzys czternaście wieków temu: cywilizacja starsza o tysiąc lat rzuca niezmierny dystans pomiędzy obyczajami narodów... I socjologą Ix Bona: Pisarze, myśliciele i filozofowie powinni byli błogosławić XIX wiek i śpieszyć się, by z niego skorzystać, gdyż nie ujrzą go oni więcej. Był to może wiek dekadencji, lecz był to jeden z rzadkich momentów historii świata, gdzie wyrażanie myśli pozostawało wolne... Bobkowski, jak kiedyś Mickiewicz, nasłuchuje głosu z oddali – ale uie tylko żywi, nawet umarli nie dają nadziei. Póki „spokój panuje w Warszawie”, Bobkowski musi pozostać umarłym. Emigranci i nieszczęśliwi kochankowie pod różnymi szerokościami geograficznymi i w różnych epokach powtarzają mniej więcej tu samo: *Jedźmy, nikt nie woła...***

Chyba żaden z pisarzy nie dokonał na sobie eksperymentu równie pouczającego – świetnie wykształcony intelektualista wyrzeka się cywilizacji i pragnie stać się pijanym życiem barbarzyńcą, doświadczać piękna w buszu i smaku w dzikości. Ale myśl nie sluga, bo czy zdradzony kochanek potrafi zapomnieć? O przyrodzie w Gwatemali Bobkowski mówi krótko i bez emfazy: *brudny i spocony tropik, zbita masa zieleni, twarda i nieruchoma.* O jedzeniu w Gwatemali pisze nieapetycznie: *ohydny zapach smażonych pancerników, iguan, tych olbrzymich jaszczurek i innych smakołyków indiańskich.* Jakże daleko jesteśmy od zmysłowych opisów, których pełne są *Szkieci piórkiem*. Czy taka musiała być cena, którą trzeba było zapłacić, aby mówić to, co się chce mówić, myśleć, co się chce myśleć? Każda myśl jego bohaterów jest myślą Europejczyka, a najbardziej ze wszystkich: *Europejczyk, który nie chce być wolny, przestaje być Europejczykiem. Aby nim zostać, musiałem wyjechać. Normalne życie, dawna kulturalna Europa. Aby ją odnaleźć, trzeba z niej dziś wyjechać.* Ilu jednak Europejczyków, z tych samych co Bobkowski powodów, zdecydowało się na taki krok? Czy był choć jeden, który miał odwagę napisać podobne słowa? Miłość wyrzekająca się miłości, by miłość ocalić. Czy grobu ostatniego trubadura Europy nie należy szukać w Gwatemalii?

Gdyby Bobkowskiemu dane było przeżyć przynajmniej dekadę dłużej, wydaje się, że nadzieję dla Zachodu widziałby w silnych Stanach Zjednoczonych Ameryki, kraju w latach 50. rzeczywiście silnego głównie vitalnością „zwierzętek zdrowych i rumianych”. Zachodu ciągle jeszcze bardziej „dzikiego” niż cywilizowanego. Z wielu powodów umarł Bobkowski za wcześnie, rozgoryczony i chyba bez nadziei na to, że Europa stać się może

znowu miejscem dobrym do życia. On widział ją tak, jak kiedyś Verlaine: *Jam cesarstwo u schyłku wielkiego konania, które patrząc, jak idą Barbarzyńce białe...* Bobkowski, jeden z najwybitniejszych pisarzy XX stulecia, nie miał szczęścia, żyjąc w czasach, gdy słońce wstawało nad nowym – obcym mu z ducha – cesarstwem, które zdawało się wieczne. Pozostanie Bobkowski autorem nieśmiertelnych dzienników okupacyjnych i kilku znakomych opowiadań. Ale przede wszystkim człowiekiem wolnym, tym, który sam potrafił się uwolnić – od wszystkiego, co nie pozwalało mu żyć tak, jak sam chciał, myśleć, tak jak chciał myśleć. Tylko od siebie uwolnić się nie mógł. Być może dlatego właśnie zapłacił za swój wybór cenę dla pisarza najwyższą – cenę zagubionego talentu.

Posłuchajmy jednego z ostatnich zdań ostatniego opowiadania, a zarazem jednego z ostatnich zapisanych zdań pisarza, umierającego w świecie, którego nie rozumiał i nie kochał: *Dzisiaj dopiero widzę, do jakiego stopnia grałem sam przed sobą bohatera, do jakiego stopnia wszystko jest bezustanną grą, do jakiego stopnia trzeba ją uprawiać, żeby wszystko miało jakiś sens. Będąc już kiedyś kimś, będąc niegdyś młodym człowiekiem z przyszłością, teraz cieszyłem się i byłem dumny z tego pół dolara dziennie. W jakiejś postaci z jakiejś powieści, postaci fałszywej i nie dopowiedzianej do końca, jak wszystkie postaci powieściowe, startowałem z tym pół dolarem dziennie po raz drugi w życiu. Potęgą fikcji, potęgą bezustannego transponowania rzeczywistości, do której trzeba dojść z powrotem, żeby być znowu tym jednym z wielu, tym jednym z miliardów nie myślących i poruszających się tylko dzięki temu. Chyba nikt przed Bobkowskim nie odegrał własnej historii równie prawdziwie. Do samego końca szukał życia, wierny własnemu przykazaniu, dla którego dopiero tuż przed śmiercią znalazł formułę, w której cały się zmieścił: *Życie jest celem ostatecznym.**

Łukasz Marcińczak

JERZY ŁYCZEK

The Emigrant's Book

I. THE COMPANION TO BOURNEMOUTH

(...)

Southcote Road

1.

Kamyki petów rzucane z okna pokoju à la Jarmusch, gdy czekam na ciebie. Mam tu wszystko, co wymagane do życia, łóżko, zlew i biurko, które znalazłem na śmietniku. Pamiętam, że gdy taszczyłem tę podstawę dla mojego przenośnego home office, zamarzyły mi się papierosy, i chwala nieznanemu, znalazłem długie w zielonej paczce chwilę później. Tak, że mogłem już spokojnie patrzeć w przyszłość. Niewiele można było poskładać z tego układanego z każdym miesiącem „od nowa”. Choć nie było co układać, raczej się wyrastało na nowo czy do nowego. Tu chyba jednak bardziej, bardziej nieznane było to, co odznaczało się na codziennym być w pokoju, być w pracy, być nad morzem, być w czekaniu. Choć miało się i łatwo przyjęte „uczyć się puszczać”, bo się można nadziać na trafność metafory, że „wszystko jest identycznie irwale jak numer telefonu na pudełku zapalek”. Mimo to, taki wózeczek się pchało, się nim czasem próbowało powozić i kto wie, to chyba był błąd. Może zwłaszcza te uchylne próby poddania kontroli były najbardziej poplątanymi kamyczkami, które rykoszetem wędrowały z podłogi w moje oko.

Wróciłem tu po urlopie. Na ulicy jak zwykle przywital mnie korowód kobiet – za 20 funtów godzinka. Znały mnie, tak jak chyba mi się z nimi znano w nieznanym naszej. Miałem u nich i skręcone zniszczoną ręką papierosy, ciepłe słowo, i strach pomieszany ze złością, że zobaczy mnie ich allions, wizytujący uliczkę pięknym terenowym wozem co jakiś niedoznaczony czas. Nawet gdy jedna z nich bez sil, z niedopitą whisky w ręku, po kokainowym „zobaczymy później”, „dużo później”, siedziała na profilu ulicy, ten anioł stróż odpędzał dzielnie z okna samochodowej przystani dia aniołów takich naiwnych pieprzonych skurwysynów jak ja.

W każdym razie wróciłem do mieszkania, pod numer 127. Nie zastałem jednak już starych współbiedników podróży. Nie było starych dziadków, po pijaku tluących się po ryjach w ogródku. Nie było młodej córki jednego z nich, która lubiła przy warkocie patriotycznego półlitra spędzać wieczór swojej miłości z albańskim uchodźcą Billim. Nie było też innych. Zastałem za to wygrawerowanych tatuażami i sznytami miłych nowych towarzyszy. Nikt nic nie mówił, gdy wszedłem. Było spokojnie, bardzo spokojnie. Padło jedynie jakieś ukradkowe „kurwa”, czy „spierdalać” i kilka spreparowanych w reakcjach niewypowiedzianych podobnych słów, których znaczenia nie chciało mi się tłumaczyć. Nie było nawet co tłumaczyć. Natknąłem się bo-

wiem na długie, gwałtowne, jaskrawo jasne jedno monosłowo, którego nie znajdzie się w żadnym słowniku. Słowo, które ma się za zadanie wdrukować, ale którego nie trzeba ani zapisywać, ani nawet wypowiadać. Było więc bardzo spokojnie po moim powrocie.

2.

Spałem lekko, obudziło mnie słońce i krzyki mew. Na zegarku coś z porannej piątej. Jak zwykle z rana zszedłem do kuchni i postanowiłem usmażyć sobie placuszki. Był to dobry czas na śniadanie. Zwierz wydawał się bowiem uśpiony, a przynajmniej nie było słycać agresywnego warczenia z przyku-chennych pnkoi. Rozlałem ciasto na blasze patelni i radośnie przypiekałem placek. Gdy właśnie ładnie zasklepił się od ciepła i gdy należało go przewrócić, ktoś wtoczył się do kuchni. Nie doszedł jednak na jej przeciwległy koniec, gdzie znajdowały się drzwi do toalety. Zatrzymał się przy lodówce? Tak stał tam. Stał. Wyglądał coś gorzej niż jakikolwiek zamrożone zwierzę, miał nieznaną mi metalowy stygmat w uchu. Pieknem dalej. Gdy odwróciłem się, zobaczyłem, jak ten jegomość spokojnie polewał moczem ścianę za lodówką. Rzuciłem w stronę tej męsko odzianej nieświadomości jakieś instruujące przekleństwo, sądząc, że tam gdzieś się zaczepią, że się odbiją reakcją, że wpadną w to wzmocnione ucho. Hm, pomyliłem się. A może nie? Może nawet dotarły? Może nawet gdzieś tam poleciały, zakręcily się w tej czarnej dziurze o wymiarach rosnącego chłopca, ale co dalej. Nic. Obiekt odwrócił się i polewitował, odbijany od ziemi chwiejnym krokiem po schodach na górę. Jest w tym jakaś lekcja dodana do aroganckiego „zmienić”, „winno być”. Kalifornia słoneczna i państwo wolności mamy. Mamy tę nieświadomą wolność, mamy to zniewolenie, które nie sięga niczego, co by miało brzeg wolnego, ale co pielęgnowujemy jako „nasze”.

Poranek był nadal świeży, piękny i spokojny. Miałem jeszcze poza smakiem skwaszonym, jakoś nagle chorowitym, ssącym wewnątrz żołądka, jeszcze chwilę, postanowiłem więc przejść się wzdłuż uliczki i zgubić ów napięty spokój, który rozchodził się po domu.

Oglądając brzeg zatartego po nocy krawężnika szedłem, krusząc w bibułkę tytoń ze znalezionych petów, jak czyniłem to wiele lat temu na częstochowskiej hipisowskiej promenadzie przed klasztorem. I wtedy podeszła do mnie ta dusza o pięknej twarzy, zalanej stopionym makijażem, zmęczeniem, wyoranymi zmarszczkami i zapadłymi oczami. Patrzyła na mnie anielsko-pijanym przytuleniem i stojąc, mówiła coś płacząc się nadal w odwarach, burzliwej i poskręcanej do środka minionej nocy. Łamiąc przy tym język, rozciągała i podkładała słowa pod warkot szlochających dźwięków o proszących profilach, na kształt wyobrażonych gotyckich postaci. Jej oczy drgały i śmiały się z jakiejś odległej i bliskiej zarazem czasowości.

Po pewnym czasie – tej pozasłownej komunikacji – z jej torebki wyszczyły się na płaznę asfaltowego chodnika jakieś ubrania, stringi, coś jeszcze. Podniosłem te rekwizyty i zachowałem w rękach jak jakiś niebotyczny skarb, który miałem zaszczyt trzymać przed tą świętą kobietą. Stałem i jakby duma we mnie rosła, że pozwala mi go trzymać. Ta duszka, z której rąk posypało się nie tylko ubraniami, która teraz łamała swoje stanie nawet na chodnikowych szpilkach, co chwila podpierala się ręką to o maskę, to o inną część zaparkowanego przy nas auta, była wtedy jakimś znakiem męczeństwa ponad jej miarę, ponad możliwość uniesienia. Miała w sobie tajemnicę, której nie można byłoby po prostu przeżyć, która była jej tajemnicą, która postradala we mnie tyle z tej święto patrzącej osobki. Zamilkła i kucnęła. Szukała dłu-

szy czas czegoś w torebce, łamiąc ręce, przesypując przedmioty, wykręcając palce, chusteczki, czyniąc z niezdarności niezobaczonego sztukę rodem z fin de siècle'u. Na koniec znalazła! Podniosła do ust szminkę i zaczęła pijanym ruchem rozmazywać jej smak po ustach, łamiąc wszelki rozkład linii. Stałem, czekając na nią, na jej piękne oczy, na jej zniszczenie ciała, na jej strzep, który promieniował oltarzując wczesny chłód poranka. I nic, zupełnie nic, z jej nowo pomalowanych ust – pomalowanych nie wiadomo komu i dla jakiego powodu – wysypało się jedynie: I hate myself.

Po powrocie do pokoju położyłem się na łóżku. Słońce grzało już dość mocno, nie było cię w tym miejscu i dobrze, teraz ja tu byłem – pomyślałem. Czy na tym polegała ta zamiana? Czy to się rozpuściło w naszych ciałach? Jak ty, maleństwo, miałabyś to wziąć? Jak ty, mała dziewczynka, mogłaś to nosić i mieć oczy jak ona? Skąd w tobie tyle dziękczynienia? Ubrałem się i wyszedłem do pracy. Już przynajmniej poza drzwi, pokój, uliczkę.

3.

Oni tam byli i czekali. Grafik na wygraną był już dawno rozpisany. Tej nocy jeszcze nie, może nie jeszcze tej nocy? Kapalo zgrypsowanymi schodami na dół jedno i drugie przechylone w zapitym oku uderzenie w głowę i taszczyło się przez ciekłą barierę małych drzwi. Leżałem więc na łóżku i udawałem, że mnie nie ma, że może „solo jestem” w tej bajce. Choć nie było w tym przekonania, które zahaczone było o ich wlatujące do wnętrza posłyszane rozmowy, które fragmentami brzmiały w mojej przestraszanej przestrzeni: „skurczysyn wie i nie ma go, nie wraca!”. Zresztą, człowiek z jaszczurką wytatuowaną na barku, z miejsca na pytanie „krępego zajebę” – a ten co? – odpowiedział: porządny. I to nie był dobry znak rozpoznawczy i nie wróżył w tych warunkach szczęśliwie. Choć, jak się okazało, nie było to jeszcze ostateczne rozpoznanie.

Krępy o postaci dzika, nazywany był przeze mnie „zajebę”, bo powtarzał ową frazę z agresywnym uporem jak mantrę co parę chwil. I jak się wydawało, nie miał granic w owym pomodlonym na jego sposób dyrektywnym stwierdzeniu.

Noc była już późna i pozostawało wartowanie na łóżku, bo w ostrym odbiciu nerek przez kolejne zakąszane krzykiem „jebane” nie było gdzie schować w sen głowy. Północ się obsunęła już parę godzin dalej, gdy dobiegło do mnie:

Kurwa wyskocz! Dawaj na bójkę! – Zakłuczyło w drzwi po raz kolejny.

Dobra, jak chcesz jeszcze raz, kurwa, ale mówię ci, że w najebance nie masz ze mną startu. Raz już ci dojechałem, chcesz jeszcze raz?

Kurwa dawaj! – Upierał się krępy zajebę.

Dobra kurwa jak chcesz, ale odlóż kosę, to możemy kurwa!

Co kurwa boisz się? – Penetrował siłę krępy zajebę.

Nie! Kurwa! Nie boję się! Co to, to nie! Jak chcesz, to chodź, ale w najebance to, kurwa, nie masz szans. Odpierdoł ten scyzor i chodź.

Dobra, kurwa, idziemy!

Słychać było tupot w jedną stronę i chwila ciszy w powietrzu, ognistą gorącą, najeżoną, naprężoną chwilę ciszy. Łamiącą się chwilę do jakichś dwudziestu mimii, chyba, to była chwila? I po niej, tym razem na górę, tupot.

No, w najebce jesteś lepszy, jesteś swój, kurwa, ok., jesteś w najebce lepszy.

No, mówilem ci to kurwa i nie wierzyłeś, a teraz masz rozjebaną papę. Zmyj to, kurwa. Tu, no dawaj! Bo jak się pokażesz na górę? Kurwa, ale dajesz farbą.

Eeee tam. Nic kurwa! Powiedz, kurwa, za co garowałeś – powiedział potulnie i z podziwem krępy zając.

No, zmyj to kurwa!

Dobra idziemy na górę! – zaprosił krępy – no dawaj!

Zmyj to, kurwa, najpierw!

Idziemy się napić! Kurwa, dawaj – zapraszał z uporem krępy.

Jaszczurka – no jak teraz pójdziemy?

Chodź, kurwa, teraz to ja cię jeszcze pochwalę na górce. Kurwa, dobry jesteś w najebce, nie ma co – westchnął krępy potulnie z agresywnym tłem w głosie.

Spałem, lednak się spało, się miało na nowy dzień, te jedynie parę godzin. Lepiej wstać z rana i załatwić co jest do załatwienia na mieście. Otworzyłem drzwi. Bariera puściła szare światło klatki i blady kształt leżącego obok moich drzwi dużego kuchennego noża. Ten ostatni jak zbudzona ćma powtórzył natychmiast wrażenie nocy – co trwało przez sekundę. O dziwo byłem spokojny i nawet chciało mi się śmiać. Po lękliwej nocy miałem w sobie spokój jak na zamówienie. Z pokoju powyżej wychynął jaszczurka. Był jakby nie za bardzo zmęczony, jakby nawet świeży po całej nocy.

Dzieńdoberek – powiedziałem ze śmiechem, bo tak mi się jakoś chciało śmiać. Podaliśmy sobie ręce – jak równy równemu. No jak tam poszło po nocce? – Zagadnąłem.

Dobrze, tyle, że troszkę żeśmy za bandę poszli. Chyba się dziś z roboty zwolnię – odpowiedział jaszczurka. Był chyba zmęczony, ale trzymał się dobrze i jakby nie miał się go żaden kac.

Zmęczony? – Zagadnąłem.

Nie, ale jakiś taki jestem.

I szliśmy ramię w ramię, aż skręcił do stolarni, podając rękę na pożegnanie. I znów jak równy równemu, obiecując spotkanie.

Dlaczego się nie dawał zapomnieć? Stanowił jakby ziszczenie przepowiedni księdza Andrzeja. Jak będziesz tak szedł, to on się pojawi. Zjawił się w naszym domu nagle. Wprowadził nowy porządek. Zaczął uczyć tego porządku młodych, którzy garnęli się do niego dużą liczbą. Było to dziwne, bo jego siła rosła z dnia na dzień, królestwo się powiększało. Gdy tymczasem zostałem sam.

Jaszczurka był inteligentny. Co dziwne, powiedział, że jest z malej wioski i tu jakby się odbiliśmy, byliśmy tylko po innych wymaganiowanych stronach tej wydeptanej przez ruchy i słowa drogi. Kim był i skąd pochodził? Skąd miał swoją niestychaną siłę i władzę?

(...)

Focalpoint again

1.

Siedzieliśmy na kawałkach poszarpanego styropianu, szarej kartonowej tektury, czterech młodych mężczyzn. Siedzieliśmy, czekając oparci o ustawione rzędami pod ścianą unitu 7 wielkie zlepki paczek, zaklejstrowanych pozwijaną i mocno opinającą je świecąca w upale słońca folią. Żaden z nas nie miał koszulki na sobie, tak że wszystko, co rezonowało ze słońcem, to biel naszej skóry. Panowała niezamierzona powaga i cisza. Jakbyśmy zatracili się w rachitycznym oczekiwaniu. Jakbyśmy czekali na coś, co miało nastąpić przed wielką zmianą. Może na jakąś niebotyczną próbę odwetu wojsk alianckich, kawalkadę żandarmerii, która weźmie nas do niewoli. Zapalaliśmy pa-

pietusy, prowadząc przy tym regularną i monotematyczną grę mimiki, której reguły były dla nas samych tajemnicą. Można bowiem grać, ale kto gra? Kto w tym jednopunktowym słońcu południa miałby grać, z czym? Z własnym zmęczeniem? Z własną decyzją, że jest tu i że pot zalewa mu oczy, jak nerwy zalewają jego porządek przed kolejnym piwosnem? Ale gdzie miałby być ten pytający o miejsce, gdzie, jak nie tu? Kto miałby w nas zadać to pytanie z zasady retoryczne? Na jakie rozwiązanie miałby liczyć ten, który grałby ze sobą w tą trzydziestominutową grę przerwy na lunch?

Siedzieliśmy więc usadowieni w taki sposób, że równie dobrze mógłby pojawić się nagle tuż obok nas wódz Paunisów i nic nie zmieniłoby to w zastanym krajobrazie. Upał i mocne słońce nie miałyby skrupułów jak teraz, i jak ten stan zmarszczonego, oschłego usadowienia, tak że z pewnością pochłonęłoby i takiego gościa. Pochłonęło, dołączając go do kawalkady czekających, nie tworząc już żadnej dodatkowej różnicy.

Kurwa, takj hlask stąd bije, że może oslepić tego, kto będzie tam jechał i się zjebie do wody z tego mostu – powiedział nagle bokser.

Matthew zaśmiał się, śliniąc bibulkę papierosa.

Tylko Paszka wygląda jak Portorykańczyk – Matthew dodał komentarz do swego śmiechu.

I znów wróciliśmy do naszego kontemplacyjnego milczenia. Palety i para, która się z nas unosiła – jak sobie wyobrażam – łączyły się ze zmęczonym i pełnym godności spokojem. Miraż na sekundy, minuty – jakby trzeszczało – za znikającym furgonem z napisem „takeway”. Koczowaliśmy więc, zdejmując ostatnie minuty z czasochłonnej przerwy, obserwując ślimaczące się w kierunku pozostałych hal dostojne dupy z kanapkami w rękach, z niechęcią czekając na głos syren.

Na odgłos pierwszej z nich Matthew otarł dłoń, ubrudzoną szarą mazią, i odrzucił peta na odległość paru kroków.

Papierdalamy, co? – Spytał bokser porozumiewawczo spoglądając na Matthew gotującego się już do powstania.

Ye! – Odpowiedział tamten.

Polując na poznakowane w nas chwile, powolnie i leniwie wstaliśmy i niedbałymi krokami ruszyli w kierunku, skąd nawoływała już kolejna syrena.

2.

Poczekalnia jednak wracała do nas, a my do niej. Kolejne postacie przewijały się przez jej niechlujne i styropianowe wnętrza. Czas po deszczu i duchota topiącej się w gorącym słońcu ziemi, upał wyschnięty na wiór kartonowymi schronami, kanały pozycji, w której zalegały niedobitki z oddziału „damy radę”. Siedzieliśmy i obserwowaliśmy kolejne zmiany w stalej przestrzeni labilnego odczucia „kto kurwa i gdzie, za jakie siano i po co?”. Historie wracały, gdy tylko można było sobie pozwolić na chwilę marzenia w tej malej niszy przed i po, przypinania się do warsztatu, kamuflowania swojej bezsilności, bezwagi, bezlaski.

Usiadłem na wyniesionym z pracowniczki kanciapy krzeselku. Drugie warowało tuż u mojego boku, niekomentująco, niewadząco stało, aby się oddać, zanieść i podstawić nogę zmęczeniu.

1.15 pm i jeszcze ten kwadrans można pchnąć i rozłożyć coś na części, z tego co się pojawiało dotąd. Chłopak o przepitej czerwonej twarzy podszedł i wytrzępiując kieszenie wyszarpnął z nich komórkę i małą puszkę. Z puszek wyciągnął równo zwiniętego papierosa. Usiadł na niebieskim chair, tak że

światło różowy kolor jego twarzy i czerwien koszulki tworzyły z plastikową barwą krzesła jarmarczno nieskładną masę.

Przed nami pojawiła się niemłoda kobieta. Odziana w czarne eleganckie spodnie i niebieską koszulę. Stała przy betonowej alejce, jakby na coś czekała.

A ta co? Będzie kurwa na okazję czekać? – Powiedział Czerwony.

Ciągnie? – Dodał pytanie po chwili.

Hmmmm? – Zgrzytnąłem z uśmiechem, przelykając parzący mnie w usta ryż.

No, mbi druta, ciągnie, suck my dick...? – Powtórzył gorączkowo zadowolony i spojrzal na mnie.

Mając w ustach jedzenie, powiedziałem jedynie – Poczekaj, bo mam gorące... hmm.

Co jeszcze bardziej ubawiło Czerwonego niż mnie jego słowa. Gdy Czerwony w rozbawieniu zaśmiewał się, lekko spalony bokser – jak to w piątek – przeszedł koło nas i usiadł na wybranym przez siebie już rano kartonic.

Chi, chi – dusił się Czerwony – pytam go, czy ta dziwka robi druta, ciągnie, suck my dick..., a on mówi, że ma gorące w ustach, chi, chi, chi. I śmiejąc się do rozpuku, odpalił papierosa i zaciągnął tak głęboko, jak mógł w tej sytuacji.

Patrzyliśmy na tę kobietę, stojącą niewinnie na skrawku wąskiej na tira, betonowej drogi. Patrzyliśmy na nią, która być może teraz myślała o domu, może o dzieciach albo o zwykłym obiedzie, gdzieś z dala od tego miejsca. Ale chyba patrzyliśmy na nią inaczej, każdy z nas, a może tak samo i jedynie komentarze, które pojawiały się tuż koło naszego patrzenia były różne? I dopiero z tą dodaną po chwili różnicą i my stawaliśmy się w swoim patrzeniu różni, choć pewnie z podobnymi jeśli nie identycznymi tęsknotami, wadami i chęciami. Kto wie?

Ale po szkocku nie wiedziałbyś jak ją zapytać? – Zażartowałem do Czerwonego. Ten przez chwilę zastanowił się zmiestany, jakby szukając brakujących mu słów.

W Szkocji też, kurwa, się robiło – stwierdził.

Byłem tam przez pół roku kucharzem! – Powiedział z dumą jakby lekceważąco.

To czemu zrezygnowałeś, przecież to zajebista praca? – Ciągnąłem.

Kurwa, popierdalałem siedem dni w tygodniu, na cały okres miałem dwie niedziele wolne – zmarszczył się Czerwony – a w woju też byłem na kuchni.

Kurwa, ale w woju być na kuchni to zapierduł – dołączył się ze zrozumieniem bokser – widziałem jak ci u nas popierdalali cały dzień! Zaczynali o piątej, a o szóstej wieczorem schodzili. Robili, dopóki się koty nie pojawiły...! Wtedy dopiero mieli popołudnia wolne, bo koty swoje musiały zrobić, ale kurwa, nie zazdrościlem im.

U nas – zaczął wyjaśniać Czerwony – była mała jednostka, to inaczej, ale o piątej rano już przywozili mleko! Dopiero jak do Dębliana pojechałem, to zobaczyłem, co to jest, kurwa, kuchnia! Pięć ton kielbasy na jednostkę. Pod sufitem wisiało – wiesz, pięć ton. Obczajasz? Ale mało to. Tam to pół miasta jest jednostka! Tam to musieli zapierdalać! U nas było inaczej, mała jednostka. Na początku mnie strasznie gnoili, ale, kurwa, nie plakałem, nie skarżyłem się, swoje trzeba było wytrzymać i chuj! Potem to ja gnębiłem i porządek musiał kurwa być. Jak mnie uczyli wcześniej, to i ja tak robiłem – dodał, jakby tłumacząc, – Jak wchodziłem do pokoju, to wszyscy na bacz-

ność, kurwa, stali. Rano, kurwa, kawka i papieroszek zawsze musiał być. Ale tam były przekręty – zamyślił się radośnie Czerwony. – Kurwy takie dwie były, wystawiałeś przez siatkę i robiły wszystkim, ale tapety to miały takie, że jakbyś puknął, to by odpadły – zaśmiał się do mnie porozumiewawczo Czerwony. – Tak, kurwa, było!

Zajebicie było, nie? – Dołączył się bokser rozmarzonym głosem – ja chciałem zostać, ale w zawiasach i bez matury nie biorą!

Ja też, kurwa, chciałem zostać – przytaknął Czerwony – ale też matury nie miałem. No można było, co prawda, kurwa w trakcie robić. Nawet był taki jeden starszy, co mnie lubił, bo widział, że mnie gnębili i że się, kurwa, nie dawałem, nie dawałem sobie, kurwa, i widział, że zniosłem. Ten to był aparatura, ćpaliśmy z nim amfę, dziewczynki i bibka nad Wisłę z kałachami, rozumiesz. Kurwa, się działo! Ale nie było matury... – I tu z zamyslenia przerwał swoją opowieść.

Pauza rozciągnęła się na nasze stojące już w progu postacie, a potem na dwa pety ciśnięte przy odchodzeniu z poczekalni, i dalej na schody, którymi wchodziliśmy na górę. Rozciągnęła się może też na tę tęsknotę, za tą kurwą, której już nie było tam na zewnątrz, która miała być, która miała na nas czekać, ale już jej nie było, znikła nagle, może jakieś dwadzieścia parę lat wcześniej, może jeszcze wcześniej, a może jakoś później?

(...)

Bezrobocie

*Pod czerwotymi jarzębinami
zagiął motyl między karabinami.
zdeptał go butem doniczka tyłu
i zgiął motyl tak jak nasza miłość*

1.

Potem, tak! Potem było już zupełnie wolno, wolno się nachylić i podnieść z ziemi. Wolno było jeść, co dano i palić, co się miało w załomkach worka kieszeni.

Ale to nastąpiło po miesiącu, po miesiącu siedzenia w garnizonowym zwalisku hali i obserwowania.

Nie, nie mieliśmy tu zbyt wielu kuluarów, można by powiedzieć, że wszystko, co było pomyślane, wylewało się jak rozległa rzeczka o mętnym kolorze ścieku. Czterech rosłych mężczyzn zakluczonych nad zwaliskiem dokonującego się w brutalnym przeźroczu ich postaw porządku delikatności, np. przymocować, przykręcić, przykleić, zapakować, zamusztrować przy palcie zbitej z drewna wyciętego z toporną gracją.

Garnizon ów, o tak, był jednak smutnym domem, smutnym miejscem czterech ludzi pochowanych w pęcherzach wyrzutu, że owa delikatność może być interesująca. To w ogóle była fatamorgana obłądu, która przez wypluskujące z toku owej rzeczki stworzonka „fucking” „jebane” „skurwione”, nie przebijala się, nie przezierała z niej także nawet owa delikatność i nie patrzyła; choć, gdy siedziałem tam, miałem ją jak na dłoni, miałem ją jak na dłoni jeszcze i wcześniej, i później też. Choć nie zakwiliła ona do wtóru spoconych mięśni w tym miejscu, aż do ostatniego mojego dnia pracy.

2.

A co do historyjki z motylem, to na naszej hali jeden z chłopców – dziecię jeszcze, się zdawało, choć ołbrzymiej postury i wieku dość późnego – w dresiku, jak się okazało, uwielbiał zawody sportowe. Lubił się mierzyć, lubił

się mierzyć z „rzeczywistością” na naszej hali. Z nie-rzeczywistością on tą lubił w szranki stawać z tą, która tuż, i jemu się zdawała jako rzeczywista, ale nie, nawet nie żeby z najsłabszą w swojej złudnej zjawisko-nośności. Nie!... żeby sobie krzywdy nie zrobić, wolał mierzyć się z „rzeczywistością”, która z zasady nie chciała z nim grać, która była ostra, gdy chciała, która mogła zadać mu cios i powalić jak zwiędłą roślinkę, ale ów przyjaciel braku wszelkich zasad wiedział jedno, skoro to, przed czym staje, ma zasadę „nie grać”, to można z tym choćby tak, ot tak dla pokazu „wygrać” tak, by się móc sobie pokłonić i innym, że się „wygrało”. Och, iluż z nas takie potyczki lubi wygrywać, „mocniejszy” ze „słabszym”, np. szef z pracownikiem, tzw. nauczyciel z uczniem (Panie uchowaj takich nauczycieli, bo pod górkę przęda), sklepowa z klientem itd... i dalej.

I śmieszne było, że ten zwolennik gry z jedną zasadą „pokazać się”, pokazać, że się jest takim a takim, choćby to miało być napisane najbardziej iluzijnymi metodami, w obliczu nawet tej nie-rzeczywistości, zaczął ze strachu podrygiwać, podskakiwać, wycofywać się, tulić. Ów mały zabłądła, o narysowanym dla siebie nosie, jak małe królik, gdy tylko dla żartu w porywie edukacyjnego wydzwiku owa nie-rzeczywistość zakolebała się groźnie, mierząc do niego, zapisał, zakwilił i stulil się. Coś było w tym dziwnie żalostnego i jednocześnie bolesnego, że można się zgubić w fikcyjnym rysunku i nie wiedzieć nawet swego nosa.

Na naszej halowej spartakiadzie jednego człowieka kwitła postać szkaradna, bo sama nie wiedziała, że jest wymyślona i w zuchwałości swojej na motyla bułem spadła.

*Poza iluzją była tylko niepisana „delikatność”
i z nią można było jedynie,
w niej, bez słowa i zabawy...
tak nastąpiła pełnia księżycy
na środku fabrycznej hali.
(...)*

Bezrobocie – koniec tygodnia

1.

Co to była za noc, skomplikowane miałem parowozy sennych podróży, leden wlatywał na drugi i któryś jeszcze, i dalej. Choć tylko jeden wynurzył mnie swim torowiskiem na powierzchnię, jak było programowane przed snem, gdzieś około stacji REM. I zalamując pęd, schodząc do szybkości zero, pozostawił jedynie mętny ślad w mojej pamięci. Choć zgodnie z zaprogramowanym wcześniej rozkazem zdołałem zapisać ostatecznie węzłowe punkty tej podróży, a w zasadzie ostatecznie marginesy stacji, na której wysiadłem, jak się potem okazało, na karteluszkach zostawiłem niewyraźnie wykaligrafowane zdania, coś jak:

„Śniło mi się, że muszę przyjąć (gdzie 'muszę' było przekreślone i poprawione na hieroglif, do którego treści nie miałem dostępu, jak i do innych tego typu dopisków na kartce)

...jeśli to jest wielka rura, przez którą muszę wpuścić dym, aby mógł wylecieć z drugiej strony, Budda mówi, musisz mi zaufać i nie kombinuj – mów mi”.

Notatkę taką odnalazłem na moim stoliku i byłem zdziwiony, że te napisane w onirycznym stanie słowa były zdolne teraz po południu odtworzyć wyraźne w barwy obrazy. Przeczytawszy je, zobaczyłem pustą rurkę jakby

od fajki bez cybucha, przez którą ja czy ktoś wpuszcza dym, by ten mógł się swobodnie wydostać z drugiej strony. I pomyślałem „więc Budda każe mi być pustym, tak żeby mógł przejść przeze mnie jak dym przez tę rurkę”. Obraz i słowa niejako automatycznie po odczytaniu zamusztrowały w mojej głowie, by tam już pozostać. To niesłychane, że takie przesłanie było zadane i odtworzone poprzez tak niewyraźny napis na kartce i to z taką siłą i ostrością obrazu – pomyślałem.

2.

Tego samego dnia poleniłem się już niemal rytualnie do biblioteki, aby przewrócić kilka stron książek, które są dostępne w tym mieście lub bardziej wyraźnie, tych które są dla mnie dostępne w tej mierze, w jakiej mój język odtwarza ich niejasną dla mnie treść. Za każdym razem, gdy chwytam ich stronicę i natrafiam na zupełnie nieczytelne dla mnie zdanie, myślę że rozumiem dobrze słowa Kapuścińskiego z *Podróży z Herodotem*, gdy pisze on o tym, jak nie znając języka, czuł się niczym kaleka.

Niemniej jednak wertuję te strony i czytam, szybciej, wolniej, bardziej ze zrozumieniem, mniej. Moje zapasy z literami i tym, co za nimi, trwają i toczony są z wyjątkową przyjemnością, mimo trudu, jaki w nie wkładam. Choć też owoce tego trudu są o wiele bardziej w cenie niż ów trud. Ale jest to z pewnością postawa jednostkowa i niemożna w tej części bogatego królestwa. Zmagania te mają też inne plusy, stanowią rodzaj przejścia już ponad podstawę samego bycia z książką, dzieją się na płaszczyźnie muzyczno-estetycznej, kwitną w formy i informacyjne kosze, gdzie same indeksy nazwisk, nazw, pojęć, wypełniają symetrią brakujące punkty w już poskładanym szkielecie, odpoznanego, przechodzą w rytm, urodziwy układ doświadczeń, doznaczników i rysunków nowej i bardziej zawilej perspektywy. Wśród wielu owoców moich bibliotecznych wypraw odnajduję olbrzymi kompanion kultury antycznej, kilkanaście książek z zakresu nowej krytyki, postmodernizmu, pisma dotyczące filozofii Wittgensteina i wiele innych, z psychologii, metodologii historii i wreszcie poezji.

Bogactwo! Przynajmniej jak na mój krótki pobyt w tym obcym mi całym kraju – mówię do siebie z nadzieją w myśli. Obcym nadal, mimo znajomości jego ulic, rozkładów domów i co istotniejszych dla przyjezdnych miejsc. Jak się okazuje, jednak znajomość geografii lub jej brak nie jest nawet przyczynkiem dla zbliżenia, jakie następuje czasami pomiędzy przyjezdnym a odwiedzanym miejscem. Były przecież miejsca, choćby Bukowina w zakarpackim świecie, gdzie mimo przeżytej tam choroby, nie miało się syndromu obcości, ale to rzecz na inną opowieść.

Fakt faktem lektury do tłumaczenia było dosyć, dosyć na owe dwa czy trzy miesiące jeszcze, które miałem w zapasie planów spędzić w tym moim zesłanym w darze miejscu. Tak, że postanowiłem nawet zakupić jakieś pięć ładnych zeszytów, by usystematyzować pracę i zacząć notować to, co się pojawi przede mną w tej części bardziej bliskiego mi miasta.

Oprócz książkowego galimaliasu i odpoczynkowego wchłaniania, regularnie w tym miejscu oddalałem się poprzez internetowe łącze w kierunku moich przyjaciół, śledząc systematycznie pojawiające się nowe listy, segregatory zdjęć migające na ekranowych półkach, i dając zastrzyk z pozytywnych wibracji, muzyki. Wirowało mnie do życia więc śpiewanie Kleylfa, Orkiestry Na Zdrowie czy Garczarka, Wirowało na boki i wspaniale, tak że po takim podłączeniu się pod plejady pozytywnych werbelków, mogłem spokojnie i radośnie wędrować dalej. A dalej co? Co dalej? Dalej od tygodnia

sceneria była podobna, do Lidla po colę za 0,25 £ i dalej na jakąś laweczkę, aby dopełnić się chlebem z czekoladą lub innym wspaniałym skrawkiem jedzenia, a potem już po wszystkich odwiedzonych po drodze zalmikach zieleni, lawek i obserwacji pięknych ciał kobiecych czy twarzy nieogolonych stworów o męskiej posturze, z południa trafialem na piasek i kolysało mnie morze przez godzinę, pozwalając leżeć, pisać i przeplatać okolo-poetyckie wizje, wyprowadzając poprzez ścieżynki wierszy Podsiadły dalej za horyzont i poza szum morza. Tak, że powrót był mniej nieprzyjemny, niż się mogłoby zdawać.

Pokój to dobre schronienie. Jak się jednak okazuje, nie tłumia agresji i krzyków sąsiadów. A tak jak regularne były moje podróże po mieście, plażach i ogrodach, tak regularne były ich agresywne igraszki, posykiwania, podrygiwania przedśmiertne, poobijania. To krzyczała kobieta „nie dotykaj mnie, nigdy więcej, kim ty jesteś!”, to znów bawół o pięknym, to prawda, wyglądzie, ryczał nierytmicznie coś swojego, chcąc tę kobietę zabić swoim brutalnym powrotem, gniotąc puszki przepitego piwa i szarpiąc czy to ją, czy coś innego, nie wiem.

Muże jednak to były rytuały. Zabiegi obopólne, których nie rozumiałem, które były zwykłe i potrzebne. Ostatnimi czasy w tym mieście nie miałem żadnego dowodu na istnienie osób o innej posturze, o innym sposobie zakluczania w sobie rzeczy i uczuć, więc napawało mnie to lękiem i przerażeniem. Szczególnie, że ten rok był rokiem, w którym i w moim życiu, i w pracy miałem do czynienia z tym sposobem podchodzenia człowieka do człowieka i nie był to tak zwany zdrowy sposób przechodzenia obok siebie. Dziwiło tylko to, że w angielskim mieście nie jestem w stanie wyrwać się z magicznego kręgu, tego, co zwykle się określać tym drugim terminem. Tym, którego dla jaskrawości nie powiem. I zacząłem już tracić wiarę, zmarnowałem się i zabiłem w sobie. Ale dziś? Dziś pozwoliłem sobie na włączenie *Lizbon story* i to było jak prysznic, jak struga przez przypomnienie. Śpiew Portugalki brzmiał w moim pokoju przez godzinę i repeat, repeat, repeat, żebym nie zapomniał, żebym miał to przeżycie, które jeszcze dwa lata temu było moim, było we mnie, było poza wątpliwością, poza zmęczeniem. A ponad głosem zostało zapisane nie tylko na filmowym CD: „byłbym nikim”. Repeat, repeat, żeby nie zapomnieć, że różnie to bywa i każda kultura daje stosowniejszą głębę dla wzrostu innych roślin.

Na stoliku leżał, obok przysłanej z Polski paczki tytoniu, egzemplarz Tygodnika z zaznaczonym fragmentem słów Eustachego Ryłskiego: *Duszę ma niewielu (...) Fizyczne podobieństwo do człowieka czy nawet fizyczna identyczność nie przesądzają tu niczego*. Fragment ten prowokował, wobec tego powtarzającego się pełnego wiary głosu czarnowłosej piękności, do modlitwy o wytrwałość, o zachowanie odrubiny ognika, aby nie pozostać jedynie sobowtorem bez śladu pepowiny. I nieważne do kogo, ale modlitwa ta wobec własnej słabości wzrastała na sile tego dnia i nocy.

Pokój, sen i morze

1.

Tu, na emigracji, znowu byłem jak na zesłaniu. Nie było to zesłanie przez kogoś zawinione, nie było to zesłanie poza wyborem. Była to historia, którą przyjąć chciałem i która była dla mnie czasem zbudowania czy raczej odnowienia jedności bez pomijania. Byłem jak dziecko, które ostatnie dwa lata chadzało po piekle i teraz musiało poradzić sobie z tym, co z tego miejsca wyniosło.

Nabrawszy doświadczenia i empatycznie wyssawszy soki innych roślin, teraz z dziwną bystrością dostrzegałem wszelkie zagrożenie, tak że przewrażliwienie sięgało najbardziej nieznaczących sygnałów, najbardziej delikatnych zagięć w przestrzeni spowodowanych agresywnym powiewem w obojętnie jakim kierunku. Byłem jak stary doświadczony filatelista, który jednym spojrzeniem rozpoznawał skancerowane elementy danego mu do przejrzania zbioru.

Jeszcze niedawno z o wiele większą pewnością przystępowałem do wszystkiego, mając na uwadze niezwykłą siłę przebudowy, przejścia ponad najbardziej nawet pokrzywionym i bolesnym doświadczeniem. Teraz swojej siły nie byłem już tak pewny. Ta była po trosze jak wyschnięte drzewko pomarańczowe, które wymagało nowej opieki, aby mogło się raz jeszcze zazielenić i wydać owoc.

Nieustannie więc zjawiały się na jej pniu suche gałęzie i żółciałe liście strachu i lęków. Wszystkie te oznaki sprawiały, że prowukowałem niejako poza świadomością zwolenników łatwej wygranej. A trzeba powiedzieć, że nie było to dla emigranta niczym pomocnym. Szczególnie, że tego typu zwolenników „łatwego” znajdowało się tu nadzwyczaj wielu. Starłem się więc w moim małym pokoju zbudować bazę nawadniającą, w której będę mógł pozwolić dojrzewać temu, co jeszcze nie poddało się suszy i ogniovi ostatnich dwóch lat. Zagłębiałem się w rodzicze źródła lektury filozoficznych ksiąg, pisałem i znosiłem w głowie możliwe do wysłania listy. Zaplanowałem też odpowiednio harmonogram dnia, aby nie uniknąć nawadniania i zdążyć na czas przed porą kwitnienia dobrze się do niej przygotować.

Kiedy jednak ta nadejdzie? Cha i czy w ogóle nadejdzie? – Tego nie wiedziałem. Choć w żaden sposób nie mogłem sobie wyobrazić, że mogłaby nie nadejść. Piekło więc choć było we mnie zapuszczone wielkimi pasmami złęknionego bluszczu i porozkładane od brzucha do czubka palców i głowy, to jednocześnie umiętność obserwacji pozwalała mi zostawić to zielsko, w tym stanie, nie nawadniając go ponad potrzebę, by się większym jeszcze przerażeniem nie zapuściło. Udawało się więc czasami przechodzić do spokojnego i lekkiego jak na ten czas cieszenia się tym, co się ujawniało i co mnie spotykało.

2.

Przeglądanie ksiąg miało swoją regularność. W czas bezrobocia zajmowało mi przeciąg dnia, z przerwami na wprawianie się w obserwacji tego, co się pojawia. W czas pracy, niestety, było zakluczone na okresie weekendowym i odsłuchaniach okolicznościowych, jak na przykład w czasie pracy w fabrycznym garnizonie.

Nie ono jednak miało wagę największą, choć ścieliło mi ścieżki na senne chadzanie wzdłuż uliczek tego miasta, mieszkania i ukolicznych zagród ludzkich. Istotne było samo gnienie się organizmu, jego kanałów i świadomej zatoki myślowego i pozamyślowego, do której z szaloną regularnością i lubością przybijały olbrzymie jachtowce przerosniętych i czarnych myślotonowców, które, niby na holu, wiodły za sobą równie olbrzymie, jeśli nie o wiele bardziej wyniosłe i groźne parowce emocjonalnych żarotków. Sekundowałem temu, z rzadka tylko będąc w stanie wyciągnąć szyję ponad i wzmocnić, malutkie w porównaniu z czasem przeszłym, sygnały dawane przez rozproszone siły achajskich bohaterów z filozoficznych ksiąg, indyjskie szkarłatne szaty mistrzów medytacji i kolorowe baseny codzienności. Były one jednak jak światło latarni mrugające na tak odległym znowu brzegu.

Były też przyczynkiem do pytań typu: kiedy moje 11 lat dobiegnie końca? Kiedy poseidonowska złość wyschnie i pozwoli wiać pomyślnym wiatrom? Aplikowałem sobie więc przyjemności stawiania kroków, wkładania ręki do wody, wstawania z łóżka, były to jednak rzeczy o słabszym i mniej jaskrawym kolorze i zdarzały się z mniejszą częstotliwością. Nie było jak na razie powrotu do stanu niewinnego emigracyjnego picia kawy i smażenia placków. Nie było i, jak się myśli, być nie mogło. Chcąc nie chcąc skazany byłem na pełną akceptację owych pojawiających się z prawdziwie doświadczoną siłą parostatków i innych drenujących moje zatoki morskoptawów piekielnych. Terkotato więc we mnie czasochłonne czekanie i patrzenie w kierunku wschodu, skąd miała przyjść wiosna, niosąc oczyszczenie i kwitnienie.

3.

Wszystkie moje stany były efektem zakręcenia się wokół ciebie, a w efekcie wokół mnie olbrzymich demonicznych sytuacji. Tak że jedna z tych miłych, a pomieszanych istot zamieszkała tuż pod moim daszkiem. Klumbhanda zrobił sobie tu domek, odsyłając ode mnie aktywność. Musiałem to w sobie przelamywać, wyrывая niemal z rąk i z serca proste ruchy i nie dać się uwieść innym bardziej przygnębiającym duchom depresji czy poszycia wewnętrznej roślinki folią zwątpienia. Moje odosobnienie było ciekawe. Byłem bowiem znowu w stolicy tych ciemnych mocy, starając się nie kończyć pochwalnej pieśni, którą zacząłem, a którą tak miało się odroczyć przez zakamarki owego naszego wielkiego spotkania – moja ty opanowana. Gdybyśmy cię nie odczarowali, co byloby wówczas? Może właśnie to, co teraz? Eurydyka chadza po osiedlu i dogląda kwiatów w ogrodzie już dwa lata po wyjściu z piekła. Nie ma jednak szans na smugi świetlne. A może się udalo odczarować i jest to, co teraz? I jest szansa na smugę, może to jest właśnie ta radosna smuga świetlna – Eurydyka już dwa lata po wyjściu z piekła biega po łące, chadza po mieście i dogląda mieszkania na osiedlu. Odczarować? Nie wiem? Może tam były te zwodnicze, galopujące do mojego wnętrza siły. Manifestacja i lęk zrodziły się przez spocone „czekałam na to półtora roku”. Ale może ten demoniczny smak został wygnany i zapędzony w inne jemu właściwe miejsce?

4.

Miałem przed sobą morze zakudłone w wietrze chłodnym i słonecznym. Tak zresztą jak pięknie wydany tomik wierszy Ezry Pounda, który podarował mi Kajetan. Wydawnictwo „taber i faber” z prostej formy papierowego pakunku i tuszu zrobiło majstersztyk. Siedząc na piasku i przesypując go przez dym papierosowego skomlenia, czekałem na siebie, który może mógłby się pojawić przy odrobinie niezaznaczenia obecności. Zawile kuplety myślowe starałem się odwieszać jeden za drugim, jeden za drugim, jeden za drugim... i dalej, jak i podciągane na rumsztyku emocjonalne plastry mięsa i obserwo-wałem. I obserwo-wałem, zadając się jedynie z napotykanymi w przerwach tabletkami ciszy. Trrrra, i krok, ci..., ci... i krok, krok do i od szuuuuuu, szuuuu, malaria dla bezrobotnych byłaby jak znaki poruszonego przez nienawiść czy inne węzowe ciała kalorycznych i ostrych pozycji przeciąganych w delirycznym ruchu na ślepe zachowania.

Gdzie mnie prowadziło i dlaczego akurat tam, kto mógł odpowiedzieć? Przez lukę w białym murze ogrodzenia do drzwi z dzwonkiem, bo zablokowane. I byłem w środku, gdzie z miejsca ktoś, kobieta o stanowczym spojrzeniu i spiętej, no! spiętej wewnątrz twarzy, zapewniła mnie, że to tu, i że tu zakończy się okres mojego szukania pracy, którego jeszcze dobrze nie

zacząłem, w którym jeszcze nie postąpiłem. Zapewniła mnie o tym całkiem nie mówiąc, nie zdając z siebie żadnego raportu, a jedynie swoim brakiem odpowiedzi.

Nie wiedziałem jednocześnie, jeszcze wtedy, że i tu zapewnią mnie o braku miejsca dla paletko-słonecznych nachyleń nad konsystencją kwiatów, kwitnieniem pięknego podziwu, nad suchością, mizernością i różnorodnością form starczego ciała, wydając mnie w ręce Piłata bezdomnych i odprawio-nych z wilczym biletem. Nie wiedziałem też, że owa pani zapewniła mnie również o przyszłej, nowej drodze. Tej różnej od tego, co zakleiłem papierem oczekiwania i czego zmiana wzbudzała lęk, a co było dane. Co zarażało na następne przejechane, odsłaniając kolejne niepoznane dotąd krajobrazy. Wystarczyło nie trzymać się więcej burty w lekliwym skomleniu i chłonąć odgłosy Scylli i Harybdy. Nie dać się uwięzić kolejnej Eurydyce o twarzy Kalipso. I czasem być głuchym, a może w przebraniu żebraczym dotrze się do domu? Może? Może raz jeszcze się uda?

To już zabawa odwieczna, to już gra w klasy na wiele możliwości. Cortazar dla żyjących poza historią, a jednak niesionych przez manifestację tradycji, mity zanotowane w szkatułkach i skarabeusze znalezione w piasku. Koktajl zbawienia, na który mało kto chce się zdecydować i który smakuje z początku jak choroba krzyża, żeber, nerek, nóg, ust, ubezdomnione wszechkalectwo, a potem staje się niemożliwie nieznanym, jedynym i wielorakim punktem w całości danego. Jakby na ptasie życie czy liliowe rośnięcie. Więc nie wiedziałem, że już wtedy ta istota, niemyślnie, zapewniła mnie o tym raz jeszcze, nic a nic o tym..., nic, nic nie powiedziało powietrze, atmosfera, twarz, przechodzący i obdrapany Kit z niezapiętymi spodniami.

II. Dom staruszków i jego sława

Przywitanie

1.

Zacząłem. Jak zwykle sceneria była owocem braku smaku, jeśli wziąć pod uwagę kryteria, które przez krew sączyły się z dala, z dala z pięknego opłotka Chagala, konstrukcji Kandinsky'ego czy senniejszej medytacyjnej ciszy Malewicz. Nie było tu miejsca na werandy w pasy i słoneczne anielskie włosy, klumby zerwane z gałęzi synagog i cerkwi ani na przystanki pomiędzy lukami betonu, które mogły zawinąć człowieka w opatrunkę światła „stop”. Blichtr pozłacanych łabędzi, śmiesznych zasłon z woalami, literatury w różnokolorowych okładkach z przewagą różu i jaskrawych barw sączył się w oczy przy stąpieniu do wnętrza. Niewiarygodnie zgodzony i zlagodzony był już we mnie ten wygląd, zawijał się skojarzeniem w zapach tego miejsca. Znany i przesiąknięty środkami higienicznymi, odchodami i nie przetrawionym jeszcze jedzeniem. Słodka warstwa klóciła się z głębszą i ostrą, i powracała na wierzch to jedna, to druga. Tak, mieszało się to w tej betoniarni z bu-twiejącym, nietrwałym wyrazem ciał porzucanych po salonie wewnątrz. Kawalkady wózków prowadziły chaotycznym trybem do okienka telewizora, w którym stąpali i skakali jacyś piękni w białych koszulach i roznegliżowani, tacy i owacy, zachwalając i śmiejąc się lub płacząc. Zakładki poczynione zostały na oczach pacjentów. Wózek w wózek ukrzesłowienie. Mielenie zębów, martwota zaspanej twarzy, maltretowanie słów „Men!, Men! And Nurse! Nurse! Nurse!...”. Co kołowrotkowo niosło się przez pokój, dalej za poręcze ukrzesowionych postaci i gasto łapczywym dźwiękiem za drzwiami. Gene-

alogia tego legionu jakby znana, jakby nieporuszona od wieków. Wyrzuceni z obroży, zagryzieni od wewnątrz, ratujący się w bezładnie znikającej zwykłej formie czasochłonu. Legioniści, których postać biologicznego pożarcia zastąpiono tym łagodnym czasem agresywnego bycia w miejscu. Tego stania, stąpania, leczenia na kółkach, którego chyba nikt z nich sobie sam nie zażyzył. Skąd budziła się w nich chęć, aby była to inna baza, inne zrzeczenie, inny stan wiany do gardła? Skąd takie uprawienia, stawiane przed światem?

A dlaczego inaczej? Dlaczego przyczyna miałyby tym razem przynieść inny skutek. Zmrużyłem oczy po pięciu dwunastogodzinnych dniach, zmrużyłem oczy i zobaczyłem cienie. Otworzyłem oczy i nadal były cienie, nadal siedziały ukrzesłowione, ujedzone w wymiatanych z ust tekstyliach śliny, trawione własnym ostatnim uśmiechem wyżymanym z tego zmęczonego okruszka, wysanego jakby skurczami do środka, przez zasinienie, zasuszenie, kataleptyczny potrzask brody, ręki, ciała. Dziwne jednak zdawało się, że karaluch ślepoty jakby ciągnął się przez pokój, przez wąskościanki, tafle ciał, zlepione żuko-kule, lepka i matrwiejąca od zewnątrz mazią. Nieme formy miały uratować poczucie stacji, przystanku i zapalić nadzieję dalszego zapalczywego ucieśnienia, żeby nie zgasić sensu całozyciowego kultu. Wznoszenia malarzycznego pomnika dla zaległego w zjawiskowej formie tego, co teraz blakło, rozchodziło się, lepiło do płatków, podłogi, papki obiadu, kału na pieluchach i obrusach łóżek. Topnienie zjawisk. Aby powołać nieuchronnie nowe, i zawiązać kołowrotek tej żyłki, i jeszcze raz, i jeszcze raz. Perpetuum mobile.

Dalekobieżny do Warszawy do stacji odwołoku został odwołany, został odwołany. I nikt nie wiedział dlaczego. Dlaczego by nie? – zapytałem siebie, dlaczego by nie? Kto zapewnił tej kultowej formie drżenia gwarancyjne pasy. Nie było ich i tu, było widać to, co nad morzem. Tam i jeszcze, jeszcze, tu było już nawet nie przez zmrużone widać. Co jednak zostawało, co wydobywało się spod tego? Co można było jedynie poczuć lub zobaczyć przez zmrużone, co się niesło w pokornym zgodnym uśmiechu, całkowitym spokoju oczekiwania, co nie budziło grozy i walki, co było oczekiwaniem, zstąpieniem pod toczące fale zjawisk zbutwiałych ciał, zlewisko materii o kwaśnym zapachu. Co rozłączało nad tymi postaciami parasol wielkiej sympatii i powolnego przytulania się tego, kto czuł lub dostrzegał przez zmrużone.

Gdy już po raz kolejny przystąpiłem do tego legionu, stałem tam i wpatrywałem się szeroko zmrużonymi oczyma i starałem się dotykać kaloriami odczuwanego, co zapewniało mi jakieś parowanie z wnętrza i wysuszało moje siły. Kropla za kroplą, plusk, plusk, plusk..., by odnowić, by się zapalić światełkiem po wlanym, przez..., no właśnie kogo? Wlewało się niespodziewanie i wychodziło na zewnątrz. By być niejako w środku, a też jedynie świadkiem.

2. Pokój 10, Aida

Podnieść prześcieradło i zobaczyć. Mam tu zmumifikowaną postać. W takiej też postaci zakluczoną w mały potrzask luku mowę, jęk, śmiech. Z lekko puszczonej cięciwą milczenia, która od czasu do czasu napina się do granic bolesnym: Nie...! Pod ciężarem dotyku kościana konstrukcja luku jednak jest sucha i twarda, i nie drży nawet cięciwa, więc spływa i maleje. Ignie do formy niezauważalnej i cichej, wyrównując do pozycji milczenia.

Piękna postać Indianki jest koścista. Tylko skórka o kolorze zasuszonego brązu przesuwa się po doskonałej formie zawiniętej, zmumifikowanej w naturalny ośrodkowy sposób postaci. Wzrok nie porusza się spod skurczonych powiek. Czy dociera to zmrużenie do tego wnętrza, czy łapie jego spokój

i oddech. Nie wiem. Jest zwykle zbyt zmęczone, nieobecne prawie w ogóle i jedynie zaiskrza, od czasu do czasu, delikatnym i ostrym ruchem, gdy za jękiem wydostaje się miarowe i skomlące: Nie...!

Pieluchę Aido zmienimy, dobrze? Poczekaj proszę – mówi pielęgniarz.

I tak ściągnięte z obrazu Beksińskiego ciało zamienia się przez eksplozację z naturalnej cudnej formy w gadżet rodem z jarmarku z doczepioną niebieską poduszką. Niewiarygodne, jak można zamienić piękno w lepkie ciasto i oddać do przechowalni. Zapalić lampkę, że jest to miejsce lecznicze, odciągając ziołotloczarki kobiet i rodzinne święto odchodzenia w zaschniętą balladę o kolorach okładek romansideł i balonów.

Nad cudną głową sterczących do góry w nieładzie włosów unosi się srebrna kula, napeliona jakimś gazem, z napisem sto lat. Gdyby to ciało położyć na słomianej macie i przykryć indyjsko zatkany kocem, obłożyć rodzinnymi rękoma, nastalaby groza dzieła sztuki – ale to myśl, która znika wraz z końcem przewijania i ułożeniem prześcieradła. Dobranoc – mówi pielęgniarz zamykając drzwi.

3. Pokój 14, Cyryl

Cyryl na chwilę markotnieje. Potem układa wzrok ku górze, aby przez otwarte usta wydać z siebie ciągłe auuuu, auuu, brrry. Głośne to świergotanie wydobywa się z zarliwą częstotliwością i przenosi mnie z pokoju do pokoju, z okrągłym i bolesnym mantrowym wyrwaniem i oderwaniem od ziemi. Cyryl nie zmienia pozycji, choć przesuwa się po łóżku i zwija w dziwne niewyobrażalne konstrukcje. Zawsze przy tym unosi kończyny rąk i podnosi w okrzyku ręce, tak że wygląda jak rozprasowane na materacu sennej zieleni pisklą o niebotycznych dwumetrowych rozmiarach. Nie widzi, jak się zdaje, że obejmuje swym krzyko-świergotem dziwne i tajemnicze kręgi domu pod nim i wchodzi weń z ręcznym miarowo dodekafońicznym brauuu, akkkrrrrr, au, akryyyyyy. Wyplątując prześcieradło, wyrzucając poduszki, dusząc niezgrabne ruchy. Patrzę na jego twarz. Rozdziawione bezzębne usta krzywią się w uśmiechu? Dźwięk porusza śliną i dygującą materią czerwieni i błon przelewających się przez kameduli prolog modlitwy. Modlitwy na miarę nieprzytomnego ducha, dla nas niezrozumiałej. W jakiej dziwnej chorobie zrównałeś się, Cyrylu, z batalionem męsko odzianych mistyków i demonów zabłąkanych w pieklach oświecenia? W jakiej dziwnej krainie znajdujesz teraz obręcz palącego schronienia, że możesz z lekkością wyrywać nasze znojne „ja” z zimnego „po co?”. Kamasutra niepoddanego ciała. Co jest więcej? Kamasutra miłości poprzez dźwięk. Bezerotyczne bycie w miłosnym ścisku przytrzymanym w oberwanej blaszance łóżka. Ty masz ją tak właśnie spełnioną. Blacha obręczy i pastelowe monotonne prześcieradła. Nic nie znaczące „być”, może dla ciebie, stwórco świata bezwulnie zaakceptowanego. Gra czy pątnicze oddanie są teraz w sunącym z chrobotem auuuukrrrrr, auuu, kkkkrrrrrrrrrr?

Derwiszu tańca dźwięków. Niezmiennie rozwiniętych i zwiniętych na końcach skrzydłach rąk. Docieram do twojego portu jedynie starając się dokonywać nucenia wszcz i razem dalej mantrycznego, ummmmm. akkkk. Znienacka jednak rzewsz wysokim krrrra moje dostrajanie i już przestaję nawet próbować.

Poleciałeś dalej sam. Zostałem dzierzając koktajl ekskrementów zapętlony w siatkę pieluchy i przykładając nową bazę dla nieistotnej już dla ciebie materii. Poranek, którego czasem próbowałem przyłgnąć do ciebie, został zamknięty spolegliwością. Zatrzaśnięty zgodą, którą uczyniłeś nad włazem

krzesła, na które przeniosłem cię blaszanym ramieniem dźwigu w obiadowej porze.

Teraz będziesz jadał. Właśnie w tych momentach, gdy wyrwiesz z siebie krrrrrrrr, wpadnie robak zmielonego obiadu i zmiędlisz jego skrzydła po raz wtóry. Pozostaniesz obojętny dla tej zbędnej czynności, która poświęca twoją cenną porę bycia w wylocie pokoju, poza lożem i serpentyną barw zabitych w zaslonach i ścianach pokoju. Nie wiadomo, kto zrezygnował z tego tańca? Kto odmówił sobie roli ucznia? Kto nie dał ci schronienia w domu? Może żona, może? Ale na ścianie pokoju jest jedno zdjęcie, gdzie siedzisz sam. Gdzie jesteś uśmiechnięty zajmując krzesło pod plotem ogródka. Może więc nie miałeś żony? Może nie było komu zrezygnować? Może pojawiłeś się derwiszu ptasi w tym miejscu, aby dla mnie śpiewać?

4. Pokój 5. Steven.

Steven był podróżnikiem. Trawlerem, któremu odjęte były zwykłe zdolności przemieszczania się, bo nie miał siły. Zamykano go więc w okowach pasów dupinając to do olbrzymiego fotela, to kładziono na łóżku. Nie była to jednak dla niego rzecz nie do sforsowania, nie do przebrnięcia. Wił się więc jak ryba, jak ryba wyskakiwał w powietrze i dusił podłogi, dywany, szarpał skały sprzętów pokojowych. Po pewnym czasie jego ciało oblegaly zaś już zewsząd supły krwawych znaków upadków, plastrzane banderole i długie pasy bandaży. Ciągłe jednak holdował swojemu prawu do ludzkiego traktowania, do wyboru, do możliwości przeskoczenia z łóżka na podłogę, z podłogi na przelaj dokulania się do ściany, do brzegu stołu. Nadal holdował więc rybiej naturze pstrąga podróżnika i cieszył się zapadając i wypływając łagodnym błyskiem oczu na zewnątrz, szukając wsparcia i zrozumienia. Nie były to jednak praktyki mile widziane w tym miejscu! Oj, nie! Złoscili się biali stróżowie. Żli byli niestychanie i delikatnie, zdaloby się, anielskie usta kobiecych opiekunów mówiły ze złością: „a jeszcze ten skurwysyn... ten to kurwa jest...”

I płynęła sobie ta rzeka, z której występował z pogodną twarzą i głową poobijaną ten mój miłośnik ludzkiego traktowania i rybiej swobody. Gdy jednak wreszcie dorobił się sukcesem rybich skoków miejsca na fotelu kołowym, wędrował wówczas spokojnie odpychając się koniuszkami nóg po całej przestrzeni mulistej zatoki ośrodka. Co zresztą też wywoływało skurcze złości u rybaków anielskiego porządku. Asystowałem mu w tych podróżach, pływach, gdy tylko dawano mi dyżur na dolnej katarakcie. I cieszyliśmy się, że możemy już teraz całkiem bezkarnie wykorzystać parę minut między pojawieniami się stróżów na bycie w płynięciu od-do, od-do, od-do. Na przykład od początku zatoki „tv-room” do drzwi „toalety” czy drzwi „wejściowyci”. Te ostatnie jakoś interesowały nas obu ze średnią fantazją, howiem z mądrością starych ryb wiedzieliśmy, że poza wodą nie możemy pływać. Było nam jakoś przyjacielsko. Czasem sadzałem go na zwykłym fotelu, gdy prosił, i siedzieliśmy jeden przy drugim poruszając jedynie plewami i zasnuwając krople czystego oddechu na skrzela. On popijał sok, który mu dostarczyłem, a ja radość ze spokoju niewidzenia służb rybacko-anielskich. Siedzieliśmy, drzemali i karmili się ciałem bezwzględniego znoju tego miejsca. Tak więc do czasu, gdy i on – co dzień – i ja – koniec końców – trafialiśmy w owe bezwzględne dłonie opiekuńczych aniołów bieli i nie mieliśmy nic do powiedzenia. Wtedy bawiliśmy się jedynie naszą możliwością zmiany pozycji w splawie dni i nocy. Ta nasza koniitywa zaznaczała się z dnia na dzień coraz wyraźniej, tak że co wieczór, gdy Steven holowany był do przeladowni,

mogłem usłyszeć za znikającymi drzwiami windy: friends, friends! I wtedy myślałem od-do, od-do, od-do.

6. Pokój 17. Eric

Nie lubilo się i Steva, i Erica. Pierwszego, bo chyba był wolny pomimo bezsilności. Drugiego, bo umiał się szarpnąć i obronić swoje prawo do spania w tzw. brudzie, który był jego przytulnym schronieniem, np. w bezgoleniu, które zapewniało spokój poranka i nie narażało na bolesne i paraliżujące przebudzenie. Nie lubilo się jednak tego zakluczenia na owej wolności bezsilnej. Leżącej przecież cały dzień. Nie było to dla tych naszych anielskich braci jakoś do pojęcia, żeby właśnie tak? I co to jest? Jak w ten sposób? Złap go mocniej! Szybko! Trzymaj!

Było dla nich pewne, że mogą i ich, a i mnie wiele nauczyć. Siłą więc oddawano Erika i Stevena licznym zbytecznym zabiegom toaletowym i innym, wykręcając ciała, grożąc rękami i nogami, tu i tam, a ze szczególną wprawą słowem czy pogroźką, która nie omijała ani mnie, ani ich. Mi ostatecznie wręczono pięknie zamkniętą kopertę. Im wręczano ją codziennie. Nie było jednak niczego piękniejszego niż te chwile, kiedy nasza kaleka trójka mogła się przesywać nawzajem spokojnym smakiem dnia, bez względu na ordynarny ścisk w powietrzu zgęstniałym od dryfujących uścisków biało odzianych aniołów.

Gdy więc pewnego dnia z jednym z nich dotarłem do potulnej łodzi, dryfującej popołudniem po pokoju 17, usłyszałem, jak Erik pełen dumy kieruje do takiego dużego damskiego anielskiego stworzenia słowa jakiegoś długiego poematu. Mówił dumnie i mimo zmęczonego ciała, przeropiałych oczu, wskazując palcem w powietrze, zapętlal w bezbarwnym cieple światła, każde słowo akcentując z wprawą, te które wynosiły go gdzieś w okolice ulic zamieszkałych przez bohaterów z rodowych legend i poezji Yeatesa. A słysząc to, zakradłem się do wnętrza zwycięskiego plutonu. Pałac przy tym wszelkie moje lekliwe skomlenia, posłusznie ucząc się od tego wojownika, jak można przejść przez burzę z zadartym czołem i pełnym godności wyrazem też i twarzy, której mięśnie całkiem odmówiły posłuszeństwa. Byliśmy na tej stacji portowej, na której zasiadał już zadowolony Ulisses w przebraniu starca i dalej, gdzie zaczyna szyc lukiem do ślepych biesiadników. Tym razem żaden z nich nie rozpoznał gospodarza. Wyszedłem jednak na spotkanie Erikowi i Stevenowi dźwigając się przez perony statków ku zwycięskiemu dworowi pożegnania.

7. Pożegnanie

Choć obdarzyłem was, jak się miało okazać, „nie nadawałem się”. „Nie nadawałem się” w obopólnym stałfowskim ujęciu na opiekuna. Może za bardzo wsłuchiwałem się w głos Cyryla, może zbyt cicho czekałem na spokój mumifikacji ciała Aidy, może wreszcie zbyt folgowałem waszej wolności. A było czemu folgować. Śmiałości Stefana, który nie chciał być więźniem fotela na kółkach i lubił wędrować po korytarzach jak lotnik w swojej misji spotykając nowe miejsca doskonale nadające się do desantu. Joyce, która wzywając „help me”, „help me” lubiła się przekomarzać ptasim zwyczajem. Namnażając przy tym słów ponad miarę, a i jak Stefan lubując się w wędrowkach. Dzięki któremu to zamilowania odwiedziliśmy gniazda kuchni, łazienki i korytarza, tarמושąc się słownie, w takim czy innym zagranu milego uśmiechu kwilenia. Denisa, który domagał się traktowania zgodnie z *savoir-vivre*em, choć zdarzało mu się o nim zapominać, czy dajmy na to Erika, który czasem poblądził we własnych odchodach, ale nie w dumnym belkanto łóżka na końcu korytarza.

Może nie nadawałem się do tej pracy, bo nie dbałem o jakieś szczególnie istotne elementy anielskiej współpracy, skupiając się na tych mniej istotnych. Nie dane mi było więc przystąpić do was, przygalopować do tego miejsca, do jego wnętrza, do tego wnętrza, gdzie moje ciało i umysł były waszym całkiem i bez pośrednich stacji, w którym stopić się miała zjawiskowa plama, pojawiająca się na chwilę tylko niechwiejnym, zdrowym i w pełni świadomym. Ale postarzałem się już na tyle, że miałem to wszystko jak każdy cud dany nam, po hiobowsku do przełknięcia z radosną modlitwą na rękach, ustach i w całocielnym, całoczłowieczym staniu, pojawieniu się poza skłonem wyimaginowanego zaciętrzewienia, na chwili tylko jędrnego młodością poranka. Odchodziłem więc jako nieprawowierny – w oczach tych, którzy przecież znali się na opiece. Odchodziłem z wilczym biletem za chwilę słabości, za to przyswojenie na miarę jakiegoś naiwnego niezguly. Odchodziłem z uśmiechem, żeby na chwilę jakąś powrócić do czarnoziemu niezasiań, nieokreślenia, niepoznania przed i po sekundzie. Zostawiając was po nocnej zmianie, bez echa jak zwykle zostawiając parę zdartych butów w saff-roomie. I myśląc, że przecież byłem tam trochę jak naiwny bohater opowieści o locie nad kukulczym gniazdem. Zabrakło jedynie Indianina, a może był tam nawet nierozpoznany na którymś łóżku, poza słowem i możliwością podniesienia choćby ręki. Może wyważył wszystkie drzwi i siedział gdzieś w rodzinnej wiosce zaplątując dzieciom nowo narodzonego dnia warkoczyki?

(...)

Jerzy Łyczek

Fragmety większej całości

ANETA KAMIŃSKA

stacjonarna przenośna

1. w nocy

od
wracam i pusto
się jedzie po ciemku i ci
cichutko
bo śpi nie świeci
nie widać wiadomo
że
jest

2. nad ranem

nie muszę myśleć
mogę się
mylić

3. w południe

dušno i duchy
się
lloczą i tułą torują siebie i
przejdzie przez cienie podcienia i schody pod górę
schody od dołu czas schodzi
inaczej
(lub wolniej)
zmarszczki robią się same i ptysie
te same
odkąd i skąd
pamiętam
(lub nie)

4. wczesnym popołudniem

kto ile ma lat (ja
nic
nie robię)

5. późnym popołudniem

starzeję się i kruszę odrywam
po prostu

pod nogi pod ręce zmniejsza i zniża zmienia się
zasięg ziemię niezmiennie da się
przewidzieć objąć i odjąć
i ją i siebie

6. pod wieczór

i obejść
i obejść

7. wieczorem

z czym tu
przejeżdżam bez tchu bez oddechu bez reszty
(nie pyta)

8.

a zawsze w porę

(w warszawie o zamaściu, 13 lipca 2005)

przyjdiesz za późno i wcale nie przyjdiesz (lubelski wiersz bezpowrotny)

i. który zaczyna się w warszawie

dwa kroki dalej już
pachniemy
lasem woda się sama niesie ze studni i psy szczekają
zupelnie po wiejsku blade się
ryby łapią w sieć
na balkonie

niezmiennie
spacery bazyliki i pomidory (podróże
windą
męczące i nudne
mieszkania zużyte i starcze ilość
schodów
jest wieczna)

(nie ukorzeń się
nie wypączkować
nie rozprzestrzenić)

2. ale rwie się

i tylko tu z całej warszawy

pieją koguty
rano i tuż po południu
raz

po

raz

wietrząc chorobę i opady śniegu (wszyscy na niego
czekają ale i tak jest jasno) i tylko tu nieprzebrane pola
kapusty przez które przedzieram się

w nocy na zmarznięty

tramwaj i

dają

się wywieźć bardziej

na wschód

dalej i głębiej

gdzie ciągną

dalszy

zaraz

się

skończy

3. mimo prognoz

nie będzie padać ale nie zacznie się nic

znowu tym

razem

4. pod warunków

horyzont się dłuży w żołądku nie nie ma

drzewa rosną

na

po czekaniu ptaki mają postoje

na mostach wiatr drapie

do okien

można spać zasnąć przespać

(przymierzać

nowe przestrzenie dorabiać

wersje i wersy

pruć szyc i łapać

go za

słowo)

obudzić się w lepszej

fabule

(lub nie)

5. na przekór

na nic nie
będzie
odpowiedzi maile po drodze
utoną głos nie dobrnie do
słuchawki słowa
zmenią
znaczenie

6. wszystkiemu

na wylot się
zaczekanie na znaki cuda i dziwne się
czucie
(znaki
żółte wyraźne i groźne) na zawsze zostaną
parę kilometrów
przed
jakimkolwiek
początkiem porządkiem obrzędkiem
(dziennym i nocnym amen)

7. i jemu

uśmiechnie pomacha i
zniknie
(lubelski wiersz bezpańnotny)
(niezwrotny)

eugeniusza, sylwestra

1.
(porwą cię zobaczysz)

lów a może będę
pisać wiersz tęsknić na pewno już teraz boję się
poruszyć leży mi na kolanach na wszystko
ma odpowiedź (chcesz mnie ugryźć kicundra)
przeciągamy się
wychodzimy
z piwnicy z podwórka przez próg
idziemy
po starym po nowym bruku śnieg nie przez pasy do góry
głowa nie uronić żadnego
szyldu w cyrylicy (aneto ty umiesz czytać)
mokro
mówię udają że nie (nie po polsku)

ma mnie
dziwnie szorstkim językiem
obchodzimy
ich
nowy rok po godzinie mój
i tak dalej
powrót
marszrutką
skrada się rzuca macha
lekko ogonem

(na ekologię złoty pięćdziesiąt)

2.
(zobaczysz porwą cię)

lemborg a miało już
nie być austrii pod żadnym
pozorem więc teraz
tłumacz
się
z ukraińskiego (masz czujku przecież
od razu) czekolada z bąbelkami esemesy nie przechodzą
przez granicę
zimno
i znowu
w drogę w światło śniegu to nie ten neptun trolejbus czy
tramwaj (widać że z warszawy) przez śpiewy i płacze odległość zbyt
bliska o oddech o dotyk od złodzieja
rękawiczek
(skrzetuski czy bohun
wybieraj) dlaczego nie ma noża to
już
następnym
razem

(wódka? papierosy? pieniądze?)

provincia dzień

1. bo

przeterminowane przyjazdy
nie przypieczętowane
nie skierowane
bez
żadnej
recepty na wejście

w sytuację
 (że można było tu właśnie siebie posłać
 i wyspać wysypać się ze środka
 jeszcze szkoda jeszcze
 nie da się pościeli wnościć w innym mieście zagnieść siebie
 w kimś innym zacząć ciasta na przyszłe życie)
 więc
 pozwolić się nakłuć i pozaklejać
 (bez zbędnych
 rytuałów)
 zająć swoją kanapę kanapkę herbatę
 z karmelem ostatni numer
 poboczy / pograniczy / obrzeży / kresów
 i uparcie nie zwracać
 uwagi
 spóźnionym
 sygnałom

2. bo
 to może być talerz
 przyprószony śniegiem na dzień przed wielkanocą
 przedwiośnie tuż przed świętem zmarłych żółte kury
 bez głowy na bazarze lub kobziarz
 szewczenki przy marysience
 (skurczony i sprany
 regał z wierszami w galerii
 centrum
 świetnie tłumaczy
 całą miżerię kaszanekę
 i klopsy)

3. Ię
 ze ga ry pra cu ją
 wąż
 tek
 się
 rwie
 pue
 nty
 bra
 ku
 je

Aneta Kamińska

AGNIESZKA RESZCZYK

Wśród antynomii Pasierba rozważania o kulturze

Znamiennym rysem kultury współczesnej, anonsowanym w konstytucji *Gaudium et spes*, są „liczne antynomie”, które człowiek, czując swą odpowiedzialność za postęp kultury (...), z niepokojem dostrzega¹. Swoistą medytacją nad fragmentem dokumentu soborowego traktującym o tej kwestii jest jeden z esejów Janusza Stanisława Pasierba². Odpowiedź na pytanie: skąd antynomie w kulturze, wydaje się oczywista. Źródło ich tkwi w człowieku, który, mimo że jest jednością, pozostaje „dwubiegunowy”: Bóg uczynił go „mężczyzną i niewiastą” (Rdz 1, 27), dosłownie „istotą męską i żeńską”. Egzystencjalna równość kobiety i mężczyzny, jaką zakłada tekst biblijny, wskazuje, że człowiek jest stworzony jeden dla drugiego i właśnie stworzenie „dla” czyni zeni obraz Boga³. Lecz owa równość opiera się na „nierównych szansach”, skoro „od początku” jedno zostało „ulepione z gliny”, drugie – „sklepione z kości” (*mężczyzna i kobieta*, BL 14)⁴. Poeta, mówiąc o dwóch aspektach natury ludzkiej, wyzyskuje wewnętrzną sprzeczność antynomii, co sugerują pytania retoryczne, z których można wysnuć odwrutny do spodziewanego wniosek: miększa i słabsza, choć „z kości”, okazuje się kobieta; mężczyzna, mimo że „z gliny”, jest twardszy i dlatego „najczęściej się łamie” (*mężczyzna i kobieta*, BL 14). Człowiek z racji ciała staje się medium porozumienia nie tylko tak odmiennych pierwiastków jak żeński i męski, ale również wszelkich żywiołów. W sobie scala ziemię, wodę, ogień i powietrze, a także z nimi się łączy (*ciało*, CzS 59).

Istotnym „tekstem kultury”, będącym kwintesencją ludzkiej natury, jest w optyce Pasierbowego bohatera dzieło Leonarda da Vinci – *Hombre de Vitruvio* (*Homo quadratus*). Nagi człowiek „wpisany w kwadrat i w koło” (*rysunek Leonarda*, DZ 66) wydaje się nie mieć przed nami żadnych tajemnic. Jest „jasny” w znaczeniu: „rozpracowany”, ponieważ można go określić zamkając w ramach figur geometrycznych. Właśnie to zamknięcie odsłania jego drugie, „groźne” oblicze, którego nie sposób pojąć, i taki też niezgłębiony ma pozostać – jako „prawdziwa kwadratura koła”. Bo człowiek jest antynomiczny: i ciemny, i jasny. Łatwiej jednak przychodzi mu zgodzić się na „ciemne” oblicze, na Kaina w sobie: *nie dziwię się ciemnemu, jest koloru ziemi* (skąd, CzS 97). Ze zdumieniem natomiast rozpoznaje istnienie „jasnego” – Abła: *skąd we mnie ten drugi / bardziej niezwykły niż jego mroczny brat / który tak bardzo chciał być jedynakiem* (skąd, DZ 97). Obaj są dla siebie: *lepiej że jest ich*

¹ Konstytucja soborowska o Kościele w świecie współczesnym („*Gaudium et spes*”) (w:) Sobór Wszechświatowy, Konstytucja, Dobry Deklaracje, Red. ks. S. Jędrzejko, Poznań 1968, pkt 56.

² Cytowane i przywoływane fragmenty książki esejistycznej Janusza S. Pasierba opieram na wydaniach jej w wydaniach, których tytuły podaje w skrócie: SJS – Światło i ciemność, Poznań 1968; GIL – Głębokość i wysokość, Poznań 1983; CaO – Ciała weterary, Pelplin 1992; DZ – i Inni z rany, Rok 1991, Poznań 1993; KLC – Jakże mi gorze, Pelplin 2000; SD – Słownictwo i inne, Pelplin 2002. W celu uniknięcia powtórzeń Antynomie kultury współczesnej w omawianej Konstytucji („*Gaudium et spes*”) (w:) SJS, ss. 28–43 oraz MCG, ss. 303, 320.

³ A. Świerkówna: *Opowiadanie o Biele*, Warszawa 1996, s. 53.

⁴ Tamże.

⁵ Cytowane bądź przywoływane w tymże miejscu fragmenty książki S. Pasierba opieram na wydaniach jej w wydaniach, których tytuły podaje w skrócie: KP – Księgi i przestrogi, Warszawa 1978; ZP – Złoty i srebrny, Warszawa 1983; CzS – Czarna słotyńska, Warszawa 1985; K – Kapanowice, Warszawa 1988; DZ – Dobry i ciemny, Kraków 1989; TGTB – Tęże i samowolny brzo, Pelplin 2001; PL – Piasek i piasek, Pelplin 2001; BI – Biele i ciemność, Warszawa 1995.

dwóch / ma kto powiedziec daj mi moja część. Jeden nie wystarcza, bo gdyby był jeden z kim [ten drugi] by wyszedł w pola / kto by niósł snopek a kto białe jagnię (skąd, CzS 97)? O ciemności w człowieku przypomina nie tylko ziemia: mroczny brat jest koloru ziemi (skąd, CzS 97), ale i woda. Mrok ma bowiem swoje regularne „przyplawy”: co noc / druga strona księżycy / porusza w nas / ciemne morze / i wspina je wysoko / polyskliwe groźne (przyplaw, CzS 116). Ciemność i światło istnieć bez siebie nie mogą. Toteż Bóg jest najbliżej człowieka w chwili jego słabości. Przyzywa Go to, co w nas wstydlive i grzeszne, ale konieczne, by ratunek był możliwy:

nie wmawiaj sobie że wiesz
kim powinienes być
którędy masz iść

może ten drugi ty
którego ci wstyd
nicudany
idący nierówną ścieżką
obok tego co nazywasz swoją drogą
jest tobą bardziej niż ty
i on ciebie ocali

(Nie jesteś Bogiem, WD 30)

Człowiek rozdzielany przez antynomie nadal pozostaje jednością. Żywi jednak obawę żeby nie być / podwójnym (lęk, PŁ 49), gdyż łatwo się rozdzielić w świecie pełnym wewnętrznych sprzeczności. Być „rozciętym na dwoje” (Piosenka Tedorakisa, KP 41) nie oznacza tego samego, co „być podwójnym” – nie mogącym się odnaleźć, zagubionym. Tylko człowiek dojrzały zostaje „rozcięty”, czyli o t w a r t y jak rana. „Rana – przywołajmy znamienne słowa Wojciecha Kudyby – która przyzywa Boga”. Człowiek Pasierba jest przekonany, że nasza egzystencja to nieustanna walka, której rezultatu nie zawdzięczamy tylko sobie: nie wmawiaj sobie że wiesz / kim powinienes być / którądy masz iść (Nie jesteś Bogiem, WD 30). Zależy on bowiem od ponawianych spotkań z Bogiem, w wyniku których życie nabiera kształtu: wszystko to / w gruncie rzeczy / związane jest ze sprawą istnienia / Boga (lęk, PŁ 49). To Bóg nas „rozcina”: Wiem, że twoje Słowo jest mieczem / bo jestem rozcięty na dwoje (Wierzę, WR 6). Stwórca, dokonując nad nami sądu, uktanawia antynomie.

Istotą „rozdartą” czyni człowieka również egzystencja „pomiędzy”. Żartobliwy komentarz: ciągle pomiędzy jak zajęc na miedzy (pomiędzy, TiTB 71), wyrażony w kontekście złożonej sytuacji zawodowej „ja” autora, celnie określa pozycję człowieka w ogóle, któremu nieobecne są „situacje graniczne”. Bohater Pasierba, jak Hiob zwracający uwagę nieba i piekła zarazem (List do Hioba, WR 47) i jak Chrystus pomiędzy dobrym i złym (...) rozpięty (Droga krzyżowa, WR 106), znajduje się między tym a tamtym brzegiem (*** co widzisz..., PŁ 57), gdyż z jednej strony coś go trzyma i „od spodu ciągnie w dół”, z drugiej – ta jeszcze osobliwsza siła / (...) wbrew wszystkiemu / z uporem / ciągnie [go] wzwyż (życiorysy, BL 18). I jak tu nie czuć się rozdzielanym, żyjąc między brzuchem a pośladkami / z szaloną duszą w środku (być, BL 39)? W obcowaniu ze światem ujawniają się nasze preferencje. P o s t r ó d antynomii człowiek musi się rozpoznać, jak chociażby Hiob, który stając się „przedmiotem zakładu”, nie przeklina Boga (List do Hioba, WR 47). Bywa, że trzeba opowiedzieć się po jednej ze stron: co jest ci bliższe / (...) co bardziej rzeczywiste: brzeg który opuszczasz czy brzeg na który idziesz (*** co widzisz...,

¹ W. Kudyba: Rana, która przyzywa Boga. O twórczości polskiego Józefa St. Pasierba, Lublin 2006. Niezwykły obrazek autor w rozdziale V pt. Twórczość, s. 201-246. Tam podaje, oznaczając słowo: Bóg, którego przyzywa nasz autor (s. 234).

² Życie, s. 68-110.

³ Pasierbowym „związkiem granicznym” Wojciecha Kudyby poświęca IV rozdział książki. Tamże, s. 158-199.

PŁ 57). Jak dramatyczne są to rozstrzygnięcia pokazuje mit o Dedalu i Ikarze – dla autora Czarnej skrzynki opowieść o człowieku, który miał przeciw sobie „powietrze ogień i wodę” a po swojej stronie technikę (*** Bóg stworzył świat..., BL 22), i o tym jak żywioły natury odnoszą zwycięstwo nad kulturą. Antynomie, będąc właściwością natury człowieka, okazują się również (czy może właśnie dlatego?) manifestacją jego egzystencji „na pograniczu”. Persona Pasierba spostrzega je w świecie. Istnieje niebo i ziemia, które pozostają w synergii:

to co w zamiarach nieba
jest młodzieńczym uśmiechem anioła
dochodzi na ziemię
jak cios przeszzywający nam serce
(Ekstaza św. Teresy, CzS 128)

Jest jasna oraz ciemna strona księżycy (przyplaw, CzS 116). Świat okazuje się wewnętrznie podzielony, co tylko wyczulonym na jego subtelną mowę wyjawiają pelargonie, które płoną na oknie / między mrokiem i białym powietrzem / pomiędzy chłodem i żarem / na granicy światów (pelargonie, CzS 112). Wielkość świata nie stoi w sprzeczności z jego jednością, lecz paradoksalnie ją potwierdza. Istnieje świat duży i mały, uniwersalny i „mój własny”. Symbolem tego prywatnego jest ulica, także dom będący schronieniem przed tym, co fascynujące, aczkolwiek odległe – obce: nasycony wspaniałością / i okropnościami świata / wracam w mój mały świat (ulica, PŁ 64). Uciekając od tego „wspaniałego” i „okropnego”, człowiek nie przestaje w nim mieszkać. I choć celem naszej ziemskiej pielgrzymki jest ojczyzna „najbardziej odległa” – nowe Jeruzalem, zdobywamy ją nie inaczej jak przez to co najbliższe / odziedziczone zastane (ojczyzna, PŁ 23). I bliska, i daleka są jedną ojczyzną – tym, co „na wieczną udrękę zadane” (ojczyzna, PŁ 23).

Rolą antynomii nie jest rozbijanie, lecz integrowanie świata. Pozostaje on jeden, wewnętrznie zdialogizowany, a przez to dynamiczny, jednak nie przez mimikrę, jaką wytworzyła kultura „globalna”, ale przez współistnienie sprzeczności. Ustanowił je sam Kreator i za ich pośrednictwem uobecnia się w świecie. W Fatimie widać jeszcze wyraźniej niż w Lourdes / że Bóg będąc najwyższą pięknością / nie jest zobowiązany do dobrego gustu / i toleruje nieładne kościoły (Fatima, TiTB 76). Od Niego człowiek ucieka i uciec mu się nie udaje, gdyż Stwórca jest wszechobecny, a droga ucieczki okazuje się drogą powrotu:

nie potrafię uciec
nigdy tak daleko
żebym nie mógł wrócić

dokąd od Ciebie uciekam
tam jesteś
czekasz
(syn marnotrawny, BL 38)

Antynomie obecne w człowieku w sposób naturalny i konieczny musiały stać się częścią kultury, która jest emanatem osoby, obrazem i jej „samokontynuacją”. Mamy więc do czynienia z ich polaryzacją, gdyż stając się rzeczywistością jego dzieł, zostały uzewnętrznione, a przez to wyrazistsze. Kultura jest bowiem formą ekspresji człowieka: przez nią wypowiada on swoje „jesieni”. Pasierb w rozważaniach nad 56. numerem konstytucji Gaudium

⁴ SŁ, s. 15.

⁵ Cz. 5, Statutik. Promowanie, Lublin 1995, s. 403-404.

et spes podważa słusność zdania pierwszego, jakoby człowiek czując swą odpowiedzialność za postęp kultury, żywi głębszą nadzieję, ale też z niepokojem dostrzega liczne antynomie, które sam winien rozwiązać. W kontekście jego uwag oraz powyższego oczywiście staje się, że kultura nie może zostać pozbawiona antynomii, ponieważ przynależy do samej istoty człowieka¹¹. Z rozważań naszych zdaje się wynikać – konkluduje autor Światła i soli – że antynomii współczesnej nam kultury nie można rozwiązać i – co więcej – że ich rozwiązać się nie powinno. Likwidacja antynomii tkwiących w kulturze równałaby się wydaniu na kulturę wyroku śmierci¹². Byłaby więc ciosem zadany samemu człowiekowi.

Jeśli przyjrzeć się postaciom, które Pasierb szczególnie ceni i którym poświęca swoje szkice¹³, jako że są dla niego mistrzami bardzo trudnej sztuki bycia człowiekiem, można zauważyć – co czyni Stefan Wilkanowicz – iż: *Opisywanych przez ks. Pasierba humanistów łączy (...) jakaś istniejąca w każdym z nich dwoistość czy wielowymiarowość, jakieś napięcie, antynomia. U Erazma będzie to rozdarcie pomiędzy Kościoł a Reformację: ostro krytykując stan Kościoła nie chciał go porzucić, zaś żelazna (intelektualistyczna? doktrynerska?) konsekwencja reformatorów, jego duchownych dzieci, przerażała go. Ks. Franciszek Sawicki był człowiekiem dwóch kultur, polskiej i niemieckiej: języka polskiego nauczył się dopiero w szkole, w rodzinie miał zarówno Polaków jak i Niemców, protestantów i katolików. (...) Jan XXIII był człowiekiem gruntownie wykształconym, ale nie intelektualistą. Jego humanizm ma głębię i prostotę Ewangelii (...). A Hammarskjöld? Na zewnątrz – dyplomata i mąż stanu, wewnątrz mistyk i poeta. (...) Czy to się przypadkiem tak złożyło? Czy też może owo napięcie, antynomia, nawet rozdarcie – nie jest warunkiem prawdziwego uniwersalizmu, czyli prawdziwego humanizmu¹⁴. Niemniej jednak Pasierbowemu bohaterowi na pierwszy rzut oka antynomie wydają się czynić podejrzanym, co podważa autentyczność bytu do tego stopnia, że z trudem przychodzi mu zaakceptowanie ich nawet w sobie: *Kořakowski mówi, że ludzkość przetrwała na ziemi tylko dzięki niekonsekwencji, czyli tolerancji, umiejętności życia wśród antynomii i z antynomiami „w środku”. Ja gdy bywam niekonsekwentny, wyrzucam to sobie. Wydaje mi się, że na skutek tego nie żyję naprawdę. Że jest to jakieś „oszukiwanie bytu”¹⁵.**

Dopiero uważne spojrzenie w głąb i dookoła siebie pozwala mu stwierdzić, że antynomie są faktem¹⁶. W kulturze wynikają z podwójnego uwikłania człowieka: w czas, w przestrzeń. Tak też porządkuje je Pasierb¹⁷. Zgodzić się przyjdzie z soborową deklaracją, iż antynomie rodzą w człowieku niepokój, jako że są związane z niełatwymi decyzjami. Odnoszące się do kategorii czasu stawiają człowieka w obliczu: trwania i rozwoju, niezmienności i zmienności, tradycji i postępu, statyki i dynamiki, przeszłości i przyszłości¹⁸. Przywołane pary antynomii zająwiają się. Kultura, aby była „ciągłością tradycji”¹⁹, nie może odcinać się od przeszłości. Nie wszystkie wytwory kultury dawnej przetrwały, a nawet jeśli nie zostały unicestwione przez czas, to nie zachowały się w niezminionej formie. Przetrwały „w pewien sposób”, bo nie są tym samym, czym były niegdyś. Człowiek, podejmując trud wskrzeszenia dziedzictwa kultury, de facto je przetwarza: *codziennie rano jak rzemieślnik z torbą / ruszam do biblioteki / żadnych tutaj wzlotów ani mitów / szukam nitów składam lutuję kawałki / latwordzewnej pamięci (zimowy Rzym, K 22). Dzieło ocalone przez scalenie na nowo ma inną wagę niż w czasie swego po-*

¹¹ S. Kowalczyk, *Filozofia kultury. Mapa postmodernistycznego typu problematyki*, Lublin 1996, s. 191.

¹² ŚS, s. 47.

¹³ Zob. Pierwsza część książki MaG, pt. *München wie stufte Innda człowiekiem*, w której analizują się edytor Erazm z Rotterdamu, Mikolaju Sepia-Szczepytakian, Albertus Schlegeluzer, ks. Franciszku Sawickim, Le Corbusierze, Diego Himmarskjöldzie, Janie XXIII, Jerzym Zarembkim, Pawle VI i Janie Góřakowskim, s. 9-149.

¹⁴ S. Wilkanowicz, *O humanizacji i humanizacji chrześcijaństwa*, „Tygodnik Powszedni” 1973, s. 3.

¹⁵ OMe, ss. 54-55.

¹⁶ ŚS, s. 47.

¹⁷ ŚS, s. 29.

¹⁸ Tamże.

¹⁹ Tamże, s. 30.

wstania²⁰. Jest bowiem związane ze świadomością tego, który je ratuje, a przez swój wysiłek wprzega w nurt teraźniejszości. Możliwe zbieranie „skorup” i „odłamków” całego dziedzictwa kulturowego Europy okazuje się istotne, zwłaszcza dla „świadka klęski” (*Dlaczego*, ZP 30), który pragnąc ocalić, co się tylko da, „opłata je palcami” – „wiąże pamięć z życiem” (*Dlaczego*, ZP 30). Ożywiając to, co dawne, czyni teraźniejszość świadomością przeszłości²¹, niejako nią obarczoną²².

Pasierb ma „bardzo silną świadomość czasu”²³, interesuje się tym, „co robi [on] z ludźmi”²⁴, by w ten sposób dowiedzieć się, jak zmienia się stosunek człowieka do tej kategorii na przestrzeni wieków. Dawność w jego optyce związana jest ze statyką, z „widzialnością” czasu, którego licznikiem stała się klepsydra: *Myszę, że dla ludzi żyjących dawniej, których całe życie związane było z określoną przestrzenią, z miejscem, gdzie człowiek rodził się, żył i umierał czas nie posiadał tak dramatycznego wymiaru jak dla nas. (...) Powoli przesywały się ziarenka piasku w klepsydrach, powoli wędrował cień po tarczach słonecznych zegarów²⁵.*

Aby człowiek mógł się nieustannie stawać, nie może tylko odnawiać „oltarzy przeszłości”. W stosunku do niej winien – jak powtarza Pasierb za Tomaszem Mannem – doznawać dwóch odmiennych uczuć: miłości oraz wyzwolenia. Człowiek uwalnia się od przeszłości poprzez bunt, negację, sprzeciw wobec wartości zastanych²⁶. Przyczyną postawy związanej z permanentnym wybieganiem naprzód jest dramatyczna świadomość czasu: Człowiek dzisiejszy coraz intensywniej przeżywa czas, tego oczy wlepione są we wskazówki sekundników, stoperów, szybkościomierzy. Pochłonięci tym są wynalazcy, sportowcy, konstruktorzy samolotów, samochodów i statków. Kto będzie pierwszy na mecie, na rynku, na Wenus, na Marsie²⁷. I choć mowa tu o człowieku współczesnym, to jednak jest to teraźniejszość „wychylona” w przyszłość, w której człowiek nieustannie sam od siebie ucieka. Element dynamiczny warunkujący młodość kultury – wedle konstytucji *Gaudium et spes* – łączyć należy z rozwojem nauki i techniki. Symbolem rozpedzonego świata jest u Pasierba autostrada: *piątek godzina piętnasta / niełatwo opuścić miasto / właśnie zaczyna się weekend / spikerzy zwiastują pogodę / na autostradach ciasno (W piątek o trzeciej, KP 125). W wierszu Na autostradzie (KP 108) poeta skojarzył szybką jazdę samochodem z ryciną Albrechta Dürera Rycerz, śmierć i diabeł, przez co pokazuje, że człowiek zatracony w pędzie jest jak rycerz zakuty w metalowy pancerz, który stał się jego „skórą i ubraniem”. Czas odmierza mu trzymany przez śmierć szybkościomierz, który zastąpił klepsydrę. Człowiek staje się podobny do maszyny nie tylko z tego powodu, że pozostaje „zdrętwiały od blachy”, ale przede wszystkim dlatego, że – jak ona – jest „bez duszy”, gdy zabija zwierzę na „międzynarodowej szosie” (*pies*, PŁ 17). Nie może zapanować nad światem, gdy traci kontrolę nad sobą. Sam więc „wylamuje się” ze świata, skoro *obce niedostępne / są [mu] jego zboża trzciny trawy lasy, choć z okien pojazdu wygląda jakby to świat „unykaj mu bokiem”. Człowiek przestaje być częścią prawdziwego świata ogrodzonego drutem / za bocznymi szybami, mijającego jak sen dziecinny o szkolnej wycieczce, gdy ucieka w ten iluzoryczny, który go „trzyma” i nim rządzi. Zawrotne tempo życia człowieka współczesnego czyni jego egzystencję bezrefleksyjną, wzbrania się on przed myślami o rzeczach ostatecznych: o rajz utracanym możesz marzyć we śnie (Na autostradzie, KP 108). Oczywiście staje się, iż bunt i miłość wzajemnie się zakładają, gdy uświadomimy sobie, że aby**

²⁰ S. Czarnowski, *Kultura Warszawa 2005*, s. 129.

²¹ ŚS, s. 30.

²² S. Czarnowski, dz. cyt., s. 128-129.

²³ CrO, s. 11.

²⁴ Tamże.

²⁵ Tamże, s. 12.

²⁶ ŚS, s. 31.

²⁷ CrO, s. 12.

uciekać, trzeba wiedzieć od czego. Jak zatem żyć, by miłując przeszłość, zarazem się od niej uwalniać? Tb świat, poprzez wytwory kultury, kieruje do człowieka wezwanie: *sta viator / zatrzymaj się przechodniu (W drodze, KP 122)*. O „niemożliwe” ocierające się jego gorzko brzmiące uzasadnienie świadczy, iż jest to działanie „pod prąd” współczesnym tendencjom, skoro gdziekolwiek człowiek by skierował wzrok: *niebieską jak ziemia okrągłą tablicę przekreśla czerwona pręga / wszędzie / zakaz postoju (W drodze, KP 122)*. Mimo to ów postój okazuje się właściwym rozwiązaniem, gdy idzie o ocalenie naszego niepowtarzalnego życia, „wyrwanie go”, choćby na moment, z „płynącego strumienia pośpiechu” (*W drodze, KP 121*), by dzwony „z gotyckich wież Norymbergii” nie tylko „wolały umarłych” (*W piątek o trzeciej, KP 125*).

Antynomie związane z kategorią przestrzeni świadczą, iż kultura jest „zjawiskiem geograficznym”, obejmuje „większy lub mniejszy obszar” zamieszkiwany przez różnorodne grupy, związane ze sobą użytkowaniem wspólnych wszystkim dóbr kulturalnych²¹. Rozwija się wśród tego, co: jednostkowe a społeczne, narodowe a międzynarodowe, elitarne a masowe, odrębne (prowincjonalne) a powszechne (uniwersalne). Za przykład obrazujący zasięg kultury niech posłuży Malta:

*z tych małych poletek
uprawianych przez człowieka i czas
kamienowanych przez upał
cierpliwie czekających miesiącami na deszcz
– każde otoczone własnym niskim murem
małe podwórko wielkiego więzienia
którego strzegą opuncje jak druty kolczaste –
musi wynikać
lekcja życia*

(Malta, WD 136)

Punktem wyjścia jest kultura osobista, jako sposób realizacji własnego świata indywidualnego²². Człowiek, uprawiając własne „małe poletko”, uczestniczy w kulturze ponadindywidualnej. Ze cultura individualis i collectiva zakładają się wzajemnie, staje się zrozumiałe na przykładzie Europy, która więzi niepodobne do siebie miasta / i zupełnie osobnych ludzi z których każdy / próbuje skłecić własny kruchy świat / z ognia z lodu i odrobiny pieniędzy (*Europa – świat, TiTB 77*). „Zupełnie osobni ludzie” nie są osamotnieni – współpracują z innymi. Ich dziełami są miasta, które tworzą kontynent. Stefan Czarnowski tłumaczy współistnienie kultury indywidualnej i społecznej sugestywnym obrazem rafy koralowej, do budowy której przyczynia się każdy poszczególny polip koralowy (...). *Ale rafa nie jest jego dziełem. Jest dziełem milionów polipów, które przeminęły, a jest oparciem polipów żyjących, które przez nią, istniejącymi w niej kanałami są ze sobą w związku i dzielą się pokarmem. Śmiało rzecz można, że środowisko stanowi nie sama rozwijająca się na rafie gromada osobników, ale zarówno one, jak i sama rafa, która je dzieli od siebie i od skały na morskim dnie i razem łączy jednakowością warunków życia. Nie inaczej z ludźmi. Społeczeństwo to nie tylko zbiór jednostek. To także to wszystko, co jest za tymi jednostkami i co jest pomiędzy nimi: ta ogromna masa dóbr materialnych, praktykowanych sposobów opanowania i wyzyskania przyrody, narzędzi, technik, teorii²³.*

W Pasierbowej refleksji Europa jest „syntezą świata”, gdyż ukazuje pewne zjawiska powszechne, wykraczające poza jej granice. I Malta, będąca dla mieszkańców swoistym centrum: *obraca się bezlitośnie koła świata / dookoła*

wyspy (Nocą na wyspie, WD 137), jako wyspa stanowi część kontynentu: *jestes wyspą / wszystko co cię tworzy / należy do wspólnego lądu / kamienie i rośliny są te same / ale inaczej / osobno (Wyspa, WD 133)*. „Gorzka woda wokół” jest jednocześnie granicą jej odrębności i przynależności do reszty lądu. Obie: Europę i Malte, kojarzy poeta z więzieniem. Pierwsza – niczym *niebieski skorpion / w małej klatce zbudowanej z czarnych kwadratów / (...) więzi niepodobne do siebie miasta (Europa – świat, TiTB 77)*; druga – złożona z „małych poletek”, z których każde otoczone własnym niskim murem przypomina *małe podwórko wielkiego więzienia / którego strzegą opuncje jak druty kolczaste (Malta, WD 136)*. Punktem wyjścia tego porównania jest zapewne przeświadczenie, iż *dla człowieka nie ma odwrotu od kultury²⁴*. Za najcenniejszy w *Gaudium et spes* uznaje Pasierb fragment, który wskazuje, że jest ona *osobistym obowiązkiem i powołaniem każdego człowieka²⁵*. Bo *w końcu każdy / musi jakoś szlifować / swój kawałek świata / z wiarą że / może jakaś szczerka / go powiększy / a w którejś ścianie diamentu / zabłyśnie to / co ledwie przeczuwamy (Holandia 1991, BL 6)*. Dzięki kulturze osobistej człowiek uczestniczy więc w kulturze społecznej, umożliwiającej mu *pełny harmonijny rozwój osobowości²⁶*.

Kultura jest tym, co łączy ludzi ze sobą, ale i odróżnia. Zrodzona przez rodzaj ludzki jako kultura uniwersalna²⁷, nie jest jednorodna, lecz pluralistyczna. Jak mierzy się człowiek z wielością kultur, pokazuje poeta w utworze międzynarodowe sympozjum (DZ 8). Pytanie retoryczne pointujące wiersz: *czy dwunastolatka który się zgubił rodzicom / dopuszczono by tutaj do głosu?*, sugeruje, iż istota *dogadania się w Tantor na temat kultur* pozostaje „na zewnątrz”, gdyż uczestnicy sympozjum, zamiast drzewa kulturowego, tworzą *miniaturową wieżę Babel / złożoną z poważnych osób*. Porozumienie będzie możliwe tylko wtedy, gdy w każdym przypadku to, co narodowe, rozpozna się w tym, co (ogólno)ludzkie. Trzeba zauważyć, że „przez okna sali posiedzeń”, w której odbyło się sympozjum, widać „prowincjonalne Betlejem”. Gdy bohater Pasierba patrzy na swoją „małą ojczyznę” przez pryzmat tej wielkiej, przekonuje się, że „odrębne” i „powszechne” są sobie potrzebne: *Do Pelplina przyjeżdżam wczesnym rankiem. (...) Tu będę chyba mieszkał do śmierci. Ze takie małe miasteczko? Po tylu podróżach wiadomo już mniej więcej, że świat może być jedną rzeką, jednym kościołem, jedną ulicą, drzewem za oknem, odrobiną książek, płyt i last but not least – kilku dobrymi ludźmi. Można jeździć po całym świecie, ale gdzieś trzeba mieszkać²⁸.*

Liczne podróże uświadomiły mu, że zakotwiczenie w świecie zawdzięcza temu najbliższemu sercu miastu. Prowincjonalizmem był przecież naznaczony także Chrystus. Zbawiciel ludzkości urodził się w Betlejem jako syn cieśli. Poeta, ukazując Go wędrującego zakurzoną drogą między „judzkimi wzgórzami”, najchętniej z dwunastoma uczniami, idącego jak oni, „ciężko po chłopsku” (trzynastu, DZ 10), przybliżył, że: *Chrystus był zakorzeniony w kulturze swej epoki i swego kraju, aprobując określone obyczaje, używając języku, podporządkowując się nakazom religijno-etycznym itp. Równocześnie jednak, poprzez uniwersalizm swej nauki, wykraczał poza ówczesną kulturę²⁹*. Żyjąc w czasie i przestrzeni, przekroczył obie te kategorie.

Antynomie w Pasierbowej refleksji są podstawowym warunkiem rozwoju autentycznej kultury³⁰, nie zaś jej ewenementem czy wynaturzeniem. Są domeną kultury w ogóle, w każdym czasie: jej udziałem stają się trzy perspektywy: przeszłość, teraźniejszość oraz przyszłość. W soborowej konstytucji czytamy przecież, iż człowiek w kulturze współczesnej z *niepokojem do-*

²¹ MnC, s. 15n.

²² SiS, s. 41.

²³ Tamże, s. 42.

²⁴ Cf. S. Bartnik: *dr. cyt.*, s. 807.

²⁵ GŁ, s. 135.

²⁶ S. Kurkiewicz: *dr. cyt.*, s. 106.

²⁷ SiS, s. 42.

²¹ S. Czarnowski: *dr. cyt.*, s. 158.

²² Cf. S. Bartnik: *dr. cyt.*, s. 404.

²³ S. Czarnowski: *dr. cyt.*, ss. 10-11.

strzeżę liczne antynomie (zazn. – A. R.). Niepokój jest stanem zamętu, który zmusza nas do zastanowienia się nad „tu” i „teraz” nad tym, co wybrać, lego rolą jest burzyć siłę inercji. W takim też sensie antynomie gwarantują kulturze żywotność, chronią ją przed uwiędnięciem. Przeto są warunkiem koniecznym jej trwania (tzn. ciągłości) i rozwoju. Odstaniając prawdę o ponadczasowym zakorzenieniu uwikłanego w czas i przestrzeń człowieka, odwzorowują to ipso jego strukturę ontologiczną. Pasierb, przyglądając się więc antynomiom bytującym w kulturze, akcentuje jej antropologiczną podstawę. Tylko kultura rozwijająca się wśród napięć i antynomii posiada prężność, tylko ona – właśnie dzięki swej niejednorodności i niejednorodności – stanowi szansę wolnego i harmonijnego rozwoju jednostek. Bo do czego to się w gruncie rzeczy sprowadza, jak nie do sprawy uznania rzeczywistości ludzkiej?¹⁸

Kultura jest główną metodą w przezwyciężaniu ambiwalencji ludzkiej egzystencji¹⁹. Nie przez zniesienie różnic między: istnieniem i nieistnieniem, dobrem i złem, prawdą i fałszem; słowem: wartościami i antywartościami, lecz przez utrzymanie ich w napięciu, by współbrzmiały. Niewątpliwie przekraczanie granic jest jedynym sposobem istnienia człowieka godnym jego samego: *National Gallery: wszystkie obrazy jakby świeżo po konserwacji, w znakomitym stanie. Tłumy ludzi, także młodzi Murzyni, niektórzy biednie ubrani, chyba nie studenci. Zawsze intryguje mnie działanie sztuki, jej zdolność do przekraczania granic kulturowych, osmotycznych wprowadzie, ale przecież tak decydująco oznaczających tych, co się w nich urodzili. Własna kultura wprowadzie obdarza wolnością, ale za cenę posłuszeństwa, poddania się niepisanyemu dyktatowi. Domaga się wyłączności. Ustanawia granice*²⁰.

W tych „od zawsze” podejmowanych próbach osiągnięcia przez człowieka jedności²¹, najważniejszy okazuje się imperatyw dążenia. Nawet jeśli człowiek tworzy dzieła, jak to w Salzburgu, w którym *pojednano jest wszystko / ciężki romański łuk / i rokokowa muszelka (Geistliche Abendmusik, TIGB 82), harmonii, jaką uzyskuje, nie zawdzięcza sobie. Kultura umożliwia człowiekowi spotkanie z Tym, który gwarantuje najgłębszą jedność wszystkiego, co świat znaczy²². W takim też sensie jest on obrazem i chwałą Boga (I Kor 11, 7).*

Agnieszka Reszczyk

¹⁸ Tamże.
¹⁹ Cf. S. Barthele: ds. 171, s. 404.

²⁰ ORL, s. 19.

²¹ Zawsze (...) człowiek dąży do rymyzy szlak. Liturgia uwydatniając niewidzialne oświadczenie się do wszystkich stworzeń – namyślnie do powrotu przez: *konieczność i konieczność* – i dlatego może być dramatem doskonałym. Gil., s. 174.

²² Tamże s. 176.

Paranoja

PARANOJA

PARANOJA

PARANOJA

JAKUB WĘGRZYN

Miasto duch

trolejbusy szybkie łączą
krzyki znaków mundurowi
robotnicy piach budowa
rejestracje poploch mrowi

biją dzwony stłuczka alarm
białka oczu śnieżki mroźne
targują się rynek towar
bałwochwalstwa i utopie

brzdęk zebraczki plastik kubek
trzeszczą śmieci brukiem ulic
neon freon głód napiwek
stuk obcasów w pudłach spódnic

– przepraszam gdzie jest Jezuicka?

– za Czarcią Łapą w prawo...

Lublin

dogasał zimowy oddech ulic
po bruku szwendał się pies
chochlikom płonęły dwa lica
a w klatkach barowych rósł śmiech
Sokrates miejscowy grał w szachy
a pionki ulicy szły w tan
próbując swym strachem przestraszyć
figury co cenią swój czas
przekupki liczyły utargi
a szczury piszczały u bram
psy psoty węszyły złowieszcze
dusił się gwar długich cieni
w latarniach schylonych jak dziad
tu skończył się we mnie młodzieniec
tu...

ku misji kukam
tu to siebie dzierzę

tu ku górze lukam
tu się ciągle mieszcze
w tym mieście niedokończonych rewolucji

Profanom od sacrum

święto krasnali, święto króliczków
życzenia na jaja pod choinkę
wystawy sklepowe wystające z walizek świątecznych cioci i wujków
serie esemesów uprzejmych jak seriale cyklicznych rodzinnych spotkań
– to mały Jezus się rodzi, Jezus zmartwychwstał... – cicho, cicho nie teraz
nie wymawiaj imienia Pana Boga swego na daremno
daremne żale, nieszczęsne ochędóstwo, żalosne ubiory
Twojej najtkliwszej intencji
jeszcze gwiazdka, kawał ciasta, zapach suszu i karnawał
pieszczot garstka, zawał miasta, popłoch zmuszeń i KARNY WAI., rytuał,
forma, istnienie
wielki karny wał chroniący przed nadmiernym myśleniem
rzeką myśli, metafizyką, treścią, istotą
tylko spokojnie
tylko spokojnie

Szpital

drzwi zavalone rycinami słabych kobiet
okna zabite brakiem społecznych nitek

tańczy byt z niebytem
ulica z poczekalnią
jedno o drugie kaleczy
leje się krew ulicy
pulsują gabinety żył

suną odorem kalejki konwulsje chore
kobiety gazety mężczyźni rany blizny

rentgen mrowi uszy
zmarszczki śwędzą oczy
rzeka narzekań
mocz nos moczy

– przepraszam kto jest ostatni w kolejce

– do czego?

pyta mnie uśmiechnięta zakonnica

Paranoja

PARA NO I JA

PARA NO I JAK...

PARA z Twoich ciepłych ust

zasloniłaś mi wszystkie szyby na PARĘ minut

pora przetrzeć oczy dotrzeć w rejon obcy niezbyt chciany

tam gdzie ściany kuja w uszy od samotnej zimnej głuszy

tam jest smród Twoich perfum

i twoje twarde lodowate ciało

i ten piszczący głos i klaunowaty nos

i te twoje wszystkie tandetne sukienki, w które się ubierałaś tylko wtedy gdy

nie byliśmy sami

i te twoje bujne piersi nadęte cudzym spojrzeniem

paranoja

dlaczego jesteś taka zdyszana kiedy rozmawiasz ze mną przez telefon?

dlaczego puszczasz moją rękę kiedy idziemy koło jubilera?

dlaczego zmieniasz temat gdy pytam Cię o Naszą przyszłość

a może w Ciebie ogóle nie ma skoro tyle w Tobie sprzeczności...

Jakub Węgrzyn

Książki nadesłane

Poezja

Uta Przyboś: *A ni tak*. Oficyna Wydawnicza SION 2, Kleśce 2009, ss. 138.

Magdalena Bielska: *Wolacje, wiadmo*. Wydawnictwo a5, Kraków 2009, ss. 51.

Jadwiga Dürr: *Kwiatłocieni. Poezje wybrane*. Wydawnictwo Miniatura, Kraków 2009, ss. 205+XV tablic (fotografie kwiatów).

Mateusz Wabik: *Spisek Mamiko*. Nowa Ruda 2009, ss. 36.

Stanisław Rogala: *Poezje wybrane*. Wstęp Andrzej Zaniewski. Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza, Warszawa 2008, ss. 183.

Kinga Elert: *Ranliwaść*. Posłowie Ignacy S. Fiut. Dom Wydawnictw Naukowych, Kraków 2009, ss. 79+plyta CD

Karol Samsel: *Manetekęjar*. Wydawnictwo Nowy Świat, Warszawa 2009, ss. 59.

MAKSYMILIAN DYMITR CZORNYJ

Panowie, takie mieliśmy rozkazy

Staliśmy na łysym płaskowyżu, zawieszonym pomiędzy skalami gór Taurus a Morzem Śródziemnym. Był chłodny styczniowy ranek. Słońce wschodziło czerwoną kulą, mnać nasze cienie na ustanej kamieniami ziemi. Powietrze było świeże i czyste.

Aslan splunął przetutym tytoniem.

- Jada - wskazał niewidoczny punkt u podnóża gór.

Trasa kolejowa Hagdad - Sztambuł gięła się wśród skal chropawym żelastwem turów.

- Dziesięć tysięcy - mruknąłem. - Cholerne sto setek.

Kamal zamyślił się.

- Ile to może być wagonów?

- A bo ja wiem? Pewnie kilkaset.

- To nie może być jednym transportem - mądrze zauważył Aslan. - Musi być kilka albo i kilkanaście.

Zadeptałem dogasającego peta i skinąłem na mężczyzn.

- Poprawcie mundury. Nie wiadomo, kto z tym wszystkim przyjedzie.

- A gówno - Aslan znów splunął. - Tak mi się pali ta służba, jak smród w gaciach.

- Rób, co mówię.

Ociągając się poprawili pasy, przyglądali kurtki i ubtupali buty. Bez słowa wpatrywali się w coraz wyraźniejszy zarys pociągu i ciągnący się nad nim obłok dymu.

- Kamal, jedź do Asdrun - mruknąłem. - Niech przyjdą wszyscy, którychśmy wczoraj wywołali. Bez żadnych wymówek.

Kamal bez słowa podszedł do uwiązanych koni, odplótł powróż i wskoczył na wychudzony grzbiet. Byliśmy w drodze od ponad tygodnia, ciągle na tych samych szkapach.

Cztery dni wcześniej dotarliśmy na skraj płaskowyżu i zgodnie z instrukcjami wyszukaliśmy jego najbardziej stromy odcinek. Morze bilo o pionowy klif kilkadziesiąt metrów pokł nami i byłem pewien, że właśnie o takie miejsce chodziło. Telegraf do sztabu zawierał kilka współrzędnych geograficznych, nazwę miasta i stacji. Mieliśmy czekać na dalsze rozkazy.

Kilka kilometrów na wschód, w głębokiej dolinie, lśniły białe domy niewielkiego miasteczka. Już pierwszej nocy spiliśmy się i przegrali w karty dwa wolne konie. Niby wojskowe, ale szczęśliwiec jakoś je uchowa przed wścibskimi oczami. Nam pozostało stwierdzić, że padły w drodze. Zamęczone czy chore. To nie miało znaczenia. Przez te trzy dni byliśmy więc w ciągłym rozjeździe między miasteczkiem a namiotami, któreśmy rozbili na płaskowyżu. I tak mieliśmy zgłaszać się co parę godzin na stację, wyglądając meldunku. Po dwóch dniach nadeszła krótka notka - „Dziesięć tysięcy. Czekać w środę rano. Gotowi”. Martwiła nas sama końcówka. Co u licha znaczyło „gotowi”?

- Dziesięć tysięcy to poważna rzecz - sapnął Aslan. - Trzeba by kogoś do pomocy może.

- Dobrze ty mówisz - odparłem. - Jutro pojedziemy do Asdrun. Po ludzi.

- A kogo ty tam uraczysz?

- Obojętnie. Pasterzy czy duszpasterzy, psia ich mać.

Kiedyśmy przybyli do miasteczka, jak na zawołanie prawie wszyscy zniknęli. Na morzu kołysało się kilka ludzi, ale wokół nie było żadnych rybaków.

- Co tu tak pusto? - zapytałem starej baby, która kiwała się na ławeczce przed chatą. Miała zwiędniętą, pomarszczoną twarz i pewnie czekała na plotki.

- Transportery wojskowe jada - syknęła. - Musicie wiedzieć, panie oficerze.

- A co to ma za znaczenie?

- Pewno się jakaś akcja szykuje. Albo kolejna branka. Wszyscy tu mówią o wojnie z Grekami, to musi jakiś jest w tym związek.

- A tam - machnąłem ręką. - Przywołaj mi, babo, kilku chłopca, a się odwdzięczymy.

Starowina pokręciła głową i uśmiechnęła się.

- Czym to byście się mieli odwdzięczyć? Trzy kunie wam ledwo po kartach zostały. Na ile ich chcecie wziąć?

Zastanowiłem się. Wszystko mogło potrwać najdłużej tydzień.

- Do wieczora wrócą - rzekłem. - Jutro byśmy ich wynajęli. Byle się nam dzisiaj stawili.

I tak udało się nam uzbierać kilkunastu co pokorniejszych mężczyzn. Mieli być gotowi następnego ranka. Pod groźbą sądu.

- A sąd wojenny to straszna rzecz - pogroziłem im na odchodne.

Tak więc Kamal pojechał po tych ludzi, a my obserwowaliśmy sunące w kłębach dymu wagony. Pociąg był jeszcze daleko, ledwie u podnóża gór i do przybycia na stację potrzebował jeszcze co najmniej kwadransa.

- Czas na nas - skinąłem na Aslana. - Jedziemy z komiteem powitalnym.

Aslan uśmiechnął się krzywo. Miał okrągłą, miłą twarz, mocne ramiona i grube cielsko. Mimo porannego chłodu jego czoło zroszone było potem.

- Ja to zrobiłbym całkiem inaczej - mruknął.

- Jak?

- Spieprzyłbym stąd najdalej, gdzie się da.

Uśmiech zniknął z jego twarzy i zastąpił go grymas lenistwa. Odwrócił się w stronę namiotów.

- Samira! - wrzasnął. - Samira, do kurwy nędzy!

Po chwili pola namiotu odchyliła się i wyrzała zza niej potargana głowa kobiety. Speszona wbiła spojrzenie w ziemię.

- Jedziemy na stację - Aslan mówił spokojnym głosem. - Kiedy tu wrócimy, a wrócimy szybko, mam cię nie zobaczyć. I lepiej, żeby nikt cię nie zobaczył.

Kobieta bez słowa znikła w clemnym wnętrzu namiotu.

- Czym jej zapłacisz? - spytałem odplątując powróż.

Pulchna twarz okryła się rumieńcem.

- Niczym. Powiedziałem, że jej mąż wróci cały do domu.

To był dobry pomysł. Z uznaniem pokiwałem głową.

- Jedźmy. Skład zatrzyma się za parę minut.

Słońce wzniosło się ponad ostre szczyty i oświetliło cały płaskowyż. Zrobiło się ciepło, ale zerwał się wilgotny, nadmorski wiatr. Na stację przybyliśmy tuż przed pociągiem. Kamienista ziemia drżała pod ciężarem sunącego transportu.

- Liczyłeś wagony? - spytałem. Dym gryzł mnie w oczy i przysłoniłem je ręką.

- Nie. Ale sporo tego.

Pociąg wyhamował i z piskiem blokowanych kół wtoczył się na stację. Stała tu budka stróża, rozsypujący się peron i dwa drewniane pawilony składu towarowego. Rozdzielała je zarośnięta, dawno nieużywana bocznica.

Spięliśmy konie i podeszliśmy do stróżówki. Drzwi otworzyły się, a w progu stanął niski, zgarbiony staruszek. Z dumą przyglądał pruski mundur kolejarski.

- Prezent od syna - mruknął szczerząc bezzębne usta. - Walczył w Europie.

Powtarzał to każdego razu, kiedy się zjawialiśmy. To i jeszcze lakoniczną wzmiankę o śmierci jego syna. Tym razem jednak zagłuszyło go ostatnie sapnięcie parowozu.

- Były jakieś meldunki? - zapytałem spoglądając na wagony.

- Żadnych.

- Więc co mamy robić? Co do cholery mamy robić?

Staruszek wzruszył ramionami.

- Jak się panu oficerowi podoba ten mundur? - mężczyzna dumnie wypiął pierś. - Gdzieś były jeszcze orderzy, ale przepadły.

Bez słowa machnąłem ręką i ruszyłem w stronę pociągu. Z pierwszego wagonu wyskoczyło kilku żołnierzy. Nie zwracając na nas uwagi zapalili papierosy.

- Macie ogień? - zawadiacko rzucił Aslan.

Żołnierze odwrócili się do nas.

- Kto wy?

- Komitet powitalny - mruknąłem. - Gdzie wasz dowódca?

- Zaraz się pojawi - odpowiedział niski, smagły chłopiec. - O, z tamtej kozety - wycełował palcem na pierwszy wagon towarowy. - Trzeba go odryglować.

Dwóch żołnierzy zdjęło zasuwę. Odciągnęli drewnianą przegrodę i stanęli po obu stronach wrót. W środku było ciemno i nagle, bez żadnego ostrzeżenia, z mroku wynurzyła się sylwetka konia. Czarne zwierzę wyskoczyło z wagonu, a schylony jeździec wyprostował się. Oficer nosił potężne, sumiaste wąsy, czyniące twarz jeszcze bardziej przystojną. Popatrzył na nas nie wchodząc z konia.

- Aziz padł dwa tygodnie temu - westchnął.

- Aziz? - spytałem.

- Mój wielbił.

- Przykro mi.

- Ach - oficer uśmiechnął się. - Ten koń to wspaniałe zwierzę. Wyścigowiec. Sprowadzony z Babilonu.

- Rzeczywiście piękny - zgudziłem się.

Mężczyzna zeskoczył na ziemię.

- No cóż, służba nie druzba. Macie tu dobre pastwisko?

- Ani skrawka. Sami ledwo wykarmiamy konie. Dopiero dalej, w dolinie...

Oficer spojrzal w stronę naszych zwierząt.

- Perszerony to to nie są - skwitował. - No, ale chodźmy do wagonów.

Z wnętrza dobiegał rozpaczliwy jęk bydła. Ze zdziwieniem popatrzyłem na towarzyszy.

- Jak mówiłem, nie ma tu żadnego pastwiska.

Wąsacz rześmiał się.

- Do niczego nam nie będzie potrzebne - odwrócił się w stronę pozostawionego konia. - Pilnujcie go, do diabła!

- To po co, ten cały skład?

Oficer nie zwrócił uwagi na moje pytanie.

- Macie tu kogoś do pomocy? Widzicie, że mało mam ludzi.

- Wkrótce stawi się paru pastuchów.

- Świetnie. Zjedzmy więc coś.

Poszliśmy do stróżówki, gdzie wypiliśmy po szklance ajranu. Był zimny i orzeźwiający. Aslan został przy koniach, wypatrując Kamala.

- Coś solidnego zrobimy na naszych kwaterach - powiedziałem. - Mamy przenośną kuchnię i trochę zapasów.

- Najpierw zajmiemy się tym talatajstwem - oficer popatrzył za okno, w stronę pociągu.

W tym momencie drzwi otworzyły się i wszedł Aslan.

- Kamal przyjechał.

Wstaliśmy od stołu. Staruszek stróż poklepał mnie po ramieniu.

- Co panowie będziecie z tym bydłem robić? - spytał. - Tak ryczy w tych wagonach, że myśli zebrać nie można.

- Poprowadzimy na rzeź - parsknął wąsaty oficer.

Zdziwiony spojrzałem na niego, ale nie odezwałem się. Starzec spochmurniał.

- To może tak byście odstąpili z jedną sztukę?

- Nie da rady. My je wszystkie lapu capu i do morza. - Oficer zatarł ręce. - Ale dziękuję za ajran.

Staruszek nerwowo przyglądał mundur i zaszutował do nagiej głowy. Wyszliśmy na dwór. Wiatr przygnał z nad morza ciemne chmury, które przysłoniły słońce.

- Wy z tym bydłem niepoważnie? - spytałem.

- Całkiem poważnie - odparł oficer.

- Przecież to szaleństwo! Tyle mięsa...

- Takie mam polecenia. Cieszcie się, że to nie krowy, bo by było gównem z mleka na ajran...

Kamal wskazał na kilku zdezorientowanych mężczyzn.

- To oni. Stawilo się tylko tyłu. Ale wszyscy są pastuchami.

Nawet na nich nie spojrzałem.

- Nam nie trzeba pastuchów, tylko poganiaczy. Poganiaczy skurwysynów.

Oficer roześmiał się.

- Poczekajmy do południa, niech bydło jeszcze osłabnie - parsknął. - Nie będzie miało ochoty uciekać.

- Może od razu niech padnie w tych wagonach - mruknąłem.

- A chcecie to wszystko sprzątać?

Milcząc pokręciłem głową.

Wąsaty oficer nachylił się nad klifem. Przytrzymał futrzaną czapę i kucnął. Wyglądał na zadowolonego.

- Będzie z kilkanaście metrów - mruknął sam do siebie. - Może dwadzieścia.

- Wystarczy? - spytałem.

- Mnie się pytaacie? Wyleźć, to nie wyleżą na pewno. Bo jak?

- Ano nie. Ale mogą też nie paść.

Oficer wstał i ruszył w stronę namiotów.

- To już nie nasza rzecz.

Odwróciłem się do Aslana. Wciąż przeżuwał tytoń.

- Zbierz ludzi. Trzeba będzie wszystko podzielić na kilka razy.

Chmury gęstniały, a nad ład nasunęła się mgła i zimna mżawka. Oficer rzucił kilka rozkazów. Wsiadł na konia i odjechał w stronę stacji. Po chwili podeszło do mnie dwóch jego żołnierzy.

- Glupia sprawa, co? - zagadał wyższy, o posturze niedźwiedzia.

- Wojna się skończyła, armia musi się rozliczyć z...

- Z bydłem? - przerwał mi drugi. - Dlaczego nie można go rozdać?

- Ja nic nie wiem - odparłem. - Ale wykarmienie to cholernie droga robota.

- Ludzie z mojej wioski nie pogardziliby taką robotą.

- Nikt by nie pogardził. Ale nie jesteśmy w swoich wioskach, tylko w mundurach.

Potężny żołnierz roześmiał się serdecznie.

- A ja jestem Anglikiem - parsknął. - Odkąd Musul jest brytyjski, a nie rurecki, ja jestem Anglikiem.

- Co drugi z nas już nie jest Turkiem - mruknąłem.

Spojrzałem w stronę stacji. Konur pociągu rozmył się w tle drżącej, ciemnej masy. Poganiacze pędzili bydło w naszą stronę.

Aslan splunął.

– Dobry muzułmanin nie zjadłby takiego mięsa.

Wzruszyłem ramionami.

– Dobry człowiek nie wpięprzałby ich do morza.

– Święta racja.

– Święte gówno.

– Nazwij to, jak chcesz.

Analizowałem drogę, którą musiało przebyć ściśnięte stado. Namioty stały w bezpiecznej odległości i nic nie blokowało dojścia do klifu.

– Ruszajmy – nakazałem. – Nie chcę stać między nimi, a tą skarpią.

Otoczone pastuchami stado zbliżało się. Wyraźnie rozróżniałem już kontury zwierząt. Szły bez sprzeciwu, ze zwieszonymi łbami i napiętymi karkami. Były wychudzone i słabe. Tuż przy nich jechał oficer. Czarny koń zręcznie lawirował między zbaczającymi sztukami. Wąsacz popędził go w naszą stronę.

– Piękny widok, prawda? – krzyknął, zeskakując na ziemię.

Staliśmy na uboczu, odgradzeni od klifu gęstymi chaszczami.

– To jak antyczna tragedia – ciągnął oficer, nie odrywając wzroku od gnanej stada. – Nieuchronny koniec, potęga człowieka, zmagania żywiołów i takie tam.

– Mój człowiek został na stacji? – zapytałem, przypominając sobie o Kamalu.

– Tak. Pije ze stróżem i czeka na następny skład.

Kamienista ziemia drżała pod naszymi stopami. Jęk hydła mieszał się z bijącym o skały morzem. Zręcznie prowadzone zwierzęta nabierały rozpędu. Mogłem być dumny ze swich poganiaczy, ale czulem tylko obrzydzenie. Pierwsze sztuki mijaly nas o kilkanaście metrów. Ich smutne, ciemne oczy nabrzmiały krwią.

– Niesamowite – sapnął oficer. – Niesamowite...

W tym momencie, rozległ się głośny plusk, a gęsta masa zwierząt nagle załomem. Kolejne cielska napierały, nie pozwalając zatrzymać się tym na przedzie. Teraz jęk i wrzaskliwy kwik zagłuszały bijące o brzeg morze. Odwróciłem wzrok. Mżawka splukala mgłę odłanając łańcuch potężnych gór. Zbliżało się południe, ale słońce pozostawało za chmurami.

Ostatnie sztuki bydła rozbiegły się nad klifem i zatrzymały. Zmęczone głosy poganiaczy nie mogły ich nakłonić do rzucenia się w przepaść.

– Zastrzelcie je i zepchnijcie do morza – rozkazał oficer. – Wtedy będziemy mogli coś zjeść.

Żołnierz o posturze niedźwiedzia utkwil we mnie ponure spojrzenie. Ociągając się ruszył w stronę nieruchomych zwierząt.

– Durne, nawet nie uciekają – prychnął wąsacz.

Padło kilka strzałów i żołnierze razem z poganiaczami dopadli do zastygłych ciał.

– Ciężkie jak cholera – krzyknął któryś. – Mogli je bardziej wychudzić.

Podszedłem do krawędzi klifu i spojrzałem w dół. Morze okryte było walczącymi o życie zwierzętami. Rzuciły się na skalnych płycznach, między zanurzającymi się ciałami. Niektóre stały w wodzie, na stertach tych, które wcześniej padły. lęczały i parskaly, unosząc lby nad grzbiety fal. Oficer położył dłoń na moim ramieniu.

– Teraz możemy coś zjeść – powiedział.

Nigdy nie myśl

Nigdy nie myśl, że ci się nie uda. Jeśli dopuścisz taką możliwość, to znaczy, że rezygnujesz z walki. Przed wyjściem na pieprzony ring pamiętaj tylko o tym, by trzymać gardę wysoko i że wygrasz, bo jesteś lepszy. Przecież zrobisz, co mogłeś, by stłuc tego dupka naprzeciw – to cała mądrość życia. Po raz pierwszy Czak usłyszał te słowa, gdy nie potrafił jeszcze dobrze spiąć rękawic. Przed tamtą walką trzęsły mu się ręce, było mu niedobrze i zwymiotował.

Teraz, siedząc z fiaską wódki nad Bystrzycą, znów myślał o zbyt wielu rzeczach. Zrobiona z kija i plecionego sznurka wędka leżała na mokrych kamieniach. Czak wstał, poprawił powyginany haczyk i nabił na niego jedną z wijących się w rozbitym słoiku dżdżownic. Uśmiechnął się. Ta prosta czynność sprawiała mu przyjemność.

Z zarzuceniem wędki czekał, aż spłyną wirujące piany brudu. Jedna z rur w gorze rzeki wypłula setki litrów ścieków. Chłopiec zapalił papierosa. W zmiętej paczce gnieździły się już tylko resztki tytoniu, hibułka i połamane zapalki. Zbierał je i wyrzucał dopiero z ostatnim petem. Kiedyś tłumaczył to dziecięcą fascynacją książkami. W którejś wyczytał coś o zostawianiu śladów, lecz nie pamiętał już nic więcej. Mimo to pozostał w nim instynkt zbiega zacierającego po sobie tropy. To był kolejny sposób, żeby nie myśleć. Odcinać się od podążającej krok w krok oblawy.

Tamtego gościa ranił w równej bójce. W zimowy świt, gdy śnieg skrzypiał pod stopami a para buchała z ust. Był trochę pijany i nie czuł zimna. Wtedy zza rogu wyszedł Tamten. Elegancko ubrany, z papierosem w ustach i zadziornym uśmiechem. Obaj używali tylko pięści i mieli sporo sił. Jednak Czak uderzał trochę celniej, gardę trzymał wysoko i robił co mógł, by stłuc dupka naprzeciw. Kant betonowej latarni był ostry, Tamten upadł, a jego ciało zadrzżało. Wybałuszył oczy i zamarł w bezruchu. Ci z karetki dobili go na chodniku, a później wrzucili do wozu i odjechali. Bez sygnału. To była krótka walka i długi dzień.

Chłopiec cisnął dogasającego papierosa do rzeki. Nie lubił wspomnień, a to napawało go obrzydzeniem. Piana spłynęła i zarzucił wędkę. Nurt porwał przynętę, a kij wygiął się szurając o kamienie. Chłopiec spojrzał w niebo. Był wieczór, chmuryło się i myślał, żeby przespać się przy muście. Wysokie zarośla musiały chronić przed zacinającym deszczem, a na betonowych płytach mógł zrobić ognisko.

Trzeba było coś ukraść – pomyślał. – Nawet jak złowię jakąś plotkę, to będzie cuchnąca. Zresztą mam jeszcze parę groszy, starczyłoby na bulkę i kawałek kiełbasy. Bokser musi trzymać wagę, tak mówił trener. Bokser, do kurwy nędzy, musi się zdrowo odżywiać. Zawsze kłął, gdy widział ich, objadających się po treningu. Wychodził na zewnątrz wypalić papierosa i pogadać. Trener to tak naprawdę smutny człowiek. Samotny. Nie bardziej niż ja teraz, ale na pewno samotny. I te jego oczy. Zawsze podpite, rozdzielone nusem złamanym więcej razy niżby spał. A oczy Tamtego. Wybałuszone i nic niewidzące. Dość tego!

Chłopiec chwycił garść kamieni i cisnął je w wodę. Wsądził wędkę między betonowe płyty i wstał. Musiał rozprostować nogi. Przeszedł brzegiem rzeki szybko wymachując ramionami. Czulem rozciągające się mięśnie pleców i barków. Zatrzymał się przy samym muście, lustrując przestrzeń między pierwszymi przęsłami a rzeką. Leżało tam kilka butelek, stare zawilgucone gazety i jeden rozdarty but. Wszystko to wyglądało dość żałośnie, ale Czak postanowił tu spać. Sypiał i tak krótko, choć często, więc miejsce nie robiło większej różnicy. Właściwie przesympiał całe dnie z głodu i nudów, lecz o dziwo zawsze był senny.

Chłopiec odwrócił się w stronę wędki. Z politowaniem spojrzał na grubą sznurkę, obłupany kij i słoik dżdżownic. Części z nich udało się pokonać szklaną barierę i uciec. Pelzały teraz po mokrych kamieniach, rozciągając swe długie, różowe korpusy. Chłopiec łowił raz, gdy był jeszcze mały i nie miał o tym żadnego

pojęcia. Wędkę znalazł w górze rzeki, była zabawką jakichś dzieciaków. Jeszcze nigdy nie udało mu się nic schwycić, ale był pełen dobrych myśli. W końcu szczęście musiało się do niego odwrócić.

Gdy usłyszał szelest i trzaski rozgarnianych gałęzi, zdążył tylko przykucnąć. Z krzaków wynurzył się przygarbiony mężczyzna. Wyniszczona, purpurowa twarz nie wyrażała żadnych emocji. Mężczyzna minął Czaka i usiadł na betonowej płycie, ręką wędki.

- Twoja robota, mały? - zapytał pstrykając w kij.

Chłopiec w myślach zganil się za nieostrożność. Dźwięki miasta, pędzących pobliską ulicą samochodów i ludzi rozpraszały go. Łatwo dal się zaskoczyć. Ale przede wszystkim był cholernie zmęczony, a zmęczenie przytępia zmysły.

- Coś taki cichy? - mężczyzna odwrócił się w jego stronę. - Mowę ci odebrało, czy jak?

- Znalazłem ją - odparł.

- Aha - przybysz kiwnął głową.

- Aha?

- No, po prostu, aha. Nie rozumiesz?

Czak uśmiechnął się.

- Rozumiem.

- Zaczepny z ciebie chłoptaş - mężczyzna pogroził palcem. - Zaczepny gówniarz.

- Może...

- Tak cię zwą?

- Czak.

Chłopiec usiadł na kamieniach.

- To chyba po amerykańsku, nie?

- Trochę.

- Ja jestem Tadek - mężczyzna niezgrabnie machnął ręką. - No to się znamy.

- Ano - zgodził się Czak.

- Tylko co ty tu robisz?

- A pan?

Tadek cicho gwizdnął.

- Masz tupet, Amerikano. I podobasz mi się - podszedł do chłopca i klepnął go po ramieniu. - A co ja tu robię? Przychodzę, jak nie mam nic innego na głowie. Czasami lubię odpocząć od cuchnącej kamienicy, od całego tego gładzenia. Przychodzę i zasypiam gapiąc się w gwiazdy.

- Dzisiaj niebo jest całkiem pochmurne - zauważył Czak. - Pewnie nie będzie gwiazd.

- One zawsze gdzieś są - Tadek przyglądał tłuste, czarne włosy. - Ciągłe nie odpowiedziałeś na moje pytanie.

- Włóczę się - mruknął chłopiec. - Chciałem się zdrzemnąć.

Mężczyzna wygiął kij i poprawił wędkę. Oplół sznurek wokół palca, ściągając przynętę bliżej brzegu. Popatrzył na rozbity słoik i pelznące dżdżownice.

- Nic z tego nie będzie - westchnął. - Może rano, na słońcu, coś wypłynie. Ale na pewno nie teraz.

Czak nie odezwał się. Zapadła już gęsta noc, a jedynie światło dochodziło ze stojącej za mostem latarni. Ulicą przejechała karetka i chłopiec wzdrzgnął się.

- Kiedyś udawało się coś złowić - ciągnął Tadek. - Ale dawno nie próbowałem.

Mężczyzna dostrzegł opartą o kant betonowej płyty butelkę wódki.

- Poczestujesz? - zapytał sięgając po nią wielką, brudną łapą.

Chłopiec splunął.

- Nie radzę. Znalezione, wywietrzała i syf. Była resztką, wziąłem ze dwa łyki i rzygać się chce.

- Gorsze rzeczy się piło - Tadek przechylił butelkę i wlał jej zawartość do ust. Szybko przełknął i odkaslnął. - Zgoda mały, to był syf.

Mężczyzna rzucił pustą szklankę w krzaki.

- Kiedyś właśnie tak łowiło się ryby - westchnął. - Związywałeś całą górę butelek i kładłeś pod nurt. Jak ryba wpłynęła, tu było po niej. Tylko małe gówna tak się łapało, dobre na przynętę nad zalew. Bo nad zalewem... Tam to się kiedyś łowiło!

Czak milcząc skinął głową, znowu był śpiący. Tadek położył się na betonie.

- Milczek jesteś - parsknął. - A ja straszny gaduła. Bylem miał słuchacza.

- Mnie to nie przeszkadza - odparł chłopiec.

- Na pewno?

- Ani trochę.

Mężczyzna oparł głowę na ramieniu i popatrzył uważnie na Czaka.

- Miałem żonę, uwierzysz? Całkiem ładną, zgrabną kobitkę. Aż któregoś razu zwarlowała i wbiła mi nóż w plecy, o tu - wzruszył prawym ramieniem. - Ledwo mnie odratowali. Pamiętam, jak się darła: ty, ty, skurczybyku jeden! Pierdolec! Możesz myśleć, że ją zdradziłem. Ale ja naprawdę nie miałem pojęcia, o co jej chodzi.

- Co się z nią stało? - zapytał chłopiec.

- Pewnie jeszcze siedzi. Niewiele mnie to interesuje.

- Nie myśli pan czasem o niej?

- Pewno, że myślę. Ale tylko ze złością. Tu taka głupia sprawa, myśleć o kobiecie ze złością. A ty miałeś jaką?

Czak uśmiechnął się dumnie.

- Miałem. Niejedną.

- I?

- I nic, trzeba zapomnieć.

- Rozumiem - Tadek przekręcił się na boku. - Żeby zapomnieć, to przydałaby się jeszcze ta wódka.

- Ano. Tylko parszywa była.

- Parszywa jak psia krew. Lubię cię Amerikano.

Gdzieś w oddali zagrzmiąło i mężczyzna podniósł się wypatrując błysku. Powiał chłodny wiatr, więc skulił się w kuckach.

- Uciekłeś skądś? - zapytał. - Kiedy przyszedłem, wyglądałeś na przestraszonego.

- Nie - Czak zacisnął zęby.

- Mnie to nie obchodzi. Nie bój się Amerikano, co byś nie narobił, to jesteś ze swoim.

Chłopiec milcząc skinął głową.

- Tak myślę - mówił Tadek - że coś nie tak z tą wędką. Nie to, że z kija i sznurka, bo to ujdzie. Ale coś innego.

- Co?

- Obciążyleś ją jakoś?

- Nie pomyślałem o tym.

Czak podszedł do wędki i wyciągnął ją na brzeg. Dżdżownica okręciła się wokół haczyka, więc chłopiec ją zrzucił.

- Daj - mężczyzna chwycił kij i rozpruśtował sznurek. W bladym świetle latarni wyglądał całkiem dobrze, postawny, wysoki, jedynie przygarbiony. Opuchnięta twarz wciąż nie wyrażała emocji. Żadnego grymasu ani uśmiechu. Chłopiec pomyślał o Indianach i wszystkich tych książkach, którymi się zaczytywał. - Teraz będzie dobrze - Tadek przymocował do splawika oberwaną z koszuli łatkę i nabił na haczyk dwa robaki.

- Dzięki - odparł Czak. - Zna się pan na tym, co?

- Trochę. Kiedyś przesiadywałem tu sporo czasu. Jak były żaby, to rzucało się w nie kamieniami. Albo wkładało im słomkę do gardła i dmuchało, a one

pęczniały i pęczniały. Pamiętam, jak któreś zimy lód skul całą rzekę. Łapaliśmy koty, szukaliśmy lupin orzecha, nakładaliśmy im na lapy i chlast na tasflę! Żelżyś ty wiedział, jak one tańcowały! Prawdziwy balet.

– Popatrzyliśmy – powiedział chlupiec. – To musiało być całkiem zabawne.

– Uwierz mi, Amerykano, było.

Burza nasuwała się. Kolejne grzmoty uderzały coraz bliżej, ale wciąż nie padało. Błyskawice przecinały niebo na zachodzie, oświetlając ciemny zaułek.

– Nie wiem jak ty, ale ja kładę się spać.

Mężczyzna zdjął podarty płaszcz i ułożył się na nim. Przez chwilę wiercił się, wreszcie usiadł, zsunął buty i położył się znowu.

– Lepiej też śpij – sapnął. – Jutro jest kolejny dzień.

– Postaram się – odparł Czak.

Chłopiec czuł się niepewnie, obecność obcego niepokoiła go, ale był bardzo zmęczony.

– Będzie burza, ale nie włącz pod most. Tam jest mnóstwo robactwa.

– Dobra.

Czak wsłuchiwał się w odgłosy nocy. Ulica prawie całkiem ucichła, jedynie z ruder za rzeką dobiegały odgłosy pijackiej imprezy. Mężczyzna po chwili zasnął i cicho chrapał. Burza musiała minąć miasto, bo grzmoty były coraz radsze i cichsze. Chłopiec pomyślał, żeby odejść, ale wiedział, że duma nie pozwoli mu na to.

On śpi – analizował. – Mogłbym teraz zabić go tak samo jak Tamtego. A kiedy zasną, będę równie bezbronny. Wszyscy we śnie jesteśmy bezbronni. W choler-nych książkach ludzie zawsze śpią czujnie. Ale co to, u licha, jest czujny sen?

Chłupiec nie wiedział, kiedy zasnął. Gdy się obudził, był już świt, a Tadek zniknął. Czak przeciągnął się i poczuł wielki głód. Była niedziela i ulica wciąż wydawała się spać, przecinana od czasu do czasu świstem samochodów. W nocy nie padało i chłopiec był całkiem wyspany.

Dobrze, że ten stary poszedł – pomyślał. – Wolę być sam. Właściwie to już przyzwyczałem się do tego.

Podszedł do wędki i wyciągnął ją spomiędzy płyty. Poczul ciężar na końcu sznurka. Niebo było pogodne, a w porannym słońcu rzeka skrzyła się i chłopiec nie widział dna. Delikatnie pociągnął kij starając się przybliżyć ofiarę do brzegu.

Musiałem coś złapać – stwierdził zadowolony. – Byle to nie był kulejny but czy puszka. Ale jak wyjąć to cholerstwo?

Delikatnie unosił kij w górę. Pilnował, by sznurek nie był zbyt napięty i nie zaplątał się w kamienie. Postąpił kilka kroków do tyłu, gdy usłyszał szelest krzaków.

To pewnie ten papla – myślał. – Nie mogę odpuścić pierwszej ryby. Tę walkę też muszę wygrać, tylko nikt mi nie powiedział, jak mam trzymać gardę.

Chłopiec uśmiechając się spojrzał w stronę zarośli. Kiedy zobaczył mundur, rzucił wędkę, która potoczyła się po kamieniach. Trzech policjantów pewnie kroczyło w jego stronę. Zza ich ramion wynurzył się Tadek. Jego purpurowa twarz była cała spocona i nieruchoma.

– Pewnie z domu uciekł – mówił do mundurowych. – No, ale... Panowie, czy jakiś nagroda... – Tadek wyciągnął spracowane dłonie.

Czak trzymał gardę wysoko i bardzo chciał wygrać. Było mu wstyd z powodu porażki z pierwszą rybą.

Maksymilian Dymitr Czornyj

Z kawałymi wiatru powiewam
tychże kalut po burzy

Czasem zaszkodził w tobie
jak piersi skłonię

KAZIMIERZ NOWOSIELSKI

Wysłuchany

Wysłuchany – za sprawą
jakiego żalu?

W księżce dochodów – rozchodów
coraz więcej zamazań
poprawek

W wierszach wersów składanie
ostrożne
dokładne

(Przybywa w koszu
pokreślonych kartek)

Za oknem drzewo
rosnące na chwałę
samego istnienia

a ty światła szukasz
w najmniejszym z ocalań

Rozbłyśki

Wsparty o ścianę
obserwujesz blaski
na rzeczy mijaniu

W kącie podwórka
gniją jabłka w wiadrze
Muchy – owocówki
zwabione zapachem
wznoszą się kurzawą

Na nagranych deskach
śpi ciężarna kotka
Psiak podskakuje
– chciałby się dostać
do jej ogona

Stara Minkowa
dźwiga kosze z torfem
Mamrocze pod nosem:
psi grosz
kurze proso
czarcie nasienie

Mijają rzeczy
– Irwa sprawy zdawanie:
w rachunkach sumienia
rachunek z widzenia

Rozblyski na ścianie

Tu i tam

Za zasłoną ciemności
ktoś oczekuje?

Od czasu do czasu
jakaś gałąź sosny
poprawi się pod nieboskłonem
Spadnie szyszka

Pod chmur skrzydlami
szelest zeschniętej trawy
Nikłe błyski
nad horyzontem

Pod łąkową darnią
śpią pomordowani

Za gęstwą lasu
pomrukuje burza
Wiatr sosnami chwieje

Dołem się cisza
barwinkami ściele

Przy oknie

Siedzisz przy oknie
– w cóż tak zasluchany?

Nicość swoje zamiary
powierza szeptom umarłych

Z każdym wiatru powiewem
zapach kałuż po burzy

Czasem zaskomli w tobie
jakiś pies skulony

Długą drogę przebyłeś
Z losem się naszarpałeś

Deszcz przeszedł Zmył ślady
Przebrzmiało

Dary

W jakich słów rozjaśnieniach
w jakim wyciszeniu
szukać prawdy o tobie – –
Raz po raz przystaję
bo nie wiem czemu – i komu
na drogę – choćby ten dar światła
w którym fuga Bacha
gałąź kwitnąca przed owocowaniem
strojenie się wiosny w trawę
czasu upływanie
– i jakaś miara
w liści opadaniu

W dłoni

Dzień po dniu

nie z echa
lecz z rzeczywistości
tkane życie

i w najdrobniejszych
przejawieniach

nawet
kiedy w śmierć idzie

podtrzymywane
mocną ręką

Niewidzialnego

Wiatr

Ten wiatr niosący piasek
popiół epoki wrzawę
każdemu śpiewa inaczej

O jakże śpiewa inaczej
– dla coraz to innych oczu
inne kształtuje obłoki

I ty pobiegiesz za nim
jak dziecko za chmury cieniem

I ciebie już lekko muska
pustka po wietrze życia

Kazimierz Nowosielski



Marian Konieczny, pomnik nagrobny Barbary Kwiatkowskiej-Lass, Kraków, 1995.
Fot. A. Woźniak

TADEUSZ ZUBIŃSKI

Kochał piwo i koty – Hrabal romantyczny

Największy współczesny pisarz czeskiego języka urodził się jako nieślubne dziecko na Morawach, w Židemicach pod Brnem, w sobotę 28 marca 1914 r., w dzień świętego Jana Kapistrana. Rodzina matki wywodziła się ze wsi Konice. Matka, Marie, młodzianka kontystka w tamtejszym browarze, nie miała jeszcze dwudziestu lat i była dziewczęciem nad wyraz urodziwym. Jej srogi rodzic, Tomáš Kilian, w pierwszym odruchu zamierzał wygnać brzemienną córkę, ale dzięki dyplomatycznym zabiegom małżonki sprawa rozeszła się po kościach. Kto był ojcem Bohumila, pozostaje kwestią otwartą. Legenda głosi, że był nim przypadkowy rekrut, który szybko i kompletnie się zapodział; mówi się też, że może był nim przyszły ojczym František Hrabal junior lub nawet František Hrabal senior, czyli późniejszy „prawy” dziadek. Sam Hrabal opuścił kurtynę milczenia nad tą częścią biografii. Eksponował za to domniemane galijskie korzenie. Twierdził, że jeden z jego przodków po kądzieli był zapędzonym na Morawy napoleońskim żołnierzem, który ranny w bitwie pod Austerlitz, tuż pod Brnem zakochał się w jednej z wieśniaczek. Hańbiącego piętna panny z dzieckiem Maria Kilianova nie nosiła długo; po rocznej znajomości, 7 lutego 1916 r. wyszła za mąż za akuratnego i bardzo prawego, choć trochę gamoniowatego Františka Hrabala, w tym czasie zarządcę browaru w Polnie pod Jihlavy. Tam też przeniosła się z synkiem, nie tracąc kontaktu z rodziną. Szczególnie silna więź łączyła Bohouška z babcią Katarzyną, z domu Bartlovą.

Chłopiec był z urodzenia wagabundą, lubił się włóczyć po polach i lasach, najbardziej upodobał sobie browary i gospody, czyli serce i żołądek, a właściwie duszę Czech. Chodził też na grzyby (znany był nawet ze swego rysiego wzroku), lubił pływać i wiosłować. Na wakacje wyjeżdżał do Balbine, gdzie połowę mieszkańców stanowili Niemcy, dwujęzyczni i bardzo jowialni, zresztą ta druga – czeska – połowa też była dwujęzyczna.

Dorodna Maria Hrabalova była namiętą pasjonatką teatru, z sukcesami występowała w teatrze amatorskim. W Brnie na scenie wystąpił też jej pierworodny (jako czterolatek) w dramacie Aloisa Jiraska *Vojnaruka*. Wkrótce po owym debiucie cała rodzina – już czteroosobowa, gdyż na świat przybył braciszek Slavek – w lecie 1918 r. przeniosła się do Nymburka, gdzie rodzic, ów Francin z *Posirzyzyn*, otrzymał lukratywną acz odpowiedzialną posadę zarządcy browaru miejskiego, a bracia zajęli się hodowlą gołębi.

Nymburk to do dziś urokliwe miasteczko nad wodą, chlubiące się dobrym gimnazjum zawodowym i kilkoma amatorskimi teatrami, miłym parkiem nad brzegiem Łaby, paroma klasowymi hotelami i kilkunastoma równie świetnymi restauracjami, w których przechadzały się swobodne paniątki.

Hrabal całym sercem pokochał Nymburk. Kochał wiemie i szczerze, nawet kiedy w latach siedemdziesiątych jego książki znalazły się na indeksie, a jego samego usunięto z komitetu przygotowującego obchody siedemsetlecia miasta. Właśnie tam w 1924 r. pojawił się w życiu Hrabala postrzelony

stryjaszek Pepin, z zawodu szewc (kiepski) i były c.k. żołnierz. Wpadł niby na chwilę, a pozostał do końca życia. Choć Bohumil w latach 1925-1926 uczęszczał do gimnazjum w Brnie, na świadectwie z matematyki miał czwórkę, a z czeskiego ledwo trójkę, maturę złożył w gimnazjum realnym w Nymburku, czyli coś nie tak było z jego pilnością. Rok poświęcił na prywatne doskonalenie łaciny – tak, bywał Hrabal klasycznym; egzamin złożył w gimnazjum realnym w Czeskim Brodzie w 1935 r. Następnie studiował prawo na szacownym Uniwersytecie Karola w Pradze w latach 1935-1939, szlifując niemiecki i francuski, doktorat obronił dopiero w marcu 1946 r. Od 1939 r. pracował jako aplikant w kancelarii notarialnej pana Josefa Možuty w Nymburku. Podczas wojny, co bardzo zaważyło na jego literackiej biografii, był pracownikiem kolei na małej stacji Kostomlaty nad Łabą, niedaleko Nymburka. Następnie, od września 1946 r. do września 1947 r., działał jako agent towarzystwa ubezpieczeniowego, potem krótko był akwizytorem.

Uczył się, a właściwie samokształcił i chłonał potoczystą, acz pełną dygresji i glos piwną gadkę – biesiadników w gospodach Pod Gadającym Psem i U Douderów w Nymburku. Entuzjazmował się francuskim surrealizmem, w czym ambitnie sekundował mu wiolonczelista Karel Marysko. Po wojnie miał chwilę słabości, wstąpił do KPCz, po niecałym roku oddał legitymację, wyjaśniając: te same powody, które przywiodły mnie do KPCz, obecnie mnie od niej odwodzą. We wczesnych latach pięćdziesiątych opróżniał szambo – 1 maja kroczył z kubelkiem gnojówki na pole, a za nim akurat postępował pochód w jedynie słusznym kierunku. Pracował jako kelner, był robotnikiem w Hucie Poldi w Kladnie, w ramach wielkiej akcji „90 000 pracowników dla przemysłu”. 10 lipca 1952 r. doznał ciężkiego urazu głowy, leczenie trwało rok. Wymuszone studia terenowe pogłębiał jako pakowacz w magazynie makulatury na ulicy Spalonej w Pradze, był przez krótki czas drobnym urzędnikiem. Wybił się na statystę i rekwizytora w teatrze St. K. Neumanna. Niemalą część życia przepędził bujnie, ubogo, ale i bohemicznie w praskiej dzielnicy Libeň, mieszkając od grudnia 1956 r. do 1973 r. przy ulicy Na Hraži, czyli Na Grobli 24/326. W styczniu 1962 r. postanowił żyć z pióra, decyzja tyleż chwalebna, co ryzykowna. W rzeczywistości przez lata pozostawał na utrzymaniu żony. A ożenił się już w 1956 r. z Elišką Plevová, którą nazywał Pepsi i kochał wielką żarliwą miłością. Pepsi pochodziła z rodziny niemieckiej z południa Moraw, jej ojciec był zamożnym kupcem drzewnym. Po wojnie rodzina została rozdzielona, Pepsi pozostała w kraju swego urodzenia, w Czechosłowacji. Hrabal poznał Pepsi w nieszczęśliwym dla niej momencie – rzucił ją właśnie narzeczony, nie miała prawa do praskiego meldunku, pracowała na czarno w kuchni hotelu Paryž. Eliška przyszłego męża nazywała „doktorem”.

Hrabal, mieszkając na Hraži 24 na swym Libeňu, miał wszystko co niezbędne do życia: knajpy, piwo, przyjaciół od specyficznego czeskiego humoru. Parę kroków od mieszkania znajdował się bar Świat – studnia tematów literackich; spotykał się tam z prokuratorem, księdzem, mleczarzem, kolejarzem, tajniakiem, dziewczyną lżejszych obyczajów, którą pozdrawiał niezmiennie: „Jak się spało panienko?”. Miał pod ręką bliskich przyjaciół: malarza Vladimira Boudnika, już poetę Karela Marysko.

Bohumil Hrabal zaczął tworzyć już na studiach, wtedy powstały jego pierwsze próby poetyckie. Wówczas to o potędze piwa powiedział: czym dla dobrego katolika jest Rzym, czym dla dobrego komunisty Moskwa, tym dla dobrego piwosza jest Pilzno. Prace nad wydaniem jego pierwszego zbioru poetyckiego *Ziracena ulička* zostały przerwane przez komunistyczny przewrót w 1948 r. Pisane przed wojną wiersze, z widocznym wpływem poetyki surrealizmu, ukazały się dopiero w 1991 r. w zbiorach *Básněni* i *Židovský svícen*. Dla świata zadebiutował w 1956 r. książką *Hovory lidí*, wydaną w nakładzie śladowym 250 egzemplarzy, jako dodatek do rocznego sprawozdania Związku Czeskich Bibliofilów. W 1959 r. debiutancki zbiór

opowiadań *Skřivánek na niti* (*Skowronki na uwięzi*) zatrzymała i okaleczyła komunistyczna cenzura. Pierwszą książką, która ukazała się bez ingerencji cenzury, był zbiór opowiadań *Perlička na dně* (*Perla na dnie*), opublikowany dopiero w 1963 r., kiedy Hrabal miał 49 lat. Ogromne powodzenie tomu ułatwiło wydanie kolejnej już w następnym roku – *Pábitelé* (*Bajdurzacy*). W 1966 r. Jiří Menzel zekranizował opublikowane zaledwie rok wcześniej *Pociągi pod specjalnym nadzorem*. Film zdobył Oscara, a Menzel i Hrabal otrzymali nagrodą państwową im. Klementa Gottwalda. W 1969 r., jakby niesiony siłą rozpędu, Menzel ekranizuje *Skowronki na uwięzi*, ale dzieło trafia na długie lata na półki.

W dobrych finansowo czasach (w 1963 r.) Hrabal zakupił chatę w Kersku, jako miejsce azytowe, dokąd zamierzał uciekać z gwarnej i niewdzięcznej Pragi. W roku 1980 Jiří Menzel sfilmował *Postrzyżyny*, sytuacja materialna państwa Hrabalów ponownie uległa poprawie, kupili samochód, najpierw Renault 5, potem lepszy wóz – ciemnobrązowego Fordsa Escorta 1.3. W latach osiemdziesiątych ustalił się pewien rytm życia i pracy Hrabala. Bez względu na pogodę i porę roku każdego ranka z dworca autobusowego Florens wyjeżdżał w trasę do ukrytego wśród lasów Kerska. Po drodze kupował mleko i kurczaki, aby mieć czym nakarmić własne i bezdomne koty, które z czasem stały się głównym celem jego codziennych peregrynacji. Koty czekały na niego na przystanku, tu je karmił, a następnie jak orszak wyruszały za pisarzem do jego chaty. W chacie stała sfatygowana maszyna do pisania marki Consul, na której, otoczony wianuszkami kotów, codziennie wystukiwał teksty, słuchając w Radiu Wiedeń arii operowych i operetkowych. I tak do południa, bo w południe wyruszał do Pragi, aby pod wieczór stawić się, jak na rasowego sztangasta przystało, w piwiarniach Pod Złotym Tygrysem albo U Hynkův. Zresztą Hrabal co dzień nawiedzał twórczo inne gospody, na przykład U Sojkův, U Hakův czy Pod Dwoma Kotkami. Wierny był tylko piwnej katedrze – Złotemu Tygrysowi pod numerem 10 na ulicy Husovej. Na cowtorkowych posiedzeniach u Tygrysa bywał regularnie i były to dla niego biesiady silnie twórczo zapładniające.

W swym najlepszym piwnym okresie zamawiał do piwa kotlet, ale na ogół jadł tak zwane utopence. Nosił się wówczas barwnie, po cygańsku: kolorowy szalik, na głowie, bywało że nawet letnią porą, futrzana ruska czapka, zawsze zaś plecak (schyłkowy Hrabal plecak zamienił na banalne reklamówki). Żywiołem Hrabala stała się gawęda, budowana na dwóch poziomach: wysokim, klasycznym, opartym na autentycznym odczytaniu i wykształceniu, i niskim, codziennym, adekwatnym do sposobu życia i pasji. W nieco onirycznej prozie harmonijnie łączył wielką historię z piwiarnią, koty z polityką, obżarstwo z mitologią, kaca z poetyką surrealizmu. Jego proza stała się kwintesencją czeskości, w odmianie plebejskiej i dosadnej. A przecież w utworach Hrabala nie mamy taniej apologii marginesu społecznego, jak na przykład u Marka Nowakowskiego. Hrabal był konsekwentnym moralistą i człowiekiem zasad, na swój sposób oczywiście. Po 1989 r. stał się twórcą znanym i docenianym na całym świecie, a już szczególnie w Polsce i na Węgrzech, niekiedy nawet nachalnie lansowanym – z czasem namnożyło się bez liku najróżniejszych hrabalków w skali mikro i na tak zwany powszechny użytek i na każdą okazję.

Wcześniej, po 1968 r., objął Hrabala cenzorski zakaz publikacji, pisał więc do szuflady i publikował w obiegu samizdatowym. Zachowałem kilka hrabalowskich samizdatów – tchną naprawdę szczerym konspiracyjnym autentyzmem, odręczne poprawki mistrza rozczulają, zaś komentarze na marginesach bawią i wprawiają w zadumę. Nie pisano o nim, nie mówiono, książki się nie ukazywały, ale Hrabal w głębi kerskich lasów w swej samotni pisał do szuflady. A był to czas niezwykle twórczy. Doktor Milan Jankovič, w tamtym okresie jeden z nielicznych przyjaciół pisarza, wspominał, iż w lecie w 1971 r. Hrabal w osiemnaście dni napisał arcydzieło *Obsługiwałem*

angielskiego króla. Doktor Milan tak zapamiętał genezę utworu: w Sadsku Hrabal wysłuchał wspomnień i zwierzeń byłego kelnera albo barmana czy też właściciela gospody. Zwierzenia i bajdurzenia przy piwie i rumie ciągnęły się niemalże do rana. Hrabal wstał, poszedł do siebie, i w ciągu 18 dni i nocy napisał *Obsługiwałem angielskiego króla*. W tym samym okresie napisał: *Postrzyżyny*, *Czulego barbarzyńcę*, *Miasteczko, w którym zatrzymał się czas*. W 1975 r. w periodyku „Tvorba” opublikował samokrytykę. W 1978 r. ukazało się *Święto przebiśniegu* i jakoś – jakby powiedział Józef Mackiewicz – poszło pomyślnie. Ekranizacja *Święta przebiśniegu* wyreżyserowana przez Menzla miała miejsce w 1983 r.

Grzechy Hrabala: okazjonalny konformizm – jak już wspomniano krótko po wojnie wstąpił do KPCz, ale po roku wystąpił, co na pewno nie było już aktem konformizmu, potem podpisał opublikowaną w „Rude Pravo” serwilistyczną wobec reżimu Antykartę 77. Pisał też, autocenzurując się, teksty artystyczne, np. *Wesela w domu*.

Najcięższy dla Hrabala okazał się czarny rok 1987: w styczniu zmarł jego przyjaciel doktor František Mach, w kwietniu kolejny bliski człowiek – Jaroslav Kládiva, w maju – brat Bratislav (Slavek), ale najcięższy cios spadł na niego w sierpniu, gdy po przewlekłej chorobie odeszła Eliška. W dzień śmierci Pepsi pękła Hrabalowi obrączka. W listopadzie roku następnego zmarł Karel Marysko. Hrabal wierzył, że dusza żony wcieliła się w gołębicę, bo Pepsi lubiła karmić gołębie.

Slawa nadchodziła konsekwentnie, z nią pieniądze, ale tak naprawdę Hrabal stawał się coraz bardziej zgorzkniały, pozostawały mu koty i piwo. Miał duszę filantropa, rozdawał pieniądze na lewo i prawo, na przykład w listopadzie 1989 r. przyniósł do portierni Wydziału Filozoficznego Uniwersytetu Karola reklamówkę ze stoma tysiącami koron, położył dyskretnie i uciekł. Zawsze wspierał wszelkie poczynania zmierzające do ulżenia losowi zwierząt. Kochał kory totalnie, w pewnym czasie w chacie w Kersku zamieszkiwała czeladka 24 mruczków. Kochał koty, ale i psy były mu bliskie.

A teraz moja osobista dygresja: otóż tłumacz *Postrzyżyn*, Andrzej, w 1980 r. jeszcze tylko Piotrowski, bez wdzięku i bezdusznie przełożył imię szalonego acz uroczego stryjaszka Pepina na Pepi, całkiem jakby chodziło o księcia Józefa Poniatowskiego. A Pepin to figura znacząca: Josef Hrabal, brat ojczyma, weteran ek armii, z zawodu szewc, ściślej: ledwo łatacz obuwia. Objawił się jak meteor z innej epoki, gość nymburskiego browaru niby na jeden dzień, a pozostał do śmierci. Gawędziarz, mitoman, filut całą gębą, ale i niewyczerpana kopalnia anegdot i historyjek.

W roku 1983 Hrabal uległ wypadkowi samochodowemu, krótko potem napisał mikropowieść *Auteczka*, książeczkę szczególnie gorzką i autodemaskatorską. Koty mają tę przypadłość, że się łatwo mnożą i co z tym robić? Uśpić, rozdać, podrzucić albo porzucić? Widok kocich trupków, dzieciątek jego ukochanej kotki *Auteczka*, do których śmierci przyłożył rękę, będzie go prześladował do końca życia. „Nie chciało mi się żyć” – wyznał po eks-terminacji. Zaraz potem miał wypadek, jego samochód rozbił się pod stacją w Mochowie, a on sam wylądował w szpitalu w Nymburku z polamanymi żebrami. Jak skomentował: ano tragizm i komizm życia są bliźniętami.

Osobliwymi postaciami, przedstawianymi z sympatią i ironią w konwencji magicznej codzienności, oraz oryginalnym stylem z dwóch pierwszych książek Hrabal posłużył się jeszcze barwniej w *Lekcjach tańca dla starszych i zaawansowanych* (1964). To tam właśnie stryj Pepin w jednym długim zdaniu opowiada o swoich życiowych i erotycznych doświadczeniach z koszarową swadą i rubasznym naturalizmem. Rok później wyszły *Pociągi pod*

specjalnym nadzorem oraz *Sprzedam dom, w którym już nie chcę mieszkać* ukazujące surowy obraz społeczeństwa lat pięćdziesiątych. Po okupacji Czechosłowacji przez wojska Układu Warszawskiego pisarz miał znowu zakaz publikowania. Tuż przed planowanym wydaniem zostały wycofane z druku książki *Domáci úkoly* i *Poupata*. Pomimo tego zakazu Hrabal stworzył wówczas wiele ze swoich najsławniejszych dziś dzieł.

W roku 1971 powstało opus vitae Hrabala – powieść *Obsługiwałem angielskiego króla*, przedstawiająca wloty i upadki praskiego kelnera i hotelarza na tle społeczno-politycznych zmian pierwszej połowy XX wieku. Później wspomnieniowy zbiór, w którym Hrabal opisał życie małego miasteczka (spędził w nim młodość) oraz swoich najbliższych: ojczyma Francina, matki Marii i stryja Josefa (Pepina). Tak powstała trylogia: *Postrzyżyny* (1976), *Taka piękna żatoba* (1979) oraz *Skarby świata całego* (1981). Kolejna wspomnieniowa książka Hrabala to *Miasteczko, w którym czas się zatrzymał*. Z lat siedemdziesiątych pochodzi również bardzo osobisty i emocjonalny tom *Czule barbarzyńca* – wspomnienie o malarzu, grafiku i partnerze Vladimírze Boudníku, a także *Zbyt głośna samotność* – uznana przez międzynarodową krytykę za jedną z dwudziestu najważniejszych książek XX wieku. W drugiej połowie lat osiemdziesiątych powstały książki autobiograficzne: trylogia *Wesela w domu*, *Vita nuova* i *Proluky*, ukazujące życie Hrabala oczami jego małżonki Elišky.

Bohumil Hrabal miał zasadniczy wpływ nie tylko na czeską literaturę XX wieku, ale również na czeski film. Nowelowa *Perla na dnie „o niezwykłościach zwykłego życia”* (reż. Jiří Menzel, Jan Němec, Evald Schorm, Věra Chytilová, Jaromír Jireš, 1965) uznawana jest dziś za jedno z klasycznych dzieł tzw. czeskiej nowej fali. Podsumujmy: wojenna tragikomedia *Pociągi pod specjalnym nadzorem* (reż. Jiří Menzel, 1966) zdobyła Oscara za najlepszy film nieanglojęzyczny, za *Pociągi...* Menzel i Hrabal wcześniej otrzymali nagrodę państwową im. K. Guttwalda. Natomiast *Skowronki na uwieży* (reż. Jiří Menzel 1969), po tym jak przeleżały trzydzieści dwa lata zakazane przez komunistów, dostały Złotego Niedźwiedzia na festiwalu w Berlinie. Inne niezapomniane filmy to *Postrzyżyny* (reż. Jiří Menzel, 1980), *Święto przebiśniegu* (reż. Jiří Menzel 1983), *Czule barbarzyńca* (reż. Petr Kolih, 1989) czy słynna *Zbyt głośna samotność*, nakręcona w 1994 r. przez czeską reżyserkę mieszkającą we Francji Větu Caisovą, z Philippem Noiretem w roli głównej. Ostatnio, po klótniach i awanturach, Menzel zekranizował wreszcie powieść *Obsługiwałem angielskiego króla*, dzieło bardzo widowiskowe i udane, ale tym razem jednak bez Oscara.

Z wyglądu Bohumil Hrabal to postać zupełnie plebejska, chlopska: twarz szczerą, szwejkowska, wzrost – nieco ponad 170 cm. Poznałem Hrabala „szybkowego” – starszego naburmuszonego faceta o rozłożystej klatce piersiowej i szeroko rozstawionych policzkach. „Do licha” – mawiał, nawiązując do swojej facjaty – „ja muszę mieć w sobie tatarską juchę”. Podczwieniałą lysinę okalał bujnie i niechlujnie niesforny wianuszek siwych włosów, a jego szczerze niebieskie oczy były na notorycznym podchmielu. Prezencja zgola nieartystyczna, cokolwiek prowokacyjnie zaniedbana. Zachowanie bywało szelmowskie, nierzadko pozerskie, lubił epatować swą niby robioną plebejskością, wygrywał chlopsko-robotniczą osobowość, często drążył rzeczywistość knajacko i rubasznie, wcale nie intelektualnie, a smakowicie słówko „dupa” miewał w stałym użyciu. Czy Hrabala zmogło piwo? Nie, wątroba pisarza nie wykazała żadnych zmian patologicznych. Hrabal miał krzepką naturę chłopa – uległ na początku lat pięćdziesiątych ciężkiemu urazowi głowy, przeszedł operację żołądka w 1973 r. Kochał żonę, kochał młode kobiety, choć nie tylko – był przecież biseksem, w Czechach to już tajemnica poliszynela, jego koszarowe związki z mężczyznami były aż za nadto jawne.

¹ Czeski Józef to Josef, z rdzeniem od tego imienia to na Morawach kotka, w Czechach – Pepik albo Pepin. Pamiętajmy, że w polskim tłumaczeniu w rolę stryjaszka Pepina wcielił się młodszy z braci Jan Hrabal, ale mało kto wie że stryjaszka Pepina po raz pierwszy grała Iva Hottelnerová na scenie teatru Divadlo na Olšavce.

Śmierć a Hrabal? Temat jak dzwon. Wróżka Marzenka przepowiedziała mu, że powiesi się na wierzbie nad strumieniem. Obsesyjny wątek samobójczej śmierci przewija się przez całą nieomal twórczość Hrabala. Pragnienie samozagłady stygmatyzuje los narratora noweli *Kain* (1949), a jeszcze mocniej bohatera *Pociągów pod specjalnym nadzorem*. Samobójcze myśli dopadają autora wielokrotnie w trakcie pisania *Listów do Kwiecienki*, tworzonych w latach dziewięćdziesiątych, szczególnie mocno wybrzmiewają w manifestie-pochwale i zachęcie do ostatecznego rozwiązania, czyli w opowiadaniu *Zaczarowany flet*.

Listy literackie, podszyte platoniczną miłością do amerykańskiej bohemistki April Clifford², którą nazwał Dubenką, wychodzą pod tytułem *Listopadowy huragan*, a te ostatnie, drastycznie osobiste, jako listy do Dubeńki. Motto stanowił cytat z mistrza Lao-tse: „być na dnie i poszukiwać na wierzchu”. Prawda, że wspaniałe. Koniec życia Hrabala był smutny, bardzo smutny. Właściwie stawał się zawadą, nowy reżim traktował go jako swego rodzaju przeżytek, postawił na nowe gwiazdy literackie, jak na przykład ułudzony paryski Kundera. Rubasznie dosadny Hrabal, choć wciąż wielbiciel wyrafinowanego czeskiego przekleśnego filozofa i pisarza Ladislava Klimy oraz *Sklepow cynamomowych* Brunona Schulza, coraz jednak szermujący „dupą”, bardzo krytyczny wobec urzędowego czeskiego serwilizmu dla Ameryki, nie był na te czasy użyteczny, zawadzał.

Nie wpasował się w bieżące okoliczności, poza tym wtedy wielkim w Czechach mógł być tylko jeden: Vaclav Havel. Hrabal obrazoburca po 1989 r. stał się klasykiem, ale nie wskoczył ochoczo na piedestał, nie został zawodowym autorytetem moralnym, nie dał się wciągnąć w demoniczne tryby oficjaliek i akademizm. Dalej prowokował, bywał nieobliczalny, nie kibicował nowemu establishmentowi, tym bardziej że boleśnie przeżył „aksamitny rozwód” Czech ze Słowacją. W 1994 r. wywołał skandal międzynarodowy, kąśliwie komentując na lamach lewicowego dziennika „Pravo” wizytę prezydentów Havla i Clintona Pod Złotym Tygrysem. Zresztą aktualne mody oraz dąsy wielmożnych coraz bardziej go uwierały. Osaczała go samotność, Nobla nie otrzymał, na rynku światowej literatury też stawał się *démodé*. Pięć lat po aksamitnej rewolucji wypowiedział znamienne zdanie: „Niewesoło jest w czeskim kraju. Jesteśmy w martwym punkcie”. Vaclav Klaus, ówczesny premier, oświadczył publicznie, że osobiście nie cierpi Haszka i Hrabala. Nastąpił przesył Hrabalem, jak każdy modny i głośny pisarz musiał trafić do czyścica. W Polsce było jeszcze gorzej, różni macherzy trywializowali jego twórczość, namnożyło się bez liku i opamiętania polskich hrabalików w skali pokracznej. W ostatnich dniach listopada 1996 r., pod naciskiem bardzo mu oddanej szwagierki Dagmary, pisarz trafił na oddział ortopedii renomowanego szpitala na Bulovce. Najwyższy był czas ku temu, ponieważ parę dni wcześniej na dachu w Kersku uległ poważnemu urazowi stawu biodrowego, gdy po dużej wódeczce przewrócił się, uderzając boleśnie o piec kalłowy. Diagnoza postawiona 4 grudnia była jednoznaczna: Hrabal wymaga leczenia klinicznego, choć pobyt w szpitalu nie może trwać wiecznie. Nasilające się bóle, migreny, wściekłość i osamotnienie, irytacja na „dzisiejsze czasy” stały się jego codziennością.

Przydzielono mu osobny pokój, leżał sam w półmroku w dużej sali, inne łóżka pozostały puste. Opiekę miał dobrą, personel był wyczulony na jego potrzeby, na święta wstawiono kolorowy telewizor marki Sony. Otrzymywał coraz silniejsze środki przeciwbólowe i przeciwdepresyjne; doktor Viadimir Vodiczka – lekarz prowadzący – robił wszystko, co możliwe, aby ulżyć w cierpieniach temu szczególnemu pacjentowi, ale odwiedzały go tylko trzy osoby: szwagierka Dagmara, Ivan Koti i najwierniejszy z przyjaciół – Tomáš Mazal, poeta, fotografik, Żyd. Jak wspomina Mazal, Hrabal w szpitalnych

rozmowach obsesyjnie powracał do tematu samobójstwa. Czytał Celine'a i biografię Isadory Duncan, jego wierna tłumaczka Susanna Roth przydała mu ze Szwajcarii w prezencie noworocznym album z reprodukcjami Andy'ego Warhola.

Stan Hrabala nie ulegał zmianie – jak pisze ordynator oddziału, doktor Pavel Dungi, ani się nie polepszał, ani się nie pogarszał. Po prostu Hrabal tkwił w zawieszaniu – i tak umierał, miał świadomość, że go wcześniej czy później wypiszą ze szpitala. I co wtedy? Gdzie pójdzie? Do domu? Domu nie miał, miał już tylko mieszkanie, więc pozostawał mu dom starców i wegetacja, był świadom, że popada w studnie zapomnienia... Nie został mu nikt bliski, jego świat umarł wcześniej. Nie miał po co i – co gorsze – do kogo powracać.

Choroba, na którą cierpiał, to była starość samotnego człowieka, postępujące zwyrodnienie stawów, problemy z kręgosłupem, kłopoty ze słuchem, a przy tym nocami stany lękowe, majaki, koszmary.

Wyznał, że 25 stycznia 1997 r. próbował podejść do okna, aby skończyć z sobą, ale nie doszedł, przewrócił się po dwóch krokach. Aż 3 lutego w poniedziałek, parę minut przed wpół do trzeciej³ po południu, zataczając się, niestety, dotarł, uparcie przeszedł swoje ostatnie pięć metrów życia. Wszedł na mały stolik, otworzył okno, wychylił się i...

Ciało Hrabala spadło dosłownie metr przed doktorem Bechyňe, idącym po dziedzicu kliniki. Śmierć była natychmiastowa, upadł na plecy, głową o parę centymetrów od kamiennego kosza na śmieci, ani kropli krwi, ciało pozostało nietknięte. Miał na sobie bieliznę szpitalną, prywatny podkoszulek, a na przegubach rąk naramienniki. Jak wykazała sekcja zwłok, nie był pod wpływem narkotyków ani alkoholu, policja wykluczyła udział osób trzecich w katastrofie literatury światowej.

W polskiej prasie napisano, że miał karmić gołębic, niby sypał na parapet ziarno i wychylił się za bardzo. Piramidalna bzdura, skąd ziarno lub inna karma dla ptaków w szpitalu, poza tym na 5 piętrze kliniki na Bulovce nie ma żadnych zewnętrznych parapetów. Ciało Hrabala spopielono w krematorium na Strasznicach w środę 12 lutego. Przyszło ponad tysiąc osób, z reguły ludzi mniej znanych, nikogo z urzędowo wielkich nie dało się zauważyć, podobno był minister kultury, bardziej „podobno” niż „był”.

W mowie pogrzebowej znalazło się sformułowanie, że Hrabal nie umarł, on tylko przestał pisać. Może to na jedno wychodzi? Nie wiem. Ludzie stali na ulicy, samochody zwalniały, pogoda była przykra, obrzęd rozpoczął się o godzinie jedenastej, zagrała cygańska kapela: przyjaciele artyści – Kormani (Kormorany) z Karlina – na początku jego ulubione tango *The Fascination*. Niektórym zgromadzonym popłynęły łzy, gdy kapela już na koniec odegrała porażająco gorzką i przejmującą melodię *Romano Roviben* (Cygański plac).

Swego rodzaju literacka panichida odbyła się tegoż popołudnia i przeciągnęła się do późnego wieczoru naturalnie Pod Złotym Tygrysem. Gdy uczestnicy mieli już cokolwiek różowo-czarne humory, zjawiała się szwagierka Dagmara w dostojnej czerni. W plastikowym tubusie przyniosła spopielonego Hrabala. Tubus z prochami ustawia na miejscu tradycyjnie zajmowanym przez autora *Kaina*, ktoś postawił duże piwo *vis à vis*, obyło się bez gromkiego gadulstwa, głównie milczano, i pito się piwo, ale już nie tak jak kiedyś. Moim zdaniem od tego dnia nawet po czeskim piwie porządnym ludziom odbija się, za dużo dodają dwutlenku węgla.

Plastikowa urna z prochami, razem z drewnianą figurką kota, została złożona 28 marca w rodzinnym grobie w cichym Hradisztku, niedaleko Kerska, obok ciał ludzi Hrabalowi najbliższych: matki Maryszki, ojczyma Francina,

² April to przangielsko kwiecienka. Zmarła 17 października w dubnie, stąd czeska Dubeňka, a polska Kwiecieńka.

³ Według śmierci Hrabala narodziło wiele mitów, np. że śmierć nastąpiła o 14.10, że był w chwili śmierci obrwany w świetle nieprzemawiającej dziwny i kuzalek w kuzalce. Przeważającego specjalnego informacyjnego jest trwałym pomysł: wiele chciało zobaczyć i stał konewi Hrabala zrobić.

stryjka Pepina, żony Pepsi i brata Slavka. Tego dnia i przez całą noc szalała burza, łaniała dorodne sosny, paru najbliższych przyjaciół pomimo to udało się do miejscowej gospody U Niemców, na grobowcu ktoś postawił niedopitą butelkę nymburskiego piwa, które nosi chwalebna nazwę „postrzyżyńskie”. Pod klepsydrą podpisała się jedna osoba: Dasza-Dagmar Hrabalova. To ona wybrała motto na ostatnią drogę Hrabala – autorstwa czeskiego poety surrealisty Valdemara Vyletala, a pod imieniem i nazwiskiem umieściła jednowyrazową adnotację „spisovatel” (pisarz). Życie towarzyskie i skandaliczne Hrabala trwa także po jego odejściu.

W lipcu 1998 r. reżyser Jiří Menzel na festiwalu filmowym w Karlovych Varach pobił się o Hrabala z producentem Jiřim Sirotką. Otóż poszło o to, że obaj otrzymali od autora *Obsługiwałem angielskiego króla* prawa do ekranizacji tego utworu. Cóż, Hrabal był człowiekiem o złotym sercu, po paru piwach podpisywał wszystko i każdemu. Inna sprawa, że wielu go naciągalo i wykorzystywało.

Jeszcze dopowiedzenie: 12 maja 2007 r. w Lodienicach pod Berounem, z udziałem ministra spraw zagranicznych Republiki Czeskiej – Karela, księcia von Schwarzenberg, fana twórczości Hrabala – oraz głównych aktorów *Pociągów pod specjalnym nadzorem*: Jitki Zelenohorskéj i Václava Neckarza, i ich reżysera Jiřiego Menzla, odbyła się kameralna uroczystość z okazji czterdziestolecia wyprodukowania filmu. To właśnie senne Lodienice odegrały bardzo udatnie rolę hrabalowskich Kostomlatów nad Łabą, tutaj lasy schodzą ku torom z mrocznej góry zielonym walem, tutaj zachował się wciąż ten sam onirycznie ironiczny nastrój książki i filmu, tutaj pod czerwonym dachem stacji znajduje się salka pamięci poświęcona oskarowym *Pociągom*...

Dziela zebrane Hrabala wyszły pod edytorską czulą pieczęcią Václava Kadleca w latach 1991-1997 w 19 tomach. Jak dotąd Hrabal został przetłumaczony na 28 języków.

Tadeusz Zubiński

Książki nadesłane

Poezja

Piotr Sommer: *Wiersze ze słów*. Pomona, Wrocław 2009, ss. 41+3 plb.

Robert Król: *Pamięć podręczna*. Korporacja Ha!art., Kraków 2009, ss. 91.

Zofia Mikuła: *Kuriozalnie z szypułkami*. Posłowie Zbigniew Jerzyna i Leszek Żuliński. Maja-Druk, Warszawa 2008, ss. 71.

Tadeusz Żukowski: *Krdlestwa wysokie. Wiersze, liryki, poematy*. Posłowie Wojciech Kudyba. Biblioteka Telgte, Poznań 2009, ss. 143.

Józefa Ślusarczyk-Latos: *Wolam Cię...* Wydawnictwo SPES, Kraków 2009, ss. 76.

Biało-czerwonej. [Antologia wierszy na temat narodowej flagi]. Chełmska Grupa Literacka „Lubelska 36”, Chełm 2009, ss. 36.

Jak ojczyźnie służyć. Antologia poezji patriotycznej. Wybór, opracowanie i słowo wstępne Jerzy B. Sprawka. Grafika Zbigniew Jóźwik. Wydawnictwo Polihymnia, Lublin 2009, ss. 334.

MICHAEL ZELLER

Trzy golddollary

Nie mogę powiedzieć, w jakim nastroju znajdowała się matka, a być może nigdy tego nie wiedziałem, kiedy mnie albo jednego z braci posyłała z Graubergu na dół do miasta, by kupić jej trzy golddollary w sklepiku Frankenbergera, naprzeciwko masywnego katolickiego kościoła. Widocznie czuła gwałtowną potrzebę, by właśnie teraz, w tym momencie zapalić, nieodwołalnie. Chwila, w której jej myśli nie zaprzętała troska o pieniądze, lecz coś innego.

Sklepiarz Frankenberger w szaroniebieskim kitlu wiedział, o co chodzi. Odwracał się do półki za swoimi plecami po rozpoczętą paczkę papierosów (pamiętam, że miała ona jasnozielony kolor i złote litery), zwilżał językiem palce, krótkie i grube, i wygrzebywał z niej trzy papierosy. Tymi palcami musiał jeszcze rozchylić papier brązowej trójkątnej torebki (także śliniąc palce). Jeżeli miałem pieniądze, wtedy ledwie zerknął na podane mu trzy grosze i z impetem wrzucał je do szuflady w kasie, która otwierała się dzwoniąc. Najczęściej tego dzwonka nie słyszałem. Wiadomo, że wtedy zakup zostawał zapisany w zeszycie. Jego „Do widzenia” było wówczas tak donośne, iż dzwięczało mi w uszach jeszcze w drodze do domu.

Dzisiaj nie musiałem patrzeć na pracę jego grubych palców. Zajęło mnie bowiem coś innego. W sklepiku był czarnoskóry żołnierz, jeden ze zwycięzców. Dzieci znały niemal każdego z nich, to jest tych, którzy jeździli jeepami ulicami miasteczka między kamieniczkami z muru pruskiego stojącymi wzdłuż rzeki, na cichych oponach, których nie było słychać nawet na bruku z kocich łbów i to powoli, niemal nie szybciej niż myśmy potrafili biec. Często próbowaliśmy takiego wyścigu i tak naprawdę nigdy nie przegrywaaliśmy. Trzeba było tylko odpowiednio wcześniej zawołać z wywieszonym językiem „Pierwszy!”. Czarnoskóry w sklepiku skinął na mnie i powiedział coś tubalnym głosem z gardlowym: „Loda?” To zrozumiałem. I skinąłem twierdząco.

W dole, przy rzece opodal wysadzonego mostu stał wózek z lodami. Mogłem wziąć nie jedną, a trzy kulki. Tyle do wyboru. Cztery różne kolory. Długo się zastanawiałem. Waniliową, jak zwykle, do tego jedną cytrynową i czekoladową. Pamiętam to do dzisiaj (także dlatego, że przy tych smakach pozostałem). Czarnoskóry żołnierz rzucił lodziarzowi zbyt dużą monetę i nie chciał reszty. Za taką resztę mógłbym raczyć się słodyczami przez cały tydzień.

Zeszliśmy nad wodę, by przysiąść na kamieniach. Dopiero teraz, gdy siedzieliśmy tak blisko siebie, poczułem, jak bardzo byłem mały, a jak duży i silny był ten człowiek, i jaki czarny.

Mówiliśmy mało. On nie znał niemieckiego, a ja amerykańskiego. Ale i tak rozumieliśmy się. Ja lizałem moje lody. On palił papierosa. Potrafił wypuszczać z ust piękne białe krążki. Po pewnej chwili powiedział „Joey”, domyśliłem się na migi, że to jego syn. Joey był w moim wieku i mieszkał daleko, daleko

stał, w Ameryce, w tym obcym kraju, i to, że on bardzo chętnie chciałby być teraz razem z nim, ten wielki, ciężki, potężny człowiek w czystym, świeżo wyprasowanym mundurze. Wiedziałem, co czuje. Mój tato wciąż jeszcze był na wojnie, mimo że ta już dawno się skończyła, jak mówili dorośli. Myśmy ją przegrali, zaś Amerykanie ją wygrali i dlatego ci Murzyni byli teraz tutaj. Prawie nie potrafiłem sobie przypomnieć, jak wyglądał mój tato. Pamiętam tylko jego śmiech. Nad moim łóżkiem wisi na ścianie mała fotografia. I wiedziałem, że wszystko, wszystko szłoby lepiej, gdyby tylko on znów z nami był. Ale coś tam kolatało w mojej głowie, że temu bogatemu człowiekowi, który siedział obok mnie na kamieniu, jak jaki olbrzym, palił papierosa i z ust wypuszczał białe dymne kółka, doskwiera to samo co mnie. Wyglądał przy tym na bardzo zasmuconego. Ale kiedy tacy jak on jeździli w swoich jeepach, z jedną ręką położoną na kierownicy, śmiali się bezustannie, ukazując duże białe zęby. Wszyscy oni byli wtedy bardzo szczęśliwi.

Lecz teraz musiałem już iść. Mama czekała na swoje trzy gołddollary. Mogła się naprawdę złościć. Pobiegłem w górę na Grauberg, tak szybko, że serce biło mi w gardle. Już na schodach wiodących do naszej mansardy usłyszałem obcy niski głos. Nie znałem takiego. Mężczyzna. Kto to mógł być? Wuj z Akwizgranu, który w jakiś tam sposób uniknął Rosjanom, tak przypuszczałem.

Nie. To nie był wuj. Jakiś obcy mężczyzna siedział w kuchni na taborecie. Mama stała przy oknie, zapłakana. Człowiek ten, kiedy wszedłem, spojrzał na nią porozumiewawczo. Mizerna postać, chuda i blada. Mama skinęła głową. Placząc. Mężczyzna podniósł się z taboretu, zachwiał i uchwycił się stołu. Bałem się człowieka w zszarganej szarej kurtce. Wyglądał na zagłodzonego. On zaś zbliżał się do mnie. Aby mi nic nie zrobił, wysunąłem ku niemu brązową torebkę z trzema gołddollarami dla mamy. Jakoś dziwnie na mnie spoglądał. Wyciągnął ku mnie rękę, ale niezręcznie i wcale nie po papierosy.

Mama, trzymając chusteczkę przy ustach, rzekła do mnie: „Powiedz przynajmniej dzień dobry swojemu tacie”.

Wtedy spostrzegłem, że prawy rękaw jego kurtki zwisał pusty.

Bożonarodzeniowa nowina

Nigdy nie brałem udziału w nabożeństwach, ale moją pasją było zwiedzanie kościołów. Odkąd tylko nauczyłem się myśleć. Gdziekolwiek jestem, pośród moich wędrowek ulicami znanego lub nieznanego mi miasta, zawsze wstępuję do mijanego kościoła, jeżeli jest on jeszcze otwarty.

Nie ma to nic wspólnego z wiarą. Jest mi zresztą obojętne, czy to meczet, synagoga czy hinduska świątynia. Dom boży stanowi zawsze oazę spokoju. W młodości czyniłem to raczej instynktownie. Teraz, w starszym wieku, odczuwam to jako całkiem świadomą potrzebę. Czy człowiek tego pragnie, czy też nie, zawsze promieniuje na niego coś z celu, dla którego świątynia powstała, obojętne czy służy ona Allachowi, Jehowie czy też Bogu. I na miły Bóg, dlaczego miałbym się przed tym bronić? Czemu miałbym się bać?

W okresie adwentowym pojawia się szczególna atrakcja zachęcająca do odwiedzania kościołów: taką atrakcją stanowi żłóbek. Jest w tym coś dziecięcego. Wspomnienie najwcześniejszych dziecięcych lat, które bardzo mocno zakotwiczyły się w człowieku. Kiedy Boże Narodzenie było czymś cudownym, apogee całego roku, jego celem.

Tym razem zatrzymałem się w katedrze w Kolonii. Żłóbek tutaj był przeogromny. Wypełniał całkowicie pierwszą kaplicę w bocznej nawie. Betlejem, miasteczko na wzniesieniu, z jasnej sklejki, położone na dwóch albo trzech poziomach. Pałace i świątynie. Ożywione miejsce. Stragany. Zwierzęta. Ludzie podążający we wszystkich kierunkach, przychodzili bądź odchodzili.

„A ta, na osiołku, to Maryja!”

Odwrociłem się. Za moimi plecami starsza kobieta opowiadała o tym, co przedstawia żłóbek. Wokół niej i mojej osoby zatrzymali się młodzi mężczyźni w wieku około dwudziestu lat. Z Bliskiego Wschodu, Arabowie, na pierwszy rzut oka.

„Z przodu kroczy Józef, jej mąż. I ojciec dziecka.”

I znów pozostałem sam. Stałem tak i niczego nie rozumiałem. Byłem zdezorientowany. Po bocznej stronie ołtarza, z przodu, znów znalazłem zwiedzających. Nasze spotkanie nie było przypadkowe. Po prostu ich szukałem.

„Bardzo panią przepraszam” zwróciłem się do niemieckiej przewodniczki młodych Arabów. „To przecież nie Józef jest ojcem tego dziecka, lecz...”

Szukałem odpowiedniego słowa.

„Przecież ja to wiem”, odparła kobieta. „Ale spróbuj pan powiedzieć to muzułmanom”.

„Właśnie im trzeba to...” chciałem dodać, ale jej już nie było. Musiała przecież opowiadać o czymś ważniejszym.

Krótką lekcją obcego języka

Stale, gdziekolwiek się udaję czy przebywam, wszędzie odczytuję polskie słowa, które po drodze rzucają mi się w oczy, słyszę ich wymowę, odgaduję znaczenie, jeśli zapomnę kieszonkowego leksykonu, albo kiedy jest zbyt ciemno, albo po prostu z lenistwa – takie wyrobiłem sobie tutaj nawyki.

Jak by pan zareagował, gdyby zniemacka ktoś podsunął panu przed oczy słowo „zegarmistrz”? Z pewnością by pan zwątpił? Uznałby je pan za diabelską literową alchemię, wręcz niewyobrażalną. Gdyby to słowo głośno wypowiedzieć, wiedzy zgubiłoby ono odcień tajemniczości: „segar-mistsch”. Brzmi to już bardziej swojsko i budzi skrytą nadzieję. Ale gdy tylko spojrzeć w głąb sklepienia, nad którym to słowo widnieje, wówczas twarz promienieje zrozumieniem – bowiem gdy rozwiewa się mgławica słowna, jawi się zwykle radość.

W sklepowej witrynie zegarki. Zatem „zegarmistrz” to po prostu „Zeigermeister” lub „Uhrmachermeister” – słowo przejęte tutaj z niemieckiego, przy czym niemieckie „Meister” stanowi dawne zapożyczenie z łaciny (magister).

Pięknie. Lecz to odkrycie nie w pełni mnie satysfakcjonuje. Ciekawi mnie, kiedy to łacińsko-niemieckie słowo „Zeigermeister” zawitało do Polski? Możliwe, że w średniowieczu, być może w XIII stuleciu, gdy ożywiły się szlaki handlowe prowadzące z Europy Zachodniej na Wschód. Mogło się zdarzyć, iż słowo przyniesione z Zachodu zostało w polskiej wymowie zmiękczone do tego stopnia, iż łatwiej je było wymawiać, przedostało się potem do języka pisanego i oderwało się tak dalece od zachodnioeuropejskich korzeni, że teraz trudno się owego źródłosłowu domyślić.

Lecz w Polsce wszystko jest bardziej skomplikowane, niż może się wydawać. Kiedyś natknąłem się na wiedeński tekst z dziewiętnastego wieku

w języku jidysz i zamyśliłem się nad słowem „sejger”. Słownik wskazuje, że oznacza ono zegar. Otwiera się przede mną nowy obszar dociekań. A zatem słowo „Zeigermeister” mogli wnieść aszkenazyjscy Żydzi z Niemiec do Polski w niewolnej wędrówce z Zachodu na Wschód w XI wieku, zmuszeni do niej Pierwszą Wyprawą Krzyżową. Żydowski banici zabrali owo słowo z Zachodu i zaszczepili je w obcym dla nich języku.

Zatem słowo „zegarmistrz” istniało w polszczyźnie jeszcze wcześniej, o czym nie wiedziałem w momencie, kiedy stałem przed witryną sklepika zegarmistrza, by potem zejść kilka kręgów niżej w studni dziejów. A może było tak, że polscy Żydzi zapożyczone łacińsko-niemieckie słowo przyswoili sobie w nowej ojczyźnie? Albo...

W tym miejscu ściśle się zazębiały losy Niemców, Żydów i Polaków: dawanie i branie z pomroku dziejów w otwartą na nowo przestrzeń. Czasami jakaś wąta nić snuje się pomiędzy palcami i wówczas człowiek się jej trzyma, i to mocno. Mowa jest czymś najbardziej precyzyjnym, jest najbogatszym z muzeów. A człowiek urzeczony dawnymi wiekami mruczy sobie pod nosem słowo „Europa” albo szepce je do ucha komuś, kto mu towarzyszy, podczas gdy za szybą witryny skromnego krakowskiego zegarmistrza bezgłośnie i monotonicznie pracują elektroniczne systemy rodem z Azji Wschodniej.

przełożył z niemieckiego *Eugeniusz Wachowiak*



Marian Konieczny, pomnik Grzegorza z Sanoka, Sanok, 1979. Fot. A. Woźniak

placem/powiesz się parę z język
podobnie jak parę innych
nieprzystojnych słów na p
(yabozna, paraliz, pogrzeb)

MATEUSZ WITKOWSKI

zima

niedziela grudzień mróz
ścina drzewa równo z podłogą
twarz jeszcze nigdy
nie była tak blisko chodnika
chodnik jeszcze nigdy
nie był tak blisko
żeby się wyslizgnąć

czas (mimo najszczęśliwych chęci)
nie zaczął tykać pod prąd
jest chłodny i szczerbaty
trudno więc mówić
o jakimkolwiek nadgryzaniu

wiadomo tylko że pod starym zegarem
dobre wymieni się na zgola lepsze
a słowa przestaną być iluste i skrajne
jak niebo z przelomu dnia i nocy

póki co kluje mnie każdy
gwóźdź w tym mieście
sprężyna ich tapczanów
jest moją sprężyną
sprężyną wbitą mi w serce
i hucznie przekreconą

wymyśliłem

ulica psuje się
od głowy

fin de siècle

eros tyka na ścianie
eros tyka w twojej szafie
i zanim się spostrzeżesz
aż ściany pokoju obleją się
zimnym i gorzkim różem

siłami mroźnym w blaski
gnie jakieś kłoda kawałki

bełta przęgi i jęzmy niżej
handlowi niechciał się jęzmy
w kłody kłody kłody

a na wszystkich kłody kłody
kłody kłody kłody kłody

autorytarna to nieczytana forma miłości
do zmiennika kłody kłody kłody

kłody kłody kłody kłody
kłody kłody kłody kłody

kłody kłody kłody kłody
kłody kłody kłody kłody

kłody kłody kłody kłody
kłody kłody kłody kłody

kłody kłody kłody kłody
kłody kłody kłody kłody

kłody kłody kłody kłody
kłody kłody kłody kłody

kłody kłody kłody kłody
kłody kłody kłody kłody

kłody kłody kłody kłody
kłody kłody kłody kłody

kłody kłody kłody kłody
kłody kłody kłody kłody

kłody kłody kłody kłody
kłody kłody kłody kłody

kłody kłody kłody kłody
kłody kłody kłody kłody

kłody kłody kłody kłody
kłody kłody kłody kłody

kłody kłody kłody kłody
kłody kłody kłody kłody

kłody kłody kłody kłody
kłody kłody kłody kłody

kłody kłody kłody kłody
kłody kłody kłody kłody

kłody kłody kłody kłody
kłody kłody kłody kłody

kłody kłody kłody kłody
kłody kłody kłody kłody

kłody kłody kłody kłody
kłody kłody kłody kłody

kłody kłody kłody kłody
kłody kłody kłody kłody

kłody kłody kłody kłody
kłody kłody kłody kłody

kiszki w marszowym rytmie
grają jakieś głodne kawalki

berlin praga i londyn
handlują niedzielną miłością
w każdy dzień tygodnia

a na wszystkich tapczanach świata
słychać ten sam filisterski hymn:

autoerotyzm to najczystsza forma miłości
bo zmniejsza skutecznie ten przykry dystans
ślub ma rację bytu bo cała procedura
trwa o wiele krócej niż rozwód

skończyły się już nawet czasy
perfumeryjnych kochanków:
madame czy jest jakaś szansa
aby tego wieczoru mój południk
przeciął się z pani równoleżnikiem?

witkacy jeszcze mieści się na półce
obok witkowskiego i wiśniewskiego
ale daje się odczuć pierwsze
symptomy zacieśniania przedmiotu

na nic się zdało rozluźnienie obyczajów
(a w domyśle jeszcze tylu zdolnych
i obrazoburczych na literę w)

kiszki grają marsza
zgadnijcie mili państwo
co to za marsz

gotębnik

K

więc tak wygląda ta cała
hierarchia psów i kotów
wszystko się kundli kunderzy
zapętla wokół kolnierzyka

potem nieskończoność
wymienia się na niesmak
a ślubne sukienki
wieszają się na sznurach
w łazienkach obcych mężczyzn

(w tle cały czas gra pikantne
sto lat sto lat niech im gwiazdka)

plazem puszcza się para z gęby
podobnie jak parę innych
nieprzyzwoitych słów na p
(polożna, paraliż, pogrzeb)

a my proszę pani
to ich bądź człowiekiem
mamy mniej więcej tam
gdzie gołębie trzymają turystów
(pomiędzy kropką a ostatnim
słowem w zdaniu)

stosunek niebo a ziemia
jest dla nas przynajmniej korzystny

Boski pies

wiem
jestem najlepszym
z boskich psów
z sierścią i pyskiem
na podobieństwo Pana

kulą u nogi
ze smyczą na stąd
do ostatniego
piętra centymetrów

nie wnिकam w kwestie
bytu i niebytu
a najmniej szlachetny
z bytów
mam pelen pojęć
ciężkich i rozwlekłych

czasem tylko skuszę się
na niepodległościowy
zryw z łańcucha:

jeśli ja jestem kulą
a Ty trzymasz smycz
to czy aby nie jesteś Panie
nogą?

testament ch:...

po raz siedemnasty umieram
(zacząć w ten sposób to inaczej

wepchać się do ważnej kolejki
ale ja już stoję tylko ością)

umieram na nie ma slowackiego i nie ma tuwima
bo nie ma rzeczywiście jest tomek kamel
jest karnawał niezbita parada
wędliny i tańce godowe lisów

umieram na ustawowo określony czas rodzenia
i czas umierania
na siłę i vitalność polskiej młodzieży
i na niezawisłą mądrość tejże

umieram na zmartwychwstanie przerywane
stosunki prostej do okręgu
mieszkański pawizm i wiejską radość
(trzeba dodać że niczym
nieusprawiedliwioną).

znowu jestem pomiędzy
znowu jestem przecinkiem
znakiem przestankowym
wyrwanym waszemu psu z pyska

w białym prześcieradle
o silnych cechach flagi
schodzę w dół, nie stoję
już w kolejce, stoję
ością w gardle tej ziemi

umieram po raz siedemnasty.
(kocie mam plecy i język
więc niosę w pysku podwójny
pakiet oszczerstw i być)
i przesyłam ostatnie
wyraży ciepłoty ciała

Mateusz Witkowski

MORDECAI ROSHWALD

Rzym i Jerozolima: opowieść o dwóch miastach

Miasta, a przynajmniej niektóre z nich, nie są wyłącznie obszarami zagęszczonego zaludnienia. Jako wyraziste znamiona ludzkiej cywilizacji mają one własną indywidualność, wyodrębnioną i ukształtowaną przez historię.

Spośród licznych możliwości wybrałem Rzym i Jerozolimę, żeby przyjrzeć się bliżej ich swoistym cechom. Skupię się na postrzeganiu tych miast jako miejsc o znaczeniu uniwersalnym, jako symboli przekraczających geograficzne, a nawet historyczne ograniczenia. Wyobrażenie o nich jest mieszanką wiedzy historycznej i oczekiwań, zlepkiem przeszłości i przyszłości, kombinacją czynników miejscowych i globalnych, spotkaniem szczegółowego z uniwersalnym – właśnie to zacieka i skłania do dokonywania porównań. Co więcej, mimo że są one oddalone od siebie geograficznie, istnieje między nimi związek, historyczny i religijny, co dodatkowo zachęca do podjęcia próby łącznej opowieści o tych dwóch miastach.

Gdyby historia przystawala do prostych wyobrażeń lub idei, można by powiedzieć, że Rzym stanowi wzór wojskowej i politycznej potęgi, podczas gdy Jerozolima reprezentuje ideał doskonałości duchowej i religijnej. Rzym ucieleśnia sukces materialny w różnorodnej postaci: władzy, bogactwa, chwały. Jerozolima przywołuje na myśl spełnienie innego rodzaju: moralną doskonałość i zbawienie. Rzym symbolizuje królestwo ziemskie w jego najdoskonalszej postaci. Jerozolima obiecuje królestwo niebieskie, najwyższe szczęście, do którego człowiek może dążyć. Gdy spojrzeć na zagadnienie z tej perspektywy, związek między Rzymem a Jerozolimą lub między tym, co one symbolizują, jawi się jako rodzaj napięcia, antynomii, a nawet konfrontacji.

Ta specyficzna zależność jest wyraźnie widoczna, a nawet ulega zaognieniu, w rabinicznej literaturze homiletycznej. Ponieważ Rzym jest często nazywany Edom (przez co kojarzy się go z biblijnym założycielem narodu izraelskiego, Ezawem¹) zestawienie Izraela i Rzymu może wywodzić się z biegunowych antynomii reprezentowanych w tradycji rabinicznej przez bliźniaków Jakuba i Ezawa, synów Izaaka i Rebeki. W ten sposób historyczny i narodowy konflikt między Rzymem a Jerozolimą jest podnoszony do rangi uniwersalnego, archetypicznego starcia między dwoma wzorami ludzkich zachowań i dążeń. Mają to samo pochodzenie, tak jak Abel i Kain: jednakże symbolizują dwa przeciwstawne wybory człowieka – dobro i zło.

Takie podejście rozbrzmiewa echem w świecie chrześcijańskim, gdzie szeroki rozgłos nadaje mu św. Augustyn w sławnym dziele *De civitate Dei* (O państwie Bożym). Rzym staje się *civitas terrena*, miastem ziemskim, podczas gdy Jerozolima reprezentuje *civitas Dei*, miasto boskie. Rzym przyjmuje postać symbolu zła, siły; jego cyniczny sukces, osiągnięty w wyniku braku poszanowania dla ludzkiego życia i deptania godności człowieka,

¹ Edom to drugie imię Ezawa (przyp. tłum.).

rylko podkreśla haniebność takiego geniuszu. Z kołej Jerozolima – podbita, zniszczona i udręczona – staje się symbolem tęsknoty człowieka za moralną doskonałością, za prawem i sprawiedliwością, a także znakiem boskiej odpowiedzi na to dążenie.

Tak więc siła i racja, zło i dobro, zderzają się ze sobą w spotkaniu tych dwóch miast. Niegodziwi, którzy tryumfują i sprawiedliwi, którzy cierpią, znani z lirycznego zestawienia w *Psalmach* (np. *Psalm 73*), stają twarzą w twarz na skalę epicką, przybierającą historyczny, a nawet kosmiczny wymiar.

Tak dramatyczne przeciwstawienie symboliki omawianych miejsc jest jednak pewnym uproszczeniem: jeśli przesledzić losy Rzymu i Jerozolimy oraz ich wizerunków na przestrzeni dziejów, podział wydaje się znacznie mniej wyrazisty. Z jednej strony Jerozolima to święte miasto dla Żydów, a także miejsce boskiego objawienia i zbawczego poświęcenia się Chrystusa dla chrześcijan. Z drugiej strony była ona i jest nadal konkretnym miastem, zbudowanym z kamienia i wapna, miejscem zamieszkania ludzi i siedzibą ziemskich władz. Nie jest wyłącznie ideą; istnieje także realnie, a nawet jest utożsamiana z występkiem i grzechem, zarówno w pomstowaniu proroków Izraela, jak i w oskarżeniach Jezusa. Z kolei Rzym, mimo że był siedzibą władz prześladowujących Judeę i dręczących wczesnych chrześcijan, staje się centralnym ośrodkiem Kościoła chrześcijańskiego, miejscem apostołskiej sukcesji św. Piotra, a więc ucieleśnieniem – jeśli to właściwe słowo – duchowe przesłanie chrześcijaństwa, duchowe przestanie boskiego miasta. Wydaje się zatem, że jerozolimski monopol na duchowe aspiracje człowieka ulega zalamaniu. Albo, innymi słowy, duchowa Jerozolima dokonała podhoju materialistycznego Rzymu, chociaż w przeszłości bezlitosne rzymskie legiony podporządkowały sobie i zniszczyły to święte miasto.

Jednak – niezależnie od wszelkich zastrzeżeń i uściśleń – zasadnicze rozróżnienie między tymi dwoma miastami i związana z nim symbolika pozostają zasadne. Mimo złożonego charakteru obu miast, w swej istocie są one różne i konfrontują się ze sobą w biegu historii. Nawet współcześnie, spacerując po ulicach Rzymu i Jerozolimy, można zauważyć dominację pierwiastka materialnego – władzy i splendoru – w Rzymie, a wpływu pierwiastka duchowego i pozaziemskiego na Jerozolimę. Ziemski i niejednokrotnie brutalny charakter Rzymu znajduje wyraz nie tylko w ruinach starożytnych rzymskich forów, łukach triumfalnych, kolumnie Trajana, amfiteatrach. Nawet wspaniałe kościoły i dzieła sztuki w nich zgromadzone, włączając w to freski w Kaplicy Sykstyńskiej, pomimo ich podporządkowania chrześcijańskiemu (lub judeochrześcijańskiemu) przesłaniu, przekazują je w takiej formie artystycznej, która obficie czerpie z wzorów greckiej i rzymskiej cywilizacji i jest zasadniczo obca eterycznej naturze religijnego przesłania Jerozolimy. Splendor włoskiej sztuki, ze względu na jej powodzenie, nadaje temu co duchowe materialną formę, sprowadza Boga na ziemię, w taki sposób, że przyćmiony zostaje blask czystej wiary i wspaniałość nieskażonej niczym religijnej tęsknoty.

Po tych wstępnych uwagach na temat roli pełnionej przez oba miasta w świadomości zbiorowej, przyjrzyjmy się bliżej charakterowi każdego z nich – w kontekście historycznym i w świadomości indywidualnej.

II

Początki Rzymu były raczej skromne – uzyskał on status autonomicznego polis w VI wieku p.n.e. – ale militarne sukcesy od razu pozwoliły mu na polityczną ekspansję. Co znamienne, wydaje się, iż historia tego miasta polegała głównie na poszerzaniu władzy i na stałej polityce umacniania dominacji nad innymi ludami i wykorzystywania pożytków płynących z tej dominacji.

Powiększając kontrolę nad Półwyspem Apenińskim, Rzym dbał wyłącznie o własną potęgę i dobrobyt. Wolał zachować lokalną odrębność, władając różnymi miastami i regionami półwyspu i eksploatując je, niż budować państwo, którego byłby centrum administracyjnym lub stolicą. Zamiast ustanowić jednolity system, który miałby na celu zarządzanie półwyspem i który obejmowałby jednocześnie całość jego terytorium, Rzym wybrał model „pana i władcy”, traktując resztę kraju i jego ludność jako źródło łatwych zysków.

Kiedy Rzym rozszerzył swoje wpływy poza Półwysep Apeniński, na zachodnią i wschodnią część rejonów Morza Śródziemnego, jego polityka polegająca na dominacji i wyzysku uległa przystosowaniu do nowych warunków, jednakże w swej istocie pozostała niezmienna. Rzym rządził prowincjami rozbrajając je i wykluczając jakiegokolwiek układy, wyzyskiwał je nakładając wysokie podatki. Wprawdzie przeobrażał się w imponującą światową jednostkę polityczną – *urbs fiebat orbis* – ale miasto pozostało miastem i sprawowało władzę w globalnym państwie dzięki swojej potęgce, a także przy pomocy „sojuszników” w Italii oraz poprzez manipulację i podziały. Kraje położone w basenie Morza Śródziemnego stały się zapleczem materialnym dla jednego miasta: *urbs* pozostało *urbs*, nawet jeśli rządziło *orbis*.

Wydaje się, iż tak właśnie przedstawiała się sytuacja podczas republikańskiego etapu historii Rzymu. Wraz z ustanowieniem monarchii oraz na skutek ogromnych rozmiarów imperium i jego stanu posiadania, łupieżczy charakter Rzymu stopniowo maliał, a znaczenie prowincji i innych ośrodków miejskich powoli zwiększało się, aż do momentu kiedy Konstantynopol został drugą stolicą imperium w roku 330 n.e. Przyznanie statusu obywatela rzymskiego wszystkim wolnym mieszkańcom imperium przez cesarza Karakallę w początkach III wieku n.e., bez względu na bezpośrednie motywy podjęcia takiej decyzji, wyrażało i symbolizowało transformację Rzymu – rządzącego miasta w Rzym – stolicę wielkiego państwa.

Mimo to, przez cały imperialny okres historii Rzymu, pomyślność tego miasta i dobrobyt rzymskiego proletariatu wywierały decydujący wpływ na losy imperium. Pojęcie siły jako kategorii o zasadniczym znaczeniu i pierwszorzędnej cechy Rzymu wyrażało się nawet w wewnętrznym życiu miasta – w charakterze popularnej rozrywki w rzymskich amfiteatrach, w której gustowały wszystkie warstwy społeczeństwa, poczynając od cesarza, a kończąc na proletariacie. Był nią pokaz siły w prymitywnej i okrutnej formie: walk gladiatorских oraz publicznych szykan i egzekucji.

Rzym, często określany w literaturze rabinicznej jako *maichut haeresaa* („królestwo zła”), był uważany za apogeum niesprawiedliwości przez Żydów, będących ofiarami rzymskiego ucisku. Literatura midraszowa¹ pełna jest komentarzy, anegdot i przypowieści, w których Rzym jest przedstawiany w złym świetle.

Rzym jest nie tylko traktowany z pogardą jako uosobienie wojny i przemocy, lecz także piętnowany ze względu na swój nienasycony materializm. Komentarze na temat zepsucia Rzymu są niejednokrotnie powiązane z homiletyczną interpretacją fragmentów Biblii. *Werset: „Wszystkie rzeki płyną do morza, a morze wcale nie wzbiera” (Koh 1,7) można zinterpretować jako oznaczający, iż całe bogactwo sływa tylko do imperium rzymskiego, a mimo to nigdy nie jest ono nasycone*². Gdy rabin wskazuje w jednej z opowieści na pożyteczne działania Rzymian, zauważając, że budują oni targowiska, mosty i łaźnie, otrzymuje następującą odpowiedź od swoich kolegów: *Wszystko co stworzyli, stworzyli dla siebie; zbudowali targowiska, aby mogły tam stać nierządnice; łaźnie, aby dbać o siły vitalne; mosty, aby pobierać myto*³.

¹ Midrasz [hebr. *midraš* / *midraš* / *midraš*] – w rabinizmie oznacza interpretację, komentarz i tekst wykładany za pomocą *halakot* (przebiegów i przepisów) wykorzystujących także tradycję ustną; midrasze są dziełami rabinów powstałymi głównie między II a IV w., początkowo przekazywane ustnie, do XI w. zostały spisane (*genyza*).

² *Ecclesiastes Rabba* (Soncino Press) komentujący werset biblijny. Polskie brzmienie tego wersetu według Biblii Tysiąclecia, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 2002.

³ *Sabbata 13b, The Babylonian Talmud* [Talmud babiloński], Soncino Press.

Moralne potępienie Rzymu rozbrzmiewa dobitnie w literaturze chrześcijańskiej w czasach zmięczenia imperium. Św. Augustyn pisze: (...) *ile jest rozumu i roztropności w tym, że się chce chępciem obszarem i wielkością państwa, skoro nie można udowodnić, że ludzie są szczęśliwi żyjąc nieustannie pośród nieszczęść wojennych, przelewając krew swoich współobywateli lub nieprzyjaciół, zawsze jednak krew ludzką, i doświadczając posępnej trwogi lub dzikiej namiętności*³.

Mimo tego oburzenia na Rzym i okazywanej mu pogardy, był on postrzegany w kolejnych epokach jako miasto o nieodpartym uroku dzięki symbolicznej władzy wpisanej w jego dzieje. Biskupi rzymscy dla podtrzymania zwierzchnictwa nad Kościołem katolickim opierali się nie tylko na chrześcijańskiej ewangelii, ale także na prestiżu tego starożytnego centrum władzy. Kiedy potężny król Franków Karol Wielki podjął próbę zbudowania wielonarodowego imperium, wybrał Rzym na miejsce swojej koronacji na cesarza (800 r. n.e.), chociaż ośrodkiem jego władzy nie był ani Rzym, ani Italia. Święte Cesarstwo Rzymskie pod rządami kolejnych niemieckich władców trwało do roku 1806. Pomimo iż w późniejszych etapach swojego istnienia nie było niczym więcej niż historycznym eksponatem, wyrażało ideę światowego panowania, ideę kojarzoną ze starożytnym Rzymem. Napoleon, kiedy przyjmował tytuł cesarza, nadal odwoływał się do wizerunku rzymskiej władzy, podobnie czynili carowie rosyjscy, którzy uważali się za spadkobierców wschodnich cesarzy. Nawet tureccy sultani, którzy położyli kres imperium bizantyjskiemu, uważali siebie za następców władców rzymskich, co wyrażało się w tytułowaniu ich jako Keisar-i-Rum (cesarz rzymski). Władza pociągająca, wielka i trwała władza – taka jak rzymska – hipnotyzuje tych, którzy są jej żądni.

III

W zapisie biblijnym Jerozolima pojawia się w słowach nasuwających skojarzenia nie tylko z instytucjami politycznymi i władzą, lecz także z miejscem czci religijnej i sprawiedliwości. Najwcześniejsza biblijna wzmianka o Jerozolimie brzmi następująco: „Melchizedek zaś, król Szalemu [Jeruzalem]”, który jest „kapłanem Boga Najwyższego”, opisanego jako „Stwórca nieba i ziemi”⁴. Warto odnotować, iż władca Jerozolimy jest jednocześnie królem i kapłanem, a tym samym ucieleśnia i symbolizuje ideę jedności ziemskiej władzy i boskiego autorytetu. Co więcej, boskość określana jest ogólnie jako *el elion*, „wysoki Bóg” lub „najwyższy Bóg”, co, choć nie odnosi się bezpośrednio do izraelskiego monoteizmu, nie jest też całkowicie pozbawione z nim związku i może być rozumiane jako zwiastun izraelskiej wiary. Ponadto imię Melchizedek po hebrajsku oznacza „Król Sprawiedliwości”, co przydaje władcy Jerozolimy wyraźny moralny atrybut. Znamienny jest fakt, iż taka interpretacja przywołanego fragmentu współbrzmi i ulega wzmocnieniu przez następujący werset z *Psałmów*, w którym Bóg zapewnia władcę Izraela: *Pan przysiągł i nie pożałuje: Tyś Kapłanem na wieki na wzór Melchizedeka [Króla Sprawiedliwości]*⁵. Tak więc królestwo Izraela jest postrzegane jako kapłańska monarchia, władza zgodna z boskimi przykazaniem, a także rządy sprawiedliwego króla: *Sila jest tu w służbie Prawa*.

Niewątpliwie zapis biblijny świadczy także o Jerozolimie jako o konkretnym, ziemskim mieście, z przypisaną mu wyraźną rolą polityczną. Związek Jerozolimy z historią Izraela rozpoczyna się od zdobycia miasta przez Dawida, który przekształcił je w stolicę i do tego nowego centrum przeniósł Arkę Przymierza. Wybór Jerozolimy, która nie była zlokalizowana ani na terytorium Judy, ani na terenach zajmowanych przez północne plemiona

³ *Ojciec Święty Augustyn, tłum. W. Komarowicz, Izrael. Wiedza i Kultura PAX, Warszawa 1977. Kolejna czwartka, rozdz. III, s. 221.*

⁴ *Psalm 104, 18-20. Ten i wszystkie dalsze cytaty według Biblii Tysiąclecia, tłumaczenie, Poznań 2002.*

⁵ *Psalm 110, 4.*

izraelskie, mógł być krokiem dobrze przemyślanej strategii politycznej zmierzającej do zjednoczenia tych plemion. Podobną motywację mógł mieć akt ulokowania w mieście Arki, symbolu przymierza ludu Izraela z Bogiem⁶. Co więcej, obecność Arki Przymierza oznaczała również symboliczną obecność Boga w mieście i stworzyła podstawę wizerunku Jerozolimy jako miejsca, w którym zamieszkał Pan, jako miasta idealnego, jako ucieleśnienia dążeń izraelitów i innych ludzi do poszukiwania społecznej i moralnej doskonałości.

Religijna i moralna ranga Jerozolimy znacząco wzrosła dzięki świątyni zbudowanej przez Salomona. Do dziś w tradycji i świadomości żydowskiej Jerozolima kojarzy się z miejscem świętym, miejscem boskiej obecności, które łączy historię z religią, przeszłość z przyszłością, zmiennie koleje losu czasów minionych z oczekiwaniem wiecznego szczęścia, które dopiero ma nadejść. Podczas gdy świątynie – pierwsza i druga – były kojarzone jako miejsca kultu (łącznie ze składaniem ofiar i różnymi obrzędami), to centrum czci i wiary pozostawały Tablice Prawa zawierające Dziesięcioro Przykazań, umieszczone w Arce Przymierza ulokowanej w *sanctum sanctorum* Świątyni. Właśnie to monoteistyczne credo, a także imperatyw etyczny, bezwzględne zasady moralne, leżące u podłoża religijnych idei Izraela odcisnęły piętno na Jerozolimie. Dlatego też nawet gdy miasto zostało pozbawione Świątyni, a razem z nią bogatej obrzędowości, gdy ocalała jedynie zewnętrzna zachodnia ściana świątynnego dziedzińca zwana Ścianą Placzu, to ta pozostałość składająca się z gołych kamieni wystarczała, żeby na wiele lat uformować drogowskaz religijny i moralny. Być może – w pewnym sensie – ten pozbawiony ozdób symbol jeszcze lepiej nadawał się do tego, aby nieustannie wskazywać drogę życia skoncentrowaną na przestrzeganiu moralnych nakazów.

Sila etyki monoteistycznej emanująca z Jerozolimy, okazała się tak duża, że wywarła wpływ na dwie monoteistyczne religie wywodzące się z judaizmu – chrześcijaństwo i islam – powiązała je ze świętym miastem poprzez credo obu tych religii. Jerozolima stała się więc święta dla trzech wyznań, choć w każdym z nich związek między wierzącymi a miastem przebiega inaczej, jak to zostanie pokazane później.

Wkroczenie Jerozolimy w dzieje Izraela jest uderzająco odmienne od początków rozwoju Rzymu. Rzym, jako niezależna jednostka polityczna, używał swej siły, aby kontrolować i wykorzystywać inne narody w celu zapanowania nad Półwyspem Apenińskim i pozostałą częścią świata śródziemnomorskiego. Jerozolima zaś została wybrana jako stolica i centrum istniejącego narodu. Jerozolima, w przeciwieństwie do Rzymu, nie osiągnęła sama swojej wyjątkowej pozycji – stało się to w rezultacie decyzji politycznej podjętej przez rządzących narodem Izraela. Choć była ważnym miastem, to nie mogła podbijać i wykorzystywać do własnych celów pozostałej części kraju. Przez to, że stała się centrum religijnym i symbolem boskiej opatrzności i łaski, została wyniesiona ponad ziemski poziom, do duchowego ideału doskonałości. Sprytnie posunięcie polityczne Dawida, obliczone na utrzymanie jedności i lojalności plemion Izraela, zeszło na dalszy plan wobec wizerunku Jerozolimy jako siedziby Pana i miejsca spotkania człowieka z Bogiem, miejsca, w którym wyraźnie potwierdzić by się mogły zbiorowe aspiracje ludu izraelskiego: być narodem wybranym i królestwem kapłanów.

Choć z czasem duchowe znaczenie Jerozolimy rosło pomimo cierpień, jakich doświadczało to miasto (a być może właśnie ze względu na nie), warto zauważyć, iż religijno-moralny status stolicy Izraela został uformowany już w najwcześniejszym okresie. Świadczy o tym zachowanie się w modlitwie Salomona odmówionej w czasie inauguracji Świątyni, jak podaje I Księga Królewska, rozdz. 8. Zapis biblijny podkreśla, iż w umieszczonej tu Arce

⁶ *Por. Yohanan Aharoni, Ciel Świątyni do Jerozolimy, [w:] Jerozolima przez wieki [w języku hebrajskim], Jerozolima 1968.*

Przymierza nie było niczego, oprócz dwóch kamiennych tablic, które Mojżesz tam złożył pod Horebem (werset 9) – co wskazuje zarówno na historyczne korzenie związku między Bogiem a Izraelem, jak i na czysto moralną naturę tej więzi i religijnego kanonu. Choć związek między Panem a Izraelem ma swój historyczny początek, to ma on trwać wiecznie, podobnie jak Świątynia ma być miejscem przebywania Twego na wieki (werset 13). Niemniej jednak, ziemską siedzibą Boga jest w dużej mierze postrzegana jako symboliczna, jako miejsce, w którym należy kierować do Niego modlitwy, a Jego prawdziwym domem jest niebo, co oznacza lokalizację ulotną i nieokreśloną: *Dlatego wysłuchaj błaganie sługi Twego i Twego ludu, Izraela, ilekroć modlić się będzie na tym miejscu. Ty zaś wysłuchaj w miejscu Twego przebywania – w niebie. Nie tylko wysłuchaj, ale też i przebac!* (werset 30).

Ziemskie miasto powinno być modelem doskonałości, doskonałości wyrażanej przez istnienie praworządnej i miłującej dobro wspólnoty. To, że Jerozolima, jej władcy i mieszkańcy, nie zawsze żyli zgodnie z tym ideałem, jest faktem powszechnie znanym, obnażonym i potępionym przez proroków Izraela. Niemniej jednak ogrom oskarżeń wylewanych przez proroków na mieszkańców miasta był tylko kolejnym dowodem wielkich nadziei z nim związanych. *Jakżeż to miasto wierne stało się nierządnicą? Syjon był pełen rozszajku, sprawiedliwość w nim mieszkała, a teraz – zabójcy!*, wola Izajasz (Iz 1, 21). Owe występki nie mogą jednak całkowicie unicestwić ideału, który zostanie ponownie osiągnięty w przyszłości: *Syjon okupi się poszanowaniem prawa, a jego nawróceni – sprawiedliwością* (Iz 1, 27).

Tęsknota za Jerozolimą jako wzorem idealnego miasta była wyrażona nie tylko w moralnych nawoływaniach, ale także w wizjach eschatologicznych. Prorocy szukali spełnienia ich marzeń w sposób, który byłby nie tyle doczesny – jako zjawisko historyczne podlegające zmianom – ale który byłby, w pewnym sensie, wieczny i ostateczny, a tym samym wykraczałby poza czas i historię. Stąd wizja w Księdze Izajasza (2, 1-4) dotycząca Jerozolimy jako domu Pana wyniesionego ponad wzgórze i jako miejsca, z którego zostanie ustanowiony powszechny pokój. Nigdy więcej wojen, nigdy więcej oręża, a spory między narodami będą rozstrzygane przez władze usytuowane najpewniej w Jerozolimie. *Bo Prawo pochodzi z Syjonu i słowo Pańskie – z Jeruzalem* (Iz 2, 3). Boskie nauczanie oraz praktykowanie sprawiedliwości i pokoju nie tylko będą trwałe w nieskończoność, ale także obejmą cały świat. Boska prawda i sprawiedliwość nie są ograniczone do ludu Pana, ale – przez ten lud, przez jego miasto – wpływają na cały świat. Jerozolima, w przeciwieństwie do Rzymu, nie jest *urbs*, które dzięki sile staje się *orbis*. Ale jej przesłanie pokoju i sprawiedliwości jest adresowane *urbi et orbi*, do jej własnej społeczności i do całego świata.

IV

Eschatologiczna wizja Jerozolimy przyjęła nadprzyrodzone wymiary w żydowskiej literaturze apokaliptycznej po zniszczeniu Drugiej Świątyni. Powstało wyobrażenie niebiańskiej Jerozolimy, czy też wywyższonej Jerozolimy, co czasami pokrywa się z symbolem świątyni niebiańskiej, odpowiednikiem tej ziemskiej. Jej opis zawierał zwykle fantastyczny obraz nowego kosmicznego porządku, czego przykładem jest następujący fragment z Apokalipsy św. Jana, chrześcijańskiej apokalipsy wywodzącej się z żydowskiego źródła:

I ujrzałem niebo nowe i ziemię nową (...). I Miasto Święte – Jeruzalem Nowe ujrzałem zstępujące z nieba od Boga, przystrojone jak oblubienica zdobna w klejnoty dla swego męża. I usłyszałem donośny głos mówiący od tronu: „Oto przybytek Boga z ludźmi; i zamieszka wraz z nimi, i będą oni Jego ludem (...).

¹ Werset 4 brzmi: *I ujrzałem niebo nowe i ziemię nową (...). I Miasto Święte – Jeruzalem Nowe ujrzałem zstępujące z nieba od Boga, przystrojone jak oblubienica zdobna w klejnoty dla swego męża. I usłyszałem donośny głos mówiący od tronu: „Oto przybytek Boga z ludźmi; i zamieszka wraz z nimi, i będą oni Jego ludem (...).*

I otrze z ich oczu wszelką łzę, a śmierci już nie będzie. Ani żaloby, ni krzyku, ni trudu już nie będzie, bo pierwsze rzeczy przeminęły”.

Co ciekawe jednak, podobne opisy nie stały się dominujące w tradycji żydowskiej, nawet jeśli już w modlitwie Salomona można odnaleźć elementy mówiące o niebiańskiej siedzibie Boga odpowiadającej świątyni ziemskiej. Jest tak, ponieważ zasadniczo tradycja rabiniczna, główny nurt judaizmu przez wiele stuleci, przejawiała tendencję do utrzymywania stałego kontaktu z rzeczywistością i starała się stronić od rozbudzania przesadnych nadziei i marzeń lub przynajmniej wyrażać je w zawoalowanej formie, aby nie wywoływać oczekiwań bliskiego, cudownego zbawienia. Co więcej, rabini pragnęli zachować nadzieję na rekonstrukcję ziemskiej Jerozolimy, dlatego też byli ostrożni – nie chcieli gloryfikować zanadto niebiańskiego miasta kosztem jego ziemskiego odpowiednika. Talmud wkłada w usta Boga następujące stwierdzenie: *Nie wstąpię do niebiańskiej Jerozolimy, dopóki nie będę mógł wstąpić do Jerozolimy ziemskiej*¹.

O ile stosunek do niebiańskiej Jerozolimy w rabinicznym judaizmie charakteryzuje powściągliwość i podchodzi się do niej z rezerwą, to chrześcijaństwo entuzjastycznie zapożyczyło tę ideę z żydowskiej apokalipsy i wyolbrzymiło ją. W istocie wykorzystało ją do wskazania kardynalnej różnicy między judaizmem a chrześcijaństwem, pomiędzy ludem żydowskim a Kościołem chrześcijańskim. Już św. Paweł używa przypowieści o dwóch żonach Abrahama jako alegorii judaizmu i chrześcijaństwa i łączy ją z odgrywającym tę samą rolę rozróżnieniem między ziemską a niebiańską Jerozolimą. *Synaj jest to góra w Arabii, a odpowiednikiem jej jest obecne Jeruzalem. Ono bowiem wraz ze swoimi dziećmi trwa w niewoli. Natomiast górne Jeruzalem cieszy się wolnością i ono jest naszą matką. Judaizm „urodził się tylko według ciała”, podczas gdy chrześcijaństwo „urodziło się według ducha”. Cytując i parafrazując Księgę Rodzaju (21, 10), św. Paweł stwierdza: *Wypędź niewolnicę i jej syna, bo nie będzie dziedziczyć syn niewolnicy razem z synem wolnej*. Innymi słowy, odrzuć judaizm, który symbolizowany jest przez Hagar – niewolnicę Abrahama, która urodziła mu syna, i przez cielesną, ziemską Jerozolimę, a przyjmij chrześcijaństwo, potomka Sary, wolnej kobiety, reprezentowane przez Jerozolimę duchową².*

To wykorzystywanie ziemskiej Jerozolimy jako symbolu skostniałego i przestarzałego judaizmu, co stoi w przeciwieństwie do niebiańskiej Jerozolimy, symbolu tętniącego życiem i wolnego Kościoła, uformowało fundamenty wczesnej myśli chrześcijańskiej. A więc, ziemską Jerozolimę jest postpowoniana, podczas gdy ta niebiańska jest wysławiana. Ta druga pojawia się jako wyraz doskonałości i spełnienie eschatologicznych pragnień. Słowami średniowiecznego poety: *Urbs Sion unica, mansio mystica, condita coelo* (Jedynie miasto Syjonu, mistyczny pałac, wybudowany w niebie)³.

Niemniej jednak trzeba uważać, aby nie przesadzić z naciskiem, jaki chrześcijaństwo kładzie na mistyczny i nieziemski wizerunek Jerozolimy. Niebiańska wizja tego miasta jest ściśle powiązana z ziemską rzeczywistością. Jak wyraźnie zaznaczył św. Hieronim, *całe misterium naszej wiary wywodzi się z tego kraju i z tego miasta*⁴. Doskonałość, którą ucieleśnia Jerozolima, jest także celowo powiązana z wizją wiecznego pokoju – ziemskiego ideału kucharzonego z tym miastem już przez Izajasza, jak zaznaczyliśmy wcześniej. Niektóre z łacińskich wierszy powielają ten obraz: *Urbs Jerusalem beata*.

¹ Ap 21, 1-4. Zob. także pozostałą część tego rozdziału. Na temat Niebiańskiej Jerozolimy, zob. Ephraïm E. Urbach, „Heavenly and Earthly Jerusalem” [Niebiańska i ziemska Jerozolima], w: *Jerusalem przez wieki*, dz. cyt.

² *Tranitus Sa. The Babylonian Talmud*, dz. cyt.

³ Zob. List do Cyprianów (4, 21-31).

⁴ Cyt. za: Zwi Weizblowa, *Jerusalem – The Metropolis of All the Countries* [Jeruzalem – metropolia wszystkich krajów], w: *Jerusalem przez wieki*, dz. cyt., s. 177.

⁵ Zob. obszernie studium na ten temat Roberta Wilkena. Zgodnie się on ze św. Hieronimem i stwierdza, iż *Jeruzalem jest obywatelką i obywateli ziemi, które stała się nocą dla Jerozolimy i nóg do nieba* (zob. Wilken, *The Land Called Holy: Palestine in Christian History and Thought* [Ziemia zwana święta: Palestyna w dziejach i myśli chrześcijańskiej], New Haven – Londyn 1993).

/Dicta pacis visio [Błogosławione miasto Jeruzalem, / przeznaczone idei pokoju]; natomiast Abelard pisze: *Vera Jerusalem est illa civitas cuius iugis est* [Prawdziwe Jeruzalem to miasto, którego pokój jest wieczny]¹⁵.

Faktycznie, historyczna analiza chrześcijańskiej postawy wobec ziemskiej Jeruzolimy ujawniłaby ambiwalencję podobną do tej, jaką nacechowany jest stosunek chrześcijan do judaizmu. Z jednej strony rzekomo legalistyczny judaizm jest wypierany przez natchnione chrześcijaństwo, tak jak materialna Jeruzolima błędnie w blasku niebiańskiego miasta. Z drugiej strony, Stary Testament i jego lud są punktem wyjścia dla chrześcijaństwa i Nowego Testamentu, a historyczne Jeruzalem ma związek nie tylko z kultem izraelsko-żydowskim, lecz także z nauczaniem Jezusa i jego ofiarą w imię zbawienia swoich wyznawców. Takie miejsce musi być w jakiś sposób uświęcone. Bazylika Grobu Świętego, którą zbudował Konstantyn I Wielki na domniemanym miejscu ofiary, ostatecznie stała się *sanctum sanctorum* i usprawiedliwieniem wypraw krzyżowych. Wyzwolenie Jeruzolimy spod władzy muzułmańskiej nie mogło być oparte wyłącznie na przekonaniu o niebiańskim mieście; musiało być mocno ugruntowane i uzasadnione wyobrażeniem o świętości istniejących materialnie kamieni. Ziemska Jeruzolima była i jest świętym miastem chrześcijan, miastem przenikniętym *sacrum* i obfitującym w miejsca istotne dla kultu, poczynając od Góry Oliwnej, przez Drogę Krzyżową, a kończąc na Bazylice Grobu Świętego, celu pielgrzymek chrześcijan z całego świata. Wizja niebiańskiego Jeruzalem mieszała się z konkretną, ziemską Jeruzolimą i uduchowiała ją w sposób niewiele różniący się od tego, który jest typowy dla tradycji żydowskiej¹⁶.

Świętość Jeruzolimy w judaizmie miała wpływ także na islam, zarówno ze względu na tradycję żydowską, jak przez bezpośrednie oddziaływanie niektórych Żydów, nawróconych bądź bliskich Islamowi¹⁷. Pierwotnie Mahomet uczynił Jeruzolimę miejscem, ku któremu wierni zwracali się z modlitwą, a dopiero później, rozczarowany odmową Żydów, którzy nie chcieli za nim podążyć, zastąpił Jeruzolimę Mekką, gdzie znajduje się Kaaba. Nawet jeśli w rezultacie Jeruzolima utraciła swoją pozycję i została zepchnięta na trzecie miejsce w hierarchii ważności, po Mekce i Medynie, to zachowała status miasta świętego, zgodnie z jej arabskim określeniem – Al Kuds. Świętość Jeruzolimy ma szczególny związek z legendą mówiącą o cudownej wyprawie Mahometa do tego miasta i o jego wstąpieniu do nieba ze Wzgórza Świątynnego. Ponadto szczególną pozycję Jeruzolimy potwierdzają dwa meczety: Al-Aksa oraz Kopuła na Skale, zbudowane w miejscu dawnych świątyń żydowskich przez Abd ul-Malika w końcu VII w. n.e. i stojące tam po dziś dzień. A więc islam odziedziczył lub przywłaszczył sobie – w zależności od punktu widzenia – namacalny symbol żydowskiej tradycji religijnej, adaptując go do własnej wiary.

Jeruzolima – ziemska i nieziemska, zmitologizowana rzeczywistość czy skonkretyzowany mit – pozostaje świętą dla trzech monoteistycznych religii. Jednak ich przywiązanie do tego miasta i ich wyobrażenia na temat miejsca świętego niekoniecznie są identyczne. Dla wyznawców judaizmu pozostaje ona jedynym i najwyższym symbolem; dla chrześcijan, a przynajmniej dla katolików, konkuruje z Rzymem, dla muzułmanów jest trzecia w hierarchii ważności. U Żydów narodowa symbolika miesza się z religijną, historyczna z eschatologiczną. Dominujący w świadomości chrześcijan wizerunek religijno-duchowy nie wyklucza uwielbienia świętych miejsc. U muzułmanów nadprzyrodzona historia Mahometa jest powiązana z konkretnymi, wiekowymi meczetami na izraelskim Wzgórzu Świątynnym. Te trzy tradycje, w pewnym

¹⁵ Por. Zdz. Wierzbowski, *dz. cyt.*, 176-177.

¹⁶ Dł. Wierzbowski, analiza historyczna tej kwestii – *Israhel, Fides, Christianitas, Aeternum Hierosolym et Earthly Jerusalem* [Chrześcijaństwo pomiędzy ziemską a niebiańską Jeruzolimą], w: *Jerusalem przez stulecia*, *dz. cyt.*

¹⁷ Wpływ ten jest materiałem do dyskusji na temat różnic w koncepcjach historycznej i eschatologicznej Jeruzolimy, w: *Jerusalem: The Temple Mount in Jewish and Muslim Traditions* (Jeruzolima: Hierosolyma i Al-Aksa – (Świątynia i Kłopot – (Tradycja żydowska i muzułmańska)), w: *Jerusalem przez stulecia*, *dz. cyt.*

sensie zbieżne, są jednak odmienne¹⁸. Być może właśnie to wyjaśnia, dlaczego harmonia, której można by oczekiwać od tych trzech religii we wspólnej adoracji Jeruzolimy, była niekiedy mącona przez akty przemocy, na przykład krzywdy wyrządzone Żydom przez wyprawy krzyżowe, albo zbezczeszczenie miejsc kultu żydowskiego przez Arabów podczas jordańskiej okupacji wschodniej Jeruzolimy w latach 1948-1967, jednak współistnienie tych trzech religii jest niewątpliwie możliwe, gdyż każda z nich może zachować i pielęgnować swe własne miejsca kultu, natomiast ich wierzenia, pozostające w sferze duchowej, mogą istnieć całkowicie od siebie niezależnie.

V

Chociaż Rzym i Jeruzolima w odbiorze żydowskim i wczesnochrześcijańskim są całkowicie różne, w rzeczywistości dziejowej miasta te wpływały na siebie na wiele sposobów. Dwa miasta, dwa warianty postrzegania człowieczeństwa i życia, ścierały się, przenikały, zmagaly się ze sobą – otwarcie i potajemnie, jawnie i skrycie.

Pierwszym kontaktem, spektakularnym w swoim prymitywizmie, było podbicie Jeruzolimy i zniszczenie Świątyni przez rzymskie legiony Tytusa w roku 70 n.e. Przy użyciu militarnej siły Rzymianie bezlitośnie stłumili powstanie żydowskie, motywowane narodowym dążeniem do wolności i religijną perspektywą zbawienia. Ziemskie miasto zmanifestowało swoją potęgę wobec miasta starającego się o boską przychylność i ochronę. Zwycięstwo Rzymu zostało utrwalone dla potomności w postaci Łuku Tryumfalnego Tytusa, wzniesionego w Rzymie, z wizerunkami pokonanych Żydów i świętych części zniszczonej Świątyni wyrzeźbionymi w kamieniu, aby zobrazować tę konfrontację i jej skutki. Rzymska władza znalazła spektakularny i namacalny sposób na uwiecznienie sukcesów w dziele podporządkowywania sobie obcych i dziwacznych ludzi, których wierzenia były całkowicie niepojęte dla wyznawców kultu siły. Wytrwałość Żydów w dążeniu do wolności doprowadziła do kolejnego powstania, stłumionego przez Hadriana w roku 135 n.e., którego skutkiem były religijne prześladowania oraz nałożony na ludność żydowską zakaz zamieszkiwania w Jeruzolimie. Tym samym Jeruzolima jako miasto żydowskie miała zostać na zawsze zniszczona.

Okazało się jednak, że Rzym przeceniał wartość naglej siły militarnej. Gdy rzymskie legiony w myśl cesarskich rozkazów niszczyły ziemską Jeruzolimę i kładły kres żydowskim próbom wybitcia się na niepodległość, Jeruzolima zaczęła stopniowo wpływać na Rzym i całe rozległe imperium, by w rezultacie zmienić naturę rzymskiej i śródziemnomorskiej cywilizacji, a także skłonić ją do – przynajmniej powierzchownego – pogodzenia się z faktem dominacji niebiańskiej Jeruzolimy. Dobra nowina chrześcijaństwa, w kształcie znanym z Nowego Testamentu, praktykowana najpierw przez niewielką chrześcijańsko-żydowską sektę, a wreszcie przez stale rosnącą liczbę konwertytów, podważała wiarę w brutalną siłę i ustanowiła nowe standardy i nowe wartości. Narastający proces transformacji osiągnął swój punkt zwrotny, kiedy chrześcijaństwo stało się oficjalną religią imperium pod rządami Konstantyna I Wielkiego w pierwszej połowie IV w. n.e. Wszechogarniające rozprzestrzenienie się chrześcijaństwa w całym imperium było nie do zatrzymania. Można pokusić się o stwierdzenie, iż niebiańska Jeruzolima zawiadnęła ziemskim Rzymem zajmując jego miejsce.

Taki wniosek nie jest jednak całkowicie prawomocny w świetle faktów historycznych. Mimo że wpływ ewangelii z Jeruzolimy był doniosły, to przecież nie zostały usunięte przejawy pogoni za władzą i dominacją, która była nadal głównym czynnikiem polityki imperium. Metody sprawowania

¹⁸ Zob. Francis E. Peters, *Jerusalem: The Holy City in the Eyes of Christians, Visitors, Pilgrims, and Prophecy from the Days of Abraham to the Reformation of Modern Times* (Jeruzolima: Święte Miasto – w oczach kronikarzy, średnio-wiecznych pielgrzymów i proroków od czasów Abrahama do początku czasów współczesnych), Princeton 1985.

władzy w chrześcijańskim Rzymie i w państwach germańskich, które odziedziczyły rozpadające się imperium, w gruncie rzeczy ciągle odwoływały się do surowych zasad polityki siły, nawet jeśli były one zabarwione wierzeniami chrześcijańskimi. Europejscy władcy często chcieli połączyć autorytet starożytnego Rzymu, symbolu politycznej potęgi, z Kościołem reprezentującym autorytet boski. Karol Wielki został ukoronowany w roku 800 nie tylko jako cesarz rzymski, ale także jako monarcha chrześcijański. Święte Cesarstwo Rzymskie, które trwało, przynajmniej w nazwie, do początku XIX wieku, kładło nacisk zarówno na swój rzymski rodowód, jak i na przywiązanie do świętości.

Z najbardziej swoistą i wyrazistą próbą połączenia tradycji rzymskiej i jerozolimskiej mamy do czynienia w przypadku papiestwa. Dążenie biskupów rzymskich do panowania i dominacji, jak też ich ustawiczny wysiłek, by utrzymać najwyższą władzę w Kościele i jednocześnie starać się o samodzielne stworzenie światowego imperium, jest pomysłem kombinacją politycznej zręczności i religijnego zaangażowania, syntezą rzymskiej tradycji i aspiracji jerozolimskiej. W postępowaniu papieży dostrzec można zarówno czynniki polityczno-rzymskie, jak i religijno-jerozolimskie. Rzym jako symbol i siedziba ziemskiej władzy oraz Jerozolima jako źródło władzy boskiej łączyły się, aby ukonstytuować papiestwo i umożliwić jego trwanie. Nie miejsce tu na omawianie sposobu, w jaki te elementy przeplatały się ze sobą w dziejach papiestwa. Wystarczy wspomnieć, że konflikty między dwoma miastami trwały nawet wewnątrz domeny Kościoła.

VI

Konfrontacja Rzymu z Jerozolimą symbolizuje starcie między dążeniem do władzy i zaspokojenia żądz z jednej strony, a pragnieniem szlachetnej samorealizacji – nie dającej się być może łatwo zdefiniować – z drugiej. Dziś te dwa miasta, w wąskim i praktycznym znaczeniu, nie grają kluczowych ról w sprawach wagi światowej. Jednak ciągle kojarzą się z wnikliwym spojrzeniem na kondycję człowieka i na historię ludzkości, spojrzeniem przekraczającym bariery geograficzne i sięgającym od zarania dziejów aż do przyszłości.

Spacerując po starych i nowych ulicach Rzymu, można zauważyć przejawy dążenia do władzy – poczynając od ocalałych luków tryumfalnych starożytnych Rzymian, Koloseum, mauzoleów, nawet obelisków zrabowanych z Egiptu, a kończąc na pomniku Wiktora Emanuela II, będącym próbą oddania potęgi współczesnych Włoch, wraz z małym balkonem na placu Weneckim, z którego Duce proklamował chwałę odrodzonej rzymskiej władzy *urbi et orbi*. Kiedy spojrzymy na fasadę Bazyliki św. Piotra z ogromnego placu otoczonego wspianą okrężną kolumnadą Berniniego, wrażenie potęgi wywołwane przez architekturę harmonizuje z wizją Kościoła zmierzającego do objęcia swoim zasięgiem całego świata. (Czy nie symbolizuje tego okrągły plac?) Pomniki, świeckie i religijne, mogą – w zależności od punktu widzenia – budzić niechęć lub podziw, jednak wszystkie są świadectwem ludzkich działań podjętych czy to w imię dobra, czy zła.

Przechadzka po Jerozolimie oferuje nam inne wrażenia. Choć miasto to ma kilka imponujących zabytków – starożytnych i współczesnych, muzułmańskich, chrześcijańskich i żydowskich – to ich przesłania nie wskazują na dążenie do władzy. Nie widać tu nawet ambicji, żeby ustanowić jakiś światowy kościół i nim kierować. Te religijne monumenty kojarzą się raczej z gorliwym zaangażowaniem wyznawców każdej religii w ich własny kult. Sugerują raczej dążenie do spełnienia, niż samo spełnienie. Są bardziej wyrazem poszukiwań, niż ostatecznego osiągnięcia celu.

To poszukiwanie przez człowieka odpowiedzi na pytania, które sobie stawia i na te nie w pełni wyartykułowane, rodzi się na tle niezbyt urodzaj-

nych wzgórz wokół Jerozolimy, a przede wszystkim pustyni rozciągającej się na wschód w kierunku Morza Martwego. Trzy religie są blisko powiązane z pustynią w opowieściach i w rzeczywistości, a powiązanie to chyba nie jest przypadkowe. Bowiem właśnie na pustyni człowiek może odnaleźć swoją samotność, która zmusza go do szukania odpowiedzi na pytanie o sens życia. To w takich warunkach człowiek może zdać sobie sprawę z jalości władzy i bogactwa, dominacji i ziemskiej chwały. To w takim otoczeniu człowiek sięga poza historię i doczesność, po trudno osiągalną doskonałość, której pragnie w głębi duszy.

A jednak ta nieziemskość Jerozolimy, która nadaje jej specyficzną atmosferę i stanowi nadrzędną wartość, nie przysłania realnie istniejącego miasta. Ziemską Jerozolimą jest ciągle wyraźnie widoczna, słyszalna i namacalna, a jej dawna historia splamiona krwią ofiar i męczenników pozostaje świadectwem dążenia do władzy, choćby motywowanego gorliwą wiarą. To niestety uzmysławia nam smutną prawdę, że nie tylko żądza władzy za wszelką cenę, ale także religijny fanatyzm może prowadzić do demoralizacji. Zatem konfrontacja dwóch miast, ziemskiego i niebiańskiego, dokonuje się ciągle zarówno w Rzymie, jak i w Jerozolimie, ale rozgrywa się także w innych częściach świata.

przełożył z angielskiego Grzegorz W. Wróblewski

tekst oryginalny ukazał się w kwartalniku „Modern Age” 1996 nr 4, a więc na kilka lat przed słynnym gestem Jana Pawła II przed jerozolimską Ścianą Placzu (2000 r.), a także przed atakiem na World Trade Center (2001 r.) – wydarzeniami, które wpłynęły na aktualne poszerzenie relacji między trzema religiami monoteistycznymi „ukorzenionymi” w Jerozolimie (przyp. tłum.).

Książki nadesłane

Wydawnictwo ZNAK, Kraków 2009

Rabih Alameddine: *Hakawati mistrz opowieści*. Przekład Anna Gralak, Maria Makuch, Mateusz Borowski. Ss. 661+3 nlb.

Leszek Kołakowski: *Czy Pan Bóg jest szczęśliwy i inne pytania*. Wybór Zbigniew Mentzel. Ss. 306.

Jarosław Iwaszkiewicz, Teresa Jeleńska, Konstanty Jeleński: *Korespondencja*. Opracowanie i przypisy Radosław Romaniuk. Ss. 355.

MICHAEL FELSENBBAUM

Nocny anioł

dla Szire Gorszman

Perl już dawno zapomniała, czym jest sen. Nie znaczy to, broń Boże, że wcale nie śpi. Nie. W ciągu dnia, gdy słońce ogrzewa ziemię, Perl wychodzi z domu, siada pod ścianą, twarzą do słońca i zamyka oczy. Siedzi tak godzinami i rozmyśla. I to się nazywa spanie. Po kilku godzinach wstaje z małego stołeczka, wraca do domu, bierze wiadro i idzie nad rzekę zaczerpnąć wody.

A przecież na podwórzu, w pobliżu domu, stoi studnia. Po co więc chodzić po wodę aż nad rzekę? Dziwna rzecz... Trzeba po prostu wierzyć, że skoro chodzi się nad rzekę, to widocznie tak ma być.

I Perl idzie nad rzekę, do starego mlyna, który wiele lat temu postawił jej dziadek Baruch, obywateli dożyli jego lat.

Tam, przy starym młynie, stoi i wstuchuje się w szmer wody. Kamienie młyńskie obracają się, trą jeden o drugi, i choć Perl nie znosi tego zgrzytania, to jak zwykle przysłuchuje się mu.

No bo co może zrobić, mała i słaba, z wielkimi kamykami młyńskimi? Ma powiedzieć im, żeby przestały zgrzytać? Czy może raczej ma powstrzymać wodę? Ale z drugiej strony, ten dźwięk jest dla niej niezwykłą pieśnią, dzięki której czuje, jakby dotykała jakiejś tajemnicy.

Perl napełnia wiadro i wspina się powolutku pod górę, w kierunku domu. Przy ruinach zamku stawia na ziemi wiadro, przysiada na kamieniu, który odpał od muru i spogląda na rzekę.

Z wysokiego brzegu młyn wygląda jak żuk czy może raczej jak stateczek, który uczeplił się fal i nie może ruszyć z miejsca. Perl patrzy na rzekę tak długo, aż z oczu zaczynają jej płynąć łzy. Wtedy wstaje i idzie dalej. Jak miło jest postawić bosc stopy w miękkim pyłku, na ciepłych kamieniach. Nie czuje nawet, że dźwiga ciężkie wiadro. Przy furcie zatrzymuje się na chwileczkę i wchodzi na podwórze. Wąska ścieżka prowadzi ją do wyschniętego, czarnego orzecha. Ręce zaczynają jej drżeć, stawia wiadro na ziemi i przytula rozpalone czoło do pnia drzewa.

- Mój syneczku, jestem przy tobie. Zaraz cię napoję i ukolysz. Pij moje dziecko, pij...

Cienki strumyczek wody szmerze, pieni się i wsiąka w ziemię. Perl obejmuje pień obiema rękami i odmawia psalmy. Wers po wersie. Robi jej się źle na duszy. Otwiera oczy i spogląda na gałęzie. Na samym wierzchołku drzewa drży zwiędły listek.

Perl stawia obok drzewa stołeczek. Aż do zachodu słońca siedzi i śpiewa kołysankę, jej palce głaszczą pień, a oczy szukają pocieszenia w niebie i na ziemi.

Ukazują się pierwsze gwiazdy, wychodzi księżyc. Na dworze robi się chłodno. Perl wchodzi do domu i zapala świecę. Płomyk odbija się w szybie i wydaje się, jakby ktoś na dworze zapalił dziesiątki menor. Zaczyna się nowy dzień.

Nawet wtedy, kiedy miasteczko jeszcze tętniło życiem, Perl wyczekiwała nocy z niepokojem w sercu. Zapalała świece, siadała przy oknie i czekała - czekała na ciche pukanie w szybę. W miasteczku było dwóch lekarzy, ale nocą do chorego można było wezwać tylko ją - pocziwą Perl. Tamci leczyli proszkami i pigułkami, a ona leczyła słowem. Jakim znowu słowem? No cóż... Jest dużo odpowiednich słów. Słowo Perl miało głęboką moc, większą niż jakiegokolwiek proszki. Obcy ludzie bali się jej i nazywali czarownicą. I cóż można było na to poradzić?... Obcy to zawsze obcy, ale tutejsi, a zwłaszcza małe dzieci, bardzo ją lubiły i nic w tym dziwnego, bo przecież nie może istnieć miasteczko bez dzieci, a do dzieci wciąż przyczepiają się uroki. Perl leczyła je dobrym słowem.

Kiedy nastały czarne dni, Perl miała dużo pracy, ale jej słowo nie mogło pomóc umarłym. Nie mogło przywrócić życia rodzicom, mężowi, jedynemu dziecku ani całemu umarłemu miasteczku. Z całego miasteczka Perl została samiuteńka. Złoczyńcy bali się nawet na nią spojrzeć. Ciekawe dlaczego...

Jako ostatnia z miasteczka znikła kotka. Na wiosnę po prostu jakby postradała zmysły. Wyla niczym potępiona dusza, szczególnie nocami, tak że Perl ledwie mogła wytrzymać w domu. Ale nie pojawił się żaden kocur. W końcu kotka okulała na jedną łapkę, a jesienią znikła na dobre. Perl, córka Pinkasa, została sama jedna na tym świecie. Ona i jej drzewo. Ten orzech zasadził jej ojciec - Pinkas, w dniu, kiedy na ten boży świat przyszedł jej jedyny syn, Baruchele.

Późną nocą Perl usłyszała za oknem ciche głosy, zupełnie jakby drzewa szeptały między sobą.

- Tak - pomyślała Perl, zdaje się, że zbliża się Pesach. W dzień jest już tak ciepło.

Narzuciła na ramiona chustę i wyszła na podwórze. Wokół panowała cisza, tylko z oddali słychać było monotonna pieśń śpiewaną przez rzekę. Między te tak dobrze znane dźwięki zaczęły się wplatać jakieś obce tony. Perl podeszła do orzecha, pogłaskała pień i spojrzała na gałęzie. Nie dojrzała ani jednego pąka, ale pomiędzy gałęziami, wysoko na niebie, dostrzegła coś, co ją przeraziło.

- Boże Wszchemogący, co to jest? - Perl nie mogła oderwać oczu od niecodziennego widoku. Tuż nad horyzontem pojawiła się jasna plama. Pulsowała i jakby oddychała. Nowe, osobliwe dźwięki dochodziły właśnie stamtąd, z jasnego obłoku na niebie.

Perl poczuła, że trudno jej oddychać. Powietrze zrobiło się jakby ze szkła i każdy ruch budzącego grozę obłoku sprawiał, że stawało się coraz gęstsze.

Ostatkiem sił Perl dowlókła się do drzwi domu i weszła do środka. Wewnątrz było trochę źle oddychać, powietrze nic dławilo w gardle. Perl podeszła do łóżka, położyła się i natychmiast zasnęła. Po raz pierwszy od wielu lat nie siedziała nocą przy oknie i nie czekała na ciche pukanie w szybę.

Nad światem zapadła noc. Perl leżała z zamkniętymi oczyma, bojąc się wstać. Przyszło jej do głowy, że nastąpiła wieczna noc. Z drżącym sercem otworzyła oczy i spojrzała na ścianę, na stary zegar. Rzuciła okiem na tarczę, jakby to ona mogła odpowiedzieć na wszystkie jej pytania, ale wskazówki nie poruszały się. Perl ostrożnie podniosła się z łóżka i spojrzała na stół. Świeca nie migotała i w ogóle nie topniała.

- Nic nie rozumiem...

Podeszła do okna. Zapadła cicha, błękitno-stalowa noc.

Rano Perl zwykle robiła sobie szklankę herbaty, wychodziła na podwórze, siadała pod ścianą domu i zapadała w drzemkę. Ale dziś, cóż robić dziś... Być

może jest już późne popołudnie? Kto wie... I co się stanie z drzewem? No i gdzie podziało się słońce? Powinny się już pojawić pączki na gałęziach.

Perl czekała wiele lat, wierząc, że zdarzy się cud i orzech, opity krwią jej jedyne syna, kiedyś znowu ożyje. Ostatecznie nie może być inaczej, drzewo powinno rosnąć, musi żyć.

Perl zrobiła sobie szklankę herbaty i wyszła na podwórze. Już wiedziała, że będzie żyć tak samo jak wcześniej, zupełnie jakby nic się nie wydarzyło. Każdego dnia rano będzie siedzieć pod ścianą domu, twarzą do „słońca”, potem pójdzie nad rzekę po wodę, napoi drzewo i ukolysze je do snu, a potem będzie czekać całą noc, setną noc będzie czekać na kogoś, kto potrzebuje jej pomocy, jej dobrego słowa, i wtedy... wtedy pojawiają się pączki na drzewie, słodkie małościwa.

Obłok wisiał na niebie i pulsował. Z jego środka wybiegały promienie. Wszystko dookoła wydawało się inne niż zazwyczaj. Płot, dom, orzech, stara studnia – niby takie jak dawniej, ale w poświacie bijącej z obłoku wszystko miało inny wygląd, jakby było wykonane ze stali. No i padające z obłoku światło nie dawało ciepła.

Przed oczyma Perl stanęły obrazy z przeszłości, ogrzewając jej duszę radosnymi dźwiękami i barwami pełnymi słońca. Jest późne popołudnie. Perl siedzi przy oknie, Baruchele leży w kołysce, a ona śpiewa mu kołysankę. Chłopczyk macha rączkami i śmieje się w głos. Dziadek Baruch kręci się na swoim posłaniu i pojekuje. Dziadek Baruch... Silny mężczyzna, bezwzględny i wymagający wobec siebie, nie potrafił powstrzymać łez na widok chorego ptaszka.

Perl wdała się w dziadka. Panie Wszchemogący, cóż mam począć ze wspomnieniami? I gdzie są ci wszyscy ludzie – zdrowi i chorzy, mądrzy i głupi, dobrzy i źli – gdzie? I gdzie jest dusza jej synka, jej Baruchele? Może w orzechu, w który wsiąkla jego krew...?

Perl pogłaskała pień drzewa i pomyślała, że gwiazda jej synka Baruchele już dawno zgasła i wyblakła. Wstała ze stołeczka, wzięła wiadro i ruszyła nad rzekę po wodę.

Rzeka była niema, wody zastygły w milczeniu. Wielkie kamienie młyńskie nie wydawały żadnego dźwięku. U jej stóp leniwie i bezgłośnie płynęła mętna woda. Świetlisty obłok wisiał tuż nad rzeką, tak że Perl nie mogła nawet dostrzec drugiego brzegu. Rzeka wyglądała jak ciało nieboszczyka – szarozółta i nieruchoma. Od czasu do czasu przepływały wielkie ryby przedzierając się przez taflę, a w powietrzu błyskały jakby odłamki rozbitego zwierciadła nasycone krwią.

Perl weszła do młyna, zupełnie jakby szukała wsparcia od wielkich kół i oprószonych mąką belek. Cisza wewnątrz budynku i biały kolor ścian wypełniły ją spokojem. Usiadła na kamieniu z zamkniętymi oczyma i ogarnął ją dawny smutek. Podniosła głowę i spojrzała na ścianę. Na gwoździu wisiała stara czapka dziadka Barucha. Perl wstała i zdjęła czapkę z gwoźdźca. Codziennie szła nad rzekę i codziennie wchodziła do młyna, ale dopiero dzisiaj po raz pierwszy zauważyła czapkę – wszystko co pozostało po jej dziadku. Być może to właśnie ta czapka dawała jej siłę, która pozwalała jej trwać z dnia na dzień. Perl przycisnęła czapkę do usz i nowy zapach wraz z kolejną falą wspomnień odurzył ją jak wino podczas święta Pesach.

Cała wielka rodzina – dziadkowie, babcie, siostry, bracia, ciotki i dzieci mieszkali razem w wielkiej chacie nad rzeką. Na podwórzu, pomiędzy oborami, stał warsztat ojca. Każdy człowiek i każda rzecz w domu miały swój

jedyny, niepowtarzalny zapach i barwę – matka pachniała sosną, babcia Matka – gotowaną rybą, szabas pachniał rybami, ryby pachniały rzeką, a rzeka była czysta jak szabas. Wszystko spletało się ściśle ze sobą – rzeka, pierwszy seder, wino.

Dziadek Baruch siedzi na honorowym miejscu przy świątecznym stole i czyta z wielkiej księgi. Zwykle o tej porze małe dzieci leżały już w łózkach i przewracały się na drugi bok, ale dziś, z okazji wielkiego święta, wszystkie dzieci siedzą przy długim stole razem z rodzicami. Perl siedzi pomiędzy ojcem i swoim bratem Berelem. Kiedy dziadek Baruch odmówił szechehejanu¹ i kiedy wszyscy wypili pierwszy kielich wina, Perl nagle rozplakała się.

– Dlaczego płaczesz, moje dziecko? Dzisiaj nie wolno płakać – ojciec wziął ją za rękę.

– Ja też chcę kielich wina – Perl płakała, nie mogąc się uspokoić.

Podszedł do niej dziadek Baruch. Jego miękka, długa broda połaskotała ją po twarzy.

– Bardzo dobrze, no już, bądźcie tak dobrzy i podajcie najpiękniejszy kielich z winem dla mojej kochanej Perele – dziadek roześmiał się, a Percie razem z nim.

– Dziadku, rebe uczył mnie w chederze, że nie powinno się przerywać sederu – wtrącił się Beri, młodszy brat Perl.

– Naprawdę? Jeśli rebe tak powiedział, to na pewno miał rację. Ale ja sądzę, że człowiek jest zawsze najważniejszy. Jedna łza dziecka jest cenniejsza niż wszystkie najpiękniejsze słowa – dziadek otarł palcem łzy z buzi Perl. – Gdzie jest ten kielich wina dla Perle?

– Perele przytuliła się do dziadka i poczuła, że jego broda pachnie śniegiem.

Teraz stała przy ścianie z czapką dziadka Barucha w dłoniach. Zapach śniegu uspokajał ją.

– Czemu ja tak stoję? I na co właściwie czekam?

Wyszła z młyna i spuściła wiadro do rzeki. Woda była tak ciężka, że Perl nie mogła utrzymać wiadra w dłoniach. Z głębokim westchnieniem rzeka pochłonięła wiadro, a Perl stała na drewnianym mostku pozbawionym poręczy i patrzyła jak toń unosi wiadro coraz dalej.

Jeszcze chwila i Perl pozwoliłaby, żeby woda pochłonięła ją tak samo jak wiadro, ale świeży zapach śniegu otrzeźwił ją i puściła się biegiem pod górę, obok ruin zamku, obok martwych domów, obok wieczności, która płynęła jej z oczu razem ze strumieniami gorących łez.

Zatrzymała się przy płocie. Furka była otwarta.

– To dziwne. Dobrze pamiętam, że zamknęłam furtkę – Perl stała przy płocie, bojąc się wejść na podwórko – ale z drugiej strony, ktoż mógłby tu przyjść? Z tamtego świata się nie wraca. A może...

Perl weszła na podwórze. Wszystko było jak zwykle, każda rzecz na swoim miejscu – stare kapcie przy progu, stołeczek pod drzewem, a na parapecie – niczym mała gwiazdka – w mosiężnym świeczniku płonęła świeczka. Perl podeszła do drzewa, przysiadła na stołeczku i w tej samej chwili poczuła, że siły ją opuszczają. Siedziała przy drzewie i kiwała się w przód i tył, jak stary Żyd podczas modlitwy. Nie była w stanie myśleć o czymkolwiek, niczego już nie pragnęła, czuła tylko zmęczenie człowieka, który długo czuwa u wezglowia umierającego, wiedząc, że nie może mu w niczym pomóc. I piosenka, która ożywiła wspomnienia i wypełniła żalem serce, wyrwała się z jej ust:

¹ Specjalne błogosławieństwo udzielane na rozpoczęcie święta Pesach, a także innych świąt.

jedną żywą duszę i oto... naprzeciw niej siedzi ten dziwny mężczyzna i patrzy na nią w milczeniu.

„Ale jestem głupia – pomyślała Perl – pewnie on nie zna jidysz?”

– Czy pan mnie rozumie? – zapytała.

Mężczyzna skinął głową i wstał z łóżka.

– Tak, rozumiem – powiedział – proszę mi wybaczyć, zobaczyłem ogień w oknie... Na zewnątrz było tak ciemno... Już sobie idę.

– A gdzie pan będzie siedł po nocy? Proszę tu zostać, będę spała w drugim pokoju – Perl wstała z krzesła. – Może miałby pan ochotę na szklankę herbaty?

– Nie, nie, proszę mi wybaczyć...

– Ależ co znowu, chętnie przygotuję dla pana szklankę herbaty – Perl przestraszyła się, że sen przysnie. Mężczyzna był tak piękny, tak niewinny w swej nieśmiałości i spoglądał na nią swymi dobrymi oczyma – wyglądał prawie jak anioł z opowiastki dla dzieci.

– Mam na imię Perl – powiedziała. – A pan, jak się pan nazywa?

– Melech... Melech Anuwof... Proszę mi powiedzieć – spytał nieco zmieszany – skąd pani pochodzi?

To pytanie tak uradowało Perl, że aż się roześmiała w głos.

– Proszę usiąść, bardzo proszę – Perl usiadła przy stole. – Wie pan, ja jestem tulejsza, a pan? Proszę usiąść, bardzo pana proszę. Skąd pan pochodzi?

– Pochodzę z Polski, z Lublina. Było kiedyś takie miasto w Polsce.

– Tak, wiem. Mój dziadek, niech spoczywa w pokoju, opowiadał mi często o lubelskiej jesziwie. A od jak dawna jest pan w drodze? – Spytała Perl i poczuła jak wypełnia ją radosne podniecenie.

– Nie wiem. Po prostu sobie szedłem ot tak. I wszędzie jest tak samo – wszędzie są miasta i miasteczka, domy i synagogi, ale nie spotkałem ani jednego człowieka – Melech spuścił wzrok.

– Tak, rozumiem... Ja też już niemal odeszłam od zmysłów...

– Wie pani, czasem zaczynam myśleć, że jestem maszyną. Nie jestem w stanie robić niczego innego, tylko idę i idę. Wie pani, nie mogę uwierzyć, że naprzeciwko mnie siedzi ludzka istota. Proszę nie mieć mi tego za złe, bardzo panią proszę.

– A może jednak wypije pan szklankę herbaty? Co? – Perl podniosła się z krzesła i podeszła do kuchni – Raz dwa dostanie pan szklankę herbaty. Dlaczego nie? Jak ktoś przychodzi do domu, to musi wypić szklankę herbaty. Wie pan, u nas w miasteczku w każdym domu może pan znaleźć wszystko co potrzeba – herbatę, mąkę, zapalki, kaszę. Da się żyć. Ile w końcu człowiekowi potrzeba?... Przepraszam, a może zje pan racuszki? – Perl postawiła na stole szklankę herbaty i talerz z racuszkami. – Proszę jeść, proszę wyświadczyć mi tę uprzejmość, proszę się nie krępować.

– Dziękuję, serdecznie pani dziękuję.

– Proszę mi powiedzieć, reb Melech, czym się pan zajmuje? Jest pan kupcem? Proszę jeść...

– Nie, nie jestem kupcem, jestem bezdomnym tułaczem, ale kiedyś byłem melamedem i uczyłem małe dzieci.

– No, skoro tak, to na pewno będzie pan wiedział, co się wydarzyło przedwczoraj na niebie? Koniec świata... i trzęsienie ziemi...

– Jakże znowu trzęsienie ziemi?

¹ Nieprzetłumaczalna gra słów – imię i nazwisko przetrwało niezmienione i behemotyczne słowo „szewc” – „szewc”, co ma związek z „szewc” – oznaczać w j. hebrajskim: „skorośność”, ruszenie, odwrócenie do imienia pretera Elżbieta (Elżbieta Hanowa), odwrócenie żydowskiej domy o przynajmniej w czasie pierwszego seferu w święto Pesach.

– Niczego pan nie zauważył? Dzisiaj rano... tak zatrzęsło... że aż komin spadł z dachu i roztrzaskał się na kawałki.

– Nie, nie słyszałem niczego. Pewnie akurat spałem. W środku nocy usłyszałem tylko, że zegar zaczął nagle chodzić i ocknąłem się.

– Ja też usłyszałam, jak zegar – sam z siebie – zaczął nagle chodzić.

– Tak... Hm... Przepraszam, że pytam, czy ma pani rodzinę, czy też mieszka tu pani sama?

– A może napije się pan jeszcze herbaty? Proszę się nie krępować. Taki gość w domu...

– Serdecznie dziękuję.

– Dziękuję „tak” czy dziękuję „nie”?

– Tak.

Perl nalala do szklanki esencji i dopełniła wrzątkiem. Podeszła do okna, wzięła świecznik i postawiła go na stole.

– Zrobiło się jakoś ciemniej... Pytał mnie pan o moją rodzinę... Mieszkam tu sama jedna. Taki już mój los. Moja rodzina... Wszyscy oni tu leżą, w starej studni, przywaleni kamieniami. Taki mają grób. Taki nagrobek. I nawet nie ma nikogo, kto mógłby odmówić za nich kadisz.

Melech jęknął.

– Czy dziś jest rocznica ich śmierci?

– Codziennie obchodzę rocznicę ich śmierci.

Perl otworzyła oczy i spojrzała na świecę. Płomyk stawał się coraz mniejszy i słabszy, aż w końcu zgasł i w pokoju zrobiło się ciemno i cicho.

Przez całą noc Perl siedziała przy oknie i patrzyła to na niebo, to na drzewo, to znów na studnię.

W środku nocy ukazał jej się mąż – Arie-Lejb, kowal. Wszedł na podwórze, zamknął furtkę i podeszedł do okna. Wysoki, w tałasie i filakteriach, stanął obok niej. Jego wielkie czarne oczy były nieruchome, a usta miał zamknięte, lecz Perl wyraźnie słyszała jego głos.

– Perele, pożegnajmy się. Odchodzę.

– Dokąd idziesz, Lejbele?

– Nie wiem dokąd idę, wiem tylko skąd.

– A więc skąd odchodzisz, Lejbele?

– Z mojego domu, Perele, odchodzę z mojego domu. Ucałuj Baruchele ode mnie. On śpi?

– Jego nie ma, Lejbele, nie...

– Gdzie on jest, ten nasz syn? Zawsze byłeś oddaną i dobrą matką.

– On nie żyje, Lejbele. Jego dusza wstąpiła w orzech, który posadził mój ojciec, obyśmy dożyli jego lat. Rozumiesz, Lejbele?

– Tak, rozumiem. To moja wina.

– Nie, Lejbele, nie jesteś niczemu winien. Walczyłeś o jego życie aż do ostatniego tchnienia.

– A więc kto jest winien?

– Nie wiem, Lejbele, nie wiem.

Arie-Lejb podeszedł do orzecha i położył na pniu swoją ciężką dłoń.

– Nie, Perele, tu nie ma jego duszy.

– Skąd wiesz, Lejbele?

– Umarli wiedzą wszystko. Bywaj zdrowa, Perele.

– Zaczekaj, zaczekaj chwilę, Lejbele, powiedz mi, może powinnam wyrzucić Melecha z twojego pokoju, z naszego pokoju.

- Nie trzeba. To dobry człowiek.

- A jeśli on odejdzie, to co mam dalej robić? Lejbele, dlaczego nie mówisz?

Perl nie usłyszała odpowiedzi na swoje pytanie. Przycisnęła czoło do szyby i wpatrywała się w ciemność za oknem - na ścieżkę wiodącą ku studni kładł się błądy cień.

Z głową wspartą na dloniach Perl zapadła w sen. Spała spokojnie, nie śniąc, a kiedy się ocknęła, na dworze było już widno. Wyjrzała przez okno i zobaczyła Melecha. Stał przy studni, w tałasie i filakteriach i modlił się. Perl wyszła do sieni, obmyła ręce i zabrała się do pracy przy kuchni. Nagle poczuła lekki skurcz w dole brzucha.

- Boże Wszchemogący, czyżbyś sobie o mnie przypomniał?

Do pokoju wszedł Melech.

- Dzień dobry.

- Dzień dobry, dzień dobry. Niech pan umyje ręce i siada do stołu.

- Dziękuję - Melech usiadł przy stole, odmówił błogosławieństwo nad chlebem i podał Perl kromkę. Zaczął jeść, a Perl stała przy kuchni spoglądając na niego. Nalała sobie szklankę herbaty i usiadła przy stole.

- Jeśli pani pozwoli, to chciałbym o czymś opowiedzieć.

- Tak, proszę, niech pan opowiada.

- Jak pani wiadomo, byłem kiedyś melamedem. Zostałem nim dlatego, że bardzo lubię dzieci. Nie założyłem nigdy własnej rodziny, bo moja matka, obyśmy dożyli jej lat, była bardzo chora i cały czas musiałem się nią opiekować. Nasz lekarz powiedział mi pewnego razu, że w Zamościu mieszka pewien człowiek, cadyk, który mógłby postawić moją matkę na nogi. Pojechałem tam, ale było już za późno. Kiedy zjawilem się w Zamościu, miasto tonęło we krwi, a kiedy wróciłem do Lublina, zastałem to samo. Moja matka i wszyscy moi uczniowie, całe miasto było martwe.

- To bardzo smutne.

- Od tamtego dnia ciągle tylko idę i idę.

- Rozumiem. Dlaczego pan nie je? Zaraz wszystko wystygnie.

- Przepraszam.

- Niech pan je, reb Melech, proszę jeść. Chcę o coś pana spytać. Wie pan, nigdy w życiu nigdzie nie byłem. A pan bywał w różnych miastach i krajach, wiele pan widział. Może pan wie, co się stało z ludźmi? Gdzie oni wszyscy się podziali?

- Tak. No tak, nie ma już ludzi. Pani jest pierwszą osobą, którą spotkałem na swej drodze. Nie rozumiem tego i nie potrafię wyjaśnić. Wie pani, kiedy zobaczyłem moje dzieciaczki... Klóciłem się z moim Bogiem... wyzywałem go różnymi słowami, odchodziłem od zmysłów. Pęka mi serce, a duszę przeszywa ból.

- Reb Melech, Reb Melech...

Bajeczkę raz słyszałem,

O malej kóźce białej,

Bajeczkę raz słyszałem.

I co o niej słyszałem.

O tamtej kóźce białej.

I co o niej słyszałem?

Że nie ma już, słyszałem,

Bajki o kóźce białej,

Że nie ma już, słyszałem....

- Dziękuję pani. Bardzo ładna piosenka. Nigdy wcześniej jej nie słyszałem.

- Nauczył mnie jej mój ojciec, niech spoczywa w pokoju. Niestety, znał tylko tę jedną piosenkę.

- Perl, chciałem pani powiedzieć, że zaczyna się Pesach, jutro jest pierwszy seder. Trzeba upiec macę.

Perl miała ciężki dzień. Sprzątała, czyściła i przygotowywała pesachowe naczynia. W piwnicy znalazła dużą butelkę wina. Melech też miał co robić - piekł macę. Dziesięć razy chodził do rzeki po wodę, szykował drewno, palił chamec¹. Po kolacji, w milczeniu siedzieli razem przy stole. W pokoju było ciemno, świeca dawno się wypaliła. Perl wstała od stołu i podeszła do drzwi.

- Dobranoc, reb Melech.

- Spokojnej nocy, dobrych snów.

Melech leżał w swoim łóżku i nie mógł zasnąć. Wstał, wyszedł na dwór i przytulił się do orzecha. Wydało mu się, że słyszy jakieś glosy. Przycisnęła czoło do pnia, a drzewo przemówiło do niego. Melech zamknął oczy i ujrzał chłopca - jego twarzyczka zajaśniała i rozplynęła się w nicość. Więcej go już potem nie zobaczył.

Wrócił do domu i położył się spać.

Bajeczkę raz słyszałem,

O malej kóźce białej.

Bajeczkę raz słyszałem...

Melech usłyszał, jak drzwi od drugiego pokoju otworzyły się. Perl weszła do środka i usiadła na krawędzi łóżka. Poczul, jak powietrze w domu zaczyna drzeć i dźwięczeć.

- Gdyby mój Arie-Lejb żył, także by cię polubił...

Czas plął swoje tajemne sieci. Wiele znaków wskazywało na to, że jest on żywą istotą, ale nikt nie był w stanie zajrzeć w jego duszę, bo czas jest wieczny. A jego imię - Bóg.

1988 - 1994

przełożyła z jidysz *Marta Kubiszyn*

¹ Chamec (hebr. „zakwas”; od. chamec, obowia) - wspaniałe i aromatyczne ciasto, zawarty między innymi w wspaniałym ciście i wypiekach z takiego ciasta oraz w wódce ze sfermentowanego sbricia. Usmażenie i odjęcie od ognia produktu fermentującego chamec jest jednym z podstawowych nakazów dotyczących święta Pesach.

WŁADIMIR BRITANISZSKI

Mamine meble

W pokoju przed wojną było prawie pusto,
dwa niepozorne łóżka, prosty siół do jedzenia,
tandetna szafa na ubrania, a w szafie ściennej książki,
książki mojego ojca, wyłącznie o sztuce,
umeblowania nie było: aby cokolwiek.
Dopiero mamine meble, dwa fotele, kanapa i stolik,
rzeźbione drewniane róże, malowane żółtą emalią,
obicie – jasnozielony ryps, tak się chyba nazywał
materiał, który stopniowo płowiał i tracił połysk,
tak, dopiero mamine meble, uboga mamina radość,
dopiero one upewniały, że ten pokój jest domem,
że to nie jest po prostu metraż i kubatura.

W pokoju po wojnie zupełnie nic nie zostało,
tylko mamine meble, dwa fotele, kanapa i stolik,
rzeźbione drewniane róże, w złym guście, tak jak romanse,
śpiewane kiedyś przez mamę, które, oczywiście, pamiętam.
co jeszcze mam pamiętać, jeżeli nie to?

W pokoju po śmierci obydwojga rodziców
stały mamine meble, dwa fotele, kanapa i stolik,
mój brat zamienił ten pokój, wyprowadziwszy się z żoną,
a meble gdzie oni podzieli? oczywiście, sprzedali,
sprzedali stare graty za bezcen.

W pokoju... Nie, nie w pokoju – nie ma już tego pokoju –
we wnętrzu mojej duszy – do mojej duszy nie wchodzić!
nic nie ma w mojej duszy, niczego nie można zabrać,
więc nie wlamujcie się do niej, nie wyłamujcie drzwi! –
tam, we wnętrzu mej duszy – jest tylko obraz,
tylko widmo maminych mebli, dwa fotele, kanapa i stolik,
obicie się zupełnie rozlazło, emalia się złuszczyła,
obraz się chwieje, faluje, nie znika...

* * *

Pierwsza powojenna jesień
była niewiarygodnie hojna:

z Uralu wiozłem
kilka barwnych odłamków jaspisu,
a w Moskwie, w przerwie między pociągami,
zobaczyłem kremłowskie gwiazdy
i wrubłowskiego Demona;
na dworcu
major, wracający z Azji Środkowej,
poczęstował mnie całą kistią
granatowych winogron;
na koniec, w Leningradzie,
parada okrętów na Newie i salwa nad Pałacem Zimowym,
i czarodziejska szklana kula, kryjąca wewnątrz
szwajcarskie jezioro
i dobrą duszę babci, zmarłej podczas blokady.

Baba

Baba przykryła szeroką spódnicą
czajnik.
Była blokada.
Były ostrzały artyleryjskie, bombardowania.
W dom trafiła bomba, ludzie zginęli, ale czajnik –
ocalał:
ukrył się pod spódnicą baby.

Nieśmiertelna, niezniszczalna baba,
gruba jak pomnik Aleksandra III,
rozsadła się pośrodku pustego stołu,
pije z drewnianego spodeczka
herbatę.

* * *

Miejskie podwórka,
te kamienne worki,
dekoracje przyszłych inscenizacji
Dostojewskiego.

Drewniane komórki, śmieciniki, pralnie.
Przed wojną – szmacciarze,
po wojnie – ostrzarze,
przed i po – chłopcy (orzeł czy reszka),
i wibrujące głośnie echo
błahych kuchennych kłótni.

Rok 1835

Ajwazowski.

Lecz nie Morze Czarne, tylko pejzaż z okolic Petersburga:

mewy, trawy (a może to trzciny?),

łódź, leżąca na piasku, siedzący w niej człowiek,

data – 1835.

Puszkin jeszcze żył.

Worobjew.

M. N.

„Jesienna noc w Petersburgu”:

sfinksy, księżyc, blask Newy, efekty świetlne

(na dziesiątki lat przed Kuindżim),

data – 1835.

Puszkin jeszcze żył.

Epoka Puszkina? Epoka – niczyja.

Być może nawet Puszkin to jeden z przechodniów,

idących jesienną nocą po bulwarze, i już widzi sfinksy,

i lada chwila minie gmach Akademii Sztuk Pięknych,

w górze ten sam księżyc, w dole ta sama Newa,

lecz malarz machnął, niczym kat toporem, odrąbał.

zostawił figurkę poza obrębem obrazu...

Nie ma go tutaj.

Lecz oto one, te sfinksy.

Oto ten bulwar.

I obraz, oto on, istnieje.

Kółko w nosie

W pierwszych powojennych latach

po naszej ulicy, koło Newskiego Prospektu,

przechadzał się zarozumiały chłopak

w zagranicznych półbutach,

z łaciatym dnojem na smyczy,

z kółkiem w nosie.

Za to kółko

wyciągam go razem z ogromnym psem

na powierzchnię

z na wpół zapomnianych, zatoniętych w pamięci lat.

Przebieg powojennych lat...

Archip Kuindżi (1841-1910), rwa. malarz realista.

Instytut Górniczy

Herakles walczący z Anteuszem

i Pluton porywający Prozerpinę

co dzień witali mnie

na schodach.

Nie zauważałem ich, jak na scenie nie zauważa się

statystów.

Tylko ciężkie kolumny doryckie

woronichieńskiej fasady

jak potężne pale, wbite w grząską pamięć,

sterczą z rzeki zapomnienia.

przełożył Zbigniew Dimitroca



Artur Gołębowski – ilustracja do pieśni Mury J. Kaczmarskiego

dwugłosy

EDYTA ANTONIAK

Poetka w pułapce

Urszula Jaros niewiele po sobie zostawiła wierszy i zaledwie trzy tomy: *Pokoje kobiet* (1979), *Stracone ogrody* (1984) i *Ach, pokorna być mogłam* (1992). Już ich tytuły zakreślają obszar poetyckich poszukiwań autorki: sprawy kobiece, tęsknota za tym, co utraczone, wpisane w tę poezję poczucie winy,

Po tragicznej śmierci poetki w 2007 roku podsumowaniem jej dorobku stał się wydany w bibliotece „Akcentu” tom, zatytułowany po prostu *Wiersze*. Jego redaktorem jest Bogusław Wróblewski, który zebrał i ułożył w spójną całość 55 liryków publikowanych w „Akcentie” w latach 1980-2004. Warto zauważyć, że książka zawiera też rysunki poetki, która stworzyła niecodzienną serię „placich portretów”. Ilustrujące zbiór ptaki, kamienie i skały potęgują siłę wyrazu wierszy i świadczą o dużej wrażliwości artystki.

Już utwór otwierający tom wprowadza nas w świat kobiecych, traumatycznych przeżyć:

nie tylko ty jeden i niejednakowo
byłeś bity jesteś będziesz jeszcze

(Nie ty jeden..., s. 5)

Pojawia się wątek poniżenia, winy, kary. Odnajdziemy tu zarówno punkt widzenia osoby karanej, jak i wykonawcy kary, zarówno pamięć o tym, co było, jak i zapowiedź tego, co będzie. Jest wspomnienie „razów i klapsów”, jakie bohaterka wierszy otrzymała w dzieciństwie, zestawione z sytuacją, w której – już jako matka – ma sama wymierzyć karę:

gdy wiara moja to najpiękniejsze
z umierających dziecko świata
pytam jak je ocalić ja brudnopalca
matka

(Nie ty jeden..., s. 5)

Przemoc brudzi ręce – nawet użyta w słusznej sprawie. Matka w wierszu Urszuli Jaros jest *brudnopalca*, a nie jak u Ryszarda Krynickiego *różanosutka, która jutrznią / była i jutrem* (wiersz *Jutrznią byłabyś różanosutka* z tomu *Akt urodzenia*). Nie jest matką idealną, jak w poetyckiej parafrazie Przdrowienia anielskiego Krynickiego, a jej słowa nie są kierowane do Matki Boskiej. Nie przypomina też beztraskiej Eos – Różanopalcej Jutrzni, która zakradała się według greckiej mitologii do sypialni mężczyzn. Wiersz otwierający tom jest być może polemiką z utworem Krynickiego, dyskretną odpowiedzią surowej, ale kochającej matki,

która nieco naiwnie mitologizuje rolę kobiety w rodzinie. Wątek winy wobec własnych dzieci pojawi się też w innych wierszach:

patrzę na córki moje ja czterdziestoletnia
która je łeki nauczyłam mnożyć
że nie ma rady na bezradność
że coraz trudniej coraz gorzej

(Patrzę na córki moje, s. 6)

Kobiecość tej poezji to nie rzeczywistość luster, kosmetyków, umizgów, adoracji i zaurzecz. To nie świat kuchni ani kobieca cielesność, chociaż i ona się tutaj pojawia. Kobiecość dla poetki to problem przemocy, której pleć piękna doświadcza: *czerwień jest żywa / na policzkach płonie gdy się nie przyznasz* (*Wina*, s. 6), i której sprawcą jest karząca matka. To ból, upokorzenie i poczucie winy. W innym wierszu, dedykowanym siostrze, tak autorka przestrzega szesnastoletnią: *uderzy w siebie nóż / przyszłych dni (uderzy w siebie nóż..., s. 6)*.

Świadomość winy jest potęgowana przez potrzebę dzielenia się traumą, niewiarą, która podcina skrzydła. *Niech stanie się cisza / mojego macierzyństwa / śmierć życie wyprzedzi* (s. 6) – pisze poetka w wierszu *Patrzę na córki moje*. Ale jak może być inaczej, jeśli *Kotysanka zapamiętana* kończy się słowami: *nie płacz nie mamy czasu / my tutaj pracujemy / my tutaj budujemy / żeby ci było lekko* (*Kotysanka zapamiętana*, s. 12). Koło się zamyka – samotność i przemoc są nieodłączne od losu matki i dziecka, z tragicznego impasu nie ma wyjścia. To rodzi traumę, zwątpienie. W wierszu *blaganie* poetka prosi:

blagam przyjdź i odmień ten obraz
blagam przyjdź
inny człowieku

(blaganie, s. 18)

Oczywiście jest to czekanie na Godota – bo inny człowiek nie przyjdzie. Umysł, ciało i dusza są – jak w sztuce Becketa – śmietnikiem, z którego nic nie widać. W innym wierszu poetka powie: *izabela mieszka w pokoju własnego ciała / ma wszystkie sprzęty / konieczne aby przestał żyć* (*izabela mieszka...*, s. 9). Ten „pokój własnego ciała” przypomina pokój z dzieciństwa, w domu rodzinnym: *nie musisz się bać te cztery ściany / i cztery oczy i cztery ręce chronią cię / tylko nie odchodź daleko jeśli odchodzisz / pamiętaj dobrze pamiętaj drogę powrotną* (*Kotysanka zapamiętana*, s. 12). W owej wizji, pełnej lęków i zakazów, dzieciństwo jak i macierzyństwo stają się zniewoleniem. Nie przypadkiem poetka tworzy rzeczowniki odczasownikowe z form niedokonanych, np. w tytułach wierszy: *Odejścia* czy *Odechodzenia*, które wskazują na niemożność ostatecznego zakończenia czynności, niemożność uwolnienia się od „czegoś” i bycia ku „czemuś innemu”. Matka, przekonana, że poniosła porażkę, próbuje zakwestionować, z pomocą cynizmu wyprzeć się wartości, jakie jej wpojono i jakie ona – choć uważa je za fałszywe – wpoila swoim dzieciom: *dlatego że nie wam nie dałam / a wszystko dla was straciłam / odejść muszę by się nauczyć / sprzedawania uczuć / odejść muszę do obcych / bo wtedy mniej boli* (*Odejścia*, s. 7). Są dramatyczne „odejścia” i beznadziejne powroty. Tymut wiersza *Z pożegnań* świadczy o tym, że odejść i pożegnań było wiele.

Nic dziwnego, że pojawiają się myśli samobójcze, a życie staje się heideggerowskim byciem ku śmierci: *straciłam siebie dla mojego domu / dla matki mojej i mojego ojca / śmierć uczyniłam ale się nie przyznam* (*Odechodzenia*, s. 7). Śmierć czyni nas równymi, ale budzi też lęk przed nieznanym. Dlatego poetka w wierszu *Wszyscy równi* napisze: *wszystkie matki ukrywające twarz rozmokłą od łez / wszystkie dzieci dorosłe bardziej niż pozwala wiek / wszyscy którzy biją i zabijają wierząc*

/ że tylko dzięki temu bije ich serce / (...) / wszyscy równi przed swym nowym ojcem / strachem (Wszyscy równi, s. 15).

A zatem ojcem jest strach, a matką – śmierć, która wydaje na świat i z niego zabiera. Znamienne, że ojcu, który w wierze chrześcijańskiej jest Ojcem Wszystkiego, zostaje przypisana rola Demona Strachu, a matka – rodzicielka – zostaje zrównana ze śmiercią. Demon Śmierci jest posłuszny Demonowi Strachu. Bóg Ojciec staje się strasznym, zazdrośnym, statutestamentowym mścicielem z Księgi Hioba (jak u Ericha Fromma w *Dogmacie Chrystusa*) lub wręcz Zeusem Gromowładnym, zdolnym wydać rozkaz zabicia swych dzieci. Matka woli raczej zrezygnować z własnego życia, niż ulec woli Ojca.

Poetka ma też świadomość własnej klęski, większej niż klęska matki – światopoglądowej, religijnej, duchowej:

tutaj bywają czasem modlitwy
zardzewiałe pacierze
rozmienia je na grzechot pojedynczych słów
byłeś tutaj pamiętasz byłeś tutaj dzieckiem
nie pamiętasz dlaczego
jeszcze raz się uczysz
gier zabaw wyliczanek
życia

(Stracone ogrody II, s. 15)

Wiersz ten jest wyznaniem wiary – traconej albo ledwie odradzającej się, słabej:

musisz zacząć uczyć się od nowa
byłeś tutaj
cieszyłeś się że jutro będzie lepsze
teraz będziesz się cieszył
kiedy jutro będzie
(...)
miłości
musisz zacząć się uczyć od nowa

(Stracone ogrody II, s. 15)

„Od nowa” – podobnie jak w Nowym Testamencie, gdzie rolą Matki jest powicie syna, ale już nie wychowanie Boga. Bohaterka ma świadomość, że temu wyzwaniu nie sprostała... A przynajmniej wie, że wychowanie człowieka „do wolności” jest zadaniem niezwykle trudnym, a czasem niewykonalnym.

Bohaterka wierszy, jak kiedyś dwie matki u króla Salomona, szuka wiary i pomocy, rady, ale ich nie znajduje: *bo nie umiem wydobyć się z mroku / słów nadziei na owocowanie / na otwarcie oczu na spokój (ach, pokorna być mogłam, s. 17)*. W cytowanym już wierszu *blaganie* napisze: *wyszydzona moja wiara w ciebie / twoje oczy trwożnie tną powietrze / jak cię znaleźć (blaganie, s. 18)*. W tym fragmencie można odnaleźć lament matki, świadomej swojej ułomnej miłości, ułomności macierzyństwa, wiary. „Innym człowiekiem”, do którego zwraca się w zakończeniu wiersza, może być Chrystus. Chrystus w Trójcy Przenajświętszej, ale też Chrystus Syn, Syn Matki – w tym sensie inny człowiek. Kobięcość i macierzyństwo to ubuwiazek, ale też ból odcięcia pępowiny – po raz pierwszy przy porodzie i po raz drugi, kiedy dzieci „idą na swoje”. To rozterka, w co je zapatrzeć „na drogę”. Co zrobić, aby troska, rady i napomnienia nie niosły ciężaru naszych lęków? A może odciąć się całkowicie, odrzucić macierzyństwo, jak w przytaczanym już wierszu *Odejscia*?

Urszula Jaros przypomina tu inną legendarną poetkę, Beatę Obertyńską, targaną podobnymi sprzecznościami, którym dała wyraz w kilku wierszach. Jednym z nich było *Macierzyństwo* z tomu *Pszczół w słoneczniku*:

Utrudzone, wśluchane w czarnopuchą ciszę
Bezsennymi nocami kołysze...kołysze...

Oblicze przeźrocyste, blade błogą męką,
Chyli nad niemowlęciem wymownie i miękko.

(Macierzyństwo)

Odrzucenie macierzyństwa przez Obertyńską było tak samo dramatyczne i traumatyczne – zrozumiałe jedynie, gdy weźmiemy pod uwagę melancholię, na którą poetka całe życie cierpiała:

Tylko mnie niepokoją dojrzone przez szatę
Małpie łapy, bezmyślne, szare i włochate.

(Macierzyństwo)

Obie poetki przeżywały kobiecość równie dramatycznie, były targane lękami i sprzecznymi uczuciami.

Wiersze Urszuli Jaros mogą przy pierwszej lekturze drażnić patosem, czasami zbyt „ciężką metaforą”, pewnym niedostatkami artyzmu. Ale nie o artyzm tu chodzi – chociaż go w tych wierszach niemało. To, co dostaliśmy w darze od „Akcentu”, to o wiele więcej niż kolejny tom poetycki. To zapis doświadczenia, traumatycznych przeżyć kobiety posiadającej dużą świadomość słowa, ale nie dbającej o to – raczej troszczącej się o prawdę poetyckiego przekazu. Bo tu nie chodzi o maestrię ani poetycki marketing. Nie dlatego te wiersze zostały napisane. To nie jest poezja kobieca – choć przez kobietę pisana i jej tematem jest kobiecy sposób postrzegania świata. Jednocześnie nie ma tu dopominania się o kobiecość – manifestacji własnej kobiecości, obnażania fizjologii. To zderzenie z kobiecością i konstatacja porażki – nieważne na ile prawdziwa i słuszna. Wiersze Jaros pokazują trud bycia kobietą, kiedy minie czas luster, zalotów i oddania mężczyźnie, *kiedy sen o męskim mocnym ramieniu / śni się jeszcze lecz już się nie spełnia (Dwóch, s. 30)*. To prawdziwa, bardzo smutna książka.

Macierzyństwo, szeroko rozumiane niespełnienie i rozpamiętywanie przeszłości stanowią lejtmotywy twórczości Jaros. Poetka wiele miejsca poświęca także sferze sacrum, chciałaby w niej widzieć ocalenie, wybawienie, ale jak pisze – *niebo było zamknięte / Bóg był bardzo zajęty (s. 20)*. W wierszu pt. *Przemoc* jeszcze drastyczniej wybrzmiewa ów dysonans między pragnieniem boskiej opieki a rzeczywistością:

chwila w której się chciała modlitwy nauczyć
gdy krew zdrętwiała biła w ściany serca
szarawy fiolet brzeg palców wypełniał
anioł stróż
oniemiał

(Przemoc, s. 21)

Anioł oniemiał, tak jak czytelnik, którego piorunuje nagromadzenie wyrazów, metafor u negatywnych konotacjach – trucizna, krwawiąca rana, złoczyńcy, czerń słońca, kiepski świat, wypaczenia, ciemista noc. Wiersze Urszuli Jaros były/są błagalnym pytaniem skierowanym do *Jasnego Pana* – *jak oddzielić śmierć od rozpacz?* (*Symptom, s. 27*).

Urszula Jaros: Wiersze. Wschodnia Fundacja Kultury „Akcent” i Biblioteka Narodowa, Lublin 2004, ss. 36. Białystok: „Akcent”, tom 10.

To tylko połowa tęczy

Urszula Jaros urodziła się w 1955 r. w Świdwinie. Studiowała na UMCS. Debiutowała w 1978 r. W ostatnich latach mieszkała w rodzinnym domu w Barzkowiznie k. Lublina. Zmarła tragicznie w 2007 r. Autorka trzech tomów poetyckich: *Pochoje kobiet*, *Stracone ogrody*, *Ach, pokorna być mogłam...* Tak można najbardziej lakonicznie przedstawić biogram poetki.

Redaktor tomu, Bogusław Wróblewski, dołączył do wyboru wierszy Urszuli Jaros jej prace plastyczne. Rysunki piórką. Czarno-szaro-białe ptaki z jednym wyjątkiem. Po wierszu bez tytułu, zaczynającym się zdaniem „ach pokorna być mogłam” mamy rysunek przedstawiający oprócz ptaka kobietę. Uskrzydloną, jasnopiórą, podrywającą się do lotu. Tymczasem ptak, białopióry, u jej stóp kona. Już bez życia, ale jeszcze zachowujący swój żywy kształt, zdaje się mówić: *nie bój się to nie jest śmierć / to tylko formowanie*. Te dwa wersy można uznać za klucz rozkodowujący twórczość Urszuli Jaros, ale też jej trudne życie.

Chciałoby się do tej poezji podejść tak, jak to się zwykle (powinno?) czynić i oddzielić podmiot liryczny wierszy od ich autorki. Niestety, w tym przypadku taka separacja nie jest możliwa, gdyż poezje Urszuli Jaros są zapisem jej życia, wprost zyciorysem. Świadomość śmierci, uciekanie przed nią i uciekanie się do niej, próba zapomnienia o niej i nieustanne jej przywoływanie, formowało szczególnie ostatnie lata życia poetki. W wierszu bez tytułu, otwierającym tom, czytamy: *gdy wiara moja to najpiękniejsze / z umierających dziecko świtu / pytam jak je ocalić ja brudnopalcu / matka*. Wiara w kogo i komu? Na pewno w siebie i siebie. Ostatnie dwie dekady życia to bolesna walka o siebie, o miejsce pośród ludzi i o bliskość jednego, jedyne go człowieka.

W wierszu *Nieznamy ogrodnik* Urszula mówi: *nie mogłam się wyzwolić / od natrętnych myśli / czy czas stracony / to ten w którym byłam / wśród tłumu ludzi / czy ten od wielu lat / z daleka od nich*. Poetka nie kocha cierpienia, nie chce też żyć zamknięta w bólu, szuka ratunku, wybawienia. Wie, że nie dla niej tak zwane normalne życie, a jednocześnie takiego życia właśnie pragnie. I kiedy już zdaje się, że wreszcie zaczyna żyć jak inni, wtedy stwierdza, że *nędza mego istnienia wtedy się zaczyna / gdy staram się być schludna poprawna i zwykła* (wiersz *W inności*). Tak więc chwila szczęśliwa jest zarzewiem niekończącego się wieszczęścia, ale też to nieszczęście zaczyna warunkować nwn chwilowe szczęście. Mówiąc wprost, rozpacz napędza nadzieję, ale i nadzieja napędza rozpacz.

W tych dwu przywołanych wersach można i trzeba dosłuchać się jeszcze jednego tonu. Jeszcze jednej melodii, która tylko wtedy byłaby czymś dziwnym, gdyby jej nie było. Mistyczka Faustyna Kowalska opowiada w *Dzienniczku*, że kiedyś doszła do wniosku, iż najlepiej będzie, jeśli zacznie żyć jak każda inna porządna, nikomu niesprawiająca kłopotów, zakonnica. Uniknęłaby tym samym posądzeń, poczynszy od zarzutu pychy, a skończywszy na podejrzeniu o chorobę psychiczną. I kiedy była już prawie pewna, że obrała dobrą drogę, wtedy, jak mówi, Jezus powiedział dn niej, że nic podobnego, że nie od dobrego ducha pochodzą te jej myśli, ale od szalana. Pamiętając o tym, można pełniej zrozumieć Urszulę Jaros, gdy pyta, *jak oddzielić śmierć od rozpacz* (...). *Parie regut tej najświętszej gry / niezbadane są wyroki twoje*.

Idąc tym tropem, widząc jak rozpacz wspiera nadzieję i jak nadzieja wspiera rozpacz, nie pozostaje człowiekowi nic innego, jak zdobyć się na odwagę i wejść w tę ciemność, ale nie na zatracenie, gdyż *każdy z nas czeka / aż po drugiej stronie / czyjeś oczy powiedzą / bez ciebie / cały ten świat / byłby tylko / martwym obrazem*.

Ta ciemna noc zalegająca zarówno nad szczęściem, jak i nieszczęściem odziera człowieka z wiary. Łatwej wiary wyrażającej się w naiwnej nadziei, że jutro będzie lepiej. Nie będzie, jako że zarówno ból, jak i radość podsyca w nas głód, który i tak jest już nie do wytrzymania. Co więc biednemu człowiekowi pozostaje, gdy nie ma już dla niego miejsca ani pośród swoich, ani pośród obcych? Co pozostaje człowiekowi, gdy zarówno wiara, jak i nadzieja nie wytrzymują próby czasu, zawodzą? Co robić, żeby nie zginąć? Urszula Jaros odpowiada: *świat wokół płonie / lecz ciągle jest nasz*. Co sprawia, że nie czernieje druga połowa tęczy naszego życia? Co zatem pozwala człowiekowi ten wrogi świat uznawać, mimo wszystkich zagmżeń, za swój, za własny? Miłość. mówi poetka, a więc *musisz to zrozumieć / bez twej miłości / każda sytuacja jest dla mnie / sytuacją zagrożenia*.

W jednym z ostatnich w tomie wierszy pt. *Dwaj jeźdźcy* Jaros mówi, że ci dwaj jeźdźcy towarzyszyli jej przez całe życie niby przewodnicy. Gdy jeden mówił „tak”, drugi mówił „nie”. Wciąż więc wskazywali poetce „odmienne wersje możliwości”. Tak rozdarta, rozkrzyżowana, rozpięta, trwała przy życiu i dopiero teraz, jakby w przeczuciu odejścia, zaczyna dostrzegać, że jej zmaganie się z życiem i o życie jest częścią o wiele większej, „odwiecznej” całości zmagania się życia z życiem: *Lecz kiedy wyszli z cienia / wtedy zrozumiałam / że ich odwieczna walka trwała ponad mną / nie widziałam nie czułam i nie rozumiałam / tego który mnie chronił / i który był ze mną*. Skoro tak, to należy domniemywać, że ten niezól, trud, to zmaganie się ze zmaganiem musi mieć sens, jako że bezsens nie jest żadną odpowiedzią. Dlatego Urszula Jaros mówi i zapisuje rozstrzelonym drukiem, że *Wszystko to / gdy odejdę bo tak być pewnie musi / powróci kiedyś do mnie w najjaśniejszym śnie*.

Urszula Jaros: Wiersze. Wa. białost. Fundacja Kultury „Ancestr” i Biblioteka Narodowa, Lublin 2008, ss. 36. Biblioteka „Aktentu”, tom 10.

Książki nadesłane

Świat Książki. Warszawa 2009

Michał Witkowski: *Margot*. Powieść. Ss. 206.

Piotr Czerwiński: *Przebiegum życiae, czyli kartonowa sied*. Powieść. Ss. 350.

Jacek Bocheński: *Tyberiusz Cezar*. Ss. 317.

przekroje

Nie tylko analitycznie

ALINA KOCHAŃCZYK

IWASZKIEWICZ I JELEŃSKI – PRZYJAŹŃ NA ODLEGŁOŚĆ

List, przez wieki praktykowana forma piśmiennictwa użytkowego służąca do komunikowania się ludzi na odległość, niebawem będzie już zjawiskiem anachronicznym. Listów wypełnionych informacjami o tym, co działo się w życiu osobistym nadawcy i adresata, a także w życiu ich rodzin, przyjaciół i znajomych, takich listów, które byłyby niespieszną rozmową, intymną wymianą myśli, rodzajem mniej lub bardziej poufalego kontaktu, nikt już nie pisuje. Dziś kontaktujemy się ze sobą inaczej, wymieniamy informacje szybciej, krócej, bardziej pośpiesznie, za to – na masową skalę. Choć nowe możliwości są wspaniałe, to jednak pozostaje żal, że przeminęła epoka listów tradycyjnych, roznoszonych przez listonosza; korespondencji pisanej z namysłem, dotyczącej spraw istotnych, i chęty dlatego pieczołowicie przechowywanej. Gdy mija dłuższy czas, listy zawsze nabierają nowej, niekiedy nawet wielkiej wartości, zwłaszcza jeśli krążyły pomiędzy tzw. osobami publicznymi. Podawanie listów do druku od dawna stało się praktyką powszechną i coraz częściej nie czeka się z tym do śmierci adresata oraz nadawcy. Jest to zawsze lektura przez czytelników pożądana i zazwyczaj interesująca, choćby dlatego, że listy odsłaniają różne sprawy sekretne, ujawniają więcej prawdy o autorze niż jakakolwiek inna jego wypowiedź, pokazują go od strony prywatnej. Właściwie trudno byłoby wymienić rozliczne korzyści, jakie dla ogółu czytelników wynikają z tego, że „ludzie listy piszą”, a właściwie, że – listy pisali. Ilek białych płam historii kultury można dzięki temu wypełnić, ileż fałszów zweryfikować!

Opracowany przez Radosława Romaniuka tom zawierający listy Konstantego Jeleńskiego do Jarosława Iwaszkiewicza, kilkanaście listów Iwaszkiewicza do Jeleńskiego i do jego matki – Teresy Jeleńskiej, zgodnie z tym, czego można się było spodziewać, jest rzeczywiście niezwykle interesujący. W specyficznym przebiegającym dialogu poznajemy nieoficjalny wizerunek dwu ważnych postaci powojennego świata kultury: czołowego pisarza krajowego i najwybitniejszego krytyka literackiego na emigracji. Na książkę złożyło się 145 listów wymienianych pomiędzy Iwaszkiewiczem a Jeleńskim w latach 1951-1980 oraz korespondencja Iwaszkiewicza z Reną (tak bliscy zwali Jeleńską) – 21 listów z lat 1958-1963.

Zbiór rozpoczynają listy Jeleńskiego do Iwaszkiewicza pisane jesienią 1951 roku, zaraz po tym, jak poznali się w Rzymie z okazji koncertu Artura Schnabel.

Po występie odbyli pierwszą dłuższą rozmowę i można wnioskować, że bardzo przypadli sobie do gustu – od razu zaczęli mówić do siebie po imieniu. Iwaszkiewicz miał wtedy 56 lat, Jeleński – 29. „Kochany Jarosławie”, „drogi Konstanty” – nie są to zwykłe, konwencjonalne nagłówki, zdradzają bliskość, tak samo jak często kładziony przez Jeleńskiego podpis: „Twój Kot”. Tej serdeczności, widocznej zwłaszcza w listach Jeleńskiego, nie tłumaczy na pewno fakt, że świeżo nawiązaną znajomość Iwaszkiewicz przypieczętował wyświadczoną nowemu przyjacielowi grzecznością – zabrał do Polski wielką paczkę dla jego ciotki. Już po lekturze pierwszych listów rodzi się pytanie, jaka była przyczyna, że panowie tak szybko zbliżyli się do siebie? Zapewne miał znaczenie fakt, że Jeleński był przyjacielem Józefa Czapskiego, którego także Iwaszkiewicz znał dobrze od bardzo dawna, bo od 1919 roku. Być może ważna była wspólna dla nich obu (a właściwie dla nich trzech) orientacja seksualna. Lektura listów utwierdziła mnie jednak w przekonaniu, że więź łącząca Iwaszkiewicza z Jeleńskim miała charakter przede wszystkim intelektualny, duchowy. Listów Iwaszkiewicza do Jeleńskiego jest w omawianym zbiorze znacznie mniej, pierwszy pochodzi dopiero z 1957 r., trudno więc domniemywać, jak na początku postrzegał on swoją znajomość z „Kotem”. Na pewno był mniej emocjonalny od Jeleńskiego, który często słał w listach czułe słowa i nierzadko kierował je do obojga Iwaszkiewiczów. Jarosław wtakiem nie uderzał, jednak, mimo że czasem bywał nieco szorstki („trzymaj się stary”), rozgoryczony, a nawet gniewny, to zawsze da się wyczuć jego serdeczność, przywiązanie i wdzięczność za dowody przyjaźni ze strony Konstantego. A było ich niemało. Dopiero z listów można dowiedzieć się, że niejedno zaproszenie do uczestnictwa w kulturalnych akcjach we Francji, Włoszech czy Szwajcarii otrzymał Iwaszkiewicz dzięki protekcji Konstantego, który lansował go tam jako wybitnego pisarza.

Iwaszkiewicz i Jeleński należeli do różnych pokoleń, do odrębnych, politycznie wręcz wobec siebie światów, a więc znacznie więcej ich dzieliło, niż łączyło. Chyba za najistotniejszą płaszczyznę porozumienia można uznać to, iż obojdwaj należeli do sfery, która w okresie międzywojennym stanowiła elitę kulturalną. W jednym z listów Iwaszkiewicz, czyniąc aluzję do książki Marii Czapskiej *Europa w rodzinie*, napisał z dumą i zarazem z żalem *Jestem z tej Europy Maryni Czapskiej. Ostatni*. W ten sposób podkreślił swoją przynależność do coraz bardziej kurczącego się w PRL-u (ale także i na Zachodzie – pod wpływem procesów demokratyzacyjnych) grona ludzi wychowywanych i kształtowanych wedle tradycyjnych wzorów kultury europejskiej. Do tej samej „Europy Maryni Czapskiej” należał również Konstanty Jeleński. Jego rodzice wywodzili się z zamożnego ziemiaństwa, ojciec pracował przed wojną w dyplomacji, matka obracała się w środowisku literatów. Iwaszkiewiczowie poznali Renę Jeleńską w połowie lat międzywojennych na zjeździe literatów w Pławowicach u Ludwika Morstina, ale bliższych kontaktów wtedy nie nawiązali. Odnowiona w latach 50. za pośrednictwem Konstantego znajomość Jarosława z panią Jeleńską została zadzierzgnięta niezwykle szybko i mocno. Świadczy o tym fakt, iż podczas licznych podróży do Włoch Jarosław zawsze odwiedzał matkę przyjaciela i zatrzymywał się w jej rzymskim mieszkaniu. Rana i jej syn stali się najważniejszym kontaktem Iwaszkiewicza w tej części Europy, która po II wojnie była na długo niedostępna dla zwykłych obywateli PRL-u.

Stosunki między Jeleńskimi a Iwaszkiewiczem (w tle była zawsze Anna Iwaszkiewiczowa) pogłębiały się podczas kolejnych pobytów Iwaszkiewicza we Włoszech; podtrzymywane i pielęgnowane dzięki korespondencji (z Konstantym przez blisko trzydzieści lat) przerodziły się, jak pokazują listy, w trwałą i prawdziwą przyjaźń. Iwaszkiewicz stał się dla Jeleńskiego kimsś niejako należącym do rodziny – tak wyraził się po śmierci przyjaciela podczas rozmowy w redakcji „Kultury”. W liście z 1967 roku „Kot” pisał do Jarosława: *Cieszę się, iż*

mój stosunek do Was – do Ciebie i do Pani Hani – nie jest zwykłą „przyjaźnią”, że jest w nim czułość „rodzinna” uparta na *affinites affectives*... Słowa o duchowym pokrewieństwie na pewno nie są frazesem i nie wynikają tylko z chęci zrobienia Jarosławowi przyjemności. Jeleński to, jak uważam, niespełniony artysta – bardzo możliwe, że gdyby nie wojna, sam zostałby twórcą, najpewniej w dziedzinie literatury. Przekonanie, że takie było najgłębsze pragnienie Jeleńskiego, rodzi się chociażby podczas lektury przedmowy, w którą zaopatrzył pierwsze krajowe wydanie swoich tekstów (ukazało się poza cenzurą w 1981 roku pod tytułem *Zbiegi okoliczności*). Gdy przedstawia się czytelnikom, pod warstwą autoironii uchwycić można nutę przykrości: *należę do wielkiego zespołu piszących a nie do garstki pisarzy*. W innym miejscu, już bez autoironicznego dystansu, ale też ujawniając poczucie niedowartościowania, Jeleński mówi: „uważam się pisarza (krytyka, eseista?) polskiego”. Właśnie ta specyficzna, bardzo osobista relacja pomiędzy niespełnionym pisarzem a podziwianym przez niego twórcą zdaje się tłumaczyć wielką sympatię, jaką Jeleński darzył Iwaszkiewicza. Chyba podobnie widział to Giedroyc, który w swej autobiografii, zde gustowany „słabością” Jeleńskiego, złośliwie określił jego stosunek do Iwaszkiewicza jako „adorację”: *Był w niej nie tylko podziw dla pisarza czy poety. Była w niej również słabość do człowieka. Kot miał wyraźnie dla Iwaszkiewicza taryfę ulgową*. Giedroyc miał za złe Jeleńskiemu, że „nie interesowała go postawa polityczna czy moralna Iwaszkiewicza”. Zdaniem redaktora naczelnego „Kultury” autora *Brzeziny* należało potępiać, a w rezultacie trzymać się od niego na dystans. Czy jednak rzeczywiście „Kot” nie interesowała działalność Iwaszkiewicza w środowisku literackim?

Z listów wiadomo, że Jeleński spędził na rozmowach z Iwaszkiewiczem niejedną godzinę, musiał więc dobrze znać światopogląd rozmówcy. Okazuje się, że bynajmniej nie lekcewał jego politycznej aktywności. Listy dowodzą, że przyjaciele różnili się przekonaniami politycznymi, co czasem wywoływało spory – doszło nawet do swego rodzaju kłótni, wynikiem której było ochłodzenie stosunków. Iwaszkiewicz poczuł się bardzo dotknięty, gdy Jeleński w jednym z artykułów nazwał go „Petainem polskiej literatury”. Konflikt został jednak – o dziwo – dosyć prędko załagodzony. Jeleński skwapliwie przyjął propozycję naburmuszonego jeszcze Iwaszkiewicza, który pierwszy wyciągnął rękę do zgody, choć to on przecież został obrażony. Iwaszkiewicz zaproponował: w sytuacji, gdy dzieli ich o wiele więcej niż łączy, tym bardziej powinni pielęgnować to wszystko, co stanowi podstawę bliskości i wzajemnego zrozumienia.

Co ciekawe, mocniej poróżniła ich „sprawa Gombrowicza” – Iwaszkiewicz uważał, że Gombrowicz jadąc do Berlina na stypendium Forda (był to rok 1963) „sprzedał Polskę”. Autor *Słabu* nie powinien tak postąpić, skoro wiedział, że Niemcy domagają się rewizji granic. Iwaszkiewicza, jako patriotę, zabolal również opublikowany w „Kulturze” artykuł Gombrowicza, który ocenił, iż w kraju – najogólniej mówiąc – skończył się okres rozpoczętej w Październiku demokracji. Artykuł ten autor *Brzeziny* nazwał w liście do Jeleńskiego „haniebnym” i określił go jako „zapłatę za stypendium”. Jeleński mocno i z przekonaniem bronił Gombrowicza, ale Iwaszkiewicz pozostał nieprzejednany. Podobnie silnemu wzburzeniu Iwaszkiewicza dał wyraz po lekturze artykułu Miłosza na temat polskiej literatury. Miłosz, omawiając jej osiągnięcia, skupił się wyłącznie na dorobku emigracyjnym, w czym Iwaszkiewicz dopatrzył się pogardy dla wszystkiego, co powstało i powstaje w kraju. I tym razem na niewiele zdały się argumenty Jeleńskiego. Iwaszkiewicz skwitował tę różnicę zdań słowami: „nie porozumiemy się już”. A jednak ostatecznie te nierozstrzygnięte przecież konflikty nie wpłynęły na ich przyjaźń.

Nawet jeśli Jeleński ze swej perspektywy, bliskiej Gombrowiczowi, nie był w stanie przyjąć poglądów przyjaciela, to przecież nie wskazuje na to, by przypisywał mu cynizm, hipokryzję czy koniunkturalizm (na przykład wtedy, gdy ten razem z innymi potępiał tak lubianego wcześniej Miłosza, kiedy autor *Traktatu*

poetyckiego uciekł z Polski), by wątpił w jego patriotyzm lub w autentyczność jego oburzeń. W listach nie tylko nie kwestionował posunięć Iwaszkiewicza jako działacza, lecz w różny sposób wspierał kontakty pisarza ze środowiskami twórczymi na Zachodzie, będąc przekonany, że ma to istotne znaczenie dla rozwoju literatury krajowej. Bo dla Jeleńskiego, niezależnie od tego, jaki był jego stosunek do komunistycznej Polski, dobro polskiej literatury stanowiło wartość nadrzędną. Choć światopoglądowo różnił się z Iwaszkiewiczem, to przecież wiedział, że gdyby ktoś inny został z nadania partii i rządu przedstawicielem środowiska literackiego, wówczas los literatury „byłby zapewne o wiele gorszy”. Opinię tę wyrażał publicznie, gdy stwierdzał, że postawą słuszną jest „bronić po klęsce wszystkiego, co się da”, i gdy przeciwstawiał się tym, którzy postrzegali autora *Panien z Wilka* jako sługusa komunistycznej władzy. Nie sposób nie zauważyć, że w ten sposób Jeleński łagodził skutki własnego porównania Iwaszkiewicza do Petaina, postaci budzącej jedynie negatywne konotacje. Gdy więc na rolę i działalność Iwaszkiewicza spojrzeć od tej strony, wychodzą na jaw jego zasługi dla literatury w kraju. Ocena powinna być jeszcze wyższa, gdy uświadomimy sobie, że nie było w środowisku pisarzy krajowych nikogo, kto rolę odgrywaną przez Iwaszkiewicza wypełniłby lepiej. Nikt z lepszym skutkiem nie potrafiłby dbać o literaturę, nie było też w Polsce nikogo, kto miałby zarazem lepsze niż Iwaszkiewicz możliwości porozumiewania się ze środowiskami twórczymi na Zachodzie. W jednym z listów Jeleński nazywa Iwaszkiewicza „polskim Erenburgiem”. Gdy wymienia przymioty zjednujące pisarzowi ludzi na Zachodzie: wysoką kulturę, urok osobisty, zachodnią „swojskość”, odczuwamy, że – mimo iż ewidentnie chce sprawić Jarosławowi przyjemność – nie są to dla niego puste frazesy.

Warto zwrócić uwagę na charakterystyczną wypowiedź Jeleńskiego, ujawniającą ważny rys jego osobowości. W jednym z listów pisze do Iwaszkiewicza, że „sądzenie” ludzi uważa za nieczłowieczny proceder, a fałsz uwych sądów postrzega wyraźnie na sposób Gombrowiczowski: *marzyłbym, aby ludzie mogli przestać „sądzić” jedni drugich. Tymczasem jednak wszyscy sądzimy i zawsze trochę niesprawiedliwie, i Ty, i ja także...* Jeleński był w pełni świadom, jak oceniano Iwaszkiewicza w środowiskach emigracyjnych, ale dystansował się wobec tych ocen, ponieważ uważał, że tego rodzaju „oburzenia «osobiste» są bezsensowne”: *być może gdyby Lechoń był w Polsce, pisałby to, co pisze Tuwim czy Iwaszkiewicz, a Tuwim lub Iwaszkiewicz w Ameryce pisaliby może podobnie do Lechonia i Wierzyńskiego. Wszystko jest zależne także od tyłu szczegółów losu*. Jeleński to intelektualista, niesmak budziły w nim sądy bez pokrycia, wszelkie zacierzawienia. Był światowcem w pełnym znaczeniu tego słowa, miał mnóstwo przyjaciół wśród ludzi powszechnie znanych, szczególnie wśród filozofów, intelektualistów, artystów. Utrzymywał stałe kontakty z Arturem Koestlerem, Bertrande Russelllem, Ignaziem Silone, Nicolą Chiaromonte, François Bondym, Maxem Erstem, Jeanem Genetem, Jacques'em Audibertim oraz z wieloma innymi wybitnymi osobistościami świata europejskiej kultury. Z polskich przyjaciół najbliżsi mu byli, w kolejności alfabetycznej: Józef i Maria Czapscy, Witold Gombrowicz, Gustaw Herling-Grudziński, Zygmunt Hertz, Jan Lebenstein, Czesław Miłosz i Aleksander Wat. Listę tę sporządził w 1981 roku i umieścił we wspomnianej już przedmowie do *Zbiegów okoliczności*. Nie ma na niej nazwiska Iwaszkiewicza.

Los pozwolił Jeleńskiemu uniknąć życia pod rządami komuny (a wcześniej – w okupowanym kraju). W istocie nie uważał się za emigranta, a wobec zajadłego konserwatyzmu emigracji pozostawał zdystansowany. Związał się z „Kulturą”, ponieważ stanowiła ona opozycję wobec rządu londyńskiego, ale nie we wszystkim popierał Giedroycia. Doskonale rozumiał, dlaczego Iwaszkiewicz miał dla emigracji „pomieszane uczucia antypatii i litości”, znał też przyczyny, dla których autor *Brzeziny* omijał „Kulturę” dużym łukiem – za dużo miał do stracenia w kraju, za mało do zyskania u ludzi, którzy i tak nie zmieniliby o nim zdania. Jeleński,

z jednej strony, próbował nie narażać Iwaszkiewicza na kłopoty z władzą w Polsce, z drugiej – starał się utrzymywać z nim przyjaźń, mimo że w środowisku „Kultury” nie było to dobrze widziane. Ich relacja musiała więc być w pewnej mierze sprawą sekretną. Wiele osób wiedziało, że literaci się z sobą spotykali, ale czy wiedzieli, że była to autentyczna przyjaźń? Dopiero publikacja korespondencji pozwala stwierdzić, że ich stosunki, mimo niesprzyjających okoliczności, pozostawały bardzo dobre. Nie tylko Herling-Grudziński miał za złe Jeleńskiemu, gdy ten nie zajął publicznie jednoznacznie potępiającego stanowiska w „sprawie Iwaszkiewicza”. Trudno oprzeć się przekonaniu, że na niezależność od presji emigracji mógł sobie pozwolić tylko ktoś zajmujący tak wysoką pozycję w środowiskach kulturalnych Europy Zachodniej jak Konstanty Jeleński. Zastanawia więc fakt, że na listę polskich przyjaciół autor *Zbiegów okoliczności* nie wprowadził nazwiska pisarza. W 1981 roku nie musiał już przecież ukrywać bliskiej relacji z Iwaszkiewiczem, bo ten zmarł kilka miesięcy wcześniej. Zresztą w tamtym czasie, nawet gdyby Iwaszkiewicz żył, zatajanie bliskich stosunków ze względów politycznych nie miało absolutnie żadnego sensu. Dlaczego więc Jeleński „zaparł się” przyjaciela? Zaraz po jego śmierci, czyli niemal w tym samym czasie kiedy Jeleński szykował przedmowę do *Zbiegów okoliczności*, odbyła się w redakcji „Kultury” rozmowa o Iwaszkiewicz. Z bardzo ostrą i negatywną oceną wystąpił Herling-Grudziński. Jeleński bronił autora *Mapy pogody*, przytaczając te same co wcześniej argumenty. Wobec czytelnika krajuwego zrobił po prostu unik. Wiedział dobrze, że w Polsce w czasie „Solidarności” Iwaszkiewicz stał się uosobieniem wszelkiego zła, a za swoje wcześniejsze sukcesy i za wszystkie winy popełnione przez władzę wobec literatury oraz wobec twórców on właśnie zebrać musiał największe cięgi. W tej sytuacji Jeleński wolął chyba nie drażnić środowiska literackiego, które prawie całe – jak się nagle okazało – Iwaszkiewicza znieść nie mogło.

Ostatni list Iwaszkiewicz wysłał do Konstantego na początku stycznia 1980 roku. Kiedy dwa tygodnie później znalazł się w Paryżu, uległ poważnej, w konsekwencji śmiertelnej niemocy. Jeleński spotykał się z nim wtedy kilkakrotnie, ale – jak po śmierci Jarosława pisał w liście do Jerzego Lisowskiego – nie spodziewał się, że mogą to być ostatnie dni pisarza; pozostał żal, że nie poświęcił przyjacielowi więcej czasu. Chory Iwaszkiewicz zdołał jeszcze wrócić do Polski, gdzie zmarł 2 marca 1980 roku.

Starannie opracowany przez Romaniuka tom zamykają dwa listy Konstantego do Jerzego Lisowskiego, bliskiego współpracownika autora *Mapy pogody* w „Twórczości” i zarazem przyjaciela. W pierwszym liście Jeleński pisze: *Nie potrzebuję Ci mówić, jakim ciosem była dla mnie wiadomość o zgonie Jarosława. Jedyną pociechą jest to, że był do końca tym wielkim poetą, co zawsze...* Jeleńskiego fascynowało, że życie Iwaszkiewicza do ostatnich dni wypełnione było twórczością. Wcześniej wiele razy pisał do Jarosława, że jest on prawdziwym artystą, chwalił jego wyjątkowy talent. Śmierć dostarczyła na to nowych dowodów: pisarz umierał w pełnej dyspozycji artystycznej – nawet gdy był już śmiertelnie chory, zdołał jeszcze stworzyć dwa, uznane przez Konstantego za bardzo dobre, wiersze. Co więcej, do powstania jednego z nich przyczyniły się wrażenia doznane podczas kolacji w domu Jeleńskiego, wywołane przez dzieła sztuki malarskiej. W kolejnym liście do Lisowskiego Jeleński dziękuje za relację o ostatnich dniach Iwaszkiewicza. Wydaje się, że prośba o te informacje nie była tylko konwencjonalnym gestem.

W korespondencji Jeleńskiego z Iwaszkiewiczem odnajdziemy wiele spraw wartych uwagi. Historia ich przyjaźni uzmysławia nam, że nie wszyscy podzielali obiegową opinię o autorze *Panien z Wilka*. Odwrócili się od niego po wojnie dawni przyjaciele ze Skamandra, wydawało się – ludzie mu najbliżsi. Lechoń w dzienniku nie zostawił na nim suchej nitki, ale „chory na Polskę” poeta przechodził psychiczny kryzys i to w pewien sposób tłumaczy zaciekleść jego ataków na dawnego przyjaciela.

W 1970 roku na łamach paryskiej „Kultury” z wściekłością ocierającą się o szalenstwo wystąpił przeciw Iwaszkiewiczowi Tyrmand. Odsądził go od czci i wiary za krzywdy, jakie Iwaszkiewicz rzekomo wyrządził Gombrowiczowi. Chodziło o publikację w „Twórczości” listów, które Iwaszkiewicz otrzymywał od Gombrowicza, a które Tyrmand określił nuansem „komunistycznej fałszywki”. Z najwyższym oburzeniem stwierdził, że w owych listach Gombrowicz jawi się jako *chłystek, potencjalny konfident, suplikant komunistycznego reżymu w Polsce, pieczeniarsz nie dopuszczany do stołu (...), donosiciel i zaśliniony plotkarz, pieniężny farmazon, (...) totumfacki do wynajęcia, bezgraniczny wielbiciel otchłannego geniuszu Iwaszkiewicza (...)*. Tyrmand nie miał wątpliwości, że autorem korespondencji nie mógł być Gombrowicz. W wielkich słowach wzywał Jeleńskiego, by publicznie wyjaśnił, dlaczego „oszczędza” Iwaszkiewicza, zamiast go potępić. Iwaszkiewicz nie „zbeczczył” jednak Gombrowicza, listy nie były fałszywką. Nie można mu mieć również za złe, że je opublikował – zrobił to zresztą dopiero po śmierci autora *Ferdydurka*. Ale Tyrmand wiedział „na pewno” – z tych dwu potworem moralnym mógł być tylko Iwaszkiewicz. Nie mieściło mu się w głowie, że antykomunista Gombrowicz mógł pisać ciepłe i serdeczne listy do „stugi reżimu”, że poniżał się, prosząc go o cokolwiek. Tymczasem Gombrowicz w typowy dla siebie sposób załatwiał własne interesy: robił miny i przybierał te maski, które uważał za skuteczne, był zarazem szczery i nieszczerzy. Na pewno nie miałby za złe Iwaszkiewiczowi, że ten ujawnił listy. Jeleński atakiem Tyrmanda był ogromnie oburzony, ale nic nie odpowiedział, zresztą całkowicie słusznie – te oskarżenia nie zasługiwały na żadną reakcję...

Listy mogą stanowić fascynującą lekturę. Trzeba tylko umieć je czytać.

Korespondencja: Jarosław Iwaszkiewicz, Jerzy Jeleński, Konstanty A. Jeleński. Opracował i przełożył na polski: Waldemar Michałski, „Więci”, Warszawa 2008, ss. 356 + ilustracje. (I-blewka „Więci”, 226)

WALDEMAR MICHAŁSKI

LEŚMIAN CIĄGLE ODKRYWANY...

Krąg najbardziej oryginalnych twórców literatury polskiej dwudziestego wieku tworzą m.in. pisarze tej miary co Witkacy, Schulz, Gombrowicz i Leśmian. Wśród nich tylko Leśmian nie doczekał się ani pełnego krytycznego wydania utworów, ani monografii twórczości. Ironią losu jest fakt, że współcześni nie docenili jego poezji, choć w październiku 1933 roku został przyjęty do Polskiej Akademii Literatury.

Artur Sandauer zatytułował esej o twórczości Leśmiana wymownie: *Pośmiertny tryumf Młodej Polski (Z problemów literatury polskiej XX wieku, t.1, 1965)*. Jerzy Święci zauważył: *Zdumiewający to doprawdy fenomen twórczości, która nikogo nie pozostawia wobec siebie obojętnym: starych i młodych, uczonych i artystów, archaistów i nowatorów* („Akcent” 1982, nr 1). Jan Błoński, odpowiadając na ankietę „Kultury” dodał: *Wśród liryków Leśmian to najwybitniejszy poeta między Norwidem a Miłoszem...* („Kultura” 1992, nr 7/8). O Leśmianie, jego twórczości i życiu, pisali, oprócz wymienionych, m.in. Jacek Trznadel (*Twórczość Leśmiana. Próba przekroju*, 1964 oraz wstęp do *Poezji wybranych*, 1983), Michał Głowiński (*Zaświat przedstawiony*, 1981), Tymoteusz Karpowicz (*Poezja niemożliwa*, 1975), Marian Pankowski (*Un symboliste polonais, Boleslas Leśmian, et les cantos des „Mille une Nuits”*, 1964), Dobrochna Ratajczak (*Teatr artystyczny Bolesława Leśmiana*, 1979), Piotr Łopuszański (*Leśmian*, 2000), Cezary Kawiński (*Człowiek i świat w poezji Leśmiana*, 1982). W 1971 r. ukazała się obszerna księga zbiorowa pod redakcją Michała Głowińskiego i Janusza Sławińskiego pt. *Studia o Leśmia-*

nie (PIW, ss. 425). Jest to, jak dotychczas, najpełniejszy portret Leśmiana – poety, prozaika, eseisty, teatrologa i dramaturga.

Poezję Leśmiana, jako „niezwykłą”, próbowano wielokrotnie definiować. Zwracano uwagę na programowe odejście od realiów współczesnego miasta, powrót do natury i świata pierwotnej ludowości, na baśniową fantastykę, symbolikę, pulsujący w wierszach erotyzm, żart, groteskę, a nawet rubaszny humor. Wskazywano, że lirykę tę wyróżnia przede wszystkim niepowtarzalny język, pełen neologizmów, „słopiewni” i leksykalnych wieloznaczności, a elegia, ballada, poemat baśniowo-filozoficzny stanowią ulubioną formę wypowiedzi poetyckiej Leśmiana. Zwracano także uwagę na często obecne motywy „roznicestwienia nicuści”, śmierci, choroby, choć warto zauważyć, że wszystkie one występują w kontekście afirmacji życia i natury. Człowiek – Bóg – natura są tu równorzędnymi ogniwami – zniesiona została hierarchia wartości i odrębność wszelkiego bytu, a groza i absurd zmagają się z pierwotną naturą. Niebo jest puste, ale równocześnie latnieje wszechobecna dusza. Dzieło Leśmiana bywa wciąż na nowo odczytywane, a poeta pozostaje „wizjonerem”, ciągle nierozpoznanym i odkrywanym przez kolejne pokolenia.

Debiutował w 1912 r. tomem wierszy *Sad rozstajny*. Tom *Łąka* (1920), wydany jak poprzedni u Mortkowicza w Warszawie w nakładzie 2200 egz., opublikowany został podczas pobytu i pracy poety w Hrubieszowie (1918-1922). Należy domniemywać, że wiele zawartych w nim wierszy było owocem „sercowych uniesień”, intensywnie przeżywanych w Iłży (patrz *W malinowym chrząstkiaku*). To, jak twierdzą regionaliści hrubieszowscy, nie wyklucza inspiracji rozległymi nadhuczwińskimi i nadbużańskimi łąkami, które Leśmian codziennie widział z okien domu, graniczącego z łąkami przez drewniany płot. Pobyt w Zamościu (1922-1935) to ważny, ale bardzo trudny okres w życiu poety. Praca rejenta (notariusza), problemy finansowe oraz ambicje literackie wydawały się być nie do pogodzenia. Właśnie tego czasu dotyczą najczęściej publikowane wspomnienia i dokumenty.

Przed laty Zdzisław Jastrzębski – absolwent polonistyki KUL i pracownik naukowy UMCS, opublikował tom *Wspomnień o Bolesławie Leśmianie* (Wydawnictwo Lubelskie, 1966, ss. 358). Książka zawiera m.in. obszernie wspomnienia córki Leśmiana, Marii Ludwiki Mazurowej, oraz stryjecznego brata – Jana Brzechwy. Wśród pozostałych dziewiętnastu autorów są przede wszystkim literaci i dawni znajomi profesji prawniczej, m.in. Julian Tuwim, Włodzimierz Stobodnik, Edward Kozikowski, Wacław Gralewski, Izabela Czajka-Stachowicz, Leopold Lewin, Ewa Szelburg-Zarembina, Anatol Stern, Zbigniew Zalewski, Zygfryd Krauze, Michał Wiszniewski, Zygmunt Klukowski, Maria Strzeszewska i Helena Wiewiórka. Książka Jastrzębskiego dotyczy życia prywatnego i literackiego Bolesława Leśmiana. Jan Brzechwa przedstawił m.in. zarys dziejów rodziny Leśmiana. Wiadomo, że rodowe nazwisko dwóch przyrodnych braci, Leśmiana i Brzechwy, brzmiało Lesman. Jak doszło do jego zmiany, wyjaśnia Brzechwa: *Pseudonim Leśmiana wymyślił poeta Antoni Lange, kuzyn naszych ojców. Byliśmy z nim obaj bardzo zaprzyjaźnieni. Lange był zwolennikiem takiego właśnie spolszczenia nazwisk (...) Natomiast mój pseudonim wymyślił mi Leśmian. Uważał, że nie powinno być dwóch poetów o tym samym nazwisku. – Pomyśl – mówił – jakie to piękne: opierzona część strzały...* (s. 84). W relacji tego samego autora otrzymaliśmy „portret rysowany słowem”:

Leśmian był szczupły, wątły, z lekka przygarbiony. Włosy blond znacznie przerzedzity się w ostatnich latach jego życia. Miał wydatny orli nos, małe usta ozdobione jasnym wąsem, oczy niebieskie okolonie jaśniejszymi jeszcze rzęsami. Ręce ładne i delikatne. W zimie nosił zazwyczaj stare futro z wytartym fokowym kołnierzem i ciemnozielony pilśniowy kapelusz. Nie dbał o elegancję, ale był zawsze starannie i schludnie ubrany.

Usposobienie miał pogodne, lubił żartować i dowcipkować, śmiał się łatwo i chętnie. Tylko w chwilach, gdy spadały na niego szczególne troski i kłopoty, siedział

zadumany i milczący, kołysząc nerwowo nogą założoną na nogę. Usposobienie miał towarzyskie, a w obcowaniu był miły i łatwy (...) nie posiadał zmysłu praktycznego, żył w sferze fantazji, budował zamki na lodzie i wierzył zawsze w zdobycie fortuny na loterii lub na ruletce.

*Pomimo jego niefortunnej aparycji, kobiety ogromnie lubiły towarzystwo Leśmiana. Słyszałem od nich nieraz, że po krótkiej rozmowie nie dostrzegały już w nim braków męskiej urody, gdyż miał ujmujący sposób bycia i był nierzównanym *casseurem* (ss. 95-96).*

Niski wzrost i szczupła sylwetka Leśmiana były tematem licznych dowcipów. Celował w nich przyjaciel poety o potężnej posturze – Franciszek Fiszer, bywalec literackich salonów i kawiarni. W „Ziemiańskiej” opowiadał m.in. następującą historyjkę: *przed kawiarnią zajeżdża pusta dorożka a z niej... wysiada Leśmian!*

Wspomnienia opublikowane przez Zdzisława Jastrzębskiego stanowią interesującą lekturę i nadal posiadają rangę ważnego dokumentu. Przed laty poważne zainteresowanie poetą-rejentem z Zamościa okazał także „Akcent”. W numerze pierwszym z 1982 r. opublikowano blok materiałów wspomnieniowych i analitycznych poświęconych życiu i twórczości Leśmiana. Pisali o jego poezji m.in. Jan Sochoń, Jerzy Święch i Artur Sandauer. Wspominali poetę Zofia Wiktorowicz (w osobnym artykule) i Zygfryd Krauze (w rozmowie z Langiną Zygaluk). Obok znajdujemy interesujący szkic Adama Kulika pt. *Kancelaria na skraju łąk*, który jest relacją z poszukiwania śladów Leśmiana w pamięci jego hrubieszowskich i zamojskich znajomych. Adam Kulik skłonił także do obszerniejszych wspomnień kilka osób związanych z biurem notarialnym Leśmiana: Grzegorza Malcewa, Wandę Garwim, Hieronima Wąska i Marię Ostrowicką, których wypowiedzi zanotował i opracował. Na łamach „Akcentu” dojrzał zalewany zamysł Kulika: ocalić jak najwięcej z pamięci po wybitnym poecie.

W 2008 r. gdańskie wydawnictwo słowo/obraz terytoria opublikowało okazałą książkę pt. *Leśmian, Leśmian... Wspomnienia o Bolesławie Leśmianie*. Książkę opracował Adam W. Kulik. Znalazły się w niej także materiały drukowane wcześniej w „Akcentie”. Kulik „poszedł za ciosem” i zdążył jeszcze zapisać lub nagrać relacje ostatnich żyjących świadków pobytu Leśmiana w Hrubieszowie i Zamościu. Książka nie jest klasycznym zbiorem wspomnień. Kulik od pierwszych stron prowadzi autorską narrację, często wprowadzając do niej relacje różnych osób. W spisie treści nie ujawnił autorów wspomnień. Obszerny indeks nazwisk występujących w książce obejmuje wprawdzie także autorów wypowiedzi, ale pozostaje pytanie, czy to wystarczy? Bardzo poetyckie tytuły dziesięciu rozdziałów nie zawsze pozwalają się zorientować, czy chodzi o układ chronologiczny, czy rzeczowy przedstawianych faktów, np. *Jestem jeszcze dalej poza tymi snami*, *Miodny zapach sadów*, *Chłodnym okiem*, *Był dla nas gwiazdą*, *Dwie istoty zupełnie niezależne*, *Kancelaria na skraju łąk*. Książka *Leśmian, Leśmian* nie jest w tradycyjnym rozumieniu dokumentem wspomnieniowym, zasługuje raczej na miano zbiorowego portretu poety, a nawet opowieści biograficznej.

Adamowi W. Kulikowi należą się przede wszystkim słowa uznania za trud wydobycia z przeszłości żywego Leśmiana – takiego, jakim widzieli go współcześni z Hrubieszowa i Zamościa. Często ludzie niemający nic wspólnego z literaturą: sąsiedzi, urzędnicy, uczniowie. Obserwujemy więc Leśmiana jako notariusza (którym został mimo woli), ojca rodziny (opiekunczego), poetę (zagubionego), przyjaciela (sympatycznego, lecz wyobcowanego), podróżnika (często wyjeżdżającego do Warszawy i za granicę). Opinie zebrane przez Kulika w dużej mierze pokrywają się z opowieściami przytoczonymi przez Jastrzębskiego. Warto zwrócić jednak uwagę na nową, w stosunku do książki Jastrzębskiego poszerzoną, relację Zygfryda Krauzego – przyjaciela poety, prowadzącego konkurencyjne biuro notarialne w Zamościu. To ważna wypowiedź o Leśmianie jako człowieku mającym bezgraniczne zaufanie do ludzi, który był przede wszystkim poetą, a nie

notariuszem. Ciekawe są także wspomnienia żony współpracownika Leśmiana – pani Marii Ostrowickiej, która niedwuznacznie sugeruje, że za defraudację finansową w biurze Leśmiana należy obarczać nie tylko zastępcę poety – Władysława Adamowicza, ale także w równej mierze jego samego. We wstępie do książki Kulik komentuje wspomnienie Ostrowickiej następującymi słowami: *Maria Ostrowicka jako jedyna spośród kilkudziesięciorga moich rozmówców sprawdziła, czy dokładnie zapisałem to, co powiedziała. Wyraźnie zależała jej na puszczeniu w obieg takich a nie innych informacji o poecie (s. 6)*. Dodajmy, że chodzi o relację wobec Leśmiana bardzo krytyczną, a nawet – jak pisze Kulik – „nie całkiem uczciwą”. Dalej autor dodaje: *W ogóle na temat Leśmiana chętnie ze mną rozmawiano – jedyny wyjątek stanowiła żona zamojskiego sędziego Michała Wiszniewskiego. Często jednak dziwiono się, dlaczego zajmują mnie losy tak nieciekawego człowieka. Usłyszawszy w odpowiedzi, że mówimy o jednym z kilku najwybitniejszych poetów XX wieku, kiwno powątpiewająco głową. Już choćby z tego socjologicznego punktu widzenia zbiór wydaje się pozycją interesującą (...) Nie uważałem za stosowne ingerować w materiały, jeśli nawet rozmijały się z prawdą lub zbyt dużo miejsca zajmowały w nich opisy Hrubieszowa i Zamościa. Leśmian nie żył w próżni; umiejscowienie go w konkretnej architekturze czy pejzażu uważam za zabieg pożyteczny (s. 7)*.

Hrubieszowskie (1918-1922) i zamojskie (1922-1935) lata Leśmiana nie były łatwe. Nieustanne „ucieczki” do Warszawy lub za granicę (Francja, Włochy) stanowiły próbę wyrwania się z malum iasteczkowej monotonii. Problemy finansowe pojawiły się dopiero po słynnej aferze podatkowej, w którą Leśmian, przez swoją naiwność, został wciągnięty. W Zamościu mieszkał wraz z rodziną (żoną Zofią – malarką, i dwiema córkami: Marią Ludwiką i Wandą Ireną) nieopodal rynku Starego Miasta. *Leśmianowie mieszkali w bardzo nowoczesnym wówczas Domu Centralnym (popularnej Centralce), z wszystkimi wygodami, za to z paskarskimi cenami czynszu. Zajmowali trzypokojowy lokal z niewielkim balkonem, na pierwszym piętrze, od strony kościoła Redemptoryistów. Składał się on z pokoju stołowego (stała w nim biblioteczka i duży stół), sypialnego (z niewielkim biurkiem) i pokoju śniadaniowego, w którym znajdowały się trzy metalowe łóżka. Wisiał nad nimi niewielki krzyż. W biblioteczkę zwracały uwagę książki oprawne w ciemne płótno i skórę, ze złoconymi literami. W mieszkaniu wisiały obrazy, lecz nie autorstwa żony poety. Obrazy namalowane przez Zofię Leśmianową stały w którymś pokoju (w sypialnym?) odwrócone płótnem do ściany. Rodzina nie przywiązywała wagi do luksusu – meble wskazywały raczej na średni poziom zamożności, chociaż pozycja społeczna i uposażenie notariusza sytuowały go wśród zawodów o najwyższych dochodach (s. 228)*.

Dawna pracownica leśmianowskiego notariatu – Zulia Wiktorowicz, wspomina szczerze jako mężczyznę małego wzrostu, brzydkiego, lysiejącego, z jasnymi, dobrymi oczyma, długim nosem i małym, płowym wąsem. W jej pamięci Leśmian pozostał także jako *pełen galanterii dla pań, miał ujmujący sposób bycia; skromny i cichy, przeraźliwie czysty i wyprasowany, zawsze ogolony, świeży, dyskretnie pachnący. Był mężczyzną brzydkim, ale ponętym, interesującym i myślę, że dlatego tak bardzo podobał się kobietom. Ubierał się skromnie i nobliwie, z dyskretną elegancją. Nosił zimną czarne futro z karakulowym kołnierzem. Właściwie nie było to futro. Futra by chyba nie udźwignął na swych słabych barkach. Spód stanowił puch, pikowany jak kołdry. Całość robiła jednak wrażenie futra (...) W dyskusjach toczonych wielokrotnie w kancelarii z ludźmi z palestry nie zabierał głosu. Ale kiedy to uczynił – potężniał, rósł, górował nad wszystkimi. Miał bowiem swoistą wymowę, swoiste słownictwo, cudownie operował polszczyzną, pełną ciepła, subtelnego humoru albo zdrowego dowcipu (s. 76)*.

Janina Bojarczykowska – gimnazjalna koleżanka starszej córki Leśmiana – wspomina: *Bardzo skromnie żyli: chleb razowy, często ze smalcem zamiast masła*

z marmoladą. Nie widać było, żeby notariusz rujnował się na dom. Mam wrażenie, że podróże zagraniczne i żona bardzo dużo go kosztowały. Przecież on zawsze chodził w jednym, czarnym garniturku (...) Zofia Leśmianowa, rzadkiej urody kobieta, przebywała stale za granicą. Rzadziej można ją było spotkać w domu niż samego Leśmiana. Ubierała się bardzo ekscentrycznie: włosy rozpuszczone, przepaska z perełek na czole, jakaś ilara, szerokie spodnie z jakiegoś jedwabiu typu szarawary, przepasane sznurem z frędzlami na boku. Każdy ma jakieś dziwactwa – myślałam sobie. Malowała plamami zupełnie nieczytelnymi z bliska. Było to dość ciekawe, ale te kikuty rąk, pomarszczone ciała, no i akty, zwłaszcza mężczyźni – szokowało nas to. Zapytałam kiedyś Lusi, czy nie można by zrobić wystawy w Zamościu? „Cały Zamość by się wyrwał!” – odpowiedziała. Bardzo ceniła malarstwo matki. Uważała, że mamusia to wielka artystka (ss. 138, 140).

W wielu wspomnieniach pojawia się stwierdzenie, że w domu Leśmianów „nie było rodzinnej atmosfery”, że rodzice żyli jak „dwie istoty zupełnie niezależne”. Małżeństwo „trzymało się” tylko dlatego, że były córki, które poeta uwielbiał, córki zaś „przepadały” za matką. Nie jest tajemnicą, że Leśmian szukał „gorących nocy” poza domem. Miłość do kuzynki Celny Sunderland z liży, a później wieloletnia namiętność do lekarki Dory Lehenihal (adresatki cyklu *W malinowym chrusniaku*) nie pozostawały bez wpływu na życie rodziny. W poezji także znalazły swój znaczący wyraz. „Leśmian musiał coś mieć dla siebie” – zauważa Janina Bojarczykowska. Tym czymś była dla niego przede wszystkim sztuka. „Tę poezję zrodziło cierpienie” – pisze Kulik. Książka *Leśmian, Leśmian* rejestruje dziesiątki informacji i obrazków z życia prywatnego poety. Pokazany jest w niej przede wszystkim człowiek uwikłany w życiowe perypetie. Tylko w ile istnieje tu Leśmian jako poeta i akademik, notariusz. Książka zawiera także ponad 200 zdjęć oraz reprodukcji rękopisów i dokumentów dotyczących Leśmiana. Kulik dotarł do materiałów dotychczas uważanych za nieosiągalne – tym większa wartość jego dokonania.

Bolesław Leśmian zmarł w Warszawie 5 listopada 1957 r. Pochowany został na Powązkach. Córka Dunia Wanda tuż przed wybuchem wojny wyjechała do Kanady, wyszła za mąż za Anglika, a następnie osiedliła się w Anglii. Z małżeństwa tego urodziła się córka Gillian Hills-Young (wnuczka poety, aktorka i malarka). Zofia Leśmianowa z córką Lusią Ludwiką przeżyły powstanie warszawskie, a następnie w 1944 r. zostały wywiezione przez Niemców do obozu w Mauthausen. Przetrwały obóz i wyjechały najpierw do Londynu, a później do Buenos Aires. Obydwie zmarły w Argentynie (Zofia 3 czerwca 1964 r., Lusia w połowie lat osiemdziesiątych).

Warto dodać, że Adam Kulik jest także autorem dokumentalnego filmu o Bolesławie Leśmianie pt. *Trwam niby modlitwa*, zrealizowanego w 1994 r. na zlecenie TVP, emitowanego kilkakrotnie m.in. w programie TV Polonia. Jego słuszny postulat, aby w Zamościu utworzyć izbę pamięci Leśmiana, pozostaje nadal aktualny.

Ale współczesny Zamość stara się pamiętać o Leśmianie. Organizowane są tu m.in. konkursy recytatorskie i literackie poświęcone poecie, odbywa się doroczna plenerowa impreza pt. „Uliczka Bolesława Leśmiana”, połączona z prezentacją jego twórczości, organizowane są ogólnopolskie biennale sztuki, podczas których malarze odkrywają poezję Leśmiana jako źródło inspiracji. Myślą wiodącą wystawy plenerowej w 2007 r. był *Malinowy chrusniak* i pod takim tytułem ukazał się interesujący katalog, prezentujący prace dwudziestu dziewięciu artystów (Zamość 2007, ss. i8, w tym reprodukcje i biogramy artystów). Organizatorem pleneru było Zamojskie Towarzystwo RENESANS przy współudziale Muzeum Zamojskiego. Barbara Szubińska na pytanie „dlaczego Leśmian?” odpowiada w katalogu: *Ponieważ jest i będzie poetą zawsze aktualnym i potrzebnym niezależnie od czasu i pokoleń. Poezja zachwyty i bólu, nadziei i tęsknoty, realna w nierealności i na*

odwrót. Barwna i czarno-biała, przepojona spokojem i ciszą we mgle, w której rozszalałe żywioły odprawiają swoje zmysłowe gusła. Prawdziwa tak, jak prawdziwe jest ludzkie życie.

Leśmian, Leśmian... Wypowiedzenia o Bolesławie Leśmianie. Zebrał Adam Wiesław Kulik. Wydawnictwo słowno-obrazowe brysoria. Gdańsk 2008, ss. 256 (w tym 16 kolor. zdjęć).

ZOFIA ZARĘBIANKA

WEDŁUG OBRZĄDKU MELCHIZEDEKA

Cóż ksiądz może wiedzieć o miłości, zapyta niejedna osoba, przekonana że temat ten zarezerwowany jest dla ludzi świeckich. Tytuł nowej książki abpa Życińskiego *Szlakiem miłości* zwięd może czytelnika spodziewającego się dyskursu o naturze i bogactwie związków łączących mężczyznę i kobietę. Potocznie bowiem pojęcie „miłość” kojarzy się przede wszystkim z małżeństwem, czasem także z relacjami rodzinnymi – macierzyństwem i ojcostwem.

Tymczasem zapomina się nazbyt często, iż „miłość niejedno ma imię”, a ograniczanie jej do wymiaru ludzkiego wynika ze swego rodzaju redukcjonizmu, który nazwać by można – redukcjonizmem duchowym. Właściwym bowiem i pierwszym obiektem miłości, przypomina Życiński, jest nie człowiek, lecz Stwórca, prawodawca wszelkiej miłości, w Ewangeliu św. Jana wręcz tożsamy z Miłością. Refleksje lubelskiego metropolity idą tym właśnie tropem, ukazując miłość ku Bogu jako podstawę każdej ludzkiej więzi.

Zebrane w tomie teksty dotyczą właśnie owego fundamentalnego aspektu: miłości do Boga, jej kształtu, sposobu wyrażania oraz praktykowania. Pierwszym adresatem niewielkiej książeczki są osoby duchowne, głównie księża oraz klerycy, do których – z racji sprawowanych funkcji pasterskich – biskup diecezji kierował swoje słowo. Teksty owe były bowiem pierwotnie wygłaszane przy różnych okazjach i adresowane do duchowieństwa. W większości wystąpienia zostały napisane w konwencji kazania i taką też pełniły rolę. Głębsza ich struktura ujawnia podobieństwo do medytacji, zbliżonych w swym charakterze do rozmyślań pomieszczonych w dawno wydanej książce bpa Życińskiego pt. *Medytacje sokratejskie*. Duch sokratejskiej mądrości, który wyznacza szeroki horyzont dla rozważań o sprawach Bożych i ludzkich w ich tajemniczym zespoleniu, towarzyszy także refleksjom zawartym w najnowszym tomie.

Tylko więc pozornie i tylko w pierwszej chwili mogłoby się wydawać, iż mamy do czynienia ze zbiorem wypowiedzi niepowiązanych, luźnych i o różnym ciężarze gatunkowym. Nic bardziej mylnego! Choć na książkę złożony są teksty różnolotne, to przecież łączy je nie tylko (nawet nie przede wszystkim) wspólny adresat, ale ten sam ton i ta sama troska – zasadniczym problemem, rozważanym na rozmaite sposoby w poszczególnych wystąpieniach, wydaje się zagadnienie tarmacji kapłańskiej. Innymi słowy, na pierwszy plan wysuwa się pasterska troska o jakość kapłańskiej posługi. Przychodzi w tym miejscu na myśl gurski wiersz Zbigniewa Herberta zatytułowany *Homilia* (dedykowany zresztą metropolice lubelskiemu). Wiersz traktuje, mówiąc w skrócie i w uproszczeniu, o niedostatkach intelektualno-artykulacyjnych wielu duchownych, którzy pozbawieni są duchowej głębi i elementarnej kultury humanistycznej, a usilnie maskują ten fakt przy pomocy paternalistycznej pozy i napuszonej pretensjonalności. Czy wzmiankowana wyżej troska biskupa Życińskiego nie wyrasta z woli zapobieżenia odczuciom tak trafnie zwerbalizowanym w wierszu? Czy zatem jego rozważania nie mogą być uważane za odpowiedź daną po latach Herbertowi?

We wszystkich tekstach uwidacznia się wysiłek zarysowania pozytywnego modelu kapłaństwa na miarę współczesnych, trudnych czasów. Wzorzec pro-

ponowany przez Życińskiego nazwać by trzeba najprościej wzorcem ewangelicznym, budowanym na wierności Chrystusowi i na całkowitym, dziecięcym, ufny, płynącym z miłości zawierzeniu Bogu i Jego mocy. Życiński zdaje sobie sprawę zarówno z rozlicznych procesów kulturowych stanowiących zagrożenie dla wiary i wierności współczesnych księży, zwłaszcza młodych, jak i z rosnących, a jednocześnie jak najbardziej słusznych wymagań stawianych kapłanom przez poruczonych ich pieczy duszpasterskiej ludzi. Z jednej zatem strony proponuje niezmienną i najprostszą z możliwych, a zarazem sprawdzoną przez wieki receptę, której podstwowym składnikiem jest osobiste świadectwo kapłana i świętość jego życia, z drugiej, jak rzadko który pośród naszych hierarchów, doskonale wie, iż nowy czas wymaga nowych środków i nowych metod duszpasterskiego oddziaływania, a sam fakt „bycia księdzem” nie wystarczy dzisiaj, by zdobyć zaufanie i przychyłność wiernych.

Stąd powracające w różnych konfiguracjach, natarczywe – jakby z ducha św. Pawła – przestrogi przed ideologizowaniem religii i instrumentalizowaniem wiary, co postrzegane jest przez Życińskiego jako częsty – a wynikający z postaw lękowych – błąd księży o fatalnych konsekwencjach pastoralnych. Ponadto, autor wielokrotnie przypomina o potrzebie prostoty, naturalności, autentyczności i wewnętrznej przejrzystości w życiu księdza i w jego kontaktach z ludźmi świeckimi. Pozostaje niechętny postawom klerikalnym i stara się zarazem ostrzec księży przed nadmiernym sekularyzmem, mogącym jawić się w postaci pokusy zdobycia łatwej popularności i poklasku przez „upodobnienie” i zapomnienia o czymś tak nieuchwytnym a specyficznym jak kapłańska godność. Wreszcie, wiele uwagi poświęca kwestii dialogu, zwracając uwagę na konieczność dobrej komunikacji z ludźmi i umiejętność mówienia do nich „ich językiem”. Znów przypominają się tu Apostołowie, którzy po doświadczeniu Pięćdziesiątnicy otrzymali dar języków – polegający najpewniej nie na glosolalii, lecz umiejętności gloszenia Boga w sposób porywający, zrozumiały i skuteczny. Nie sprzyjają takiemu gloszeniu postawy sformalizowane, działania urzędnicze, nieprzystępny i autorytarny styl, płynący z przekonania o własnej wyższości, z braku szacunku dla ludzi. Jednak, mimo że wątek przestróg w całokształcie rozważań lubelskiego metropolity uderza w sedno problemów nękających polskich księży na przełomie wieków i podczas zmian ustrojowych, to zdecydowanie ważniejszy wydaje się aspekt pozytywny – próba nakreślenia wizji kapłaństwa zakorzenionego w Ewangeliu, ale też potrafiącego odnaleźć się we współczesnym, skomplikowanym świecie.

Przede wszystkim biskup radzi duchownym, aby przestrzegali zasady bycia z ludźmi i dla ludzi. Dzięki temu oraz poprzez wcielanie w życie prostych – i przez to ogromnie trudnych do zrealizowania! – Chrystusowych nauk, kapłaństwo, jak przekonuje lubelski pasterz, nabierze niepowtarzalnych rysów człowieczeństwa, stanie się żywe i owocne. Chodził zaś o to, by wyrastało ono z miłości ku Bogu i ku ludziom, by promieniowało miłością i pomnażało ją w świecie – poprzez Bożą Łaskę wcieloną w ludzkie serca.

Choć głównym odbiorcą rozważań Życińskiego pozostają księża, książka jego skierowana jest do wszystkich, niezależnie od statusu cywilnego i wykonywanej profesji. Zawarte w niej spostrzeżenia, napomnienia i refleksje są bowiem w swej wymowie powszechne i mogą być przydatne dla każdego chrześcijanina. Wezwanie, by żyć miłością, ma wszak charakter ponadczasowy i uniwersalny.

Spod wytrawnego pióra lubelskiego pasterza otrzymaliśmy po raz kolejny pożywną porcję mądrości, szczególnie cennej w Roku Kapłaństwa ogłoszonym przez Benedykta XVI.

ks. prof. Zdzisław Szeleń, *Refleksje o Bolesławie Leśmianie*, Wyd. PETRUS, Kraków 2009, ss. 181+3 nrb.

OPOWIEŚCI ŁOWCZYNI SNÓW

Pisanie o książce, która kandydowała do jednej z najważniejszych polskich nagród literackich, nie jest proste. Wyrok krytyczny już wydano – *Księga ocalonych snów* Krystyny Sakowicz została uznana przez jurorów Nike za jeden z dwudziestu najciekawszych utworów wydanych w 2008 roku. Jeszcze przed publikacją uhonorowano ją Nagrodą Fundacji Kultury. Zgadzałam się z pozytywnymi sądami krytyków, ale nie ułatwia mi to recenzenckiego zadania. Zresztą o tym, że zarówno czytanie prozy Sakowicz, jak i pisanie o niej sprawia trudności, przekonałam się już przed laty, gdy ukazały się poprzednie książki tej autorki: *Po bólu* i *Śnienie*. *Księgę ocalonych snów* przeczytałam dwukrotnie, powoli i z uwagą, ale wciąż umyka wysłowieniu jej subtelna treść – materia snów, i przesłanie, którym, jest – być może – wyrażanie intuicji (przeświadczenia?) o złożonej, holistycznej naturze bytu. A składa się on, wedle pisarki, zarówno z tego, co widzimy, z tego, o czym śnimy, jak i z tego, co jest poza oczami duszy i ciała, poza rozumem, intuicją, wyobraźnią i siódnym zmysłem – klucz, rozwiązanie zagadki lub droga poznania ukryte są właśnie w snach.

Takie przemyślenia Sakowicz ujmuje w formie poetyckich aforyzmów, np.: *Śnienie prowadzi do nieznannej i uroczystej części losu, przed którą drżymy wszyscy lub też w bardziej rozbudowanych rozważaniach natury quasi-eseistycznej: W snach świata jest to, czego świat nie chce, czego nie zna, nie wie, nie pojmuję, na co nie zważa, co lekceważy albo na odwrót, nie zamierza tego tolerować. Jako całość, niczego nie może się pozbyć, usunąć poza obręb, gdzie nie ma nic poza światem i wszystko, co wydane na świat jest nim. Dlatego są sny. Osama bin Laden jest snem świata o zemście. Matka Teresa jest snem o miłosierdziu. Ludzie w depresji śnią naszą rozpacz. Mieszkańcy śmietników są koszmarami o zębności. Wszyscy śnimy się sobie nawzajem przejrzeni na wylot. Każdy śni sny należące do wszystkich, gdyż w bezgranicznej przestrzeni świata niemożliwa jest prywatna własność snów. Sny tworzą pole nieznanego jawie sensu, w którym to, co odległe i bliskie, zrozumiałe i niepojęte, pozostaje z sobą ściśle powiązane.*

Nie jest łatwo zaklasyfikować książki Sakowicz. Z pewnością jej pisarstwo stanowi modelową reprezentację awangardowej prozy propagowanej przez miesięcznik „Twórczość”, która bywa też nazywana – od nazwiska jej czołowego teoretyka i krytyka – „szkołą Berezy”. Przańcacy, którzy są do niej zaliczani, eksperymentują w dziedzinie genologii, narracji i stylistyki, czego rezultatem bywają: rodzajowy i gatunkowy synkretyzm, spotęgowana intertekstualność utworów, jak również – skomplikowane relacje między autorem, narratorem i bohaterem oraz między światem przedstawionym a rzeczywistością. Literatura „twórczościowa” – niezależnie od tego, jak ekscentryczne by w niektórych realizacjach przybierała formy – jest przez autorów traktowana bardzo poważnie: jako źródło poznania i najdoskonalsza forma ludzkiej ekspresji.

Nie znam wszystkich książek Krystyny Sakowicz, ale trzy ostatnie, opublikowane po roku 1989, różnią się od siebie w sposób zasadniczy (w przypadku *Po bólu* i *Śnienia* wydaje się nawet, jakby napisały je całkiem inne osoby). *Po bólu* to quasi-dokumentalny zapis życia przeciętnej Polki w latach po stanie wojennym, przypominający nieco *Pamiętnik z powstania warszawskiego* Mirona Białoszewskiego (w obu przypadkach chodzi o iluzję odtworzenia żywego, mówionego słowa, gawędy lub rozmów). *Śnienie* jest skatalogowanym wedle tematów zbiorem snów oraz napisanym „snomną” traktatem na ich temat (termin ten na określenie językowego zapisu snów stworzył Bohdan Zadura). Natomiast *Księga ocalonych snów* to antologia osobliwych esejów o sztuce, literaturze, o najważniejszych doświadczeniach pisarzy i artystów, o ich życiu na jawie i w snach.

Bohaterami kolejnych tekstów są: Karen Blixen (*Śnienie sprzed snów*), genialny tancerz i choreograf Wacław Niżyński, który u szczytu kariery popadł w obłąd (*Człowiek jako sen*), Maria Dąbrowska (*Sny stamtąd*), rosyjski malarz, scenograf i podróżnik – Nikołaj Roerich (*Podróż do snu*) oraz Jan Lechoń (*Życie w snach*). Osobliwość esejów wynika z ich stylistycznego bogactwa. Sakowicz pisze niezwykle pięknym, poetyckim językiem (momentami wręcz przeestetyzowanym), który łączy umiejętnie z eseistycznym dyskursem, wzbogaca o fikcjonalne mikro-narracje i inkrustuje precyzyjnymi opisami, np.: *Karen widzi te same krajobrazy jako niemające „sobie równych na całym świecie”. Widzi tę samą ziemię i jej kolory przypalone, mdłe. Widzi trawę. Cienie na trawie. Cierniste zarosła. Już ten krótki fragment ukazuje pracę wyobraźni i charakter dźwiękowo-językowych skojarzeń, budujących łagodny, spokojny rytm i szczególną, „impresjonistyczną-ekspresjonistyczną” (jak wspominała często w książce baletowa muzyka Strawińskiego) melodię jej prozy.*

Ponadto proza Sakowicz stanowi literaturę „drugiego stopnia”. Jest nadbudowana nad interpretowanymi tekstami: *Pożegnaniem z Afryką* i *Listami z Afryki* Blixen, intymnymi zapiskami Niżyńskiego, prozą i *Dziennikami* Dąbrowskiej, książkami podróżniczymi Roericha, *Dziennikiem* Jana Lechońa. Teksty te są obficie przytaczane (w wydaniu książkowym cudze słowa wyróżniono kursywą), a odmiennosc przyjętych zasad cytowania od norm obowiązujących w książkach naukowych czy w tradycyjnej eseistyce polega na tym, że cytaty nie odróżniają się zbyt od tekstu oryginalnego, ale w nich wnika i łączy z nim w sposób bardzo naturalny. Ta sztuka pisarce udaje się z powodu jej warsztatowego kunsztu, jak i pokrewieństwa słownej materii – opisy snów, krajobrazów, marzeń, refleksje egzystencjalne, przeżycia wewnętrzne, objawienia mistyczne u różnych autorów przybierają podobne formy słownego wyrazu.

Wybór bohaterów esejów jest wszak w pełni autorski, własny i – choć czasem narratorka deklaruje swoją obcość czy odmiennosc (np. wobec Lechońa czy Dąbrowskiej) – finalnie dochodzi jednak do zrozumienia owych bohaterów i współodczuwania z nimi. Dowód może stanowić fragment na temat wróżenia, które, moim zdaniem, przejrzyście kryptonimuje refleksje autotematyczne: *W pracy wróżbiarskiej odkrywamy wciąż na nowo tajemnicę współodczuwania. Współodczuwania. Wspólnego czucia. Teraz i zawsze. Nad czymś tak wspólnie czuć, czyż ból czuć jak swój? (...) To nawet nie idzie przez wyobrażenie, ale przez wnikięcie, w ciągu sekundy wpuszczenie w siebie reszty świata ze wszystkimi szczegółami. Nie ma na to prawa przyczyny i skutku. Tak po prostu jest. Nieskończona jest przenikliwość oczu, uszu, włosów, skóry i paznokci. W końcu dochodzimy do tego, że nic nie istnieje osobno, osobicie. Czucie jest współdziałaniem we wszystkim, co się stało, a gdyby było inaczej, świat zniknie.*

Technika pisarska zastosowana w *Księdze ocalonych snów* przypomina tkanie drogocennej makaty, w którą włącza się złote lub srebrne nici i którą zdobi się klejnotami. Może też budzić skojarzenia z muzyką, np. z typem kompozycji zwanych wariacjami, lub – bardziej współczesne porównanie – z samplowaniem. Warto też podkreślić walory intersemiotyczne prozy Sakowicz, która wypowiada się na temat tańca, baletu, scenografii, malarstwa, architektury i sztuki sakralnej Dalekiego Wschodu. Odkryciem pisarki w poprzedniej książce o tenomenie snów było zwrócenie uwagi na ich warstwę intelektualną (myślenie oniryczne) i obecność dźwięków, niemniej dominantą pozostają obrazy, które można starać się „przełożyć” na sztuki wizualne (malarstwo, fotografię, teatr, film, balet, operę) albo próbować ewokować przez słowne opisy. Z kilku powodów książka Sakowicz kojarzy mi się z filmem niemym z napisami i muzyką z olfą, zwłaszcza ze starym kinem przygodowym, dokumentami, filmami podróżniczymi, kadrami z kronik filmowych, a także z eksperymentalnymi, poetyckimi impresjami i twórców Wielkiej Awangardy. Może dzieje się tak dlatego, że ludzie, o których opowiada,

urodzili się pod koniec XIX wieku i żyli w pierwszych dekadach wieku XX, a może dlatego, że ówczesny czarno-biały zapis filmowy, choć dziś odbierany bywa jako zdeformowany i odrealniony, paradoksalnie, dobrze oddaje osobliwość świata snów?

Co łączy bohaterów książki Sakowicz? Czy jest to pobratymstwo duchowe z autorką, wspólne zainteresowanie fenomenem snu, pogoń za marzeniami, bycie artystami-wizjonerami? Na pewno cechował ich poznawczy niepokój, pragnienie przekroczenia własnej kondycji oraz chęć poszerzenia horyzontu poznania przez otwarcie się na przestrzenie wewnętrzne – duchowe i irracjonalne, na inne kultury i religijne wtajemniczenia. Wyprawiali się w głąb nieznanych lądów, poznawali inne narody i plemiona, wędrowali przez groźne, egzotyczne kraje. Na jawie wkraczali w sny ludzi Zachodu, jak Karen Blixen w Afryce i Nikołaj Ruerich, podróżujący z rodziną po Indiach, Chinach, Tybecie i Mongolii. Należeli do pokolenia niespokojnych duchów, buntowników, rewelatorów i odkrywców – urodzonych u schyłku XIX wieku wędrowców Wschodu, jak ich nazwał wielki mistrz Sakowicz – Carl Gustaw Jung (również przeciwieństwo przedstawiciel tej generacji).

Podnosili zasłonę widzialnego, zgłębiali tajemnicę istnienia, interesowali się snami i czerpali z nich wiedzę, jak Dąbrowska i Lechoń. Doświadczali wizji, olśnień i objawień, w których zacierała się granica między jawą a snem, jak to było z Wacławem Niżyńskim, nazywanym pięknie przez Sakowicza „snem tego świata”. Autorka zwraca przy okazji uwagę na patologie nowoczesnej psychiatrii – mistyczną odmiennosc, charyzmatyczną świętość, dla której w dawnych kulturach było zarezerwowane szczególne miejsce: szamana, wieszczka, jurodiwego, klasyfikuje się obecnie jako chorobę umysłową i leczy w zakładach zamkniętych. Ocala się ciało, niszczy ducha, zabezpiecza się społeczeństwo przed odmiennością, ale i odcina od dawnych, wiekami sprawdzonych doświadczeń, choć niekoniecznie racjonalnych i naukowych, źródeł poznania tajemnic bytu.

Ostatni tekst książki, *Pismo snów*, jest szczególnym dziennikiem – zapisem wydarzeń, tych na jawie i onirycznych, z roku 2001; roku, który rozpoczął nowe stulecie i milenium. Można o tym przedsięwzięciu pomyśleć jako o swoistym eksperymencie poznawczym. Wiadomo wszak, jak duże znaczenie ludzie przywiązują do przełomowych dat: często wiążą z nimi – przynajmniej od czasów narodzin chrześcijaństwa – przeczucia apokaliptyczne lub, za takimi badaczami religii jak Mircea Eliade, widzą w nich swego rodzaju akt założycielski, serię brzemiennych w znaczeniu wydarzeń, które dokonują się jednocześnie w czasie i poza czasem, in illo tempore, a zawierają matrycę przyszłości. Epokowe zdarzenia tamtego roku – te na jawie, jak atak islamskich terrorystów na World Trade Center, rozpoczęcie wojny z talibami w Afganistanie, ale także, zgodnie ze wspomnianym na początku światopoglądem pisarki-narratorki – te ze snów, wydają się nie tylko ukazywać stan ducha ludzkości, ale stanowią też i zapowiedź tego, co dopiero nadejdzie.

Narratorka już w pierwszym zdaniu przyznaje się, że jest astrologiem i zawodową wróżką (opowieść rozpoczyna scena wróżenia uczestnikom sylwestrowego balu w eleganckim hotelu). Wielowątkowa i bogata narracja zawiera m.in. nawiązania do poprzedzających *Pismo snów* esejów o artystach – choćby wtedy, gdy mowa o lekturze *Dzienników* Marii Dąbrowskiej. Odnajdziemy tu również zarysy nienapisanych tekstów, np. o podróżniku Thorze Heyerdahlu, który opłynął ziemię na tratwie Kon-Tiki, i młodo zmarłej pisarce Katherine Mansfield, autorce znakomitych *Dzienników* i *Listów*. W zapisanych tam snach narratorki i jej bliskich: malarza F., chadzającej po ogniu i tańczącej flamenco Uny (córci, przyjaciółki, siostry?), przyjaciela Piotra, niektórych klientek, zwracają uwagę reminiscencje zmieniających się pór roku – od zimy po jesień i kolejną zimę – jakby jeszcze jeden znak ścisłego powiązania jawy i snu.

Jak zatem tamten szczególny, naznaczony duchem spełnionej apokalipsy rok wyglądał z perspektywy snów oraz jaka się z nich wyłania przepowiednia dla ludz-

kiego rodzaju? Nie znajdziemy jednoznacznej odpowiedzi. Krystyna Sakowicz być może rzeczywiście zajmuje się astrologią i wróżeniem, ale przede wszystkim jest pisarką. *Księga ocalonych snów* nie stanowi czegoś w rodzaju *Przepowiedni Królowej Saby*, choć na pewno istnieje nić, która wiąże ze sobą kreatorską wyobraźnię i jasnowidzenie. Kiedy czytam pełne zastrzeżeń, ostrożne rozważania na temat natury wróżenia i możliwości poznania za jego pomocą, myślę, że mogłyby one dotyczyć także poznawczych wartości literatury: *Nigdy, przenigdy nie wyobrażać sobie, że się wie. Wróży się zaledwie możliwość, prawdopodobieństwo, właściwość pewnej chwili. Przekazuje się wróżbę za pomocą słów. Większa część przepowiedni ginie w słowach, reszta, jak wszystko, co wypowiedane, przemienia się dowolnie w myślach tego, kto słucha, bo niesamowite są obroty i odmiany słów. Błysk natchnienia przelatuje albo nie.*

Już w *Śnieniu* Krystyna Sakowicz wiele pisała na temat obecności w snach wydarzeń politycznych i historycznych (zapamiętałam świetny rozdział na temat snów o Piłsudskim). Wątek ten przewija także się w *Księdze ocalonych snów*, a obecny jest w szczególności sposób w tekście poświęconym Marii Dąbrowskiej. Sakowicz zwraca bowiem uwagę na sny pisarki związane z doniosłymi i dramatycznymi wydarzeniami historycznymi czasów, w których żyła: chodzi o I i II wojnę światową, odzyskanie i ponowną utratę przez Polaków niepodległości, lata stalinizmu. Podkreśla, że obywatelski, społeczny temperament Dąbrowskiej i jej dar myślenia w kategoriach zbiorowości wyrażał się w kosmicznych snach, w których wcielała się w planety i gwiazdy oraz spoglądała na ziemię z podniebnej perspektywy. Pojawiają się również marginesowo uwagi na temat snów ludzi w czasach totalitaryzmu i wojny oraz przywoływane są opracowania odnoszące się do tego tematu.

Nietrudno się domyślić, że w snach z roku 2001, zwłaszcza po 11 września, wiele było niepokoju, obrazowych ewokacji poczucia zagrożenia, lęku, przemocy i alegorycznych przedstawień zła. Bardziej zaskakiwało na tym tle pojawienie się pod koniec roku całej serii wizji światła, jasności i blasku, które wzbudzały nadzieję i miały moc odradzania. Przynosiły je nie tylko marzenia senne, ale i wnikliwie obserwowana w tym czasie natura oraz czytane przez narratorkę lektury. Z zestawienia kontrastowych obrazów wyłania się globalna wizja dziczącej się gdzieś nad nami wielkiej psychomachii – starcia sił Dobra i Zła, dialektyki zagłady i ocalenia: *Spod nieba wyłania się potężna jula światła. Nie jest to mały promienny uśmiech. Ta jula przewala się przez morze chmur i w tym zaciągnięciu sanna staje się morzem, dopiero wtedy daje za wygraną i opada. W tym samym czasie, na lądzie, podobnie potężnym ruchem drzewa są odzierane z liści. W ludzkich umysłach też musi istnieć niesamowita reguła tej gry. Co można o tym powiedzieć? Per Holm uważa po staroświecku, że człowiek jest „nieskończenie odpowiedzialny za wszystko”.*

Krystyna Sakowicz jest dziś bodaj największą mistrzynią słownego zapisu snów. W dwóch ostatnich książkach – *Śnieniu* i *Księdze ocalonych snów*, tworzących swego rodzaju oniryczny dyptyk – wypracowała styl, który wydaje się niemal idealnie oddawać materię snów, ich charakter oraz specyficzne cechy: *I przybywa sen pełen ukrytych prorocत्व. Coś ma się stać. Ci, którzy wiedzą, co się święci, otrzymują środki znieczulające ukryte w futerałach do skrzypiec, obitych wewnątrz granatową materią w srebrny wzór. Zjawia się też drewniany tramwaj, jadący na skos i pod prąd, przez trawnik, przez Plac Zawiszy, nie mam pojęcia dokąd, ale niezwykle zwinnie, przy tym bardzo szybko. Pojazdy w snach okazują się wehikulami, w których podróżują dusze. Ten wehikul nie szanuje reguł ruchu zbiorowego, lecz otwiera drzwi. Wsiadają jak do arki wszyscy, których coś tknęło, przeczuwający coś ludzie, zwierzęta, rośliny, anioły, demony i głodne duchy.*

Udało jej się uchwycić w słowach również takie cechy snów, jak ich ulotność i rozwiewanie się wizji pod wpływem silniejszej zasady realności. Może dlatego po lekturze *Księgi ocalonych snów* czuję się tak, jak po przeżyciu serii niezwykle

snów – jeszcze oszołomiona i oczarowana, z głową pełną niezwykłych obrazów, jedną nogą w onirycznej rzeczywistości, ale już zapominająca o niej, wpatrzona w materialne i sensualne bogactwo jawy, wrzęgnięta w zwykły rytm ziemskiego życia. Ta niezwykła, magiczna, oczarowująca, umykająca opisowi książka przypomina mi indiańskie urządzenie do łowienia snów: dream catchers – delikatną pajęczynkę z nici lub skórek, ozdobianą wzorem z kolorowych koralików i piąsami piórkami. Po prostu – to znakomita literatura!

Krytyka Sadowicz, *Krytyka i literatura* 8. 2008, Wydział Literatury Uniwersytetu Warszawskiego, Warszawa 2008, nr. 164.

WACŁAW SĄDKOWSKI

O KAPUŚCIŃSKIM INACZEJ

Druga seria wypowiedzi tłumaczy utworów prozatorskich i poetyckich Ryszarda Kapuścińskiego o autorze *Cesarza* i o jego osobowości twórczej różni się w istotnym stopniu od serii pierwszej (*Podróże z Ryszardem Kapuścińskim. Opowieści trzynastu tłumaczy*. Kraków 2007). Różni się na korzyść.

Jak w tomie poprzednim, odnajdziemy tu opowieści o spotkaniach, spacerach, rozmowach i biesiadach czterech tłumaczy z autorem, które potwierdzają przyjęty już ogólnie wizerunek człowieka ujmującego prostego, szczerego i bezpośredniego w stosunkach z ludźmi, zjednującego sobie tłumaczy nie tylko autentycznym szacunkiem dla ich zawodu, ale wręcz uwrażliwieniem na jego specyfikę. Najciekawsza z tych relacji, zatytułowana *Sześć podróży w czasie i przestrzeni*, wyszła spod pióra Ewy van den Bergen-Makały, która kreśli nader wnikliwy i subtelnie zarysowany portret Kapuścińskiego jako człowieka i twórcy. Intrygująco wręcz brzmi sugestia, by klucza do wewnętrznej dramaturgii moralistycznej dzieła pisarza-reportera szukać w *Jądrze ciemności* Conrada; niezwykle też frapująco przedstawia się wyimaginowana wizja rozmowy między autorem *Hebanu* a Harrym Mulischem (pisarze ci nigdy nie spotkali się osobiście, nigdy też nie podjęli bezpośredniego dialogu, choć ciążyli ku sobie wręcz grawitacyjnie).

Najcenniejsze w drugiej części *Podróży...* są rozważania na temat pisarstwa Ryszarda Kapuścińskiego, zwłaszcza jego poezji. Yukio Kudo trafnie wypukla i umocnił pomiędzy tymi dwoma biegunami twórczości autora *Cesarza*: *Jest to piękna proza jak poezja, choć zwykle reportaż i poezja nie współistnieją, ale w przypadku Kapuścińskiego jest inaczej, on ma oko dziennikarza i duszę poety*.

Kilkoro tłumaczy skupia uwagę właśnie na poetyckim talencie Kapuścińskiego i jego artystycznych parantelach. Silvano de Fanti cytuje recenzję Claudio Magrisa z tomu wierszy w przekładach włoskich, zatytułowanego *Taccuino d'appunti: Kapuściński wpisuje się w najbardziej humanitarny nurt polskiej liryki, od Miłosza po Szyborską i Różewicza*: (...) *Kapuściński wie, że trzeba uważnie słuchać głosu, który jest w nas, nie zagłuszając go słowami*. Abel A. Murcia Soriano (w szkicu *Poeta w cieniu reportera*) potwierdza tę diagnozę, cytując wypowiedź Kapuścińskiego z wywiadu przeprowadzonego przez Agatę Orzeszek (opublikowanego w piśmie „Quimera” w roku 2002) – na stwierdzenie interlokutorki, iż „główny ton” poezji polskiej nadaje triu złożone z Szyborskiej, Miłosza i Herberta, Kapuściński odpowiedział: *Zgadzam się, że istnieje trójca. Tylko że dla mnie tworzy ją Szyborska, Miłosz i Różewicz. Ten ostatni jest prawdziwym gigantem naszej poezji współczesnej*. Opinia ta współbrzmi z wierszem Kapuścińskiego *Druty* (z tomu *Notes*), którego fragment zamieszczono na okładce japońskiego wydania *Imperium*:

*Ty piszesz o człowieku w obozie,
ja o obozie w człowieku.*

Tyrania poezji, wszechobecna w reportażach autora *Wojny futbolowej* (choć najczęściej przemocą „spychana w podteksty”), dawała o sobie znać także nie wprost. Przyłapał ją in flagranti tłumacz *Hebanu* Ole Michael Selberg, który napisał do autora list z garścią pytań szczegółowych. Myślę, że warto przytoczyć choćby fragment odpowiedzi, jaką otrzymał:

Jestem Panu ogromnie wdzięczny za zwrócenie uwagi na nieścisłości i błędy. (...) Postaram się je usunąć w następnych wydaniach. (...)

Str. 33: Crumwell czy Crummel? Nie wiem, nazwisko tu znam z pamięci, a tu nie mam jak sprawdzić. Trzymajmy się może Groliera.

Str. 33: Słuszna uwaga. Powinno być: „w Afryce i w Ameryce”.

Str. 55: Dziękuję za poprawienie Murchison Falls.

Str. 107: Oczywiście, piątek, a nie sobota. Mój oczywisty błąd.

Str. 244: Pańska uwaga o kierunkach świata – trafna. Dziękuję. (...)

Jeszcze raz jestem Panu tak wdzięczny za wychwycenie tych wszystkich błędów, lapsusów i literówek.

Pewna moja znajoma redaktorka twierdzi, że klasa pisarza sprawdza się także w jego stosunku do poprawek proponowanych w intencji nadania redagowanemu tekstowi krystalicznej czystości. O klasie Selberga jako tłumacza świadczy zaś nie tylko jego rzetelność i wnikliwość, ale również całkowity brak jakiegokolwiek zacieklności w „przylapywaniu” autora na poślizgnięciach oraz szlachetna, ale hynajmniej niepopłaźliwa, wielkoduszność wobec tego, co zwykle się określał mianem licentia poetica.

Nawiasem mówiąc, Selberg zaproponował w swym wspomnieniu o Kapuścińskim pewne uściślenia w tekście *Tryptyku rzymskiego* Karola Wojtyły. Ponieważ jak dotychczas nikt tej kwestii nie podniósł, pozwalam sobie przytoczyć ów fragment: *W „Tryptyku rzymskim”, wydanym w 2005 roku, dwukrotnie pojawia się łacińskie zdanie „omnia nuda et aperta [sunt] ante oculis Eius”. W tekście papieża dativus „oculis” zastąpiony został wyrażeniem przyimkowym, ale zamiast „ante oculos”, jak należałoby się spodziewać – biorąc pod uwagę, że łaciński przyimek „ante” zawsze wymaga zastosowania accusativu – pojawia się „ante oculis” w ablatiwie, co jest oczywistym błędem. Bez względu na to, czy pomyłka pochodzi od samego papieża, czy też wkradła się w trakcie składu książki, to dziwne, że nikt*



Ryszard Kapuściński z Erzsébet Szenyán i Attilą Szalaim, ówczesnym dyrektorem Instytutu Kultury Węgierskiej w Warszawie, 2004 r.

Ryszard Kapuściński



Droga Erzsébet!

Wielki Ci se swój przekład "Irkalepok" w "Valórág" i se szkic o mie. Dopiero teraz, patrząc na ten tekst wydrukowany uświadomiłem sobie, że to początek książki, a nie zupełnie inne i niepokładane notatki, jak dotychczas o tym myślałem. Dzięki Ci więc szczególnie za to swoją inicjatywę przesłała i druk "Zeszyty" - bo to doda mi otuchy i swobody do dalszego pisania książki. B. Byłbym bardzo wdzięczny, gdyby udało się kiedyś ukazać się na Węgrzech w swoim przekładzie. Ciągłe jednak nie wiem, kiedy uaktualniona wersja tego tekstu - skądśbyś w maju 1988 /miejscu- wy!/.

Teraz będę pół roku w Stanach wykładać literaturę fakty w Uniwersytecie w Filadelfii, ale może, jak to będzie wyglądać przesłać do kraju w marcu 1988.

Pozdrawiam Cię najserdeczniej Świąteczna i Noworoczna, a także przesyłam serdeczności dla Laci /byłoby mi dalszych sukcesów!./ i Twoją uroczą adresatkę *Erzsébet*

Ryszard

Warszawa 27.12.1987

Minneapolis, Minnesota 55404 For Reservations Call 612 340-5300

List Ryszarda Kapuścińskiego do Erzsébet Szenyán

nie zadbał, by ją usunąć. Wszak tekst „Tryptyku rzymskiego” musiało czytać wiele osób biegłych w łacinie, które powinny były ją zauważyć (...) Jestem pewien, że autor byłby wdzięczny za usunięcie błędu w porę.

Kolejne ważne wątki przewijające się przez kilka tekstów umieszczonych w zbiorze dotyczą techniki i sztuki przekładu literackiego. Cytowany już Marcia Soriano wprowadza czytelnika w dylematy, z jakimi zmagal się - wspólnie ze swoją żoną Agnieszką - przy tłumaczeniu wiersza *Na wystawie „Fotografii chłopów polskich do 1944 roku”*. Polszczyzna nie podlega wszechwładnej, zwłaszcza w językach romańskich, formule „consecutio temporum”: Czy (...) polskie „za rok wszystko trząśnie” odpowiada hiszpańskiemu „un año más tarde se armará”? Jak myślisz? - pytaliśmy jedno drugiego. Czy możemy zachować czasową nieprecyzyjność w użyciu czasowników, jak w wersji oryginalnej? Wymienialiśmy się opiniami: - Tylko że w hiszpańskim występuje zjawisko, które nazywamy „zgodnością czasów”, i niektórych rzeczy nie da się zmienić na siłę.

Pasjonująca jest również opowieść Jerzego Sławomirskiego o tym, jak po długich deliberacjach postanowił - również przy współudziale żony - w przekładzie

Podróży z Herodotem na kataloński, cytaty z trzech ostatnich ksiąg historyka greckiego podać w specjalnie dla tej edycji sporządzonym przez Rubéna J. Montañęsa tłumaczeniu na dialekt walencki. Dlaczego akurat na dialekt walencki? - odpowiedź proszę szukać w arcyciekawym szkicu Sławomirskiego. Sporo satysfakcji daje też lektura wspomnieniowego szkicu Erzsébet Szenyán tłumaczącej dzieła Kapuścińskiego na język węgierski.

Podróże... dostarczają ponadto ciekawych wyjaśnień na temat osobliwych wybiegów i gier, jakie stosował Kapuściński oraz jego wydawcy, aby ominąć zagrożenia cenzuralne, wielce uciążliwe dla pisarza uprawiającego „czopowy” typ aluzji do wydarzeń oraz zjawisk aktualnych i rodzimych. Pierwotna wersja, drukowana w cotygodniowych odcinkach w czasopiśmie, bywała zwykle w tej rozgrywce przydatna, ale zdarzało się, że uczulała cenzorów, którzy zwracali tym bacniejszą uwagę na tekst przygotowywany do publikacji książkowej.

Nie należy przeoczyć zawartych w tomie rozważań o specyficznym odbiorze dzieł Kapuścińskiego w różnych krajach. Wchodziły tu w grę zarówno odmienne tradycje narodowego piśmiennictwa, jak i nierównomierny stopień znajomości podejmowanego przez pisarza-reportera tematu.

Wydawcy - Bożena Dudko - i Wydawnictwu ZNAK należą się słowa uznania za przygotowanie drugiej serii *Podróży...* Opowieści tłumaczy umożliwiają pełniejsze zrozumienie twórczości Ryszarda Kapuścińskiego oraz świetnie wprowadzają w problematykę związaną z przyswajaniem tej twórczości innym językom i kulturom.

Podróż z Kapuścińskim. Część 2. Opowieści o literaturze tłumaczył i redagował Bożena Dudko. Wydawnictwo ZNAK, Kraków 2014, ss. 250 + 5 cm.

Książki nadesłane

„Tygiel Kultury”, Łódź

Ślady i więzy. Krytyczna topografia Jarniewicza. Wybór i opracowanie Zdzisław Jaskula. Wstęp Karol Maliszewski. 2008, ss. 174.

Jerzy Jochimek: *Chrystus i białe niedźwiedzie*. Postłowie Magdalena Rembowska-Pluciennik. 2008, ss. 391.

Anna Urbanek: *Ptaki. 9 opowiadań*. 2008, ss. 182.

Aurelia Scheifel: *Lódź-historia/e. Wspomnienia - epizody z mojego życia*. Przekład z języka niemieckiego Danuta Czuczvara i Małgorzata Półrolna. 2008, ss. 188. Tekst w wersji polskiej i niemieckiej.

Piotr Srobczyk: *Dywan Pierrotta*. 2009, ss. 139 + płyta CD.

Poeci, poeci...

ANNA MAZUREK

NIC WIĘCEJ

Bohdan Zadura jest bardzo dobrze znany czytelnikom literatury współczesnej. Opublikował kilkanaście tomów poetyckich, trzy powieści, dwa zbiory opowiadań, cztery tomy szkiców literackich, a także wiele przekładów z języka węgierskiego, ukraińskiego, rosyjskiego i angielskiego. Niedawno na rynku wydawniczym pojawiła się edycja pism zebranych stanowiąca podsumowanie niezwykle bogatej twórczości tego autora. Książka poetycka *Wszystko* to pierwsza publikacja od tego czasu i zapewne należy zgodzić się z Zadurą, że „taki tytuł cieniutkiego tomiku ukazującego się po siedmiu tomach utworów zebranych” jest przede wszystkim „wdzięcznym żartem”.

Żarty żartami, i jednak poezja to śmiertelnie poważna sprawa – podążając tropem sformułwanym z wiersza *Noe poetów*, spróbujmy dustrzec w przekornym tytule najnowszego tomu nie tylko żart, humor, dystans, autoironię, eksponowanie wieloznaczności słowa, ale także kilka całkiem istotnych spraw, nawet jeśli w najnowszej książce Zadury mówi się o nich jednocześnie je kwestionując, negując, wiodąc z nimi spór.

Pytanie o wszystko stawiają głównie dzieci i uczeni, ale może także i ci, którzy w pewnym momencie odczuwają potrzebę ulokowania siebie w jakimś nadrzędnym porządku – pisze Piotr Śliwiński¹. Z zupełnie odmienną sytuacją stykamy się w tomie *Wszystko*. Zamiast dziecięcej naiwności i abstrakcyjnych akademickich syntez odnajdujemy tutaj dojrzałość rozumianą jako „mądrość niepewności”, świadomość względności każdego spojrzenia, wiedzę, że odpowiedzi ujawniają się już w pytaniach. Ponadto autor nie odczuwa pokusy wpisywania ludzkiej egzystencji w jakiegokolwiek nadrzędne struktury. Kwestionuje całość jako solidną, harmonijną konstrukcję, a w utworach rozprawia się z mitami skończonych opowieści. W niektórych tekstach pojawia się przekonanie, że bardziej istotny od naszych projekcji i planów jest strumień zwykłego, przygodnego życia – nieuporządkowanego, „niepewnego” za to pełnego paradoksów, zjawisk krąbrnych i nieobliczalnych (*Wilczarz (hodowcy psów)*). W wierszu *Co mi zostało ze studiów* bohater liryczny nie poszukuje nawet logicznego wzoru w chansie wspomnień i gmatwaniu przygodnych, przypadkowo zapamiętanych zdarzeń. To one są najważniejsze, zdecydowanie ważniejsze niż filozoficzne syntezy, owe – mówiąc słowami Rortyego – wzorzyste gobeliny mistrzynie tkane za pomocą naukowych pewników i aksjomatów, być może w tym celu, aby przestłonić niechlujny wzór polocznego, zwyczajnego życia. Poeta pozostaje zatem obojętny na wizje całościowe, niezależnie od tego, czy są to misterne arrasy intelektualnych abstrakcji czy też zdroworoządkowe życiowe projekty.

Tytuł najnowszej książki Bohdana Zadury przypomina mi znany – wykorzystujący złudzenia optyczne i zabawę kreską – rysunek Boringa, który można odczytywać dwójako: dostrzegając w nim albo starą wiedźmę o wystającej brodzie i haczykowatym nosie, albo młodą kobietę – uosobienie piękna i życiowej energii. „Wszystko” kojarzy się z syntezą, całością, ową – zdaniem postmodernistów – „straszącą zjawą, którą trzeba egzorcyzmować”. Jednak przewrotny, dwuznaczny tytuł oznacza także wielość i różnorodność. Zatem nie tylko sugeruje te treści, wobec których tom pozostaje w zdecydowanej opozycji, ale jednocześnie (i przede wszystkim) jest zapowiedzią tematycznej i formalnej różnorodności, która decyduje o szczególnej urodzie owego zbioru.

Zadura prezentuje bogaty wachlarz motywów i problemów, zaś bohater jego wierszy – niekiedy krytyczny, ironiczny, innym razem żartobliwy bądź skłonny do refleksji – dysponuje wielobarwną gamą emocji. Wśród tej różnorodności ważne miejsce zajmują utwory „rozliczeniowe”, „zaangażowane”, w których pojawiają się nawiązania do najnowszej historii Polski oraz politycznej sytuacji kraju. Opierają się one na przenikliwej obserwacji otaczającego nas świata i są głęboko zakurzone w jego realiach współczesności ([*po puszcze z pandorą*], *Gwiazdki belki wężyki*). W tomie *Wszystko* – podobnie jak we wcześniejszych publikacjach – poeta z wyjątkową uwagą i wrażliwością chwyta głosy dobiegające z otoczenia, wsłuchuje się w rozmaite rejestry współczesnej polszczyzny. Jest to istotnie „antologia wielu głosów”, w której odnajdujemy m.in. język reklam, doniesień medialnych, sprawozdań sportowych, wystąpień polityków.

Autor mówi o wszystkim, co stanowi bezpośredni obszar jego obserwacji i doświadczeń, wchłania wszelkie impulsy życia, niczego nie dyskryminuje, potrafi skupić uwagę na codziennych sytuacjach, na prozaicznych, a niekiedy trywialnych, wymiarach rzeczywistości. Przedmiotem poetyckiej kreacji staje się – zgodnie ze słowami Mirona Białoszewskiego – „wszystko, co jest pod ręką”: informacje z telewizyjnego ekranu i szpalt gazet, wizyty u fryzjera i w gabinecie dentystycznym, strzępy zapamiętanych rozmów, fragmenty mailowej korespondencji. Wydaje się wręcz, że w tomie tym nie ma spraw nieważnych, niegodnych literatury, gdyż wszystko, każda najlichsza nawet sfera doświadczenia, może stać się tworzywem poetyckim.

Jednocześnie autor umiejętnie łączy różnorodne rejony tematyczne i sfery egzystencji. W wierszu *Outlook express* mailowa korespondencja i mało wyszukana stylizacja spamu staje się przyczynkiem do rozważań o dewaluacji słów i randze poezji we współczesnym świecie. Z podobną sytuacją stykamy się w tekście *Z czego wyrosłem*, w którym istotną rolę odgrywa paradoks, gra znaczeń, łączenie spraw doniosłych i błahych, balansowanie na granicy powagi i żartu. Ponadto w wielu utworach autor zestawia ze sobą idiom konwersacyjny z idiomem wysokim – wyszukany sposób mówienia i subtelna siatka literackich aluzji, jakby również w ten sposób, poprzez „wielojęzyczność mowy”, pragnął oddać złożoność opisywanego świata.

W zbiorze poetyckim Zadury sacrum współistnieje zatem z profanum, „był podręczny” z „meandrami życia i umierania”, rzeczywistość w jej codziennych przejawach ze sprawami ostatecznymi, o których autor mówi bez namaszczenia charakterystycznego dla „wiąjemniczonego mędrca”, a zarazem bez sentymentalizmu i uczucia nieprzyzwoitości, tzn. „poczucia, że jest to jakieś przekroczenie”. Z tego właśnie powodu na szczególną uwagę zasługują elegijne utwory o śmierci, przemijaniu, odchodzeniu, w których pojawia się *lekkie podniesienie tonu, odrobinię wyższa dykcja, ale bez koturnu, z bosymi stopami dotykającymi ziemi*. Dużym atutem tych wierszy jest emocjonalna powściągliwość, „nieopisana dyskrepcja” w mówieniu o sprawach ważnych i bolesnych.

¹ *Impuls*, z Bohdanem Zadurą rozmawia M. Łaskowicz, „Literatura” 1998, nr 12, s. 26.

² Bohdan Zadura: *Nie wszystko wygląda tak jak jest*, Warszawa, 2007, s. 514.

¹ Piotr Śliwiński: *Świat na brzości. Szkice o poezji i krytyce*, Warszawa 2007, s. 218.

Wszystko dopiero wtedy ujawnia się w pełni, kiedy ogarnie sobą często niesłusznie lekceważone „nic”, a także wszelkie stany pośrednie między bytem a nicnością. Tak właśnie dzieje się w najnowszym tomie Bohdana Zadury. Zamiast struktur zamkniętych, skończonych, zjawisk klarownych i trwałych w swoim zarysie, zamiast – mówiąc po Nietzscheańsku – „ducha ciężkości”, „masywności” bycia całkowicie zakotwiczonego w sobie, pojawia się rzeczywistość płynna, nieciągła, niedookreślona, a przysłówki „niemal” i „niespełna” dobrze charakteryzują tę poetycką przestrzeń (*Ktoś dla kogo*). Obecność jest tutaj podszyta brakiem, nosi w sobie ślady nieobecnego, a tym samym żadne zjawisko w tekstach Zadury nie zastyga w swej formie – jakby nie chciało być sobą w pełni, „do samego końca”. Świat poetycki został zatem zbudowany z gry różnic między śladem a rzeczywistością, tekstem a jego przekładem, obiektem a nazwą, pamięcią a zapomnieniem, życiem a nicnością (*Dziwne. Na obce języki. Wieczność bez nas*). Tak dzieje się m.in. w wierszu zatytułowanym *W pudle*, w którym jedynym śladem przeszłości jest „widmowa materialność” fotografii i języka. Rodzinne zdjęcie, pokazując milczące, znieruchomiałe, zabalsamowane w określonej pozie obiekty, skłania do domysłów, rekonstruowania przeszłości, przy czym jest to rekonstrukcja hipotetyczna, niedoskonała, jedynie zbliżająca się do pierwowzoru. Można powiedzieć – posługując się określeniem Rolanda Barthesa – że w wierszu tym fotografia nakłada na obserwatora swoisty „areszt interpretacji”. Jedynym pewnikiem w sferze niepamięci i domysłów jest słowo „Nero” – imię psa, zapisane na odwrocie ręką ojca. Ale również ono posiada swój despotyczny, niszczyielski charakter. Nazywając, utrwalając minioną rzeczywistość, dokonuje jednocześnie jej destrukcji, staje się w pewnym sensie inskrypcją, napisem nagrobnym, podobnie jak skamieniały beznuch fotografii.

Wydaje się, że w poezji Bohdana Zadury właśnie ta niezadekwatność, „rzeczywista nieodpowiedniość”, stanowi jedną z dostępnych nam nici Ariadny, jedyną – zdaje się mówić autor – która z czasem nie przeradza się w krępujący powróż. Dlatego też poeta (daleki od jednoznacznych interpretacji i opisów) pragnie za ledwie wypowiedzieć granicę, opisać szczelinę, jaka powstała w chwili spojrzenia podmiotu na siebie i otaczający świat. To wszystko. A jednocześnie nic więcej.

Bogata warietas ujawnia się w tej książce – niczym w barokowych silva rerum – na różnych poziomach. Uwagę zwraca nie tylko ogromna rozpiętość podejmowanych problemów i zagadnień, ale także różnorodność artystyczna tego tomu, który możemy określić jako stylistyczny „róg obfitości”. Wszystko otwiera bowiem wielowymiarową przestrzeń, w której spłykają się rozmaite sposoby pisania, techniki poetyckie, tradycje wersyfikacyjne. Obok rozbudowanych poetyckich narracji napisanych potoczystą frazą odnajdujemy jedno- lub dwuwiersowe miniatury, niekiedy złożone z jednego za ledwie wyrazu i ściśle z nim powiązanego tytułu. Te lapidarne zapisy oparte na paradoksie i wieloznaczności to przykłady bardzo interesującej, hermetycznej liryki, która wymaga od czytelnika wyjątkowego skupienia, zgodnie z przekonaniem autora: *Im krótszy wiersz, tym dłużej trzeba go słuchać*.

Najnowszy tom utwierdza nas zatem w przekonaniu, że liryczne drobniaki coraz bardziej wiodą Zadurę „na pokuszenie”. Autor, który w jednej z poprzednich książek zastanawiał się: „słowa mam wybrać czy wybrać milczenie”, teraz wybiera wszystko; jego poetyckie miniatury wydają się bowiem szczeliną, prześwitem między słowem a ściśle do niego przylegającym zamknięciem, ciszą białej kartki papieru.

W tomie *Wszystko* obok „wierszy pisanych zdaniami” pojawiają się utwory, w których słowo „zostaje wyplątane z prozaicznych uwikłań zdaniowych”¹, odzyskując dzięki temu pierwotną energię językową. Tak dzieje się m.in. w wierszu [*ciała mistyczne*], który został zbudowany z zestawienia kilku za ledwie rzeczow-

ników, opatrzonych epitetami. Zadura odrzuca zatem hierarchiczne związki zależności i podrzędności, ścisłą więź podmiotu i orzeczenia, ową „świętą armaturę składni”. W wierszu tym logikę i racjonalność zdania o niewzruszonej, zamkniętej strukturze zastępuje mowa leksykalna, nieciągła, stanowiąca – według Barthesa – naturalne „prawo wewnętrznego języka”, a tym samym autorowi udaje się uchwycić myśl in statu nascendi, „na gorącym uczynku”, w jej niedookreśleniu i niegotowości.

Julia Kristeva stwierdziła, że każde działanie ideologiczne wyraża się pod postacią wypowiedzi kompozycyjnie zamkniętych. W tym kontekście nie powinno nas dziwić, widoczne również w najnowszym tomie Zadury, dążenie do rozluźnienia składni oraz operowania słowem i myślą poza zdaniem. Jest to zupełnie naturalną tendencją w przypadku autora, który lęka się „ćmy w sobie, jakiegoś lotu w stronę płomienia ideologii”, a poezję pojmuje przede wszystkim jako „poszerzanie poletki naszej wewnętrznej wolności”².

Zadura odrzuca język dyskursywny, określający rzeczywistość w sposób ostateczny i jednoznaczny, a tym samym pozbawia swoją refleksję poetycką kategoryczności. Jego wiersze, wyzwolone niekiedy z jarzma składni i totalizmu dyskursu, są przeciwieństwem utworów, które służą stwierdzaniu i objawianiu określonych, gotowych prawd. Poeta poprzez niedopowiedzenie, niedookreślenie osamotnionego słowa, a jednocześnie wydobycie jego wieloznaczności obdarza czytelnika szczególną odpowiedzialnością – pozostawia mu do wyboru różnorodne ścieżki interpretacyjne. Nie obiecuje, że cokolwiek przemyśli zamiast niego, nie proponuje drogi na skróty. W jednym z dawnych wierszy Zadura stwierdza: *Dobrze poczuć grunt, który stwardniał pod cudzymi stopami*. Czytelnik jego najnowszych utworów jest niewątpliwie pozbawiony tego komfortu. Zachęcony do aktywnej lektury i udziału w grze znaczeń czuje jak stopniowo traci grunt pod nogami, zaczyna ślapać po grząskim terenie, ruchomych piaskach, uzyskując jedynie od czasu do czasu stan „chwijnej równowagi”.

Autor konsekwentnie podsyca niepewność czytelników i destabilizuje ich odbiór otaczającego świata, a czyni to przede wszystkim poprzez rozbijanie zlogów językowych. Interesują go szczeliny powstałe pomiędzy signifiantem i signifié, między nazwą a oznaczanym przez nią przedmiotem; zarysowania i uskoki, dzięki którym pod powierzchnią warstwą słowa dostrzegamy jego głębsze sensy i znaczenia. Zadura nieustannie zawodzi zatem nasze pragnienie pewności. Unika jednoznacznych odpowiedzi, krystalicznie czystych syntez. Jedynie sugeruje pewne refleksje, napomyka za ledwie o różnorodnych sprawach tego świata – nic więcej. Jednak właśnie dlatego jest to rzetelna, budząca zaufanie literatura, owa „wąlla niowa”, która „pozostaje nam do dyspozycji między gwałtownością pytania a milczeniem odpowiedzi”³.

W tomie *Wszystko*, mimo różnorodności tematycznej i artystycznej, poetyka i wewnętrzna logika struktury łączy się z językowym ascetyzmem, a więc bogactwo współistnieje z surową powściągliwością. Autor rezygnuje całkowicie z kokieterii, uwodzenia czytelnika słownymi błyskotkami. Stosuje natomiast redukcjonistyczne zabiegi, które mają za zadanie uchwycić istotę wypowiedzi poetyckiej przez pozbawienie jej właściwości niekoniecznych. W zbiorze tym zwraca uwagę prosto, ascetyzm słów nieposmarowanych lepem wyszukanych, literackich określeń. Zadura, niechętny tradycyjnym romantyczno-modernistycznym formom poezji, unika wystylizowanych konstrukcji słownych i wymyślnych tropów, nie liczy też na „liczność miłosiernych przymiotników”, które „wciąż jeszcze oferują nam swoje samarytańskie usługi”⁴. Utwory te, pozbawione pięknej powłoki metafor a zarazem „idealistycznego, sublimacyjnego szczeblotu”, są przecież:

¹ *Problemy poetyki*, z Bohdanem Zadurą rozmawia J. Borowicz [w:] E. Borowicz, *Zadura. Światło wiersza*, Puławy 2008, s. 146.

² *Między nocą z Bohdanem Zadurą rozmawia J. Borowicz* [w:] E. Borowicz, *Zadura. Światło wiersza*, Puławy 2008, s. 146.

³ Roland Barthes, *dz. cyt.*, s. 217.

⁴ Bohdan Zadura, *Milicjantów przymiotników* (w:) *trójce: Wiersze dobrane*, t. 1, s. 402.

nie żeby się podobały
ale żeby ktoś coś z nich miał

(Takie proste, tak późno).

Autor pisze zatem przez odejmowanie, zaś czytelnik, wsłuchując się w tę „odchudzoną mowę”, przedostatni – według określenia Barthesa – z dostępnych nam języków, zniemza na krańce poezji, z tej perspektywy dostrzegając ją jednak o wiele wyraźniej. Ta „poetyka abdykacji”, zdolność poezji do negowania samej siebie i wychodzenia poza własne granice wydaje się bardzo istotna w czasach, kiedy literatura – aby zachować choć cząstkę dawnego splendoru – musi go przetworzyć wyjątkowo sumiennie⁴. Ponadto twórczość Bohdana Zadury przekonuje nas, że poezja jest nieustannym przekraczaniem tego, co zastane, ciąglą krytyką, przede wszystkim samej siebie, swich dotychczasowych form i wcieleń. W tym kontekście obecny w tomie *Wszystko bunt wobec poezji*, wyrażony jej językiem, zyskuje szczególny walor. Być może – paradoksalnie – w ten właśnie sposób najszybciej i najskuteczniej zbliżamy się do poezji, która jest zawsze na zewnątrz, zawsze nieobecna, „wciąż daleko od swojej możliwej siedziby”, bo „nieobecność to jej miejsce, stan i przeznaczenie”⁵.

Bohdan Zadura: *Wszystko. Biuro Literackie, Wrocław 2008, ss. 94+6 nfb.*

KAROL MAJISZEWSKI

ROBIENIE POEZJI Z NICZEGO

Jeżeli ktoś przeczyta pierwszy, ostatni i jeszcze kilka podobnych wierszy ze środka, to ma prawo tak pomyśleć, skoro czyta książki nieuważnie. Zbiór Piotra Sommera pt. *Dni i noce* rozpoczyna utwór *Zaniedbanie*, mówiący o tym, że pewien dzień szybko znika ze świadomości i kalendarza, a gdy nagle go sobie przypominamy, to on wówczas „odrasta”. Zamykający tom wiersz traktuje o tym, że śnieg padał rano i towarzyszył działaniom oraz obserwacjom bohatera, po czym padał również po południu. Rozumiem, że głębia tych pierwszych z brzegu przeżyć i obserwacji może nie satysfakcjonować części czytelników. Poleciłbym im zaznajomienie się z pozostałymi utworami, których lektura uświadomi, że poetyka chaosu i pozorów, owo robienie poezji z niczego, ma swoją rację, a w tym wykonaniu ponadto urok, wdzięk i coś jeszcze. Do tego „coś jeszcze” mam nadzieję zbliżyć się w recenzji.

Nowy tom Piotra Sommera wykluwał się długo i z wierszy wynika, że wykluwał się z wahaniem. Wahanie dotyczyło tego, czy w ogóle warto otwierać usta i formować przemyślenia w wersy. Wahanie dotyczyło również tego, czy możliwe jest wyprowadzenie sensownej opowieści o przeżytej przez bohatera śmierci matki. To jest najbardziej przejmujący nurt przepływających obrazów – łobuzerstwo i kapryśność języka zatrzymują się nad tym problemem, zawieszają się, zastygają na moment. To jest ból, którego nie da się zagadać i tutaj żadne wiersze nie pomogą. Otrzymujemy ten ból i nie bardzo wiemy, co z nim robić. Tym bardziej że tuż obok jest śmiech, drwina, figlarność, ironia. Ja go (mówię o bólu) zneutralizowałem czymś bardzo osobistym. Śmiercią brata. To znaczy na obrazy umierania, a potem zanikania matki bohatera nakładałem sobie równoległe trwające umieranie, a potem znikanie z ulic miasteczka, z codzienności i w końcu ze świadomości mojego najstarszego brata (notabene właśnie z rucznika Piotra Sommera). Podobnie jak podmiot tych wierszy nie umiałem pogodzić się z zaistniałym faktem, próbowałem odwrócić bieg rzeczy i jeszcze

⁴ Piotr Śliwowski *dz. cyt.*, s. 45.

⁵ Jean-Marie Gleize: *Wiersz i niewiersz*. Przeł. Ewa Wieletyńska. „Literatura na świecie” 2003, nr 3-4, s. 167.

bardzo długo „po” rozmawiałem z bratem, zdając mu relacje z przebiegu „ciągu dalszego”, odtwarzając kolejność i smak tych dni i nocy już bez niego (a jednak z nim). Chwilami tak zachowuje się bohater utworów, podstuchuje i podgląda dla matki, informując ją na przykład, że „oczywiście dalej ćwierkają ptaki, i to jak!”. Innym razem to ja sam zachowuję się jak ktoś „bezmyślnie najmłodszy” z wiersza *Uлюбione kawałki* i noszę, rozpamiętując w sobie i tekście, wspomnienia chwil z udziałem zmarłych. Warto rejestrować drobiazgi, warto ćwiczyć pamięć, bo nasza prywatna historia nie składa się z uroczystości ważnych dat, lecz z nieważnych i banalnych chwil, scen, sytuacji. Ich waga rośnie wraz z trwaniem i zbliżaniem się do własnej śmierci.

Rzecz jasna, że można sucho i na trzeźwo tylko odnotować rozproszone ślady, te kilka wierszy o odchodzeniu matki i pustce po niej, lecz można również to przeżyć. Wówczas zobaczymy Sommera serdecznego i rozpaczającego, a nie tylko – jak niektórzy chcą – zimnego ironistę, oddającego się słownym grom. Tu nie chodziło o napisanie cyklu trenów po śmierci matki, lecz o zobrazowanie rozpadającego się świata i rozpadającego się języka. Okazuje się, że pewne rzeczy można omówić, lecz nie da się ich wymówić. W każdym razie w tej poetyce „nie wprost” trudno o rozdzierające serce relacje bezpośrednie. Tworzy się więc kunsztowne strategie pośredniości. I to wtedy mówi się o niczym, o dupercielach, drobiazgach codzienności, zagadując skrywaną islotę. A ta isłota mimo to prześwituje i wzrusza, rośnie do czegoś najważniejszego / na świcie. Mnie bardzo wzruszyła. W ogóle ten tom obszedł mnie jak mało który wcześniejszy zbiór autora *Piosenki pasterskiej*. Między innymi dlatego, że niby to rzeczowy i oschły, zrobiony z niczego, w istocie jest wzruszający i ufundowany na solidnym, emocjonalnym „czymś”.

Być może tym czymś jest „śmiertelność”, szybkie obumieranie nocy i dni. Dlatego nie dziwny się pierwszemu wierszowi, nie dziwny się ostatniemu. One zapisują triumf zatrzymania dnia. Ten chudy i długi czwartek, dawno odcięty z kalendarza, nagle powraca – tylko ludzka pamięć zdolna jest zatrzymać czas, a pamięć poety robi to w dwójnasób. Ten oblepiony gęstym śniegiem jeden dzień w Zakopanem też został w taki sam sposób ocalony. Śmiertelność jest do chwilowego zatrzymania. Dzieje się tak wówczas, gdy naprzeciw kalendarzy wyruszają notatniki poetów i spytują się gdzieś pośrodku. Z drugiej strony ta książka jest wyrazem bezsily, bo tak naprawdę śmiertelności powstrzymać się nie da. Kolejni bliżsi i dalsi odchodzą, a nam trudno o właściwą orientację w podziurawionej przestrzeni. Z jako takiej całości robi się zaludniona wspomnieniami pustka. Z jako takiej ciągłości robi się chaotycznie sklejana przez pamięć, pokawalkowana historyjka. To wszystko jak w soczewce skupia się w liryku prozą zatytułowanym *Nic się nie stało*. Ważne w nim jest oświadczenie, że „wszystko się ułoży”, chociaż poprzedzający je ciąg wspomnień, momentalnych obrazków z historii rodziny nie bardzo chce się ułożyć, jest kapryśny i rzuca dwuznaczne światło na to „nic”, które się nie stało. Bo dzieje się nic – to pierwsza myśl, a więc obserwujemy i zapisujemy postępy nicości. Druga myśl natomiast chorobliwie czepia się konsolacji – spokojnie, nic się nie stało, do spełnienia życzeń nicości jednak nie doszło. Oczywiście, frazeologizm „nic się nie stało” w potocznym sensie informuje o uchyleniu wyroku, jest westchnieniem ulgi. U Sommera frazeologizmy nabierają rumieńców, egzystując obok potocznych wykładni, stają się nosicielami nowych, głębszych, już poetyckich sensów. Jest w tym zaufanie do języka i jednocześnie nieufność. W *Dniach i nocach* tę nieufność pogłębia właśnie śmiertelność, bowiem w niektórych fragmentach owa nadzwyczajna sprawność języka, grającego wszelkimi odcieniami frazeologizmów, przenicowywana jest przez pustkę, brak, dojmujące poczucie słabnięcia więzi ze światem, tak jakby kolejni zmarli zabierali coś ze sobą, kawałek naszego istnienia, siły trwania i siły języka. Na tym tle oświadczenie: *Nic się nie stało, wszystko się ułoży*, nie brzmi tak chwacko i wydaje się być tylko cicho wyszeptaną pociechą.

Ważny trop poświadczający istotność „śmiertelnego” wątku wiedzie w stronę wiersza tytułowego, uznysławiającego kruchość bycia, a szczególnie bycia z kimś. Monolog bohatera, jego żywa mowa, zasadza się na rozpatrywaniu różnicy między liczbą pojedynczą a liczbą mnogą. Odruchowe mówienie w liczbie mnogiej („Jedziemy odwiedzić Staśków”) budzi w pewnym momencie konsternację, a w przestrzeni namysłu pojawia się zagadkowe „jedno czułe miejsce”. Mowa jest o zabezpieczeniu się, o uzupełnianiu się i dwajeniu, gdyż *chcieć coś robić / w pojedynkę, to jednak cienko brzmi / a nawet znaczy*. Coś wydarzyło się w historii osobistej bohatera, coś rzuciło na jego kalendarz cień, złowrogo urosło „u boku dni”. To coś boli i z trudem daje się objąć mianem czułego miejsca. Z tą trudną chwilą wiąże się sugestia niewygodnego bycia w pojedynkę, przykrego dla kogoś, kto przywykł do bycia razem. Bycie z kimś brzmi i znaczy o wiele właściwiej niż bycie z samym sobą. I jak to u Sommera, kwestia „bolesności” (tak jak wcześniej „śmiertelności”) rozmyta jest czy przesłonięta sprytnym teatrycznym gestem, dowcipną dywagacją o *bezkarnym pomniejszaniu / odległości między brzmieniem a znaczeniem*. To nie znaczy, że czytelnik nie ma praw do wczuwania się w bolesność, że nie może wietrzyć uwierania i rozpacz czy też zastanawiać się, z czym tak naprawdę ma do czynienia. Przychodzi na myśl formuła „śmiechu przez łzy”. I ona rzeczywiście w wielu fragmentach tej książki odzywa się często – przeżyciu towarzyszy ironiczna przesłona, a bólowi maska, zaś rozpacz boryka się z własnym kamuflażem. Nie pomylić tego za wadę, wręcz przeciwnie, odbieram jako wyrafinowany znak firmowy, element wzbogacający nastrój i tonację, brzmienie i znaczenie.

Tak więc „robienie poezji z niczego” okazuje się tylko pozorem, zaproszeniem do gry, strategią paradoksalnego porozumiewania się z czytelnikiem. Książka Sommera nie nadaje się do łatwego przelknięcia i ostentacyjnego skwitowania. Proces lektury powinien otaczać ją i toczyć się bez przerwy. Po kolejnych okrążeniach czytelnik długodystansowiec odkrywa następne sensy. Czy jest kres tego dościgania i dochodzenia? Nie wydaje mi się. Pisząc u końca, zamknięciu i śmierci, Piotr Sommer stworzył dzieło otwarte. Otwarte na życie i jego nieustanne dopowiedzenia.

Pi 47 Sommer, *Dni i noc*, Miasto Literackie, Wrocław 2009, s. 92.

RENATA STAWOWY

OSWAJANIE OBCOŚCI

*ucieczka stąd jest niemożliwa,
z tego miejsca, ciała & świata*

Drugi tom poetycki Magdaleny Bielskiej *Wakacje, widmo*, jak każdą dobrą poezję, można odczytać na wiele sposobów. Jeden z nich sugeruje umieszczona na okładce grafika Jerzego Piotrowicza *Kusielec kubistyczny* (1995). Wiersze z owego zbioru dowodzą, że autorka została uwiedzona przez zdobycze awangardowych kierunków początku XX wieku, zwłaszcza przez surrealizm i kubizm – utworom tym patronują tacy twórcy jak Guillaume Apollinaire czy Max Jacob.

Jednak najważniejszym problemem poruszonym w zbiorze *Wakacje, widmo* jest sugerowana w tytule sprzeczność między tym, co swojskie czy raczej oswojone, a tym, co obce. Świat stworzony przez poetkę budzi ambiwalentne uczucia – przyciąga i odrzuca. Typowym przykładem dysnansowego sposobu postrzegania rzeczywistości jest wiersz:

*Polska wsi. Ukochana – – Wczesny październik.
Biała zimna mgła nad ścierniskami.*

*Ostatnie wykopki płowych ziemniaków.
Gęsty wysoki dym palonych liści
gryzie ciężko w płuca. Pali oczy.
Osy wpadają z hukiem w ogień.
I ten mały pies, do którego budy
raz dziennie przychodzi człowiek.
Nie krzycz. Nie krzycz.*

W zbanalizowaną konwencję krojobrazowo-sielską wkracza dojmujące, wyrażone lakonicznie, cierpienie. Bielska od początku wciąga odbiorcę w świat swoich koszmarów i obsesji.

Przede wszystkim osacza wykreowana przez nią zamknięta przestrzeń, która powinna dawać schronienie udręczonemu ciału i duszy. Nie spełnia ona swej podstawowej funkcji – nieprzytulne domy są wylęgarnią koszmarów urojonych w „zmiętej pościeli” i mające wywołanych bezsennością. Czytelnik przemierza całą galerię pokoi – ciasnych, zimnych, nieprzytulnych, z gołymi ścianami, przepalonymi przewodami elektrycznymi, *czarnymi plamami pleśni na ścianach / sztucznym światłem*. Staje naprzeciw domu-widma żyjącego własnym, wielowiekowym rytmem. W jego zakurzonych pokojach, pełnych sputowniałych pamiątek przeszłości, egzystuje w rejonach granicznych między życiem a śmiercią zapomniana przez wszystkich ciotka (*Dom*). W innym wierszu odnajdziemy sugestywny obraz domu-potwora istniejącego w otoczeniu krajobrazu górskiego, do którego *można wejść, ale na krótko, / bo duszna, wykonany jest z przezroczystego tworzywa, / plastyku, który nie przepuszcza światła, oddechu: / przepuszcza tylko białe światła dnia, / gorące, martwe. (Dom obok)*.

Otwarta przestrzeń nie zapewnia odpoczynku od klaustrofobicznych doświadczeń przeżywanym we wnętrzach mieszkań. Nie daje oparcia, bo jest niestabilna, otwarta na czwarty wymiar (*Dzisiaj, po przeczytaniu...*). Porządek wertykalny bywa odwrócony – w dole mamy szare niebo, po którym w lodowatej mgłę szybują czarne ptaki (*Pamiętasz, podczas tamtych wakacji...*). W wierszu otwierającym tom realna przestrzeń wypelciona swojskimi krajobrazami nabiera symbolicznych znaczeń poprzez odwołanie do toposów życia-drogi i świata-więzienia. Tu, co na zewnątrz, ma w wierszach Bielskiej pejoratywne znaczenie, jak sugerują obrazy ciemności i zimy, np.: „czarna planeta”, „zimne morze”, „zimowa przestrzeń”, „na zewnątrz mróz”, „zimowe brudne morze”, „morze błotniste”, „podwórce z zawsze ciemnym księżycem”, „zawsze ciemno”. Jednak opisy lata i upałów także budzą negatywne skojarzenia. W wierszu *Długi weekend...* zawarty został sugestywny obraz „złego, gorącego dnia” w „rozżarzonym, rozwścieczonym mieście”. W tandetnych dekoracjach wielkiej aglomeracji rozgrywa się odwieczny dramat cierpienia i śmierci (starszy pan wiezie taksówką psa do uśpienia). Z kolei osoba mówiąca w wierszu *Hotel Lobby*, patrząc na otwartą przestrzeń, doświadcza namacalnie istnienia w konkretnym miejscu i czasie oraz zadaje pełne niepokoju pytanie: *Czy ktoś patrzy na nas – – ?*

Ta intensywnie przeżywana obcość egzystencjalna, niezakorzenie w świecie, widoczna jest w drugim tomie Bielskiej także na wielu innych płaszczyznach. Autorka bardzo często odwołuje się do marzeń sennych. Szereg jej wierszy to zapis dręczących koszmarów, rojeń na granicy jawy i snu, doświadczeń duchowych zapisanych w konwencji onirycznej. Dychotomiczny podział ulega unieważnieniu. Niekiedy czytelnik odnosi wrażenie, że tylko to, co wewnętrzne, duchowe, podświadome, jest ważne i składa się na prawdziwe życie. Reszta jawi się jako nieistotna, zamazana i przemijająca:

*Skąd wzięły się te ślady na stopach, przecież spałeś,
chodziłeś po płytkim dnie, woda w rzece była gęsta,
zielonkawa,
brudna, rzeczne kamienie raniły stopy,*

tak, to był jakiś etap,
zapomniany, nie istnieje rzeka;
istnieje czas, przestrzeń,
oswojone;
pobawmy się w ciasny dom, w żonę, w przyjaciół,
wszystko się zgadza, póki co rano budzisz się we własnym
łóżku;
i kuchnia, i stół, i okno przedstawiają to samo co wczoraj.
Na razie wszystko się zgadza. (...)

Rzeka pojawiająca się w opisanym na początku śnie jest znakiem przemijania, nierzeczywistości, podświadomości – to krótkotrwała maza senna. Istnienie owego innego wymiaru zostało zanegowane przez podmiot liryczny, który wzywa do stworzenia własnego, uporządkowanego życia. Zastanawia jednak dystans do tej rzeczywistości, przejawiający się w użyciu czasownika „pobawmy się” i podkreśleniu jej czasowości („póki co”, „na razie”). Rzeka ze snu zostawia namacalny ślad na poranionych stopach. To, co dzieje się tu i teraz, jest mało ważne, tylko na chwilę stwarza namiastkę bezpieczeństwa. O wiele bardziej realne zagrożenie ze strony wyśnionej rzeki konkretyzuje się w zakończeniu wiersza jako projekcja obrazu opanowywanego miasta.

Większość utworów przenika obsesyjna myśl o śmierci. Życie to tylko „zimowa przestrzeń” w której lodowatych minutach / krążą okruchy, / wypełnione lub puste; przebijanie pościeli w zimowy wieczór, / wypetznianie z parującej wanizy, / skrzywienie śniegu pod twoimi sankami, / Gdzieś powstaje i zamiera oddech. (Ta chwila jest...). Podobnie jak w przypadku przestrzeni, śmierć w wielu tekstach obrazowana jest za pomocą figur lodu, zimy, zimna. Bohaterka zdaje się nie zapominać nigdy o swojej śmiertelności, czuje się we własnym życiu jak w obłożonej twierdzy, która w końcu musi zostać zdobyta. Widmo takiego finału dręczy, pobudza wyobraźnię i empatię. Stąd zapewne obecność wierszy, w których bohaterkami są stare kobiety znajdujące się w sytuacji granicznej (*Świat, Widmo*), czy utworu, gdzie opisany został nagły, paniczny strach przed samotną śmiercią w środku miasta (*To jest jak noc...*). Na tym tle nieprzekonujące wydają się próby szukania pocieszenia w myśli o cykliczności istnienia w wierszu *Czerwony wieczór...*, podważone przez samą autorkę w wieloznacznej puencie:

(...) wszystko już się wydarzyło, miłość, śmierć,
i gniew boży, tak, na pewno;
wszystko się powtórzy, wiecznie,
gwizd przejeżdżającego pociągu,
to – jest zamknięte, ten moment,
przed nimi, za nimi;
nie ma – – –

Egzystencjalną tragedię człowieka wrzuconego w istnienie wzmaga kreacja podmiotu lirycznego. Poetka ukrywa się za przedstawionym światem. Niezwykle rzadko mamy do czynienia z bezpośrednim wyznaniem. Zazwyczaj występuje bliżej nieokreślone „ty” liryczne, które jest odbiorcą wyznania. Niekiedy można odnieść wrażenie, że liryka zwrotu do adresata jest tylko formą rozmowy z samą sobą, wynika ze zdystansowania się wobec własnych doświadczeń, to wyraz obcości i jednocześnie wyzwolenia z ograniczającego poczucia własnego „ja”. W niektórych wierszach odnajdziemy nieśmiałą próbę zakorzenienia się w świecie i oswojenia go poprzez doświadczanie bliskości we dwoje. Tom kończy utwór *Tu postawimy nasze kroki...* – projekcja intymnego świata. Został on zlepiiony z kilku zbanalizowanych obrazów (dom z drewnianą podłogą, kury na podwórku, ogródek, morze, góry), które nie tworzą jednak sielankowej Arkadii

czy Wysp Szczęśliwych, wielokrotnie opiewanych przez poetów. Eden Bielskiej znajduje się w „środku białej pustyni” a morze i góry „mogą być sypkie”, bo jest to świat momentalny, jego twórcy nie zabawią tu długo. Ich miłość nie jest pewnym ratunkiem przed samotnością i koszmarem obcości w świecie.

Można zapytać, parafrazując znane słowa: „Jakaż jest przeciw włócznie obcości twoja tarcza, / człowiecze z początku wieku?”. Być może Bielska nawiązuje do tradycyjnej, terapeutycznej koncepcji literatury. Pisanie to jeden ze sposobów na oczyszczenie i uwolnienie się od lęków, obsesji, przykrych doświadczeń. Świat stworzony przez autorkę jest niespójny, pocięty na luźno rozrzucone kawałki, jak w poezji awangardowej początku XX wieku. Osacza koszmarami, brak z niego wyjścia. W dobie liryki konfesyjnej irytuje dyskrekcja podmiotu lirycznego, jego zdystansowana postawa i zacieranie plci. Jednak trudno tę poezję odrzucić. Jest zbyt prawdziwa.

Mira-Jolanta Bielska: *Wobaczyć, widmo*. Wydawnictwo a5, Kraków 2009.

EWA DUNAJ

ZMNIEJSZYĆ ROZDZIELCZOŚĆ EGO

Wiersze Dawida Markiewicza (urodzonego w 1962 roku) z tomu *Flashback* nieustannie odsyłają do osób, utworów, zdarzeń, których nieznanostwo uniemożliwia właściwe odczytanie tej poezji nawet na poziomie dosłownym. W pierwszej chwili gotowa byłam uznać Markiewicza za epigona „nowego hermetyzmu”, podziwiając jedynie jego sprawność w posługiwaniu się różnorodnymi subkodami kulturowymi.

Czytelnik podczas lektury tego tomu doznaje przede wszystkim uczucia totalnego zanurzenia w kulturze współczesnej, w popkulturowej magmie, gdzie równolegle funkcjonują gwiazdy kina porno i filozofowie, idole rockowi i bohaterowie literaccy, artyści i telewizyjni celebryci, postaci z animowanych kreskówek i najbliżsi znajomi autora – wszyscy w tym samym stopniu fikcyjni co rzeczywistości. Markiewicz powołuje do życia, a raczej rejestruje i dokumentuje świat, w którym obrazy realne i wirtualne są jednakowo „prawdziwe”. Trafnie dobranym komentarzem jest zamieszczone na pierwszej stronie książki motto z Houellebecq: *Były takie chwile, kiedy mieliście jakieś życie. Z pewnością nie pamiętacie tego bardzo dobrze, ale fotografie to potwierdzają.*

Intertekstualne odniesienia – a raczej całe szeregi, łańcuchy odniesień – pojawiają się w postaci tytułów, nazwisk, cytatów, motów, enumeracji, aluzji. Przywoływane są w ten sposób usoby, wiersze, fotografie, filmy, piosenki, internetowe witryny, czasopisma, zespoły muzyczne, gry komputerowe – niczym gigantyczne puzzle składające się na kulturę popularną, a zwłaszcza jej odmiany offowe, undergroundowe. Znaczącą inspiracją dla Markiewicza jest przede wszystkim poezja beatników amerykańskich, z jej nerwowością, rozedrganiem emocjonalnym, świadomością nieustannego bycia w ruchu, „w drodze”.

Wydaje się, że główną ambicją poety jest obserwacja rzeczywistości. Stąd nerwowy pośpiech, przeplatany momentami zastygania w bezruchu – jakby na granicy ostatecznego wyczerpania. W gorączkowych zapiskach, jak w stop-klatce uchwyconej okiem reporterskiej kamery, wyczuwa się pośpiech i zmęczenie, nerwową atmosferę „naszych czasów”, gorzką nutę dekadencji i rozpadu, umieryania i ciągłości. Tytułowy *Flashback* to inaczej „wspomnienie, reminiscencja”, ale słowo to oznaczać może także tytuł gry komputerowej, nazwę rockowego zespołu muzycznego lub tytuł singla wydanego przez niemieckiego DJ-a i producenta znanego jako Tomcraft (podaję za *Wikipedią*).

Markiewicz „myśli” popkulturą, obrazami (jest przecież zawodowcem). Dzięki temu kolejne ikony przesuwające się przed oczami czytelnika układają się w spójny, konsekwentny obraz świata – jest to (kontrolowany?) chaos, a nie bezładny mizmasz. Autora nie zawodzi umiejętność selekcjonowania opisywanych zjawisk. Sugestywne zestawienia i skojarzenia tworzą zamierzenie groteskowe efekty, przywodzące na myśl cyrk, pokaz mody, spektakl ulicznego teatru, może nawet późne filmy Felliniego.

Porządek świata poetyckiego Markiewicza jest wyznaczony przez czas i przestrzeń. Jego żywiołem jest noc, jej sztuczne światła (neony, lampy, światła samochodów, refleksy światła w szybach budynków i ekrany billboardów), bezsenność. Tłem wędrówki, a może nawet równocześnie bohaterem tych wierszy pozostaje miasto, cywilizacja betonu, asfaltu, szkła i plastiku. Sztuczność jest tu najzupełniej naturalna. Neony, odbicia w szybach wystaw, i ekrany reklam powodują, że opisywany świat podlega multiplikacji, zaciera się granice pomiędzy rzeczywistością a zwielokrotnionymi jej odbiciami. Miasto to gigantyczny, nieustający, oszalałający i pozbawiony granic spektakl, który rozgrywa się – gdzie? Może tylko w świadomości „ja lirycznego”.

Podmiotem wierszy Markiewicza jest „człowiek tłumy”, modernistyczny dandys, raczej obserwator niż uczestnik zdarzeń, wędrujący ulicami i zaułkami nocnego miasta, zapisujący (fotografujący?) nie tyle rzeczywistość, co jej syntagmy, obrazy utrwalone we własnej (pod-)świadomości. Głównym sposobem samoidentyfikacji jest język – to on osadza wypowiedź poetycką w konkretnej tradycji oraz dobitnie określa pokoleniową przynależność autora.

Najbardziej wyrazistymi cechami stylu poetyckiego Markiewicza są lapidarność oraz przesycenie wypowiedzi kolokwializmami i wulgaryzmami. To styl mówiony, potoczny, naturalny, daleki od tandetnego prowokowania i taniej kokieterii. Barbaryzmy (anglicyzmy, amerykanizmy), cytaty, nazwiska i nazwy własne, wyrażenia techniczne (profesjonalizmy), e-language, nazwy zespołów muzycznych i tytuły piosenek – to autentyczne składniki języka, nie całkiem przecież zawłaszczanego przez „Silnego” i spółkę.

Na szczęście słuch językowy Markiewicza nie zawodzi – efekt groteski osiąga on poprzez świadomą hiperbolizację, zagęszczanie komunikatu. W ten sposób dokonuje wzbogacenia wypowiedzi poetyckiej o elementy potocznego języka swego pokolenia i środowiska, któremu – wbrew stereotypom – nieobce są erudycja, wrażliwość, profesjonalizm. Jak się okazuje, efekt oryginalności można uzyskać nie tylko poprzez lingwistyczne eksperymenty, wystarczy mieć „czułe ucho”, o którym kiedyś w jednym ze swoich minisejów pisała Szymborska.

Przestrzeń Markiewicza to miasto, które w równym stopniu fascynuje i nie pozwala ani na chwilę zamknąć oczu, co osacza (męczy). Podmiot tych wierszy próbuje się z owej przestrzeni uwolnić. Oglądający – i oglądany – otoczony głośnikami, ekranami, obiektami, mikrofonami, boleśnie odczuwa samotność.

AMBIENT

*„Speak my language” mówi zalotnie
przez kratki w głośnikach, ten głos,
dobiega mnie zewsząd, niewyraźny
jak rytm codziennych czynności.
kwadrafonia to niewypał.*

W ostatnim wierszu podmiot liryczny mówi: „chciałbym się zapomnieć” – w znaczeniu – zapomnieć siebie samego, utracić pamięć. Czuje się przytłoczony wszechubecnym, totalnym, agresywnym krzykiem popkultury. Ale jest w tym pragnieniu przewrotna ironia, dystans wobec odwiecznego pragnienia poetów – exegi monumentum:

DELETE YOURSELF CZYLI DAWID MARKIEWICZ SŁUCHA ATARI TEENAGE RIOT

pamięć jest karą – marta dzido

*czasami chciałbym się zapomnieć, zrestartować umysł,
odciąć każdą nową myśl, samplować wspomnienia
w niesłychane dźwięki, poprawić twarz w photoshopie,
wyretuszować czarne myśli, zamknąć się w pokoju,
wymiksować z życia.*

*wsluchiwać się w ciszę, zapisywać nowe doświadczenia, dryfować
bez celu nie dopasowując się do otoczenia, narodzić się
na nowo, nie sugerując się podświadomością,
która daje niewyraźne znaki.*

*zmniejszyć rozdzielczość ego, zapomnieć o tym,
co wydaje mi się, że wiem,
klawiaturę ograniczyć do trzech klawiszy,
wcisnąć control alt delete.*

W postawie Markiewicza uwidacznia się typowy paradoks sytuacji współczesnego artysty. Obcość, wyalienowanie łączy się z uzależnieniem, manifestacyjnie deklarowanym poczuciem więzi, przynależności, zależności od kultury masowej. Żyjemy bowiem wśród obrazów bardziej realnych niż rzeczywistość:

Kiedy rzeczywisty świat przekształca się w zwykłe obrazy, zwykłe obrazy stają się realnymi bytami oraz bodźcami hipnotycznych zachowań. W dawnych epokach wyróżnionym zmysłem ludzkim był dotyk. Spektakl zaś – którego zadanie polega na ukazywaniu, za pomocą rozmaitych specjalistycznych zapośredniczeń, świata nic dającego się już uchwycić bezpośrednio – przyznaje, rzecz jasna, pierwszeństwo zmysłowi wzroku. Jest to zmysł najbardziej abstrakcyjny i najbardziej zwadniczy, doskonale zatem odpowiada powszechnej abstrakcji obecnego społeczeństwa. Spektakl nie jest jednak wyłącznie domem obrazów, nawet jeśli skojarzy się je z dźwiękiem. Jest tym, co wymyka się działalności ludzkiej i uniemożliwia człowiekowi ponowne rozważenie i udoskonalenie swoich dzieł. Stanowi przeciwieństwo dialogu. Spektakl odradza się za każdym razem, gdy wylania się niezależna reprezentacja¹.

Poezja Markiewicza poprzez swoje „zanurzenie” w kulturze popularnej przywodzi na myśl „covery” czołowych poetów pokolenia dobiegającego dziś pięćdziesiątki – Andrzeja Sosnowskiego czy Marcina Świetlickiego. Sądzę, że *Flashback* można uznać za kolejny krok w kierunku tworzenia nowego porządku kulturowego, w którym tradycja zostaje zastąpiona przekazami medialnymi. Porządek ten jest oczywiście ahistoryczny i autonomiczny, zamknięty dla osób spoza „kręgu”. Jest to zarazem porządek otwarty i zmienny – jako że pozostaje podatny na zmiany, ulega mudzie i podlega bezustannej aktualizacji. Czytelnikom, których nużą ponowoczesne zabawy, Markiewicz rzuca „drabinkę sznurową”: na końcu tomu umieszcza słowniczek. Uwaga! Są tam jednak mylne tropy. Spektakl przecież nie kańczy się nigdy.

David Markiewicz: *Flashback*. Wydawnictwo MAMIKO, Nowa Ruda 2009, ss. 48.

¹ G. Deboed, *Spektakl i jego historia oraz Rozważania o społecznym spektaklu*, Warszawa 2005, s. 38.

plastyka

ARKADIUSZ WOŹNIAK

Marian Konieczny – twórcza rzetelność i konsekwencja

Czy określenie „artysta odporny na modę” jest pozytywne, czy negatywne? Warto się zastanowić nad tak postawionym pytaniem, bo w przypadku Mariana Koniecznego konkluzja może być interesująca.

Takim określeniem posłużył się Władysław Loranc¹, pierwszy biografista dobiegającego obecnie osiemdziesiątki rzeźbiarza. I chociaż miało to miejsce w połowie lat 60. ubiegłego wieku, to cała droga artystyczna Koniecznego przebiega w konfrontacji z powszechnie panującymi trendami. Akurat w rzeźbie pomnikowej zwykle mniej było miejsca na eksperymenty formalne. Dopiero rezultaty konkursów na pomnik Bohaterów Warszawy i pomnik w Oświęcimiu-Brzezince jako kamienie milowe polskiej rzeźby memorialnej znacząco przyczyniły się do zmiany myślenia o tego rodzaju sztuce: *Przełom, jaki dokonał się wówczas w dziedzinie rzeźby pomnikowej, polegał m.in. na tym, że wtedy to właśnie twórcy po raz pierwszy zaczęli sobie zadawać podstawowe pytanie: co to naprawdę jest pomnik? Czy ma to być rzeźba, czy architektura, czy może jeszcze coś innego? (...) Zaczęto również zdawać sobie sprawę, że współczesny pomnik związany z martyrologią nie musi opowiadać o wydarzeniu, ani też nie powinien być tworem sztuki abstrakcyjnej. Pomnik powinien stać się znakiem przywołującym na pamięć dane wydarzenie. A znakiem takim może być zarówno kamień przydrożny, krzyż, jak i droga czy cały teren obozu: sam teren, przestrzeń i sposób jej pokazania, wyeksponowania². Sposób, w jaki na zadaną kwestię odpowiedział Marian Konieczny otwiera szerszą perspektywę dla pozostałych dzieł. I chociaż największą skalą – może przez to również najciekawszą – spośród około 30 zrealizowanych przez artystę pomników znajduje się w północnej Afryce (pomnik Chwały i Męczeństwa w Algierze, 1982, prawie 95 m wysokości), to moim zdaniem warto przyjrzeć się bliżej monumentom wrosłym w polski krajobraz, a czasami poprzez dziejowe burze z tego krajobrazu wymięcionym... To właśnie pomnikom zawdzięcza Konieczny swoją popularność. Jego kameralne cykle rzeźbiarskie (*Dedał i Ikar*, 1965-1989, *Macierzyństwo*, 1966-1968, *Ukrzyżowanie – Taniec Życia*, 1977) czy licznie realizowane popiersia i portrety mają z reguły dużo mniejszą publiczność. Może będzie jeszcze okazja, żeby przyjrzeć się im bliżej, jeśli ktoś pokusi się o „podsumowującą” wystawę monograficzną lub rzetelny i pełny katalog prac. Na razie jednak sensowniej będzie zastanowić się, dlaczego np. niektóre monumenty*



Pomnik Bohaterów Warszawy, Warszawa, 1964,
fot. Michał Warda ALE B&D Consulting

Koniecznego wywołują skojarzenia religijne (choć są jak najbardziej świeckie) czy też dużo bardziej przyjemne: zoologiczne lub anatomiczne.

Wspomniany już pomnik Bohaterów Warszawy to oprócz nowohuckiego *Lełmna idącego* bezsprzecznie najbardziej znane dzieło Mariana Koniecznego. Zgodnie z intencją autora pomnik Nike stał się rzeczywiście ikoną stolicy. Przez długie lata wyeksponowany w jakże reprezentacyjnym miejscu nieco stracił wraz z przeniesieniem w bliższe okolice warszawskiej Starówki, co nastąpiło w roku 1997 i wiązało się z planami odbudowy ratusza. W nowym miejscu raczej nie udało się zrealizować pomnika w pierwotnie planowanej wersji – razem z rozbudowanymi horyzontalnie masywnymi, płaskorzeźbionymi barykadami, uzupełniającymi narracyjnie uproszczoną symbolikę postaci Nike. Te architektoniczne elementy z pogranicza urbanistyki powrócą już w trzy lata po odsłonięciu przez premiera Cyrankiewicza

¹ W Loranc: *Marian Konieczny: pogrzeb rzeźbiarza*, Kraków 1967.

² L. Gersztuk-Olszewska: *Polaka rzeźbił pot-wilkołak w latach 1945-1995*, Warszawa 1995, s. 63.

pomnika Bohaterów Warszawy – na nich głównie opiera się mniej znany pomnik autorstwa Koniecznego, umiejscowiony w Gorlicach pomnik Tysiąclecia Państwa Polskiego z 1967 roku. Nike warszawska, obecnie wyniesiona na kilkunastometrowym cokole ponad ruchliwą Trasę W-Z, przestała już budzić kontrowersje. Przyznanie głównej nagrody i realizacji projektu właśnie Koniecznemu w świetle jego późniejszej kariery stało się również mniej dyskutowane, więc nawet plotka o tym, że przewodniczący konkursowego jury Jan Szczepkowski uznał anonimowy na tym etapie projekt za dzieło mającego już wówczas tytuł profesorski Jerzego Bandury, nie podgrzewa emocji. Inna kontrowersyjna sprawa, związana z pomnikiem Bohaterów Warszawy to sama nazwa. Władza ludowa nie zaakceptowałaby przecież w tytule jednoznacznie kojarzącego się powstania warszawskiego, więc Nike nie do końca satysfakcjonowała środowiska AK-owskie, które „swoją” pomnik Bohaterów Powstania Warszawskiego autorstwa Wincentego Kućmy i Jacka Budyna zyskały dopiero w 45. rocznicę wybuchu powstania.

Tak czy inaczej, dla Koniecznego był to początek wielkiej kariery. Ale czy mogło być inaczej, jeśli sprzegło się tyle sprzyjających okoliczności? Artysta tworzył od wczesnego dzieciństwa w Jasionowie koło Brzozowa na Podkarpaciu, jego talent w porę dostrzegła rodzina i skierowano go do tętniącego artystycznym życiem Krakowa, gdzie właśnie utworzono liceum plastyczne, wreszcie jako osiemnastolatek dostał się na Akademię Sztuk Pięknych, do pracowni rzeźby Xawerego Dunikowskiego. To było owocne sześć lat studiów, w tym dwa semestry u prof. Stanisława Horno-Poplawskiego. Jako wyróżniający się student został kandydatem do studiów aspiranckich, powiązanych ze stypendium ministerialnym w Instytucie Malarstwa, Rzeźby i Architektury im. Riepina w Leningradzie. Czteroletnie studia (1954-1958) o charakterze doktoranckim pod świątym kierownictwem dziekana wydziału rzeźby Michaiła Arkadijewicza Kierzina były ostrą szkołą praktyczno-ideologiczną w środowisku specyficznego klasycyzującego akademizmu, który – stosując pewien skrót myślowy – zwykliśmy nazywać socrealizmem. Swoistą ideową „daninę” systemowi Konieczny złożył poprzez przygotowanie referatu na temat pomnikowej twórczości Wiery Muchiny. Wartości czysto rzeźbiarskie słał za to drugi z objętych programem leningradzkich studiów referatów – w pewnym sensie odważna analiza walorów artystycznych ołtarza mariackiego Wita Stwosza.

Porównywalnym rozdzieleniem charakteryzują się bardziej namacalne, bo plastyczne efekty studiów: ewidentnie „muchinowski” *Zbuntowany* i rzeźbiarsko ponadprzeciętny, przesycony rodinowską wrażliwością *Stary atleta*. W tej pierwszej pracy jednakowoż artysta wydaje się poddawać pewnej panującej modzie, nakazującej kultywowanie pamięci zrywów rewolucyjnych. A czy kwestią mody było wstąpienie już w 1953 roku do PZPR? Pozostawmy to na razie bez komentarza. Młody artysta był niewątpliwie chłonny na polityczno-ideową stronę doktryny socrealistycznej, dostrzegając zalety programowego upowszechnienia dostępu do nauki i sztuki, jako kandydat do Sejmu podkreślał: *Kultura narodowa – mówił Marian Konieczny – realizuje się przez konkretne działania w określonym czasie, w określonym kształcie materialnym. Mecenas państwa socjalistycznego oznacza zarówno dostęp do wszelkiego rodzaju dóbr, ale równocześnie wyznacza zakres szczególnych obowiązków twórcy*¹. A nieco wcześniej w podobnym stylu: *Gdy tworzę pomnik, to traktuję własny wysiłek jako poszukiwanie odpowiedzi na konkretny, w pewnym sensie zadany temat. Fakt, że jest to zamówienie społeczne, pociąga mnie jeszcze bardziej. Nabieram wówczas pewności, że rzeźbiarz jest jednostką w społeczeństwie potrzebną, a może nawet niezbędną (...). Pomnik jest po prostu głosem w dyskusji nad epoką, w której się żyje, lub nad*

wydarzeniem dla niej znaczącym i na swój sposób charakterystycznym². Parę lat później inny przyszły poseł z zupełnie odmiennej frakcji podsumował kwestię następująco: *Lęk artysty przed utratą swego, albo swej sztuki, znaczenia społecznego jest bardzo ważnym czynnikiem uzasadniającym działalność twórców pierwszych dziesięcioleci XX wieku i ważnym dla rekonstruowania „motywacyjnego” modelu postępowania przyszłych socrealistów. Sztuka musi być społecznie ważna, (...) wiodącym kryterium w ocenie sztuki było właśnie kryterium socjologiczne, a nie na przykład realizacja samego siebie, służenie wartościom metafizycznym itd.*³

Tyle teorii. Przyjrzyjmy się kilku namacalnym przykładom realizacji społecznych zamówień pomnikowych. Na początek wymieniany już gorlicki pomnik Tysiąclecia. Ten architektoniczny w gruncie rzeczy monument jest efektem zagospodarowania specyficznego przestrzeni pagórka umiejscowionego na cyplu pomiędzy dwiema ulicami, z których jedna stromo wznosi się ku rynkowi. Główny element pomnika to solidne mury oporowe, przedzielone schodami umożliwiającymi przejście przez środek założenia, co powoduje swoistą interakcję nawet przypadkowego przechodnia z monumentem. Ściany są wzbogacone głębokimi reliefami z inskrypcjami oraz wyobrażeniami kluczowych postaci ideowej warstwy pomnika. Surowość ich form wiele zawdzięcza kubizującym postaciom Dunikowskiego. Całości dopełnia strzelista metalowa iglica z płomienistym, ażurowym zwieńczeniem, wzbogaconym ceglastego koloru polichromią. Narracyjność monumentu Konieczny wyjaśnił w sposób prosty: *Ta praca stanowi jakieś pendant dla panteonu, mówi szerzej o tradycji, charakterze regionu poprzez postaci bohaterów tej ziemi – Marcina Kromera, Ignacego Łukasiewicza i sylwetkę górniko-naftowca. Tylko iglica znajdująca się w centrum kompozycji ma wymowę symboliczną – jest w niej coś z ulatującego ptaka – to metaforyczne ujęcie uskrzydłonego Prometeusza podkarpackiego, wybiegającego w przyszłość. Na tę kompozycję wpłynął także między innymi charakter terenu przeznaczony pod pomnik. Ale sądzę, że udało mi się uzyskać komunikatywność i wyrazistość kompozycji*⁴. Trudno zaprzeczyć, chociaż większą sugestywnością emanuje trzy lata wcześniejszy i dużo prostszy w formie pomnik Marii Curie-Skłodowskiej na lubelskim placu jej imienia, opodal gmachu Rektoratu UMCS. Pomnik ten jest efektem zamkniętego konkursu, do którego zaproszono 10 rzeźbiarzy, ogłoszonego przez Senat uczelni. Zwycięski projekt Mariana Koniecznego to bardzo udany przykład powszechnie akceptowanego sposobu upamiętnienia wybitnej osobistości – ponadnaturalna postać na cokole, opatrzona czytelnym atrybutem, w tym przypadku książką. Lekko uproszczona, przedstawiona w długiej szacie z podwiniętymi obfitymi rękawami figura polskiej noblistki ewidentnie przywodzi na myśl uznane arcydzieło polskiej rzeźby pomnikowej, czyli krakowski pomnik Józefa Dietla autorstwa Dunikowskiego – ta sama tektonika bryły, podobne upozowanie i skala rzeźby emanującej siłą i dostojnością.

Ciekawostką jest fakt, że u osoby jak najbardziej kompetentnej pomnik lubelski wzbudził dużo mniej entuzjazmu. Autorem poniższych słów jest wybitny architekt i teoretyk sztuki Oskar Hansen: *Pomnik Marii Skłodowskiej-Curie na terenach uniwersytetu jej imienia w Lublinie z punktu widzenia jedności treści i formy w rzeźbie oceniam jako przykład negatywny. (...) Tłem pomnika są budynki pierwszego powstałego w Polsce Ludowej uniwersytetu. Wydaje się, że uczelnia ta, poza wypełnieniem luki braku fachowców w tym rejonie Polski, powinna spełniać zadania polityczno-wychowawcze, a mianowicie wychowywać w duchu moralności materialistycznej, w opozycji do istniejącego tam, o starych tradycjach, uniwersytetu katolickiego. Na środku placu, na dużym cokole, ustawiono wzniosłą, o idealizującym wyrazie, postać kobiety*

¹ E. Włostkiewicz: *Jego życie i jego sztuka*, „Ruch” 1977 nr 30, s. 30.

² M. Włodarczyk: *Socrealizm. Szkoła sztuki w latach 1950-1954*, Paris 1986, s. 11.

³ J. Grypiel: *Rotmistrz z brzozy*, *Albion*, Warszawa, Książnica, „Gazeta Krakowska” 1967 nr 257, s. 5.

⁴ B. J. Konieczny: *„Gazeta Podlaska” 1960 nr 57, s. 3.*

ze spuszczoną głową. Kompozycja jednoznaczna, apodyktyczna, kojarząca się z postacią Matki Boskiej przydrożnej, od której wierni, składając ofiarę, otrzymują błogosławieństwo. Poza tym ten świadomie, wyrazowo bezdyskusyjny sposób stawiania figur ludzi – najczęściej dostojników państwowych – stosuje się zazwyczaj w ustrojach totalitarnych. Maria Skłodowska-Curie nie była ani dyktatorem, ani świętą, była naukowcem, holdowała wiedzy, a nie dogmatowi lub przemocy. Stąd, moim zdaniem, omawiana forma rzeźbiarska (w dyspozycji zagospodarowania przestrzeni, jak i uformowania bryły rzeźbiarskiej) nie przedstawia sobą jedności treści i formy – jest [elementem] fałszywo „brzmącym” z punktu widzenia czasu i miejsca wydarzenia. Bardzo pouczający przykład wielkiej swobody i różnorodności interpretacyjnej.

Pomnikowa Maria Curie-Skłodowska ma przynajmniej duże szanse uniknąć losu ewidentnie zaangażowanego ideologicznie innego dzieła Mariana Koniecznego z „epoki gomulikowskiej”, czyli częstochowskiego pomnika Wdzięczności, przedstawiającego żołdaka w rozwianym płaszczu z gałązką oliwną w jednej i pepeszą w drugiej ręce. To chyba najbardziej kuriozalny i monumentalny przykład tych pomników autorstwa Koniecznego, które zmiotły wichry historii. Może mniej znany od Lenina z Nowej Huty i dużo gorszy rzeźbiarsko od również zalegającego w magazynie Aleksandra Zawadzkiego z Dąbrowy Górniczej (1979), ale interesujący jako podawany przez Grzesiuk-Olszewską przykład bardzo późnego występowania socrealizmu w Polsce (rok 1968).

Można jednak zaryzykować twierdzenie, że realizm socjalistyczny w twórczości Mariana Koniecznego w czystej formie przejawiał się jeszcze przynajmniej raz (nie licząc pracy dyplomowej z ASP, czyli figury kobiety-żołnierza do projektowanego luku triumfalnego dla Lublina) – w pomniku przodownika pracy Wincentego Pstrawskiego w Zabrze, odsłoniętym w 1978 roku. Zarówno zaangażowana społecznie tematyka, jak i mocno anachroniczna forma pomnika (wartego jednak uwagi, choćby jako solidne, częściowe studium atletycznie zbudowanego mężczyzny) nieodmiennie kazały się zastanawiać, jakim cudem uchwycił się on przed niszczycielskimi zakusami nowej władzy. Czyżby górnicza solidarność zawodowa okazała się silniejsza? Apoteoza górniczego trudu stała się ostatnio ponownie obiektem społecznych kontrowersji, gdyż władze miasta dużym nakładem środków zadbały o rewitalizację otoczenia pomnika, po raz kolejny dając asumpt do usunięcia przodownika pracy. Wszystko jednak wskazuje na to, że zaangażowany działacz komunistyczny, wyrabiający prawie 300% normy, ostatecznie się na cokole. Postać to wszakże tyle znacząca, co w sumie tragiczna. Podczas dziesięcioletniej tułaczki za chlebem miał okazję poznać środowisko robotnicze Belgii, w tym emigracyjnego aktywistę Edwarda Gierka. Jego pomysł na szybką odbudowę powojennej Polski poprzez narzucanie sobie idei współzawodnictwa i morderczych planów wydobycia węgla w kopalni „Ladwiga” mógł mieć znaczący wpływ na to, że w niecały rok po wystosowaniu historycznego listu otwartego do górników Pstrawski pożegnał się z tym światem. Oficjalną przyczyną śmierci miała być białaczka, ale wspomina się również o zakażeniu wynikającym ze zbyt szybkiego powrotu do pracy po usunięciu trzech zębów. Takie dramatyczne historie przemawiają do wyobraźni, również osób decydujących o wyglądzie miasta, więc pomnikowi pierwszego polskiego przodownika pracy na razie nic nie grozi.

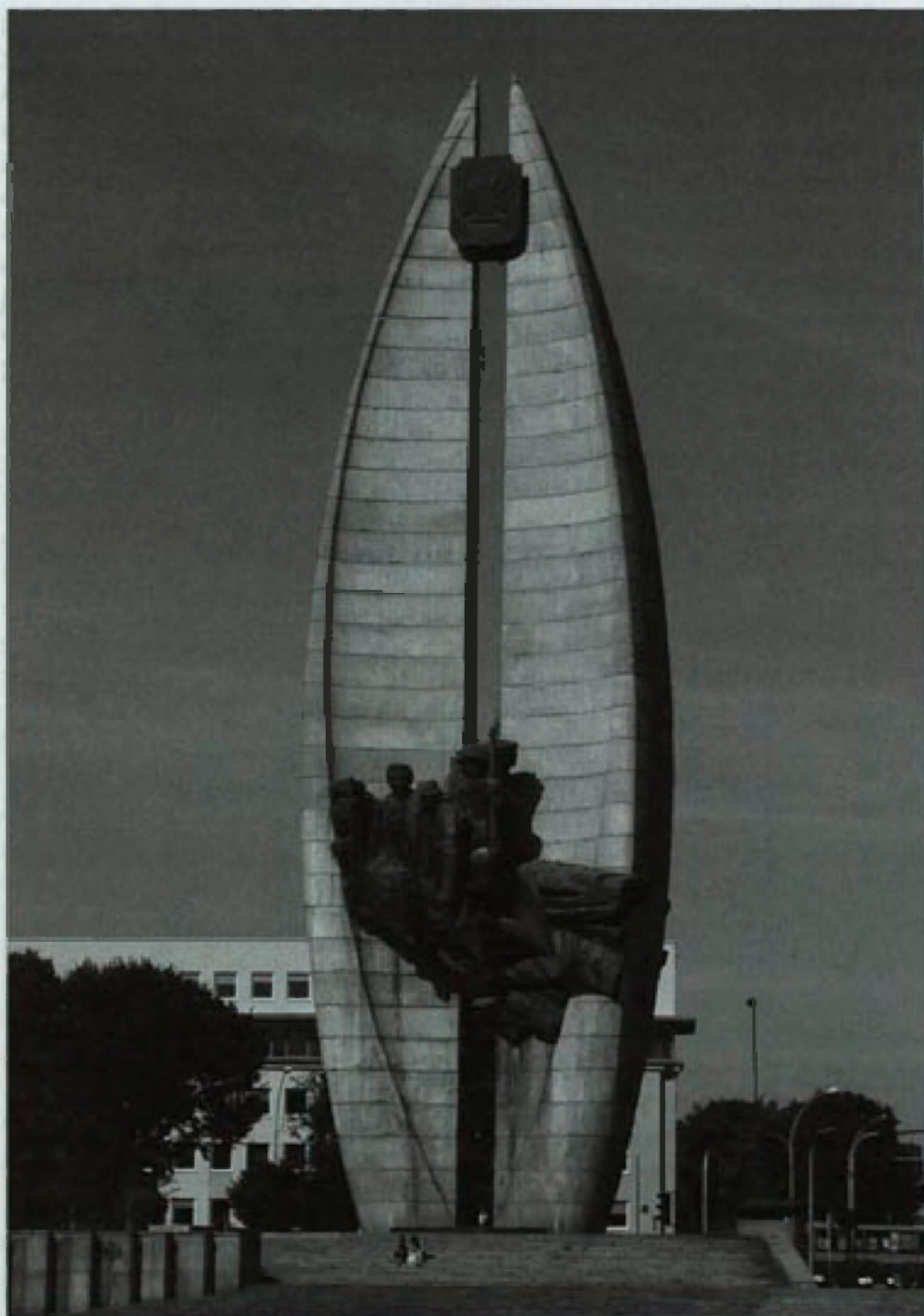
Dużo większy problem miały jeszcze niedawno władze Rzeszowa, który za sprawą ówczesnego I sekretarza KW PZPR w Rzeszowie Władysława Kruczyńskiego został w 1974 roku uszczęśliwiony monumentalnym pomnikiem Czynu Rewolucyjnego. Pomnik miał słać walki rewolucyjne na Rzeszowszczyźnie, których de facto w regionie raczej nie było... Ikonograficzną stronę



Pomnik Wincentego Pstrawskiego, Zabrze, 1978, fot. Jan Mehlich

kompozycji Konieczny zreferował następująco: *Koncepcja dzieła opiera się na połączeniu dwóch o ogromnym ładunku ideowym elementów – stylizowanych liści laurowych – symbolu chwały, zwycięstwa – oraz formy rzeźbiarskiej, której zamysł ma źródło w interpretacji sztandaru rewolucyjnego. Rozwiane fałdy sztandaru gwałtownym kontrastem zderzają się z tą spokojną, surową kompozycją, jaką tworzą liście laurowe. W fałdy sztandaru, same jakby rozwiane, wkomponowane są figury. Z jednej strony (od placu) postaci żołnierza, robotnika i chłopca – symbole walczących o wyzwolenie, z drugiej zaś (od ronda)*

⁷ O. Hansen: *Forma rzeźbiarska, zagadnienia wybrane*, CBWA Warszawa [1965], ss. 17-18; cyt. ss. 1. Czaraszczuk-Olszewska, dz. cyt., ss. 265-266.



Pomnik Czynu Rewolucyjnego, Rzeszów, 1974. fot. Arkadiusz Woźniak

– postać Nike Zwycięskiej⁸. Problem dla władarzy miasta jest większy, gdyż całość w zależności od punktu odniesienia mierzy od 38 do 42 metrów wysokości. Skala pomnika wraz z architektonicznym otoczeniem jest niewątpliwie jedną z urbanistycznych dominant miasta. Usytuowanie pomiędzy Urzędem Marszałkowskim, głównym rondem miasta oraz kościołem Bernardynów i Urzędem Wojewódzkim z drugiej strony, na skrzyżowaniu przelotowych arterii miejskich sprawia, że każdy odwiedzający Rzeszów ma szansę zapamiętać niezwykle formę pomnika. Społeczeństwo miasta, z tradycyjnej w przypadku narzuconych idei przekory, z reguły posiada mgliste pojęcie odnośnie do zamysłu przyświecającego fundatorowi i twórcy pomnika. Jego kształty kojarzą się zwykle anatomicznie (tu ciekawostka: zarówno fallicznie, jak i waginalnie) lub przyrodniczo – ośle uszy, skrzydła, pazury. Sama Nike

⁸ M. Konieczny, *100 lat „Niewiasty Rzeszowskiej”* 1973, nr 318, s. 1. Przy realizacji projektu współpracowali też Wiesława Kucmas, Bogusław Gąbryl, Ryszard Sękowicz i Adam Szwarc.

z częściej oglądanej strony monumentu nie wzbudza większych kontrowersji. Za to umieszczone po drugiej stronie postaci robotnika, chłopca i żołnierza szybko stały się bohaterami złośliwej plotki, według której chłop jest przytrzymywany przez towarzyszy, żeby nie poszedł do kościoła Bernardynów, w którego stronę zwrócona jest cała trójka. Wnętrze tej zawieszanej kilka metrów nad ziemią i pustej w środku bryły rzeźbiarskiej jest zamieszkiwane przez liczne gołębie, a może też i inne okazy awifauny – sprawa do zbadania przez przyrodników. Żelbetonowa konstrukcja liści laurowych jest natomiast tak solidnie wykonana, że rozważane jeszcze kilkanaście lat temu wyburzenie pomnika ma nikle szanse dojść do skutku z uwagi na ogromne koszty przedsięwzięcia oraz komplikacje techniczno-logistyczne. Do niedawna pod pomnikiem funkcjonował popularny skatepark, w planach było też „oswojenie” bryły poprzez zorganizowanie na niej ścianki wspinaczkowej. Władze miasta zdecydowały się jednak na pozostawienie całości w obecnej formie, a po uzgodnieniu z Marianem Koniecznym niejako sygnowały monument, dodając w jego zwieńczeniu tarcze z herbem Rzeszowa. Na jakiś czas zapanuje spokój, o ile znowu komuś nie przypomni się niepochlebna biografia tow. Kruczka, głównego pomysłodawcy pomnika, który w pewnych środowiskach został zapamiętany jako antysemita i nieprzejednany wróg Kościoła.

Warto tu bliżej przyjrzeć się wymienianemu już *Leninowi idącemu*, odsłoniętemu w 1973 roku w alei Róż w Krakowie-Nowej Hucie. Jest to przecież swoista wizytówka Koniecznego, przynajmniej w świadomości niektórych, z reguły niechętnych mu osób. Lenin jednak wywędrował na początku lat 90. do Szwecji, gdzie kupiony za dwukrotną cenę złomu (ówczesne 100 tysięcy koron) stanowi atrakcję prywatnego parku rozrywki „High Chaparral” koło Hillerstorp na południu kraju. Dużo bliżej można się zapoznać z innym pomnikiem znanej, historycznej osobistości, z pomnikiem Grzegorza z Sanoka przed budynkiem Miejskiej Biblioteki Publicznej w Sanoku, której ten renesansowy humanista patronuje. Upozowanie postaci w ciężkich, dostojnych szatach, z rozwartą księgą jako atrybutem i prawą dłońią uniesioną w oratorskim geście jest pozbawione śmielszych artystycznych prowokacji czy wieloznaczności. Zatrzymany w stopklatce ruch i pełna surowości broda twarz duchownego to elementy w pewien sposób charakterystyczne dla plastycznej strony pomników znaczących osobistości, wykonywanych przez Mariana Koniecznego. Grzegorz z Sanoka dzięki matejkowskiej portretowości i wystudiowanej prostocie posiada jednak bezdyskusyjną siłę wyrazu.

Kolejny pomnik autorstwa Koniecznego wydaje się być pewnym przeciwieństwem pomnika sanockiego. Chodzi o krakowski pomnik Stanisława Wyspiańskiego sprzed gmachu Muzeum Narodowego. Jak to często bywało, od momentu podjęcia w końcu 1977 roku uchwały w sprawie budowy pomnika przez krakowski komitet Frontu Jedności Narodu z nowo wybranym przewodniczącym – Marianem Koniecznym, do odsłonięcia monumentu w listopadzie 1982 minęło pięć długich i obfitych w zawirowania lat. Do realizacji wybrano projekt, który nie był faworytem jury. Na etapie wykonywania odlewów artysta nie był w stanie dopilnować szczegółów (z uwagi na liczne wyjazdy zagraniczne – Algieria, Kanada i zaangażowanie w działalność poselską), więc nie do końca jest zadowolony z końcowego efektu. Zamierzenie ideowe kompozycji było ambitne: *Wydawało mi się, że jest ona bardzo trafiona w epokę Młodej Polski, zarówno jeśli chodzi o okres historyczny, jak i prądy artystyczne. Poza tym było to zgodne z charakterem twórczości Wyspiańskiego. Chciałem wyrazić nie tylko jego charakter czy osobowość, ale stworzyć dzieło, które byłoby mu mile. Aby pozostało w zgodzie z tym, czym jest Wyspiański dla nas dzisiaj. Aby był to pomnik wieszczki narodowej i artysty, który chodził po ulicach Krakowa razem ze swoimi fantazjami. Jednocześnie chciałem stworzyć pomnik mogący na trwałe wpisać się w otoczenie i wyrazić*



Pomnik Stanisława Wyspiańskiego, Kraków, 1982. fot. Arkadiusz Woźniak

hold dla wielkiego pisarza, malarza, artysty⁹. Anachroniczna nieco konwencja pomnika, ewidentnie czerpiąca z tradycji dziewiętnastowiecznych – postać poety wyniesiona na kolumnie ponad postument złożony z bohaterów jego dramatów – miała korespondować z miejscem przeznaczenia. Oddajmy znowu głos artyście: Według mnie Wyspiański powinien być ustawiony na dotychczas nie uporządkowanym Placu Szczepańskim. Chciałem z tego placu uczynić „miejskie wnętrze”, wielki, podobny do Rynku Głównego, salon Krakowa. Pomnik Wyspiańskiego byłby tam akcentem organizującym całą przestrzeń. W jego okolicy jest przecież Pałac Sztuki, Teatr Stary, Biuro Wystaw Artystycznych, są wreszcie planty. Niestety, nie udało się. Może dlatego, że wszelkie decyzje zapadły w 1981 roku, a więc w okresie gorących, wszystko negujących dyskusji i ostrych protestów?¹⁰

Ostre dyskusje towarzyszyły artyście przez resztę aktywności twórczej. Opinie na temat jego osoby i twórczości stawały się coraz odważniejsze. Pomnik Wyspiańskiego Henryka Wach-Malicka podsumowała bezkompromisowo: Ten pomnik jest zbyt staroświecki, zbyt w stylu XIX wieku, zbyt romantyczny. To jest taka pomoc dla pani polonistki, która pokazując

dzieciom figury u stóp mistrza, opowie im o dziejach jego życia i twórczości. A przecież w pomniku tego Człowieka można było zawrzeć jego myśl, jego idee niekoniecznie przyoblekając ją w kształty figuralne¹¹. Pozytywnie za miejscem ustawienia pomnika przemawiają jedynie perspektywa Bloń, z widniejącym na horyzoncie kopcem Kościuszki – częstym motywem plastycznych dokonań Wyspiańskiego, oraz sąsiedztwo muzeum, które eksponuje i magazynuje liczne prace młodopolskiego twórcy. Niestety, zastawiony samochodami plac parkingowy, na którego jednym końcu znajduje się szlaban i budka dozorczy, a na drugim stoi figura artysty, mimo wszystko nie wydaje się miejscem najszcześniejszym.

Znacznie więcej szczęścia miał pomnik Wincentego Witosa z warszawskiego placu Trzech Krzyży, odsłonięty w 1985 roku. Monument to – jak na Koniecznego – nieduży, mierzący około 6 metrów, niespecjalnie odkrywczy od strony formalnej, ale głęboko przemyślany i przez to może unikający ostrzejszych kontrowersji. Artysta oparł się na dość bogatych materiałach archiwalnych i własnym doświadczeniu: *Moim zadaniem było stworzenie wizerunku syntetycznego. W poszukiwaniu tej syntezy obejrzałem dziesiątki fotografii. Najcenniejsze z nich to te nieupozowane, ukazujące mimikę, sposób gestykulacji¹²*. Ostatecznie Witos z pomnika jawi się jako chłopski mąż stanu, bardziej polityk niż gospodarz, choć w wysokich butach i ze świadczącymi o pozycji społecznej kapeluszem i dewizką. Kolejny raz pojawia się tu książka jako atrybut, tym razem w charakterze życiowej pasji Witosa, który dużo czytał i немало napisał. Ruchliwe otoczenie pomnika i przemyślana skala całości kompozycji dobrze wpisują się w krajobraz efektownego i bardzo popularnego miejsca stolicy. I chociaż Witos Koniecznego nie wnosi wiele do polskiej rzeźby pomnikowej, to jest przykładem bardzo poprawnego odzwierciedlenia poruszanej tematyki.

Na początku lat 90. możemy zaobserwować coś w rodzaju powrotu Mariana Koniecznego do szerszego kontekstu polskiej plastyki. Mijał już czas, kiedy artysta powoli przestawał być „modny”. Pojawił się nowi zleceniodawcy, z kręgów wysokich władz kościelnych. Przykładem może być arcybiskup metropolita poznański Jerzy Stroba, z inicjatywy którego Konieczny zrealizował monumentalny relief do Bazyliki Archikatedralnej w Poznaniu – tzw. *Epitafium Królewskie*. Jest to praca najbardziej archaizująca w formie, a w dodatku w całości wykonana w głębiej lub płycej ciętej płaskorzeźbie, co u Koniecznego zwykle stanowiło zaledwie uzupełnienie zasadniczej części kompozycji. Z taką sytuacją mamy do czynienia np. w dużo lepiej znanym i dość szeroko komentowanym pomniku Jana Pawła II w Licheniu z 1999 roku. Pomnik licheński jest świetnym przykładem łatwości, z jaką Marian Konieczny porusza się w tradycji rzeźbiarskiej, stosując tak jednoznaczne schematy kompozycyjne, jak ten, w którym główny inicjator wzniesienia monumentalnej, największej w Polsce bazyliki oraz samego pomnika ksiądz Eugeniusz Małulski klęczy u stóp polskiego papieża z miniaturowym modelem przyszłej świątyni (konsekrowanej dopiero w 2001 roku), z pełną pokorą wskazując adresata doczesnej chwały. Jednocześnie ówczesny kustosz sanktuarium maryjnego wystawia sobie pomnik dla potomności, przedstawiając siebie jako gorliwego duszpasterza i Sługę Bożego. Ten wyjątkowo popularny w chrześcijańskim średniowieczu wątek ikonograficzny odznacza się dużą nośnością ideową i znaczącym oddziaływaniem publicystycznym.

Gest ten zostaje zresztą powtórzony w obiegającym skomplikowany postument fryzie z czymś w rodzaju orszaku procesyjnego (również mocno oparty na tradycji wątek przedstawieniowy), gdzie fundator pomnika i główny wykonawca bazyliki Grzegorz Tuderek, prezes firmy Budimex

⁹ „Dziennik Zachodni” 1982 nr 320, cyt. za: I. Górnica, *Kult. Olsztyńska*, dz. cyt., s. 216.

¹⁰ I. Pija: *Witosa i mój świat*, w: *Witosa i mój świat*, I. Raczyńska z prof. Marianną Kuczyńską, *Witosa i mój świat*, *Zielony Setenda* 1985 nr 49, s. 4.

⁹ Wyniad dla „Głowa Robotniczego” 1982 nr 243, s. 4.

¹⁰ M. Jurek: *Nie upadajmy się na ten z. Rozmowa z prof. Marianną Kuczyńską*, „Agencja” 1989 nr 10, s. 9.



Pomnik Jana Pawła II. Licheń, 1999, fot. Kazimierz S. Ozóg

S.A., trzyma miniaturę pomnika papieża. Sama postać papieża w obfitych, ciężkich szalach jest opracowana gładko, sumarycznie. Jedynie twarz wyraża żywsze uczucia, uśmiechając się doobrotliwie. Jest to pomnik specyficzny, wyróżniający się w tłumie powstałych po 1980 roku wyobrażeń Wielkiego Polaka, przez swoją bogatą formę i złożoną narracyjność dobrze wpisujący się w tłumnie odwiedzane przez pielgrzymów otoczenie. Nawet skala pomnika jest dostosowana do ogromu stanowiącego tło kościoła. Wydaje się jednak, że jako autor pomników papieskich Marian Konieczny dużo bardziej sprawdził się w Leżajsku i w Bytowie (nieco mniej w skromnym popiersiu papieża w Sękowej). Te pomniki, w sumie dość podobne do siebie, są bardziej „ludzkie”, nie przytłaczają widza i nie potrzebują nie wiadomo jakiego dystansu przy oglądaniu w plenerze. Epatują za to swoistą bliskością i bezpośredniością, z której znany był papież. A czy w tym przypadku mamy do czynienia z podążaniem za modą, która wielu uznanym twórcom nakazuje w ostatnim czasie wykonywać pomniki Jana Pawła II? Trudno stwierdzić jednoznacznie. Na pewno Konieczny jest rzeźbiarzem wszechstronnym, świetnie odnajdującym się w różnych okolicznościach. Swój otwarty spo-

sób myślenia opisuje następująco: *Każdy może u mnie zamówić rzeźbę lub pomnik, również Kościół. (...) Kościół był i jest instytucją, która ceni dobrych rzemieślników i dlatego pozostawia po sobie trwale ślady w historii sztuki. Nikt z hierarchów kościelnych nie powiedział mi, że nie mogę rzeźbić świętego, bo mam lewicowe poglądy i wcześniej rzeźbiłem Lenina. Tymczasem w tzw. środowisku kulturalnym ważniejsza od sztuki jest polityka. Myślę, że kiedyś w Polsce to zaciętrzewienie polityczne przestanie dotyczyć artystów¹³.*

Te pełne gorzkości słowa artysta wypowiedział mając zapewne w pamięci przykrości, jakie spotkały go przy próbie znalezienia miejsca dla zaprojektowanego z własnej inicjatywy pomnika Jana Matejki, który zamiast w Krakowie, dla którego był przeznaczony, stanął ostatecznie w Warszawie przy ulicy Puławskiej. Marian Konieczny doprowadził do nadania krakowskiej Akademii imienia tego wielkiego polskiego malarza historycznego, żywi też duży szacunek dla ikonograficznej rzetelności, z jaką podchodził on do swoich dzieł. Tego uznania nie podzieliła jednak w zdecydowanej większości krytyka. O ile do bardzo tradycyjnej w swym ujęciu figury Matejki nie było poważniejszych zastrzeżeń, to siedzącego u podstawy pomnika Stańczyka (postać zaczerpniętą z matejkowskich obrazów) Andrzej Osęka podsumował w sposób druzgoczący: *W obrazie – mądry błazen przybrał swobodną, jakby kpiarską pozę; jego figura jest lekka, twarz poważna. U Koniecznego – kształty stają się od razu sztywne, za ciężkie i za duże; Stańczyk ma tu twarz bezmyślną, oczy wybaluszone w nieszczerym cierpieniu¹⁴.* Mimo wszystko tak radykalna opinia wydaje się nieco niesprawiedliwa. Obie postaci posiadają odpowiednie cechy portretowe, wraz ze stylowym postumentem tworzą na tle parkowych drzew całkiem udaną kompozycję pomnikową.

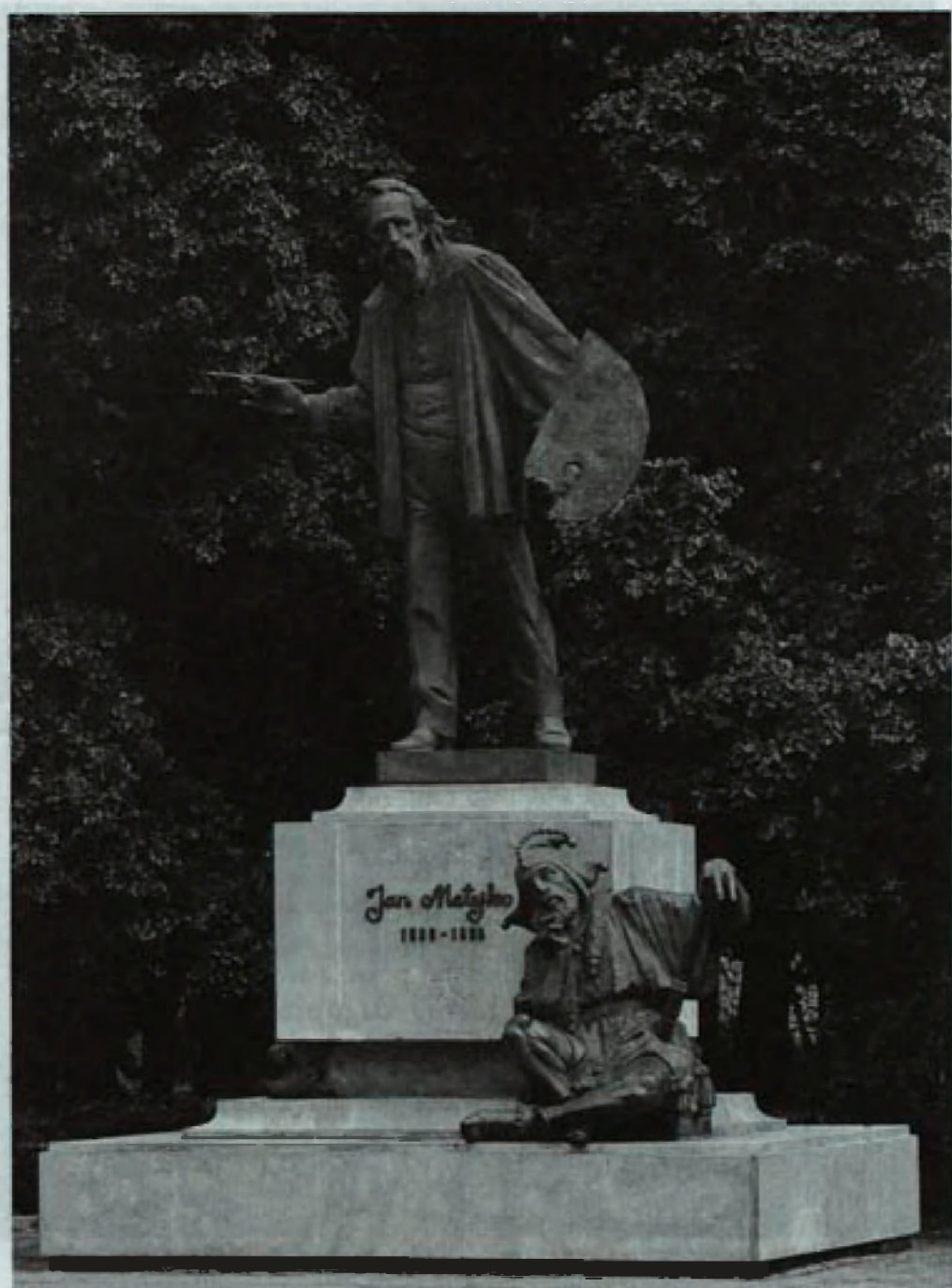
Inny, bardziej pozytywnie odbierany pomnik autorstwa Mariana Koniecznego stanął w 1994 roku w Janowickach koło Raławic, gdzie 200 lat wcześniej podczas insurekcji kościuszkowskiej polskie wojska stoczyły wielką bitwę z Rosjanami. Pomnik Bartosza Głowackiego przedstawia stojącego na armacie chłopskiego bohatera z postawioną na sztorc kosą i czapką w prawej, wyciągniętej energicznie dłoni. Jest to charakterystyczne dla Koniecznego przedstawienie głównego bohatera w kulminacyjnym momencie akcji, unieruchomienie w stopklatce, potęgujące dramatyzm i oddziaływanie pomnika. Jak pisał Władysław Loranc, *ten pomnik, jeśli miał być prawdziwy, nie mógł być ani solenny, ani symboliczny. Musiał stać się materialnym wyrazem okrzyku chłopca, stojącego na armacie: „Udało się!”. Tak potraktowany bohater wyraża satysfakcję z czynu, a dopiero poprzez ten czyn zwraca uwagę widza na znaczenie wejścia do historii Bartosza Głowackiego i innych „przypisanych do ziemi”¹⁵. Dla równowagi zacytujmy niezawodnego Andrzeja Osękę, który formalną stronę pomników Koniecznego opisuje tak: *Kształty w jego rzeźbie są ciężkie, ruchy zamaszyste, jak u śpiewaka w zespole wojskowym. Mamy tu przysadzisty monumentalizm pogrubionych rąk i nóg, wypiętych torsów, głów odrzuconych ku tyłowi¹⁶.* Obserwacja trafna, choć nieco powierzchowna. Pomnik Bartosza Głowackiego w swym malowniczym usytuowaniu nie razi aż tak zbytnią dosłownością. Stanowi za to świetny punkt centralny historycznego miejsca, wykorzystywanego na różnego rodzaju patriotyczne zgromadzenia. Szeroka przestrzeń wokół pomnika niejako łagodzi jego dynamiczną formę i stwarza pożądaną perspektywę do oglądania monumentu. Nie mamy tu do czynienia z opisanym na wstępie przełomem w pojmowaniu realizacji pomnikowych, ale trudno też mówić o niedopasowaniu kompozycji do walorów otoczenia. Ta kwestia była dla Koniecznego zawsze wyjątkowo istotna. Nawet realizując skrajnie tradycyjny konny pomnik Jana Zamoyskiego-*

¹³ T. Krawiec: *Rzeźbiarstwo, rzeźbiarstwo, rzeźbiarstwo z prof. Marianem Koniecznym, z niepełnym zestawieniem prac w Krakowie*, „Przebiegi Tygodniowy” 1996 nr 50, s. 6.

¹⁴ A. Osęka: *Do historii ul. Stańczyka*, „Czaszka Wyborcza” 1995 nr 140, s. 13.

¹⁵ W. Loranc: *Smęka i Młot*, „Dziś” 1997 nr 3, s. 13.

¹⁶ A. Osęka, dz. cyt.

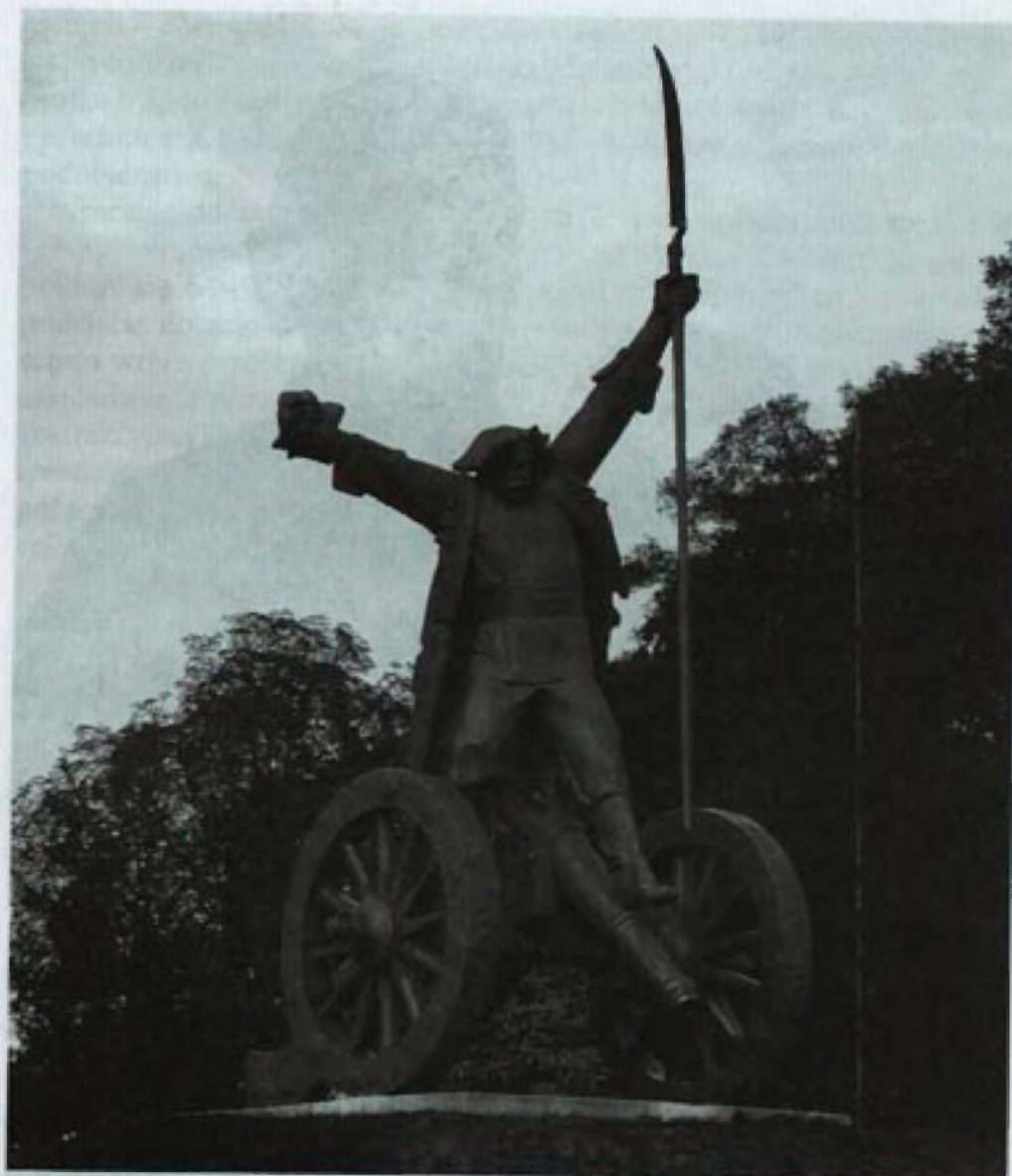


Pomnik Jana Matejki, Warszawa, 1993, fot. Michał Warda ALE B&D Consulting

go w Zamościu (odsłonięty w 2005 roku) artysta zadbał o odpowiednie tło i perspektywę dla dziesięciometrowej statuy.

To chyba najbardziej konwencjonalny przykład rzeźby pomnikowej, zastosowanej przez Mariana Koniecznego. Wcześniej, w latach 70. powstała rekonstrukcja figury króla Jagiellły z pomnika Grunwaldzkiego, w latach 80. artysta zrealizował podobny monument emira Abd al-Kadira w Algierze, tak samo miał wyglądać planowany posąg Władysława Warneńczyka, ale sam schemat kompozycyjny jest sztuce europejskiej i polskiej nieobcy¹⁷. Wywodzący się z głębokiego antyku wątek pomnika konnego szczególną popularność zyskał w renesansie i baroku (pierwszy w Polsce warszawski pomnik króla Jana III Sobieskiego), o najbardziej znanych kondotierach Colleoni i Gattamelacie nie wspomniawszy. Taki schemat kompozycyjny w Polsce najbardziej kojarzy się z klasycystycznym pomnikiem księcia Poniatowskiego, chociaż ilościowo najwięcej takich wyobrażeń miał ponoć

¹⁷ Por. L. Maciejczak, *Formy pomni*, „Alteart” 2005 nr 1.



Pomnik Bartosza Głowackiego, Janowiczki koło Białawic, 1994, fot. Arkadiusz Woźniak

marszałek Piłsudski w okresie międzywojennym. Pomnik konny to wyjątkowo nośne ideowo przedstawienie władcy lub wodza. Siłą rzeczy postać znajduje się wysoko, górując nad publicznością. U Koniecznego przeważnie dumna poza jeźdźcy z atrybutami władzy z reguły emanuje siłą i wyższością wywyższonego w strzemionach dostojnika. Również okiełznany przez władzę potężny wierzchowiec wydaje się z trudem utrzymywać na wąskim postumencie. Pomnik zamojski jest przykładem wyjątkowo sprawnego zrealizowania postulatów społecznych. Wspólny wysiłek artysty, Społecznego Komitetu Budowy, Towarzystwa Miłośników Zamościa i Roztocza oraz Fundacji „Morando” zaowocował powstaniem może niezbyt odkrywczego, ale za to pod wieloma względami klasycznego pomnika miejskiego, który z czasem ma szansę stać się jednym z bardziej rozpoznawalnych miejsc niepowtarzalnego architektonicznie Zamościa.

Na koniec warto wspomnieć o jeszcze dwóch przykładach specyficznej rzeźby pomnikowej autorstwa Mariana Koniecznego – o pomnikach nagrobnych. Jeden znajduje się na cmentarzu w rodzinnym Jasionowie, drugi w Alei Zasłużonych cmentarza Rakowickiego w Krakowie. Wcześniejsza chronologicznie jest rzeźba na nagrobku Barbary Kwiatkowskiej-Lass w Krakowie (1995 r.). To w dziele artysty rzeźba dość unikatowa – podobnie anachroniczna jak część pomników, ale nawiązująca raczej do secesji niż do klasycyzmu.



Pomnik nagrobny rodziców artysty, Jasionów, 2005, fot. Arkadiusz Woźniak

Pełna swoistego uroku postać aktorki wylania się ze stylizowanych kwiatów, smukłe proporcje bryły i łagodnie opracowana twarz zmarłej tchną spokojem i łagodnością. Usytuowanie w pobliżu nagrobka zmarłego niedawno Marka Grechuty może przyczynić się do tego, że ta interesująca rzeźba zyska wielu oglądających i może wpłynąć na zmianę poglądów niektórych z nich na charakter twórczości Koniecznego. Z rzeźbą tą można obcować również w inny sposób – jej pomniejszona replika stała się statuetką „Barbary” – nagrody Festiwalu Filmów Krótkometrażowych w Krakowie. Drugi nagrobek to pomnik rodziców rzeźbiarza na jasionowskim cmentarzu (2005 r.). Artysta stanął tu przed nietrywialnym zadaniem przedstawienia podwójnego portretu osób najbliższych. Z zadania wywiązał się raczej poprawnie, bo w rzeźbie portretowej już od lat 60. osiągnął niebywałą biegłość, tworząc w ostatnim czterdziestoleciu wiele interesujących popiersi osób z kręgów rodzinnych i towarzyskich (Stanisław Kutrzeba, Konrad Swinarski, Krzysztof Penderecki, Jan Szancencbach, Aleksander Krawczuk, Bogusz Salwiński, żona Maryla). Nagrobek jasionowski nie jest jednak tak sugestywny jak rzeźba, którą

zastąpił – portret ojca artysty, wykonany z pamięci w 1976 roku, w dziesięć lat po śmierci Stanisława Koniecznego. W przeciwieństwie do obecnego pomnika była to rzeźba ciekawa plastycznie – bogata fakturowo, „uczuciowa” i przejmująca. Rzeźbę współczesną wyróżnia jedynie właściwie uchwycone podobieństwo.

Wracając do zaznaczonej na początku kwestii „odporności na modę” i istoty pojmowania rzeźby pomnikowej przez Mariana Koniecznego można pokusić się o twierdzenie, że artysta okazał się „odporny” na nowatorskie podejście do zagadnienia. Przeważnie tworzył pomniki o zachowawczej, często wręcz przebrzmiałej historycznie formie. Nie miał przekonania do zastosowania w rzeźbie pojęcia ogólniejszego, zwielokrotnienia skali czy abstrakcyjnej idei jako zasadniczej części kompozycji. Wszelkie łuki i obeliski, spirale i iglice – sprecyzował później – są groźne przez swój brak znaczenia połączony zazwyczaj z gigantomachiczną skalą. One w istocie pomniejszają człowieka, spychają go do roli statysty w fatalistycznym tworzeniu się zjawisk historycznych ujmowanych wyłącznie w relacji wielkie – małe. W najlepszym dla nich wypadku mogą, jak zapis kronikarza, zaznaczyć samo zdarzenie. Czym było ono dla współczesnych, czym będzie dla przyszłych pokoleń – trzeba wyrazić w całkiem inny sposób. Pomnik, tak jak ja go pojmuję, powinien przypominać, że początkiem i sensem wszystkiego jest człowiek¹⁰. Ta ideowo-formalna zbieżność pojmowania istoty rzeźby pomnikowej z ogólniejszym koniekstem społeczno-politycznym zaowocowała wyjątkową popularnością Mariana Koniecznego jako twórcy pomników w latach Polski Ludowej. Artysta wcale się takich skojarzeń nie wypiera: *Nigdy nie zaprzeczałem, że to dzięki czasom PRL-u jestem tym, kim jestem. (...) Dzięki ówczesnemu systemowi oświaty mogłem się kształcić, najpierw u Xawerego Dunikowskiego w krakowskiej Akademii Sztuk Pięknych, potem w Instytucie Riepina w Leningradzie. (...) Jeśli ktoś mi pomógł, dał stypendium, umożliwił studia za granicą, to trudno, abym nie realizował rzeźb na społeczne zamówienie tej władzy*¹¹. Trudno jednak zaprzeczyć, że rosnąca popularność programowo niemodnego twórcy rzeźby pomnikowej w ostatnim dwudziestolecie ma coraz mniej wspólnego z kontekstem politycznym. Konieczny wreszcie wydaje się doceniany za perfekcyjne rzemiosło, wielką świadomość artystyczną i rzetelność w podejściu do najbardziej karkołomnych i nośnych tematów plastycznych. A ponieważ artysta wciąż nie narzeka na brak pracy, to jego dokonania mogą nas jeszcze zaskoczyć.

Arkadiusz Woźniak



¹⁰ J. Skrobol, *Kształty pamięci. Rzeźba o Marianie Koniecznym*, Kraków 2009, s. 57.
¹¹ L. Konarski, dz. cyt. (jw. przyp. 13).

Skarbczyk polskich pieśni

Mam sąsiada, który rzadko wychodzi z domu. Kiedy zapada zmierzch, a samotność dobiera mu się do duszy, staje na balkonie i śpiewa. Daje prawdziwe koncerty. Jego mocny głos rozchodzi się po ukolicy – dumki ukraińskie, *Szumi dokoła las, O mój rozmarynie*. To tylko niektóre pieśni z jego repertuaru. Owszem, wcześniej musi trochę wypić. Mimo to jego niedzielne występy wzruszają ludzi. Przystają z zaciekawieniem, słuchają, czasem ktoś go nagrywa.

Maria Grażyna Szpyra, autorka projektu *Pieśń ujdzie cało*, postanowiła przypomnieć najważniejsze utwory towarzyszące nam w drodze do niepodległości. Album wydany z okazji 70 rocznicy wybuchu II wojny światowej i 20 rocznicy odzyskania wolności i upadku komunizmu zawiera 85 utworów. Każdy z nich został opatrzony barwną, całostronicową ilustracją. To pierwsze takie wydanie w Polsce. I choć jego nakład nie przekroczył 2 tysięcy egzemplarzy, z pewnością zostanie dostrzeżony przez środowiska bibliofilskie. *To była żmudna praca. Jedna pieśń miała często kilka wersji, które bardzo się od siebie różniły. Szukałam w śpiewnikach, porównywałam, sięgałam po materiały zebrane w Bibliotece Polskiej Piosenki w Krakowie. Zależało mi na tym, by zaprezentować utwory w całości, bez błędów* – wspomina Maria Grażyna Szpyra.

Ale to ilustracje decydują o wyjątkowości książki. Album ma logiczny i spójny układ – został podzielony na cztery działy, każdy otwiera ilustracja Janusza Stannego. W pierwszej części znajdziemy utwory najstarsze: ohok tak znanych jak *Bogurodzica*, *Rota* czy *Mazurek Dąbrowskiego* z piękną grafiką Zbigniewa Kolaczka, są dzieła Rajnolda Suchodolskiego oddające emocje związane z Konstytucją 3 maja, *Pieśń Konfederatów Barskich* i wiele innych, które, choć do dziś śpiewane i popularne, pozostają anonimowe – jak pieśń *Bywaj dziewczę zdrowe* z ujmującą ilustracją Józefa Wilkonია. W drugim dziale zebrano utwory związane z I wojną światową i dwudziestolecie międzywojennym. To hołd oddany polskim ulanom, ale także Piłsudskiemu. Jego postać pojawiła się w pracy Jolanty Marcolli *Raduje się serce*, Hanny Grodzkiej-Nowak *Jedzie na kasztance* i Andrzeja Heidricha *My, Pierwsza Brygada*. Część trzecia poświęcona II wojnie światowej, zawiera utwory najbardziej znane – są tu pieśni partyzanckie, piosenki związane z powstaniem



Janusz Stanny – ilustracja do pieśni o lurku Birschanie

warszawskim, ale także *Marsz Sybiraków*. Bohater tej części nie ma nazwiska – to bezimienny żołnierz, człowiek lasu, zdobywca spod Monte Cassino. Widzimy jak przemierza pola, żegna się z dziewczyną, a potem przelewa krew za ojczyznę. Wśród utworów opiewających los polskiego żołnierza umieszczono pieśń nieznanego autora poświęconą pacyfikacji – *Opowieść dziadkowa o zdarzeniach lubelskich*. Ilustrację do utworu wykonała Krystyna Michalowska, nawiązując do ludowego motywu Chrystusa Frasobliwego, którego otaczają wysiedlone, skrzywdzone dzieci Zamojszczyzny. *Planowałam, że album będzie zawierał pieśni do II wojny światowej, ale rocznica okrągłego stołu uświadomiła nam, że trzeba też pokazać pieśni współczesne* – wspomina Szpyra. Im właśnie została poświęcona czwarta część zbioru. Tutaj znalazły się utwory tak popularne jak *Mury* czy *Żeby Polska była Polską*, a także piosenki Ernesta Brylla, dziś rzadko wykonywane. Zbiór pieśni zamyka utwór Kazika Staszewskiego *Arahja* z ilustracją Elżbiety Gaudasińskiej.



Andrzej Heidrich – ilustracja do pieśni *My, Pierwsza Brygada*

Projekt Marii Grażyny Szpyry *Pieśń ujdzie cało* był ściśle związany z Ogólnopolskimi Warsztatami Ilustratorów, które na przełomie sierpnia i września 2008 roku odbywały się na Roztoczu. Na zaproszenie Marioli Czapl, dyrektorki Krasnobrodzkiego Domu Kultury odpowiedzieli wybitni polscy artyści. Ich prace znalazły się w albumie, ale były także eksponowane na wystawie poplenerowej, otwartej 10 września 2009 roku w KDK. W październiku ilustracje polskich grafików książkowych zaprezentowano w Lublinie, w salach Miejskiej Biblioteki Publicznej im. H. Lopacińskiego, która współorganizowała projekt. *Pieśni patriotyczne to bardzo poważny i wymagający temat. Trochę się go obawiałem, ale artyści doskonale sobie z nim poradzieli. Powstały piękne, głębokie prace* – powiedział Janusz Stanny, opiekun artystyczny warsztatów.

Maria Grażyna Szpyra przez wiele lat organizowała plenery ilustratorów w zamojskim BWA, dzięki niej powstała tam jedna z największych kolekcji grafiki książkowej. Warsztaty ilustratorów, które od 2006 roku odbywają się w Krasnobrodzie, są kontynuacją tamtych spotkań. Szpyra zaprasza zarówno doświadczonych twórców, jak i młodych artystów. Ma wśród nich oddanych przyjaciół. Zna ich publikacje, śledzi dokonania. Dzięki temu na wystawach



Tomasz Borowski – ilustracja do pieśni *Przechowa*



Zbigniew Kolączek - ilustracja do *Mazurka Dąbrowskiego*

poplenerowych udaje się jej pokazać najważniejsze nurty i style obecne w polskiej grafice książkowej. Szpyra ma jeszcze jedną umiejętność – jak określił to jeden z uczestników warsztatów: *Na projekty wydobywa pieniądze spod ziemi*. Tak było i tym razem. Gdyby nie jej starania, podejmowane kosztem własnego czasu, bo kuratorka nie jest związana z żadną instytucją i działa jako wolontariusz, nie byłoby albumu polskich pieśni.

Każdy uczestnik warsztatów pracował nad dwiema pieśniami – jedną wybrał sam, drugą otrzymał „z przydziału”. Szybko jednak okazało się, że utworów przybywa, zbiór pęcznieje i wciąż brakuje ilustracji. Kurator projektu zwróciła się wówczas do artystów, którzy nie mogli przyjechać na warsztaty. Dzięki temu album wzbogacił się o piękne obrazy Józefa Wilkonia, Andrzeja Heidricha, Bartłomieja i Haliny Kuźnickich. Projekt graficzny

książki wykonał Bogusław Orliński, wieloletni redaktor „Naszej Księgarni”, który na warsztatach pracował nad pieśnią *Pułkownik Kula-Lis*.

Elżbieta Wasiuczyńska należy do młodego pokolenia artystów, jednak ma już na swoim koncie wiele nagród i wyróżnień, m.in. w konkursie Pro Bologna (Warszawa) i na Biennale Ilustracji w Aki Town (Japonia). Wychowała się na ilustracjach Olgi Siemaszko, Janusza Grabińskiego, Janusza Stannego, którego teraz ma okazję spotykać na warsztatach w Krasnobrodzie. Może dlatego z radością przyjeżdża na Roztocze – to dobra okazja, by porozmawiać, wymienić się doświadczeniami: *Podczas warsztatów pracowałam nad pieśnią „O mój rozmarynie”. To szalenie dramatyczny utwór, a przy tym znana melodia ludowa. Od lat nie miałam takiego wyzwania. Drugi temat – pieśń Kaczmarekowskiego „Arka Noego”. sprawił mi prawdziwą przyjemność. Anna Sędziwy uważa, że ilustracja to pomost łączący nas z dzieciństwem. Gdy poznałam temat warsztatów, obawiała się, że sobie nie poradzi. Jednak im trudniejszy problem, tym większa energia by się z nim zmierzyć. Wybrałam współczesną pieśń „Róbmy swoje”, bo uważam, że to utwór na miarę naszych czasów. To taka pieśń co się zowie, to sposób na przetrwanie zawieruch dziejowych i burz politycznych. Jeżeli będziemy robić swoje, to będzie dobrze. Zdzisław Witwicki – nestor polskiej grafiki książkowej, uczestnik wszystkich plenerów i warsztatów organizowanych przez Marię Grażynę Szpyrę w sposób mistrzowski komponuje stronę książki, jego ilustracje to małe obrazy. W albumie znalazły się dwie jego prace do utworów: Hej, strzelecy wraz i Raz w ciemną noc. Kiedy dostaję tekst do zilustrowania, pierwsze jego czytanie bardzo działa na moją wyobraźnię. Widzę momenty, które chciałabym pokazać. Zawsze te obrazy, które zobaczyłem na początku, były najlepsze.*

Pieśni pomagały przetrwać trudne czasy, sławiły bezimiennych bohaterów, uczyły dystansu wobec rzeczywistości. Na lamach „Akcentu” temat ten powraca po raz kolejny – w 1981 roku redakcja przypominała pieśni z powstania listopadowego, a w 1984 roku utwory związane z powstaniem warszawskim. Współczesne piosenki, skupione na codzienności, nie sławią heroicznych postaci, a ich twórcy rzadko odwołują się do historii. To w jakimś stopniu dzięki dawnym pieśniom żyjemy w świecie, który sprzyja innym tematom. Jan Lechoń pisał w *Herostratesie*: *A wiosną – rzechaj wiosną, nie Polskę zobaczę*. Od wielu już lat możemy się cieszyć wolnymi wiosnami, warto jednak pamiętać, że zawdzięczamy je również tym wszystkim, którzy pisząc pieśni tęsknili do czasów, jakie stały się naszym udziałem.

Eliza Leszczyńska-Pieniak

Andrzej Kłopotowski, *Przebieg choroby*, Wydawnictwo Literackie, 1987

teatr

MAGDALENA JANKOWSKA

Jak czytać Księgę?

Zostawił po sobie tylko dwa tomy opowiadań, fragmenty prozy, zapiski krytyczne i listy, a jednak ten skromny ilościowo dorobek nauczyciela rysunków z Drohobycza to w kanonie literackim pozycja absolutnie wyjątkowa. Badacze skłaniają wciąż do nowych wysiłków interpretacyjnych, a artystów teatru do podejmowania prób przełożenia dzieła na kod ich sztuki. Pokusie uległ również Krzysztof Babicki, który w Teatrze im. Juliusza Osterwy w Lublinie przygotował *Noc wielkiego sezonu*. Dokonał adaptacji, uświadamiając sobie, jak złudne może się okazać w teatrze bogactwo prozy autora *Sklepow cynamonowych*. Jej metaforyczne „rozbuchanie” i składniowa obfitość zdań, które Władysław Panas nazwał „litanią peryfraz” w swoistym układzie rozkwitającym, tak porywające w odbiorze czytelniczym są niezwykle trudne do spożytkowania na scenie. Trudność potęguje fakt, który zauważa Władysław Bolecki: *Metafory, powtórzenia, porównania, psychizacje rzeczy i elementów natury nie służą uchwyceniu ich swoistych cech, lecz przekładają je na inny porządek znaczeniowy*. Ponadto Schulz, posiadacz genialnej wyobraźni nigdy nie opisuje elementów takiej całości, lecz opowiada o całości, której obecność manifestuje się w zachowaniach i stanach emocjonalnych (lub innych) poszczególnych elementów.

Stylistyczne właściwości tekstów, dające tej prozie poetyckiej niezwykle walory estetyczne, m.in. wspaniałą muzyczność, są nośnikiem szczególnej wizji świata. W koncepcji Schulza centralną ideą jest werbalna niemożność artykulacji zjawisk określonych jako wymykające się określeniu, jako mieszczące się poza słowem. Towarzyszy jej jednak teza zaprzeczająca, wedle której istnieje jedynie to, co nazwane (Bolecki). Zaś sam pisarz kończy teoretyczno-programową *Mityzację rzeczywistości* taką oto konkluzją: *Uważamy słowo potocznie za cień rzeczywistości, za jej odbicie. Słuszniejsze byłoby twierdzenie odwrotne: rzeczywistość jest cieniem słowa. Filozofia jest właściwie filologią, jest głębokim, twórczym badaniem słowa*.

Toteż „sedno rzeczy”, o jakim pisał Schulz w swoim manifestie, jest w *Sklepowach cynamonowych* i *Sanatorium pod klepsydrą* „wartością naddaną”, która nie leży we właściwościach opisywanych rzeczy i zjawisk, ale jest wynikiem kompetencji językowej narratora: jego wiedzy, skojarzeń, wyborów lingwistycznych. A ponieważ w lubelskim spektaklu pozycja opowiadającego ulega istotnej zmianie wobec pierwowzoru, pociągnęło to za sobą poważne konsekwencje.

Krzysztof Babicki przyznał Józefowi – narratorowi opowiadań – status postaci scenicznej i to tak wykreowanej wizualnie, by do złudzenia przypominała Schulza. Specjalnie to nie zaskakuje, bowiem proza Schulza – co wiedzą już licealiści – jest nasycona wątkami autobiograficznymi. W jego

utworach rzeczywistość przefiltrowana przez psychikę opowiadającego i jego wrażliwość językową skupia na sobie uwagę. Przede wszystkim wyobrażamy sobie pewien obraz, potem dopiero uświadamiamy sobie, że jest on zapośredniczony przez jaźń mówiącego i jego sposób artykułowania własnej wizji. Refleksje nad wpływem doświadczeń, które tak ukształtowały opowiadającego, przychoǳą chyba najpóźniej. W przedstawieniu natomiast najpierw widzimy człowieka poddanego wpływowi otoczenia. To narrator, porte-parole autora, staje – poprzez swoją realną obecność na scenie – w centrum naszej obserwacji. I teraz dostrzegamy jego działanie (raczej oszczędne, bo to człowiek wycofany), które już interpretujemy, inne postaci w akcji i, co sobie uświadamiamy z pewnym trudem, opowieść animującą te zdarzenia. Ponieważ obraz ma tak przeważającą siłę nad słowem, udział narratora w budowaniu teatralnej *Nocy wielkiego sezonu* podlega innej percepcji, a ta modyfikuje wykreowany świat.

W odczytaniu intencji reżysera, by dać widzowi możliwość ujżenia wpisanej w spektakl biografii pisarza, upewnia mnie końcowa scena przedstawienia, w której widzimy łufę pistoletu wymierzona w głowę Józefa N. – Schulza. W tle zaś słychać głuchy stukot rozjeżdżonych wagonów. Przed chwilą tłum Żydów z walizkami pakował się do szaf, które w tej inscenizacji są uniwersalnym chwytem konstrukcyjnym scenografii. To może być traktowane jako profetyczna wizja pisarza, wyartykułowana w *Wichurze*, ale także jako obraz zdarzenia spełnionego – tak przecież zginął autor *Sanatorium pod klepsydrą*. Na taką podróż zostało skazanych wielu Żydów. Zatem do odkrycia sensu tego przedstawienia możemy zdążyć wieloma drogami. Poprzez zhiperbolizowaną wizję spraw domu i miasteczka możemy docierać do podstawowej wiedzy o życiu i bodźcach twórczych znakomitego pisarza – wprawdzie będzie ona ciągle przesłonięta artystycznymi właściwościami tego świadectwa, jednak będzie spod nich wyraźnie prześwitywać obraz jednostkowego losu. Możemy też sycić się w trakcie przedstawienia obserwacją, jak z rzeczy małych i codziennych wyrasta wizja daleko poza nie wykraczająca i buduje universum.

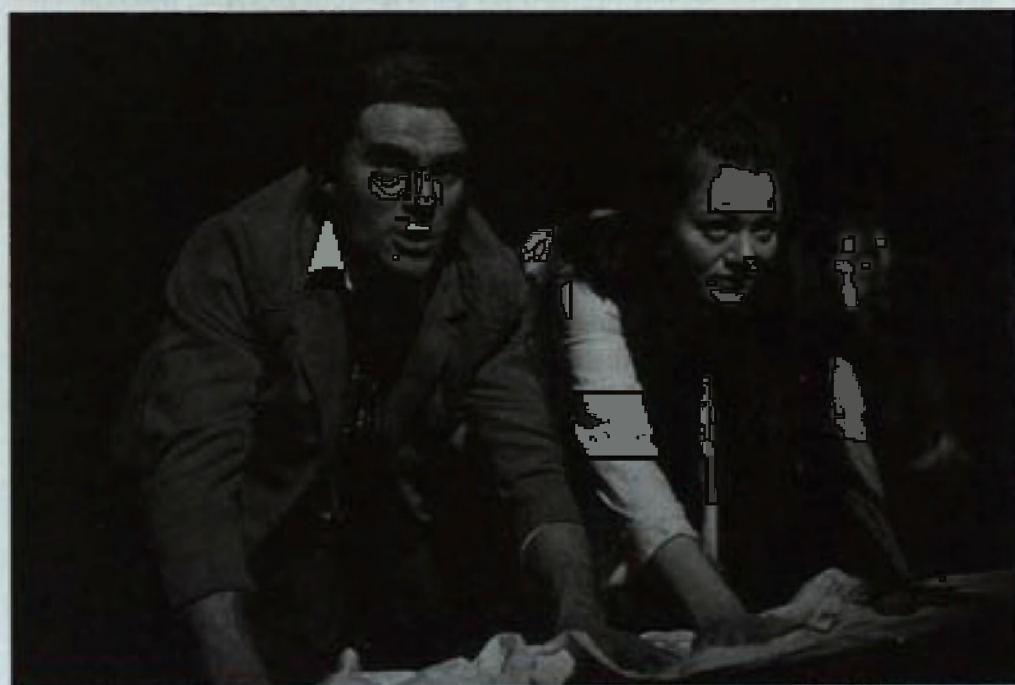
W opowiadaniach Schulza postaci niemal milczą, właściwie mówi tylko narrator. W lubelskiej inscenizacji kwestiami do wypowiedzenia zostają obdarzeni też pozostali uczestnicy akcji. Na szczęście nie są to dopiski adaptatora, tylko fragmenty tekstu narracyjnego. Ten zabieg zmienia nieco

każdego z bohaterów, obdarza ich nową, wyższą świadomością. podczas gdy w utworze literackim to narrator ma całą wiedzę, niemal równą sile sprawczej. Cokolwiek odarty z tekstu, a więc i pozbawiony części możliwości przekazywania rodzących się i kondensujących w postaciach stanów wewnętrznych, Józef N. (Krzysztof Olchawa) nieco zrównuje swój status w relacji z pozostałymi uczestnikami dramatu. Teraz już nie tylko on łączy dziecięce widzenie spraw i ludzi z umiejętnością interpretowania ich poprzez życiową filozofię dorosłego człowieka.

Szczególnie odbija się to na sylwetce Ojca (Andrzej Golejewski). Już nie jest kimś w całości uformowanym przez widzenie syna. Ponadto jego fizyczność na scenie nie może ulec tak przejmującej transformacji, jaką zawiera autor-ski opis. Ale gwoli sprawiedliwości trzeba dodać, że ma on udział w kilku przepięknych scenach ukazujących przeistoczenie w coraz bliższą przyrodzie formę istnienia. Na przykład ta, kiedy leżącego nago aktora zapadnia wydobywa spod podłogi. Przez chwilę ostre światło eksponuje jaśniejący na ciemnym tle kształt. Po czym żona okrywa go brunatną chustą i kształt coraz bardziej zaczyna przypominać karakona. Aż powoli znika nam z oczu, jakby chował się w szparze.

Zatem Ojciec – ten Schulzowski demiurg, mag i herezjarcha – na scenie wymyka się częściowej zależności od syna: mitotwórczej mocy jego słowa. Przestaje być wytworem demonizującej wszystko wyobraźni, która jednak służy odnalezieniu znacznie głębszych sensów ukrytych. Staje się kimś bardziej konkretnym, aktywniejszym w sferze realnej. Ale mimo wszystko pozostaje natchnionym filozofem, szalonym wizjonerem, obsesjonatem materii, który się wyłania z długich kwestii traktatu o manekinach. A nade wszystko człowiekiem nieodpornym na pokusy cielesne, traktowane zresztą jako źródło twórczej inspiracji. To także ktoś, kto, funkcjonując w patriarchalnej rodzinie, doświadcza jej rozpadu, jaki na przełomie wieków ogarnął tę społeczną strukturę. I choć w jego domu i sklepie nie potrafimy zobaczyć „świętego przybytku, gdzie toczy się spory z siłami wyższymi”, to jednak dysputa trwa.

O ile dwaj wspomniani już mężczyźni bohaterowie w swym scenicznym bycie mimowolnie stają się zbyt dosłowni, zbyt konkretni w sposobie istnienia, to Adela (Hanka Brulińska) jest ukazana w tej inscenizacji wielowymiarowo. Przypuszczalnie pokazywanie, jak ojciec maleje, kurczy się, wysycha mogłoby



Krzysztof Olchawa, Hanka Brulińska



Krzysztof Olchawa, Andrzej Golejewski, Grażyna Jakubecka, Mikołaj Roznerski

się skończyć niezamierzonym efektem komicznym. Postać służącej natomiast świetnie nadaje się do metaloryzacji, jak w scenie ze skrzydlami kondora, kiedy staje się osobą wtajemniczoną. W pozarealny wymiar przenosi także Jakuba – Ojca. Jest przecież nie tylko służącą w jego domu, ale także przedmiotem jego erotycznych ekscytacji. Źródłem jego twórczych podnieć (zanim ją zmieni na Poidę i Paulinę). Toteż widzimy ją na przemian w gospodarskim fartuchu i ponętym gorsecie. Zdaje się panować na scenie. Nawet kiedy jej tam nie ma, części jej porozrzucanej garderoby wnoszą klimat dwuznacznego niepokoju. Także recydywista Szłoma (Szymon Sędrowski) przeżywa upojne chwile, znajdując jej czerwony bucik.

Ekscytująca obecność Adeli obnaża ponadto różne słabości mieszkańców domu, w którym służy. lednym seksualnym gestem zachęty demaskuje nicosć Jakubowego zamysłu stwarzania manekinów. Okazuje się bowiem, że naśladowanie boskiego aktu kreacji jest jałowe. Pałuby, w których ziemskiego Demiurgosa „zachwyca taniłość, lichota, tandetność materiału”, nie mają tej siły egzystencjalnej, co żywa posługaczka. Wprawdzie Jakub w rozmowie z żoną, mówiąc o Adeli, narzeka na tępotę plebsu, jednak libido każe mu się za nią uganiać i czyni z niej królową jego erotycznych marzeń. Małka (Grażyna Jakubecka) natomiast widzi w niej pewne zagrożenie, ale równocześnie kobietę o godnym zazdrości stopniu wtajemniczenia w sprawy ciała i ducha. Podczas gdy ona dopiero dojrzuje do ekspresji pragnień fizycznych i emocjonalnych. W spektaklu Babickiego ta kreacja unaocznia również zachwianie podstaw familijnego układu. Rodząca się w kobiecie potrzeba własnej podmiotowości – w sprawach innych niż praktyczne – zapowiada nadejście nowych prądów obyczajowych.

Żeby jednak nie porzucić zasugerowanego już wątku biograficznego, trzeba zauważyć, że Józef N. – Syn – Narrator, w rzeczywistości Bruno Schulz, wprowadzając nas w świat podświadomości ojca, wykorzystywał to, co odnajdował we własnej psychice. Wiele biograficznych świadectw zdaje się potwierdzać, że odczuwał konflikt między popędem a systemem norm i wzorów kulturowych. Bo treść rysunków musimy potraktować jako wytwór jedynie artystyczny o fikcyjnym charakterze, chociaż kusi, żeby coś powiedzieć na tej podstawie o seksualności ich autora.

W adaptacji dzieła, którego właściwości są tak specyficzne dla literatury, poszanowanie słowa i dążenie do znalezienia jego scenicznego ekwiwalentu

osiągnęły szczęśliwy kompromis. Z wybranych opowiadań powstała dramatyczna całość o wyczuwalnej linii napięcia. Postaci z różnych tekstów są połączone tak, że scalenie wydaje się zupełnie naturalne. A słowo Schulza, choć zagospodarowane inaczej niż to zrobił autor, płynie wyznaczonym przez niego tokiem rytmicznym. Aktorzy bardzo dobrze wypracowali posługiwanie się tą nietypową frazą.

Oglądamy widowisko barwne, bo przecież autor opowiadań składających się na *Noc wielkiego sezonu* – ten „Piewca Tandety, szarości, brzydoty” jest zarazem „miłośnikiem bujności i koloru” (Piotr Kuncewicz). Jego kolory są tak precyzyjnie rozkładane, by ich kakofonia nie przeszkadzała słowu, tylko je „podbijała”. Dzięki światłu (Maria Machowska) wypędzanie ptaków przez Adelę staje się czymś nadzwyczaj dramatycznym. Jakąś piekielną awanturą. Część osiągniętego efektu opiera się na muzyce (Marek Kuczyński). Jej niespokojne rytmy wiele znaczą w rozwoju akcji. Zdaje się, że same nawet budują węzły dramaturgiczne.

Spektakl ma ciekawie zróżnicowany rytm i „ton” zależny w dużej mierze od wkładu choreografa (Jacek Tomasiak), który sprawił, że sceny o poważnej wymowie mają kontrpunkt w sekwencjach ruchu o łatwej estetyce. To daje potrzebną – i świadomie wygospodarowaną – chwilę oddechu od zawitych tyrad Ojca. Drużyna straży ogniowej, nie odznaczając się żadną sprawnością taneczną, wykonuje ważne zadanie ruchowe wokół słoja z sokiem malinowym.

Nadzwyczaj prosta, ale współbudująca przesłanie tego spektaklu scenografia jest niemal minimalistyczna. Na pierwszym planie ruchome sprzęty: stół z kilkoma krzesłami i dwie szafy. I już jest dom i sklep – miejsce zawiązania elementarnych relacji. A w głębi drugi, niemal całkiem ciemny, plan. Przestrzeń na wysokości tego podestu rozświetla czasem jakaś postać. Najczęściej, któraś z tych funkcjonujących w społeczności miasteczka na szczególnych prawach: Truja (Agata Moszumańska), Głupia Maryśka (znakomita kreacja Moniki Babickiej), Mędrzec (Roman Kruczkowski), Katarzyniarz (Krzysztof Bielawiec), Wokalistka (Teresa Filarska). Żyjący na obrzeżu rzeczywistości – nawiedzeni, słabi na umyśle, przelotni jak jarmarczny duet (przygotowanie wokalne Urszula Plis), który parokrotnie ponawia piosenkę z czasów pisarza „Małgorzatko, serce duszy mojej...”. Nawet wtedy, kiedy wichur dziejowy zgnania nad to miejsce czarne chmury. Zbiorowym scenom o tragicznej wymowie kostiumolog (Sławomir Smolorz) nadał ciemny kolor strojami charakteryzu-



Kinga Waligóra, Agata Moszumańska, Krzysztof Okhawa



Krzysztof Okhawa

jącymi różnice społeczne, co w końcowej scenie bardzo dobrze zbudowało klimat smutku. Ponadto uwzględnił obie płaszczyzny przedstawienia. Józefa N. ubrał tak, jak się nosi Schulz na fotografiach. W wielu projektach zachował związek z realiami epoki, ale pozwolił sobie również na surrealistyczne zarty. Kobieta Upadła (Jolanta Rychłowska) nosi czarną bieliznę z wielkimi aplikacjami w postaci czerwonych dłoni na piersiach i łonie. Zás Kobiecie Ciężarnej przypisał brzuch ze świecą lampy. Czy były one potrzebne, można dyskutować. Faktem jest, że sceny grupowe wypadły efektownie i dobrze służyły intelektualnej zawartości spektaklu.

Wszystkie te solenne wysiłki zespolił reżyser – dzięki sensownemu użyciu „spoiw i wypełniaczy” (ruch, śpiew, zbiorowa recytacja powtarzającego się motywu) osiągnął efekt sennej płynności, z jaką przeobrażają się miejsca i postacie. Krzysztofowi Babickiemu udało się też połączyć materię społeczną z rozważaniami o naturze bytu i erotyczne tajemnice domu z dialektyką dobra i zła. A przy tym wszystkim zarysować sylwetkę fascynującego artysty.

Magdalena Jankowska
Fot. Aleksander Wójak

Brano Schulz: Nowy wspaniały sezon. Adaptacja i reżyseria Krzysztof Babicki. Teatr im. Juliusza Osterwy w Lublinie. premiera 14 listopada 2009 r.



Hanka Brulińska, Grazyna Jakubecka

bez tytułu

LESZEK MĄDZIK

Ines de Castro

Do tego kraju wracałem najczęściej, może nawet za nim tęskniłem. Dłuższe rozstanie, na rok lub dwa, zawsze rodziło nieodparte pragnienie ponownego wyjazdu w tamte strony. Strony odległe, bo na krańcu Europy, dosłownie i w przenośni. Nie znajduję racjonalnego wytłumaczenia kierowanych tam uczuć. Trudno też je do końca zwerbalizować, ale są bardzo silne. Gdy tylko poczuję powietrze Portugalii, jej wilgotność i skwar na przemian doświadczane, to budzą się we mnie te pokłady emocji, które tu, nad Bystrzycą – drzemią. To tak, jakbym znajdował w sobie jakiś dodatkowy zmysł czytania świata. Ten stan wywołuje przyroda, może ludzie, a nade wszystko wrażenia wewnętrzne. One, choć abstrakcyjne i trudne do utrwalenia, towarzyszyły mi na każdym kroku.

Może najsilniej, kiedy znalazłem się w małym miasteczku Alcobaca między Lizboną a Coimbrą. To tutaj, w miejscowej świątyni, dostrzegłem dziwny grobowiec, a właściwie dwa grobowce. Oba pięknie rzeźbione, przypominające łóżka, na których śpią młodzi ludzie. Uwagę zwracał układ katafalków. Postacie na nich leżące, mężczyzna i kobieta, skierowane były stopami do siebie. Rzadki to przypadek, a może jedyny. Taki układ, bardzo teatralny, domagał się uzasadnienia. Odpowiedź znalazłem wkrótce, jeszcze w świątyni, która była ostatnią sypialnią drzemiących wiecznie bohaterów. Zagadkę pomógł mi rozwiązać przypadkowy uczestnik tego misterium. Po chwili wiedziałem, że gdy tych dwoje kiedyś zmartwychwstanie, to będą mieli najkrótszą drogę, by paść sobie w objęcia. To musiała być wielka miłość. Pragnąłem się czegoś o niej dowiedzieć. Przyglądając się ciałom leżącym na misternie utkanych z białego kamienia poduszkach, które podtrzymywały anioły, wyczuwałem oczekiwanie na zmartwychwstanie. To ono w swojej rajskiej wymowie dopełni miłość przerwana przez śmierć.

Grobowce są tajemnicze. Zaintrygowany tym dziwnym miejscem uchyliłem rąbka tajemnicy. Otóż spoczywają tam zwłoki króla portugalskiego Pedra i jego małżonki Ines de Castro. XIV wiek to czas, w jakim dane było żyć tym kochającym się bez reszty szaleńcom. Ines stała się żoną Pedra właściwie po śmierci. Wcześniej w roli kochanki wypełniała przestrzeń zamku i królewskiej sypialni. Będąc przyjaciółką żony Pedra, łatwiej i bez podejrzeń osaczała go swoją miłością. Dzięki kobiecej intuicji prawowita małżonka króla uświadomiła sobie w końcu narastające zagrożenie. Ines należało się pozbyć – miałby to być jedyny sposób na ratowanie związku.

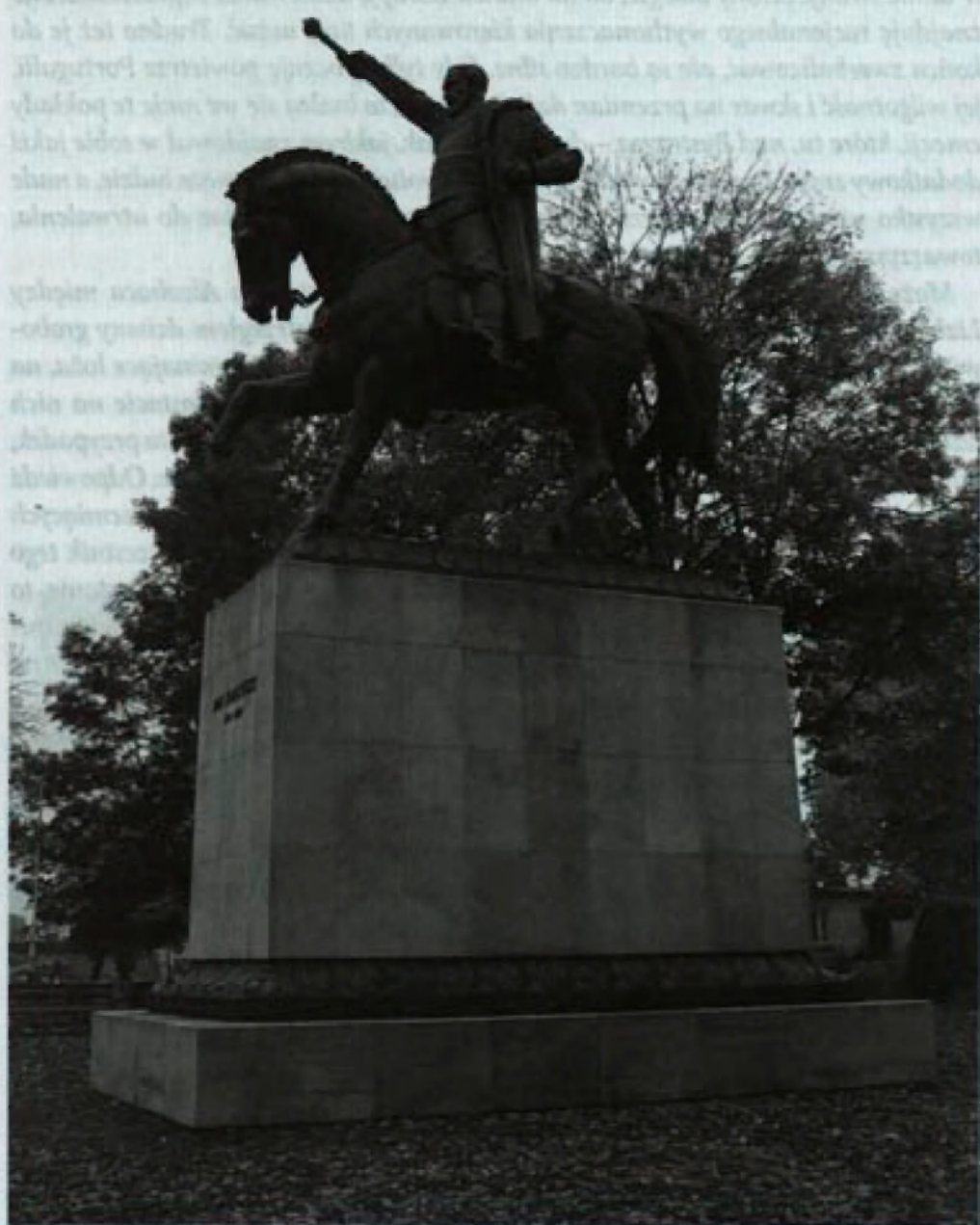
Podstępnie zamordowano tę piękną Kastylijkę o jasnych włosach. Odważył się tego dokonać ojciec Pedra, zdecydowany przerwać obłądną miłość zakłócającą spokój dworu. Siła uczucia, jakim obdarował król Pedro swoją oblubienicę, kazała mu udowodnić światu, a może i najbliższym, że nawet śmierć nie jest w stanie zgasić żaru. Wydobyl z grobu ciało Ines, ubrał w królewskie szaty, nałożył na czaszkę

koronę, usztywnione szczątki posadził na koniu i razem z trupem udał się w orszaku do katedry, by w obecności zgromadzonego ludu uzyskać błogosławieństwo miejscowego biskupa.

Taka inscenizacja mogła się zdarzyć tylko w kraju nasyconym ekstazą, poezją i tajemnicą, jakim jest Portugalia.

Faro, małe miasteczko nad Morzem Śródziemnym, zainspirowało mnie, by w niedalekiej przyszłości, w 2010 roku, zrealizować teatralną wizję tego tragicznego wydarzenia. Może wyobraźnia będzie uboższa od zdarzeń zaistniałych przed wiekami w rzeczywistości. Chcę jednak spróbować; pragnę tego spotkania.

Leszek Mądzik



Marian Konieczny, pomnik Jana Zamojskiego, Zamość, 2005. Fot. A. Woźniak

noty

LUDWIK GAWROŃSKI

ZYGMUNT PUŁAWSKI - ZAPOMNIANY PILOT I KONSTRUKTOR

Prasa lubelska informowała, że najlepsza nazwa dla lotniska w Świdniku to „Lubelski Lipiec” – tak przynajmniej uznali czytelnicy „Kuriera” – 283 osoby poparły właśnie tę propozycję. Na drugim miejscu znalazła się „Brama Wschodu”, potem „Unia Lubelska”. Na czwartej pozycji uplasowała się Maria Curie-Skłodowska, a na końcu Władysław Jagiełło. To wyniki głosowania na pięć nazw dla lotniska, które spośród około 150 nadesłanych propozycji wybrała kapituła konkursowa¹.

Szkoda, że wśród tych nazw nie znalazła się propozycja upamiętnienia lublinianina – Zygmunta Puławskiego, pilota i genialnego konstruktora samolotów myśliwskich. Warto przypomnieć, że w 1956 r. Wytwórni Sprzętu Komunikacyjnego w Świdniku nadano imię inż. pil. Zygmunta Puławskiego. Od stycznia 1991 r. zakład ten stał się jednoosobową spółką skarbu państwa pod nazwą: Wytwórnia Sprzętu Komunikacyjnego PZL Świdnik – Spółka Akcyjna. Z nazwy usunięto: „im. Zygmunta Puławskiego”. Zastanawia fakt, iż stało się to w 60. rocznicę śmierci niezwykłego lotnika.

Zygmunt Puławski był synem Wojciecha, kowala z Gorzkowa w byłym powiecie krasnostawskim i Kazimierzy z Szumitów, którzy „za chlebem” trafili do fabryki maszyn rolniczych Mieczysława Wolskiego w Lublinie i zamieszkali przy ul. Foksal 17 (dziś 1 Maja). Tu 24 października 1901 r. urodził się Zygmunt Rafał. W latach następnych rodzina Puławskich powiększyła się o siostrę Marię i braci Zdzisława i Kazimierza.

Po ukończeniu szkoły podstawowej Zygmunt rozpoczął naukę w Gimnazjum Zgromadzenia Kupieckiego im. A. i J. Vetterów przy ul. Bernardyńskiej 14, wstępując jednocześnie do harcerstwa, któremu poświęcił się bez reszty i które odegrało zasadniczy wpływ na ukształtowanie jego osobowości. Dla Zygmunta harcerskie ideały stały się wartościową szkołą formującą młode charaktery, czemu dawał niejednokrotnie wyraz².

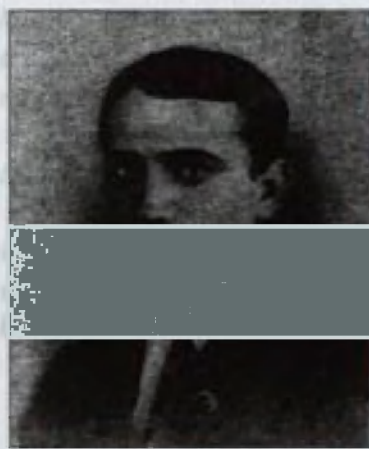
Druh Zygmunt należał do kompanii szkolnej nr 3. 17 lipca 1920 r. Harcerski Batalion Wartowniczy objął posterunki w mieście. Rozformowano go dopiero w listopadzie, ale Zygmunt Puławski po maturze żegnał już wówczas Lublin. Wyjechał do stolicy rozpoczynając studia w Politechnice Warszawskiej³.

Już na pierwszym roku studiów Zygmunt został czynnym członkiem Sekcji Lotniczej Kola Mechaników; wkrótce skonstruował szybowiec SI-3 i dwupłatowiec myśliwski „Skaut”, za który w 1924 r. otrzymał nagrodę w konkursie Ministerstwa Spraw Wojskowych. Rok później ukończył studia i wyjechał na praktykę

¹ A. Dunajska, K. Kudryba: Lubelski Lipiec najlepszy dla lotniska. „Kurier Lubelski” 28-29.03.2009, s. 1.

² W. Piłkiewicz: Młodzieńcze dniem i p-tarłym konstruktorem. „Kurier Lubelski” 1983 nr 30.

³ T. Chwałczyk: Polakom polskiemu stryjku. „Kurier Lubelski” 21.03.1991.



inż. pil. Z. Pulawski

do zakładów lotniczych Breguet we Francji. Po powrocie do kraju odbył służbę wojskową w Poznaniu oraz ukończył Szkołę Pilotów w Bydgoszczy.

W 1927 r. Zygmunt Pulawski rozpoczął pracę w Państwowych Zakładach Lotniczych (PZL) w Warszawie na stanowisku głównego konstruktora i zbudował nowoczesny samolot myśliwski P-1 (P. Pulawski). Był to metalowy górnopłat z silnikiem rządowym, w którym zastosował skrzydło pocinione przy kadłubie i załamane jak u mewy, pozwalające na bardzo dobrą widoczność z miejsca pilota. Nazwane „skrzydłem Pulawskiego” później zyskało miano „polskiego płata”. Pulawski stale

unowocześniał swoje myśliwce, dając Polsce coraz to nowe wersje tego doskonałego prototypu: P-6, P-7 i P-11⁴. Ten ostatni, wstawiony w walkach we wrześniu 1939 r., znajduje się dziś w krakowskim Muzeum Lotnictwa.

25 września 1929 r. kpt. pil. Bolesław Orliński (1899-1992) dokonał oblotu pierwszego prototypu PZL P-1 nad lotniskiem Mokotowskim w Warszawie. Oblot drugiego prototypu P-1 odbył się w marcu 1930 r., zaś w sierpniu tegoż roku Orliński oblatywał prototyp P-6; 22 grudnia z okazji Międzynarodowego Salonu Lotniczego kapitan zademonstrował zalety samolotu w locie nad lotniskiem Le Bourget w Paryżu. Prasa światowa uznała maszynę za najlepszy samolot myśliwski⁵.

W kilka miesięcy po P-6 oblatano P-7, który różnił się od poprzednika mocniejszym silnikiem ze sprężarką: GR „Jupiter VII F”. W latach 1932-1933 wyprodukowano 149 maszyn P-7, które około 1935 r. zaczęto wycofywać do jednostek treningowych, ponieważ ukazała się nowa wersja, czyli P-11⁶.

Opinia oblatywacza o wartościach technicznych i taktycznych samolotów Pulawskiego była nader pozytywna, np. P-7 zaklasyfikowano jako jeden z najlepszych samolotów myśliwskich na świecie, zaś jego konstruktor zyskał uznanie i rozstawił nie bardzo dotychczas liczącą się polską myśl lotniczą. Przez długie lata „pulaszczaki” były symbolem polskiej siły i potęgi w powietrzu. Z dumą demonstrowano je na powietrznych defiladach oraz imprezach lotniczych⁷.

W grudniu 1930 r. Pulawski przebywał nad Sekwaną i w Algierze; pisał do rodziców: Paryż, 20. XII. 1930. *Moi Kochani! Będę jeszcze parę dni w Paryżu. Później chcę jechać na południe. Dotąd dość dobrze. Maszyna miała powodzenie na wystawie. Miała latać parę dni temu, ale była silna mgła. Myślę, że będzie latać w poniedziałek. Zасыlam Wam serdeczne życzenia wesołych świąt, Zygmunt. Cztery dni później wysłał list z Algieru: Algier, 24. XII. 30. *Moi Kochani! W poniedziałek latała maszyna w Le Bourget bardzo dobrze. 22 wyjechałem z Paryża, o godz. 2 przybyłem do Algieru; 26 godzin morzem. Morze wzburzone, kiwało solidnie. Tutaj palmy, ciepło, drzewa zielone, tylko trochę deszcz pada. Wcale nie widać, że w Polsce są święta. W dzielnicy arabskiej Arabowie, zawołowane Arabki, Maurowie; w dzielnicy europejskiej czysta Francja. Serdecznie pozdrawia Zygmunt⁸.**

Od 30 stycznia do 1 lutego 1931 r. trwały I Lubelsko-Podlaskie Zawody Lotnicze w Lublinie. Pierwsza taka impreza lotnicza na świecie, zorganizowana w okresie zlmowym. Wziął w nich udział także Pulawski, o czym wspomina jego brat, Kazimierz:

Zygmunt startował na PZL 5 z p. H. Henneberg jako nawigator. Wieczorem w domu opowiadał, że w locie okrężnym wracając do Lublina zabrakło mu benzyny. Lecieli nad lasem, nie mógł znaleźć nigdzie polany do lądowania. Postanowił



Drugi prototyp polskiego samolotu myśliwskiego PZL P-11/II podczas prób w Portugalii w 1932 roku. Zdjęcie wykonane na lotnisku Alverca niedaleko Lizbony. (zdjęcie: Arquivo Histórico da Força Aérea Portuguesa via António Nuno e Carvalho via Maciej Stefanicki)

osadzić samolot na drzewach. Pani Hance polecił zdjąć okulary i sam to zrobił. Nagle las się skończył. Przechylił maszynę, silnik dostał mocy (widocznie resztką benzyny dopłynęła do gaźnika) i szczęśliwie wyładował; samolot zarył się w śnieg. Zapasową butkę z benzyną miał w bagażniku. Przelat do zbiornika i z pomocą ludzi miejscowych wyciągnęli samolot ze śniegu na polanę. Wystartowali i dolecieli do Lublina; lądował prawie ze stojącym śmigłem. To zdarzenie miało miejsce koło Turubina, ale nie jestem już tego całkowicie pewny (jest zdjęcie zarytego w śniegu samolotu). Na drugi dzień miało odbyć się próba wysokości; Zygmunt jej nie odbył. Byłem wówczas na lotnisku, ale jego samolotu nie widziałem. Zajrzałem do hangaru i zobaczyłem go manipulującego coś przy silniku. Opowiadał później, że nawaliło mu magneto (iskrownik). Na zakończenie tych zawodów odbył się w kasynie oficerskim bal. Zygmunt ubrał się w piękny nowy smoking. Do Warszawy wrócił pociągami. Po tygodniu, z soboty na niedzielę w nocy, przyjechał do domu. Przywiózł magneto i kombinezon lotniczy. Do domu szedł z dworca piechotą, niosąc ten ciężki pakunek. Rodzice byli rozczarowani, że nie wziął taksówki. W niedzielę po południu (po obiedzie) powrócił do Warszawy samolotem. Na pewno zamontował to magneto. Pamiętam, że miał lecieć z jakimś kolegą. Odchodząc powiedział, że przeleci nad naszym domem [przy ul. Piaskowej 24 na Kośminku]. Oczekiwaliśmy wszyscy z niecierpliwością. Rzeczywiście po jakimś czasie ujrzeliśmy samolot (dwupłat) przelatujący bardzo nisko nad nami. Później nabral wysokości i odleciał w kierunku Warszawy. Nie spodziewałem się, że to będzie moje ostatnie widzenie się z Nim... Przypomniałem sobie, iż budowa amfibii to była rzecz prywatna Zygmunta. Tak rozmawiano w domu. Zygmunt tłumaczył to, że potrzebna mu jest ona, między innymi, do lotów do Lwowa. Miał tam wykladać na Politechnice, jaki przedmiot nie wiem. Wykłady te miały się odbywać raz na dwa tygodnie i właśnie miał tam latać amfibią. Tego nie podają żadne publikacje o Bracie... Zygmunt odbył kilka lotów na amfibii. Ten ostatni był czwartym lub piątym...

Ostatni lot

Był jeszcze cały luty i nadszedł marzec – wspomina dalej p. Kazimierz. – Ten nie-szczęśliwy 21 marca 1931 r. Była sobota. Wracałem z zajęć szkolnych popołudniowych. Był wieczór, godz. 18-19 – na ul. Bychawskiej spotkałem Ojca, który ze smutkiem i ze łzami w oczach oznajmił mi, że byli w domu jacyś panowie z fabryki Plagego

⁴ Z. Mielnicz: Jak człowiek zdobył pr. inżyniera. Warszawa 1954, s. 104.

⁵ J. B. Kamiński: Kronika lotnictwa polskiego 1911-1945. Warszawa 1984, ss. 60 i 67.

⁶ W. Stępczyński: Samoloty na skrajnych wysokościach. Warszawa 1973, ss. 14-15.

⁷ K. Stefanicki: Lotnictwo myśliwskie w Warszawie. Warszawa 1989, ss. 82-84.

⁸ Karty pocztowe ze zbiorów p. Kazimierza Pulawskiego z Gdynia-Oruś.



Policjanci przy szczątkach samolotu amfibii PZL-12, który rozbił się na Ochocie u zbiegu ulic Sękocińskiej i Kaliskiej. W katastrofie zginął inż. Zygmunt Puławski. (21.03.1931).

i powiedzieli, że syn miał wypadek i trzeba jechać do Warszawy. Po przyjeździe do domu brat Zdzisław powiedział mi, że radio podało, że Zygmunt nie żyje. Ogarnęła nas wszystkich wielka rozpacz. Miałem wówczas niecałe 12 lat. Nie zapomnę rozpaczającej Matki. Rodzice i brat Zdzisław pojechali w nocy do Warszawy (...). W poniedziałek lub wtorek (23–24 marca) wracając ze szkoły ujrzałem na płocie przy domu dwa nekrologi, powiadamiające o jego śmierci i pogrzebie. Wieczorem wyszedłem na dworzec; z pociągu wysiedli rodzice, siostra, brat i szwagier [Edmund Szpilarowicz]. Mama i siostra w welonach żałobnych. Ciało sprowadzone było samochodem. Na drugi dzień (...) po mszy św. w kościele Bernardynów odbył się pogrzeb na cmentarzu przy ul. Lipowej. Trumna eksportowana była na kadłubie samolotu (dostarczonego z fabryki Plage i Leśkiewicz) (...). W latach 1937–39 powstał w ówczesnej Lubelskiej Wytwórni Samolotów (LWS) komitet pracowniczy, który dla uczczenia pamięci Zygmunta zebrał pewną sumę pieniędzy i razem z moimi rodzicami zamówił w firmie kamieniarskiej p. Nowaka pomnik. Wybuchła wojna światowa. Matka, gdyż Ojciec już nie żył, w pierwszym roku okupacji dołożyła resztę brakującej gotówki i postawiła pomnik, który stoi do dzisiaj...⁸

Relacja prasowa o wypadku

Sobota, 21 marca 1931 r., godz. 14.20 przy zbiegu ulic Sękocińskiej i Kaliskiej (Ochota) w Warszawie, w korkociągu z wysokości 120 m uległ wypadkowi inż. pil. Z. Puławski; zmarł w drodze do szpitala; połamane obie ręce i nogi, zaś spadający samolot poranił dwóch przechodźców, braci: Jana i Tadeusza Kolakowskich, którzy w stanie b. ciężkim zostali przewiezieni do szpitala św. Rocha. Zmarły inż. pilot Z. Puławski – człowiek nie znający kompromisu, nie zrażający się żadnymi przeszkodami, miał bardzo silną wolę, graniczącą z uporem; umiał zawsze postawić na swoim. Odznaczał się rzadką spotykaną pracowitością i wielką wytrwałością. Pomimo wielkich sukcesów, jakie ostatnio odniósł, był bardzo prosty i skromny w obejściu; nie było w nim nawet cienia zarozumiałości. W smagłej twarzy pały mu się jasnym blaskiem wielkie ciemne oczy, dzielnie i śmiało patrzące w życie⁹. Po

⁸ Relacja wyemitowana p. Kuchmierzem, opublikowana 14 czerwca 1964 r., znajdująca się w zbiorach w Instytucie Żywej Historii.
⁹ „Cicha Lubelska”, 1931 nr 46.

pogrzebie w prasie ukazało się podziękowanie rodziny dla uczestników obrzędu pogrzebowego

Wspomniany samolot-amfibia PZL-12 H oblatywany był przez Puławskiego w lutym 1931 r. na lotnisku Mokotowskim w Warszawie¹⁰. Wcześniej, bo na przełomie lat 1930/1931, zlecono Puławskiemu dalsze udoskonalenie P-6 z silnikiem większej mocy. Rozpoczął on wówczas prace nad samolotem PZL P-11, który po śmierci inżyniera został ukończony i zntudyfikowany przez Wsiewołoda Jaki miuka, stając się polskim podstawowym myśliwcem w okresie II wojny światowej, lecz nie doczekał się kolejnych modeli. Na bazie serii myśliwców Puławskiego opracowano także eksportowy model PZL P-24, o takim samym układzie konstrukcyjnym i lepszych osiągnięciach.

Śmierć inż. pil. Zygmunta Puławskiego była dla Polski ogromną stratą – odszedł jeden z najbardziej utalentowanych konstruktorów lotniczych.

Ludwik Gawronski

¹⁰ Księżki poległych lotników. Praca zbiorowa pod red. inż. pil. Mariusza Beszczyńskiego. Warszawa 1933, s. 367.

Książki nadesłane

Wydawcy różni

Jaka informacja? Redakcja Leon Dyczewski. Instytut Dziennikarstwa i Komunikacji Społecznej KUL, Wydawnictwo KUL, Centrum Europejskie Natolin. Lublin-Warszawa 2009, ss. 252.

Tomasz Gajewski: Aleksandra Wachniewska. Malarka Roztocza. Wstęp Lechosław Iamęński. Redakcja i postłowie Tadeusz Grabowski. Roztoczański Park Narodowy, Zwierzyniec 2009, ss. 167.

John Updike: A potem... Przełożył Wojciech Brydak. Dom Wydawniczy REBIS, Poznań 2009, ss. 372.

Karol Maliszewski: Sajgon. Biuro Literackie, Wrocław 2009, ss. 158.

Józef Hen: Dziennik na nowy wiek 2000-2007. Wydawnictwo W.A.B. 2009, ss. 477.

Miron Białoszewski: Utwory zebrane. T. 11: Chamowa. Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 2009, ss. 387.

Jacek Bierut: Spojenia. Oficyna Wydawnicza ATUT, Wrocław 2009, ss. 336.

Arkadiusz Frania: Lipton story. Esencje krytyczne o sztuce pisarskiej Jacka Durskiego. Wydawnictwo Nowy Świat, Warszawa 2009, ss. 115.

Mariusz Dziągiewski: Reportaże Ryszarda Kapuścińskiego. Źródło poznania społeczeństw i kultur. Wydawnictwo KUL, Lublin 2009, ss. 269.

Podróż życia. Almanach prozy i poezji. Opracował Stanisław A. Łukowski. Dom Pomocy Społecznej „Kalina”, Lublin 2008, ss. 189.

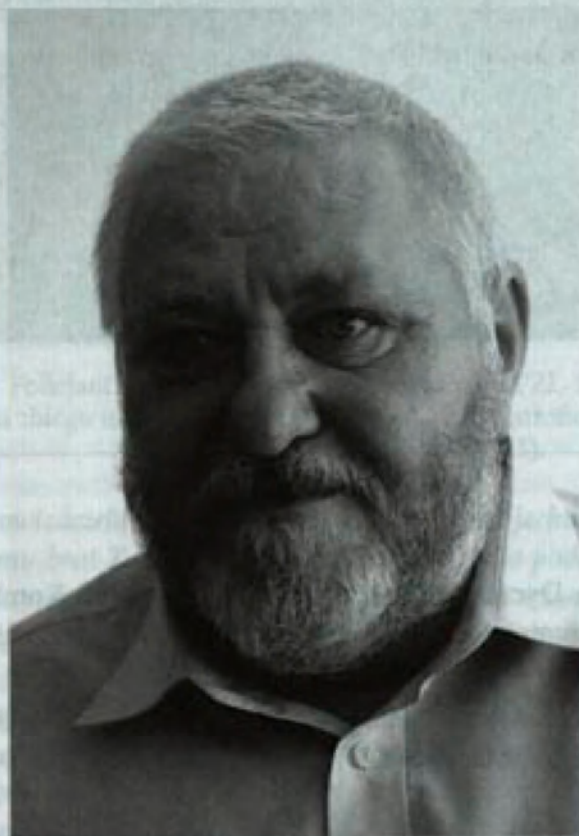
Mariusz Olbromski: Lato w Krzemieniu. Legendy z nad Ikwy. Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego 2009, ss. 288.

Tomasz Sobieraj: Dom nadzoru. Wstęp Zygmunt Herman. Wydawnictwo Adam Marszałek, Toruń 2009, ss. 61+ 12 nłb. (foiografie).

Zofia Beszczyńska: Lusterko z futra. Ilustrował Tomek Bogacki. Media Rodzina, Poznań 2009, ss. 118.

„Życie – (...) umykająca zapadnia pod drżącymi stopami”

Paweł Gembal (1950-2009)



18 listopada 2009 roku odszedł Paweł Gembal. Był jedną z najbardziej charyzmatycznych postaci środowiska literackiego Puław i Lublina, poetą, prozaikiem, krytykiem literackim, tłumaczem poezji węgierskiej. Urodził się w 1950 r. w Puławach. Ukończył pedagogikę na UMCS w Lublinie. Zadebiutował jako poeta w 1971 r. na łamach „Kamieny”. Wiersze, opowiadania i szkice krytycznoliterackie publikował m.in. w czasopiśmie: „Kultura”, „Literatura”, „Nowy Wyraz”, „Pismo Literacko-Artystyczne”, „Poezja”, „Twórczość”, „Młoda Fronta” (Czechy), „Alföld”

i „Napjaink” (Węgry) oraz – najczęściej – w „Akencie”. Wydał tomy wierszy: *Tam w nas chcąc nie chcąc* (1977), *Sytuacje* (1979), *Tak widzę* (1986) i album ze szkicami historycznymi *Pełna harmonia* (2001). Laureat wielu konkursów literackich, m.in. Lubelskiego Koziolka (1979), O Jaszczurowy Laur (poezja i proza, Kraków 1979), Czerwonej Róży (Gdańsk 1979), O Srebrne Helmy (Wrocław 1980), I i II Meetingu Poetyckiego (Katowice-Chorzów 1980-1981). W 1987 r. otrzymał nagrodę im. J. Czechowicza.

Śmiertelną chorobę znośił z dzielnością godną najwyższego podziwu. Został pochowany na cmentarzu parafialnym w podpuławskiej Końskowoli, której poświęcił w ostatnich latach wiele swej społecznikowskiej energii.

Zdanie zacytowane w nagłówku pochodzi z jego debiutanckiego zbioru wierszy wydanego w pierwszej serii „Lubelskich Prezentacji Poetyckich”. Cykl jego ostatnich utworów, zatytułowany *Wiersze rakowe*, ukazał się przed kilkoma miesiącami w „Akencie”. Są one świadectwem niesłabnącej kondycji twórczej i dumnej walki o panowanie nad własnym – choćby kruchym – życiem.

Żegnamy Cię, Przyjacielu!

(bw)

noty o autorach

Edyta Antoniak – ur. 1982 w Wieluniu. Absolwentka filologii polskiej Uniwersytetu Śląskiego w Katowicach. Pomysłodawczyni i organizatorka Zderzeń Poetyckich, krytyk literacki, przygotowuje rozprawę doktorską o Piwnicy Literackiej „Remedium” – działającej w Sosnowcu w latach osiemdziesiątych. Publikowała m.in. w „Akencie”, „Hałarcie”, „Pro Arte”, „Śląsku”, „Tekstach Drugich”, „Twórczości”, „Zeszytach poetyckich”. Ostatnio opracowała antologię *Zderzenia Poetyckie 2008* (2009). Mieszka w Sosnowcu i Kolonii Lisowice.

Władimir Britaniszki – ur. 1933 w Leningradzie. Rosyjski poeta, prozaik, tłumacz i eseista. W jego żyłach płynie polska krew (matka Polka). Ukończył w rodzinnym mieście Instytut Górniczo-Geologiczny i został geologiem. W wyuczonym zawodzie pracował do 1973 r., potem całkowicie poświęcił się literaturze. Jest autorem kilku zbiorów wierszy, tomów prozy *Okolice ubiegłego lata* i *Wyjście w przestrzeń* oraz tłumaczem poezji polskiej, m.in. Iwaszkiewicza, Miłosza, Różewicza i Leca. Współ z żoną, poetką i tłumaczką, Natalią Asłańewą, w 2000 r. wydał dwutomową antologię *Poeci XX wieku*. W 2008 r. ukazał się obszerny tom eseistyczno-wspomnieniowy *Poezja i Polska*, będący swoistym dopełnieniem wcześniejszej antologii. Tłumaczy także poetów amerykańskich i zajmuje się krytyką literacką.

Maksymilian Dymitr Czornyj – ur. 1989 w Lublinie. Opublikował w prasie kilka wierszy, a obecnie zajmuje się prozą. Jako prozaik debiutował w „Akencie” 2007 nr 2. Ponadto jego opowiadania ukazywały się m.in. w „Aspiracjach”, „Korespondencji z ojcem”, „Kozimrynku”, „Kurierze Galicyjskim” (Lwów), „Rzeczypospolitej Kulturalnej” (Londyn), „Szafie”, „Toposie”. Były tłumaczone m.in. na język ukraiński.

Michael Felsenbaum (Felzenbaum) – ur. w 1951 w Wasilkowie na Ukrainie, dorastał we Florești, mieście położonym na granicy ukraińsko-rumuńskiej (obecnie Mołdawia). Poeta, dramaturg i powieściopisarz, jeden z najwybitniejszych współczesnych autorów tworzących w języku jidysz. Studiował reżyserię teatralną, muzykologię, psychologię oraz historię sztuki i historię teatru. W latach 1969-1973 pracował jako dyrektor teatru narodowego w Bălți (Beltz) w Mołdawii. W połowie lat 80. zaczął publikować w wydawanym w języku jidysz czasopiśmie „Sowietisz Hejmland”. W 1988 r. założył w Bălți teatr żydowski, w którym wyreżyserował wiele sztuk granych w języku jidysz. Był też pierwszym prezesem działającego w mieście żydowskiego stowarzyszenia kulturalnego. W 1991 r. osiadł na stałe w Izraelu, gdzie opublikował kilka tomów poezji, m.in.: *Es kumt der tog* (Jeruzolima 1992), *A libe regn* (Tel-Aviv, 1994), *Un itst bin ich dajm nign* (Tel-Aviv, 1998) i *Benkszaft* (Tel-Aviv, 2007) oraz utwory prozatorskie, m.in. zbiór opowiadań *Der nacht-malech* (Tel-Aviv, 1997) i powieść *Szabesdike*

szwebelech (Tel-Aviv, 2004), uznawaną przez niektórych krytyków za najwybitniejszą powieść napisaną w języku jidysz po II wojnie światowej. Jego utwory były wielokrotnie tłumaczone i publikowane m.in. w USA, Niemczech, Szwajcarii, Rumunii, Czechach, Rosji, Japonii, Argentynie, Urugwaju, Francji i Anglii.

Opowiadanie *Nocny anioł* (*Der nacht-malech*) powstało w 1988 r., podczas pierwszej wizyty Michała Felsenbauma w Lublinie. Odzwierciedla ono zainteresowanie autora Polską, a zwłaszcza Lublinem, jako miejscem o szczególnym znaczeniu dla historii Żydów w Europie Środkowowschodniej. Autor nawiązuje do tragicznych wydarzeń z lat 1648-1649, tj. do powstania Chmielnickiego, skierowanego przeciwko polskiej szlachcie i magnaterii, a także Żydom i jezuitom. Miały wówczas miejsce masowe pogromy i rzezie Żydów na Wołyniu, Podolu, części Białorusi oraz Rusi Czerwonej, w wyniku których zamordowanych zostało kilkadziesiąt tysięcy osób. Wydarzenia te, przełomowe dla dziejów Żydów w Rzeczypospolitej, dziś są często odczytywane jako symboliczna zapowiedź zagłady społeczności żydowskiej w Europie Środkowowschodniej, dokonanej przez hitlerowców w czasie II wojny światowej.

Magdalena Jankowska – poetka i krytyk teatralny. Autorka tomów poezji: *I co dalej?* (1990), *Kula i skrzydło* (1992), *Zbiór otwarty* (1994), *Tak się składa* (1998), *Już* (2002), *Salon mebli kuchennych* (2006) oraz książki prozatorskiej *Billing* (2001). Stała współpracownik „Akcentu” i „Kresów”. Recenzje publikowała również w „Kamencie”, „Tygodniku Współczesnym”, „Scenie”, „Relacjach”, „Sycynie”, „Życiu Warszawy”, „Na przykład”. Ostatnio w „Akencie” specjalizuje się w omówieniach dramaturgii radiowej.

Aneta Kamińska – ur. 1976 w Szczebrzeszynie. Poetka, tłumaczka najnowszej literatury ukraińskiej. Ukończyła filologię polską na Uniwersytecie Warszawskim, uczy cudzoziemców polskiego. Autorka tomów: *Wiersze zdyszane* (2000), *zapisz zmiany* (2004) oraz *czary i mary (hipertekst)* (2007; wersja internetowa: www.czary-i-mary.pl). Wydala również wybór przekładów poezji Nazara Honczara: *Gdybym* (2007). Tłumaczy m.in. wiersze Iwana Andrusiaka, Katriny Chaddad, Wasyla Holoborodki, Marianny Kijanowskiej, Buhdany Matijasz, Oleny Huscjnowej, Jurka Pozajaka, Marjany Sawki, Marii Szun, Oksany Zabużko oraz prozę Kseni Charczenko i Jurija Izdryka. Przygotowuje autorski tom *Cząstki pomarańczy. Antologia nowej poezji ukraińskiej*. Dorastała w Zamościu, mieszka w Warszawie.

Eliza Leszczyńska-Pieniak – ur. 1974 w Zamościu. Absolwentka teatrologii UJ i Podyplomowych Studiów Humanistycznych PAN, nauczycielka języka polskiego w III Liceum Ogólnokształcącym im. C. K. Norwida w Zamościu. Artykuły i recenzje poświęcone kulturze publikowała m.in. w „Akencie”, „Przekroju” i „Tygodniku Zamojskim”, od 2003 roku współpracuje z „Zamojskim Kwartałnikiem Kulturalnym”. Laureatka II nagrody i wyróżnienia w Konkursie Dziennikarskim im. Mirosława Dereckiego w 2005 r. Mieszka w Zamościu.

Jerzy Łyczek – debiut autora, który postanowił na razie nie ujawniać swoich danych biograficznych.

Łukasz Marcińczak – ur. 1971 w Łodzi. Absolwent filozofii UMCS; redaktor kwartalnika Stowarzyszenia Absolwentów UMCS „AS UMCS”; autor tomu poetyckiego *Profil odcisnięty w glinie* (2002). Publikował teksty eseistyczne oraz recenzje w „Akencie” i „Magyar Napló”. Mieszka w Lublinie.

Ewa Dunaj [-Kozakow, Mazur] – ur. 1956 w Gdańsku. Historyk literatury, krytyk literacki, polonista metodyk w UMCS, autorka m.in. monografii *Bursa* (1996), opracowań lektur szkolnych z literatury powszechnej i polskiej oraz podręcznika do literatury XX/XXI wieku dla szkół średnich. Pod panienskim nazwiskiem Ewa Mazur opublikowała tomy poetyckie: *Nikt nie chciał ponosić odpowiedzialności* (1983), *Wspomnienia i przepowiednie* (1992), *Był ogród* (1994), *Pochwała ciemnych godzin* (2001). Jej wiersze były tłumaczone m.in. na łużycki, niemiecki i ukraiński. Stale współpracuje z „Akcentem”, mieszka w Lublinie.

Leszek Mądzik – ur. 1945 w Bartoszowinach w Górach Świętokrzyskich. Studiował na KUL, tytuł magistra sztuki otrzymał w Akademii Teatralnej im. Zelwerowicza w Białymstoku, a doktorat w warszawskiej ASP Scenę Plastyczną KUL założył w 1969 r., od tego czasu zrealizował kilkanaście premier, m.in. *Ecce homo* 1970, *Wieczera* 1972, *Ikar* 1974, *Zielnik* 1978, *Brzeg* 1983, *Wrota* 1989, *Tchnienie* 1992, *Szczelina* 1994, *Kir* 1997, *Odchodzi* 2003, *Bruzda* 2005. Jego teatr brał udział w ponad pięćdziesięciu międzynarodowych festiwalach, przywożąc z nich nagrody i wyróżnienia (np. nagroda krytyków za *Wilgoć* na festiwalu w Kairze; nagroda za reżyserię, scenografię i technikę teatralną za *Zielnik* na festiwalu w Japonii; nagroda specjalna na Festiwalu Teatralnym w USA; wyróżnienie na Światowej Wystawie Scenografii *Praskie Quadriennale* w Pradze). Autor wielu scenografii w teatrach polskich, portugalskich, francuskich i niemieckich. Prowadził zajęcia ze studentami na zaproszenie uniwersytetów i szkół artystycznych m.in. w Helsinkach, Berlinie, Amsterdamie, Waszyngtonie, San Francisco, Bonn, Hamburgu, Lyonie, Pradze, Buffalo, Rennes, Dublinie, Rydze, Poznaniu. W 1997 r. dla Teatru Telewizji wyreżyserował własną sztukę *Pętanie*. Jest członkiem Związku Polskich Artystów Fotografików. Swoje prace prezentował m.in. w Galerii Krytyków „Pokaz” w Warszawie, w Galerii Instytutu Polskiego w Wiedniu, w Centrum UNESCO w Bejrucie, w Galerii Opery w Kairze, w Centrum Sztuki i Techniki Japońskich Maanga w Krakowie, w Muzeum Lubelskim, w Galerii Sztuki Katolickiego Uniwersytetu w Santiago de Chile, w Theater-Cai w Tokio, w Muzeum Narodowym we Wrocławiu, w The Saddlery Gallery w Edmonton w Kanadzie, w Muzeum Teatralnym w Warszawie. W 1986 r. założył Galerię Sztuki Sceny Plastycznej KUL, w której zrealizowano wiele wystaw wybitnych twórców kultury polskiej (por. tekst L. Lameńskiego, „Akcent” 2007 nr 1). Projektodawca Muzeum Współczesnej Sztuki Sakralnej w Kielcach; autor licznych plakatów i grafiki książkowej. Laureat wielu nagród i odznaczeń (m.in. Krzyż Kawalerski Orderu Odrodzenia Polski, Złoty Krzyż Zasługi, Srebrny Medal „Gloria Artis”, wyróżnienie specjalne Totus).

Kazimierz Nowosielski – ur. 1948 w Rybnie na Kujawach. Ukończył filologię polską na Uniwersytecie Gdańskim. Debiutował tomem wierszy *Miejsce na brzegu* w 1975 r. Od tego czasu wydał kilkanaście zbiorów poezji, sześć książek poświęconych literaturze XX w., a ostatnio eseje o współczesnym malarstwie polskim. Pracuje w Zakładzie Literatury Współczesnej na Uniwersytecie Gdańskim.

Wacław Oszejca SJ – ur. 1947, teolog po KUL, ksiądz katolicki, jezuita, duszpasterz akademicki. W latach 80. przewodniczący Lubelskiego Komitetu Pomocy Internowanym i Represjonowanym. Autor 18 książek, głównie poetyckich (m.in. *Zamysł* – 1979, *Z głębi cienia* – 1981, *Listy ze strajku* – 1983, *Łagodność domu* – 1984, *Naszynnik umiłowanego* – 1984, *Ty za blisko, my za daleko* – 1985, *Mnie się nie lękaj* – 1989, *Powrót Uriasza i inne wiersze* – 1992, *Juda przyjdzie ostatni* – 1992, *Z dnia na dzień* – 1994, *Zebrane po drodze* – 1998, *Reszta większa od całości* – 2003, *Odwrócona perspektywa* – 2009).

ale także esycistycznych (np. *Przy świecy i ogarku. Rozmowy, eseje, szkice* – 1995), przekładanych na niemiecki, włoski, rosyjski. Członek jury Nagrody Literackiej Nike w latach 2003-2005. Tłumacz, dziennikarz prasowy, radiowy i telewizyjny. Od 1995 r. w Warszawie. Były redaktor naczelny miesięcznika społeczno-kulturalnego jezuitów „Przegląd Powszechny”. Wykłada na Wydziale Dziennikarstwa i Nauk Politycznych UW oraz na Papieskim Wydziale Teologicznym „Bobolanum”.

Agnieszka Reszczyk – ur. 1977 w Ostrowcu Świętokrzyskim, doktor nauk humanistycznych, adiunkt w Zakładzie Kultury Literackiej i Obyczaju UMCS, publikowała w „Akencie”, „Annales UMCS”, „Rocie” i „Ruchu Literackim”. W „Naszej Rocie” drukuje artykuły popularyzujące różne zjawiska współczesnej kultury polskiej.

Mordecai Roshwald – ur. 1921 w Polsce, jeszcze przed wojną wyemigrował do Izraela. Emerytowany profesor Uniwersytetu w Minnesocie (USA), wykładowca wielu uczelni w Izraelu, Stanach Zjednoczonych, Kanadzie, Tajwanie i Europie. Studia uwieńczone doktoratem z filozofii odbył w Uniwersytecie Hebrajskim w Jerozolimie, gdzie był uczniem m.in. Martina Bubera. Opublikował: *Political and Social Classes in Israel* (1956), *Moses: Leader, Prophet, Man* (1970), *Modern Technology: The Promise and the Menace* (1997), *The Transient and the Absolute* (1999), *Liberty: Its Meaning and Scope* (2000), *The Half-Truths by Which We Live* (2006). Autor tłumaczonej na kilkanaście języków powieści *Level 7* (1959) oraz *A Small Armageddon* (1962).

Jakub Węgrzyn – ur. 1983 w Nowym Sączu. Absolwent socjologii KUL. Aktor Teatru Enigmatic, uczestnik prowokacji grupy IWENT TEKSTURA, animator wydarzeń poetyckich. Prezentowane wiersze są jego debiutem.

Mateusz Witkowski – ur. 1982 we Wrocławiu. Studiuje dziennikarstwo na Uniwersytecie Wrocławskim. Publikował m.in. w „Esensji”, „Kresach”, „Kozimrynku”, „Odrze”, „sZAFie”, „Toposie”, „Tygodniku Powszechnym”. Stale współpracuje z „Ritą Baum”, a od 2008 r. współredaguje „młodo-literacki” dział miesięcznika „Odra”. Mieszka we Wrocławiu.

Arkadiusz Woźniak – ur. w 1973 w Lublinie. Absolwent lubelskiego PLSP i historii sztuki w Katolickim Uniwersytecie Lubelskim. Pomimo pracy poza wyuczonym zawodem nadal interesuje się plastyką współczesną, zwłaszcza rzeźbą pomnikową. Mieszka w Lublinie. Publikowany na łamach „Akcentu” artykuł to jego debiut.

Michael Zeller – ur. 1944 we Wrocławiu (wówczas Breslau). Niemiecki poeta, prozaik i dramaturg. Studiował literaturę na uniwersytetach w Marburgu i Bonn. Przez wiele lat pracował naukowo, m.in. na Uniwersytecie w Erlangen, gdzie się habilitował; jako krytyk literacki współpracował z „Frankfurter Allgemeine Zeitung”. Od 1982 r. zajmuje się wyłącznie twórczością literacką. Wydał ponad dwadzieścia książek, w tym tomy wierszy *Aus meinen Provinzen* (1981), *Lust auf Blau & Beine* (1988) i *Ist nicht zu sagen* (1996), zbiory esejów, książki prozatorskie, m.in. inspirowane podróżami do Polski powieści *Café Europa* (1994, edycja polska 1999, fragmenty w „Akencie” nr 3-4 z 1995 r.) i *Die Reise nach Samosch* (2003, *Podróż do Zamocścia*) oraz opowiadania krakowskie *Noch ein Glas mit Pan Tadeusz* (2000, *Jeszcze jeden kieliszek z panem Tadeuszem*). W latach 1988-1989 przebywał jako stypendysta w Nowym Jorku, od 1991 r. regularnie bywa w Polsce, przez rok mieszkał w Krakowie. W 2009 r. wydał powieść *Falschspieler*, opowiada-

nie *Der Schüler Struwe* oraz powieść dla młodzieży *Saskia leuchtet*. Mieszka i tworzy w Wuppertalu.

Tadeusz Zubiński – ur. 1953 w Suchedniowie. Pisarz, eseista, tłumacz, krytyk. Autor książek: *Dotknięcie wieku* (1996), *Sprawiedliwy w Sodomie* (1996), *Odlot dzikich gęsi* (2001), *Nikodem Dyzma w Łyskowie* (2003), *Góry na niebie* (2005), *Ciche kraje* (2006), *Etniczne dziedzictwo Bałtów* (2007), *Wieża i inne opowiadania* (2007), *Burza pod lasem* (2007), *Wyspa zaczarowana - Celtyckie legendy i mity dawnej Irlandii* (2008), *Herder w Rydze i inne szkice bałtyckie* (2008). Publikował m.in. w „Akencie”, „Akencie”, „Arkuszu”, „Frazie”, „Frondzie”, „Kresach”, „Odrze”, „Opcjach”, „Przeglądzie Powszechnym”, „Twórczości”, prasie polskiej na Litwie, Łotwie i w Kanadzie. Wielokrotnie nagradzany.

W następnych numerach:

- Czechowicz, Broniewski, Gałczyński, Ginczanka w poetyckich portretach Józefa Łobodowskiego (Tadeusz Klak);
- Wiersze Rafała Rutkowskiego i Rafała Kozłowicza;
- Proza Zbigniewa Dmitrocy;
- Bogdan Nowicki – kategoria pamięci w prozie Brunona Schulza;
- Piotr Koprowski – o poezji Janusza S. Pasierba;
- Emigracyjna odyseja w listach;
- Omówienia najnowszych książek prozatorskich i literaturoznawczych.

Dziękujemy wszystkim, którzy dokonali wpłat na działalność statutową Wschodniej Fundacji Kultury „Akcent”

Pieniądze można wpłacać na konto:
Wschodnia Fundacja Kultury „Akcent”, Bank PEKAO SA, V Oddział w Lublinie
nr rachunku: 50 12401503 1111000017528667

**Informujemy Czytelników, że sprzedaż AKCENTU
prowadzą m.in. księgarnie:**

Dom Książki Księgarnia,
ul. Bernardyńska 8
20-109 Lublin, tel. 081 532-78-27

Salon sprzedaży „Empik”
ul. Lipowa, Galeria „Plaza”
20-024 Lublin, tel. 081 534-36-98

Lubelskie Centrum Książki
Wienawska 3
20-071 Lublin, tel. 081 532-54-41

Księgarnia „Ezop”
Krakowskie Przedmieście 62
20-076 Lublin, tel. 081 532-56-15

Księgarnia Medyczna
ul. Henspla 5
20-007 Lublin, tel. 081 532-61-53

Galeria ZPAI
Krakowskie Przedmieście 62
20-076 Lublin, tel. 081 532-68-57

Księgarnia Sentencja
Krakowskie Przedmieście 41
20-076 Lublin, tel. 081 534-77-53

Księgarnia Uniwersytecka
Plac M. Curie-Skłodowskiej 5
20-031 Lublin, tel. 081 537-54-13

Księgarnia prowadzi sprzedaż wydawnictwa „Akcentu”.

Opisak Informacji Turystycznej
ul. Jezuicka 1/3
20-113 Lublin, tel. 081 532-44-12

Księgarnia Literacka
Plac Konstytucji 3 Maja 3
10-414 Olsztyn, tel. 089 533-62-24

Księgarnia Akademicka „LIBRA”
ul. Umii Lubelskiej 6a
35-016 Rzeszów, tel. 017 86-25-628 w. 1120

Poznańska Księgarnia Naukowa „Kapitałka”
ul. Mielżyńskiego 27/29
61-725 Poznań, tel. 061 852-45-16

Główna Księgarnia Naukowa im. B. Prusa
ul. Krakowskie Przedmieście 7
00-068 Warszawa, tel. 022 826-18-35

Księgarnia ORPAN „RIS”
ul. Twarda 51/55
00-818 Warszawa, tel. 022 697-88-35

Księgarnia „Czytelnik”
ul. Wiejska 14
00-490 Warszawa, tel. 022 621-36-55

Księgarnia Wydawnictwa LEXICON
ul. Sengera „Cichego” 24 m.2A
02-790 Warszawa, tel. 022 648-41-23

Księgarnia prowadzi sprzedaż wydawnictwa „Akcentu”.

Księgarnia im. Bolesława Leśmiana
ul. Zamkowa 9
22-400 Zamość, tel. 084 638-61-57

Księgarnia Akademicka
Al. Wojska Polskiego 69
65-625 Zielona Góra, tel. 068 326-35-20 w. 220

Księgarnia Wydawnictw Naukowych
ul. Podwale 6
31-118 Kraków, tel. 012 422-90-57

Tę do nabycia m.in. numery:

z 2003: 1-2 – Czechowicz, Gombrowicz, Kapuściński, Listy Stachury i Leśmiana, dyskusja wokół „Kontynensów”; 3 – I. B. Singer i tematy żydowskie; 4 – wiersze Frajlich, Ostajcy, Bondara, szkice o twórczości Czechowicza, nieznanne malarstwo Jerzego Dudy-Gracza;

z 2004: 1-2 – Gombrowicz na Ukrainie, rozważania Na progu (i)ni Europejskiej, Czechowicz Przeciw amerykańskości, liryczna K. Szymanowicza, Lubelskie sezony Kazimierza Brzozwy; 34 – Węgrzy i o Węgrach, Listy Witkacego do Zygmunta, Falszywa hipoteza Siergieja, szkice o twórczości i Mostwie, Mroki artysty w Gombrowiczu;

z 2005: 1 – Abp J. Życiński o L. Nowaku leżącym, wspomnienia o W. Prusie, opowiadania M. Głowackiego, Historia plakatu polskiego w zbiorach UMCS; 2 – nowa proza Pawła Huelle, J. Marciniak o Lublinie jako mieście gościnności, dwugłos o podopiecznym i Menedze R. Kapuścińskiego, Opiewka Gombrowicza w radzie; 3 – Dań i „Kocha kłębka”, szkice o Schulzu, Łukasiewiczu, Frajlich, Falszywa, Żółtym, 4 – Biblia dzisiaj, Jak Czesław Miłosz Namaczał Apokalipsę, kontrowersje wokół Doroty Masłowskiej, dyskusja: Czy współczesnemu czytelnikowi potrzebna jest jeszcze tzw. kultura wysoka?

z 2006: 1 – Wiesław Myśliwski: 1. Traktat o łuskania fasoli, Abp Józef Życiński u Ja. Janie Twardowskim, Miłość i Czechowicz – przypadek z Lublinem w de; 2 – A. Andrzejak: Wiersze Bolesława Chrobrego pierwszego polskim piarzem, L. Marciniak o mieście Prusa i Zeromskiego, T. Kłak o Lublinie Edwarda Stachury; 3 – wiersze Jacka Delucia, Uly Przybni i Wacława Machno; P. Makczewski o prozie Stanisława; 4 – wywiad z Zdzisławem Beksińskim, szkice o Myśliwskim, Witkacym, Dąbrowskiej; opowiadania W. Danylenki, płyta CD z głosami Beksińskiego, Myśliwskiego, Zadury;

z 2007: 1 – Schulz, Druhałycz, pogranicze; 2 – proza M. Głowackiego i M. Czornyja, Rabizo-Birek o Lipsku; Wróblewski o Młynarskim; płyta CD z głosami R. Kapuścińskiego i piosenkami W. Młynarskiego;

3 – Marciniak o lubelskich nekropoliach, I. Czechowicz – Pensak o artystach w Zamościu, wiersze Widły-Wauben o artystach malarstwa; 4 – Czernińska, Mikolajewska i Piszak o twórczości R. Kapuścińskiego;

z 2008: 1 – wiersze B. Zadury i T. Czarownicę, proza J. Łukasiewicza, szkice o prozie Kapuścińskiego i o Polakach w Jerychu; 2 – A. Kochanicki o dziejach twórczości, szkice o twórczości Zamorskiego; wiersze A. Niewiadomskiego i M. J. Kawalka; 3 – Karol Wojtyła – poeta, dramaturg, filozof (m.in. A. Boniecki, W. Ostajca, J. Pasiech, B. Taborcia, J. Życiński, J. Tlachner) – suplement Wiersze U. Janca; 4 – nowa poezja ukraińska, J. Święch o współczesnej biografistyce, piosenki J. Kondraka, Tomek Kawrak – artysta niezapobiegany + suplement poetycki i jeszcze dalej W. Soltysa.

Zainteresowani zakupem archiwalnych numerów mogą się także sprawdzić bezpośrednio do redakcji „Akcentu”.

„Akcent” można kupić m.in. w salonach prasowych „Ruch” S.A.:

Białystok	Słonecznikowa 9	Polawy	Centralna
Bydgoszcz	Fordońska 1-11	Radom	Toruńska 1/3
Bydgoszcz	Magnuszewska 6	Kula Śląska	Solidarności
Ciechanów	Warszawska 62	Rybnik	Makymilian
Częstochowa	Monte Casino 10	Rzeszów	Podwislocze 6
Elbląg	1-go Maja	Rzeszów	Zygmunowska 10
Gdańsk	Złota Brama	Słupsk	Banacha
Gdynia	Starowiejska 29/35	Sopot	3-go Maja
Jelenia Góra	pl. Ratuszowy 26	Starogard Gd.	Hallerka 36/17
Kalisz	Narutowicza 1	Szczecin	Plac Hołdu Pruskiego 8
Katowice	Dworzec PKP – hol główny	Szczecin	Narutowicza 13e
Katowice	Wojciecha	Świdnik	Al. Lotników Polskich
Kętrzyn	Powstańców Warszawy	Tarnów	Krakowska 33
Kielce	Grunwaldzka	Tarnów	Plac Kazim. Wielkiego 4
Kielce	Paderewskiego „RONDO”	Trzyczew	Saperska
Kolobrzeg	Mariańska 18	Turmaszów Maz.	Jerozolimska 23
Koszalin	Zwycięstwa/Traugutta	Toruń	Falata 92
Kraków	Alcja Pokoju 5	Toruń	Grudziądzka 45
Kraków	Andersa 9	Toruń	Mikołaja Reja 45
Kraków	Bracka 7	Toruń	Rynek Staromiejski
Kraków	i Jobnego Pasterza 127	Tychy	Bielska
Kraków	Gromosłajowa 7	Wałbrzych	Armii Krajowej 7
Krosno	Putaka 49	Warszawa	Al. Jana Pawła 82 – Arkadia
Legnica	Wrocławska	Warszawa	Al. Jerozolimskie 33
Leszno	Rynek	Warszawa	Dobra 56/66
Lublin	Krakowskie Przedmieście	Warszawa	Grójcecka 26
Łódź	Dąbrowskiego 60	Warszawa	Rembelska 6
Morąg	3 Maja 5	Wrocław	Promienia 9
Mragowo	Królewiecka	Wrocław	Kościuszki 11
Nalęczów	Armia Góra 2	Wrocław	Mikołaja Reja 47
Nowy Sącz	Nawojowska 1	Wrocław	Plac Legionów 17
Nowy Targ	Sobieskiego	Wrocław	Plac Świętego Macieja
Oleśnica	Rynek 29	Wrocław	Skarżynskiego – Lotnisko
Olkusz	Składowa 9	Wrocław	Świętego Wacława 12
Olsztyn	1 Maja	Wrocław	Piłsudskiego 66
Opole	Orłowska	Zabrze	Plac Autobusowy
Pawłów Tryb.	Armii Krajowej 14	Zakopane	Nowotarska
Poznań	Głogowska 29	Zamość	Pecwiaków
Poznań	Stary Rynek 83	Zielona Góra	Bohaterów Westerplatte
Puławy	Piłsudskiego 27	Zielona Góra	Jedności

„Akcent” sprzedawny jest także w salonach „Kolpoltera” S.A.

Białystok	Henryka Sienkiewicza 81/3	Pułtusk	3 Maja 15
Dąblin	Wiślana 34	Radomsko	Przedborska 6
Jancin Poznański	Wrocławska 13	Siedlce	Piłsudskiego 32
Lublin	Narutowicza 53	Skierniewice	Dworcowa 1
Ostróda	Czarstwieckiego 13A	Słupsk	Niwińska 1 i 1A
Poczęzna	Krakowska 10	Warszawa	Sobieskiego/Nalęczowska
Pułtusk	Jana Pawła 5/25	Wrocław	Barska

2008

**Regularne otrzymywanie „Akcentu”
zapewnia prenumerata!**

Wydawnictwo Literackie

Najlepsi pisarze i krytycy

Biblioteka Narodowa

- poleca -

twórczość

Najnowszy polski miesięcznik literacki. Przedstawia współczesną prozę, poezję i krytykę literacką. Uwzględnia również przemiany w polskiej literaturze.
tel. (022) 627 13 94, tel./fax 627 05 07
e-mail: tworczość@bn.org.pl

NOWE KSIĄŻKI

Miesięcznik - od ponad półwiecza - *Jeżeli wiesz* i opisał w książkach. Recenzje, wywiady, wywiady pisarzy, publicystyka, bibliografic, zapowiedzi wydawnicze.
tel. (022) 627 05 05, tel./fax 627 05 05
e-mail: noweksiazki@bn.org.pl

Dialog

Miesięcznik poświęcony dramaturgii współczesnej teatralnej, radiowej i telewizyjnej.
tel. (022) 627 05 05, tel./fax 627 05 05
e-mail: dialog@bn.org.pl, www.dialog.bn.org.pl

rych muzyczny

Najstarsze i najbardziej samowystawcze poświęcone sztuce muzycznej, twórczości i stylowi w muzyce. 120 numerów w roku.
tel. (022) 627 13 94, tel./fax 627 05 07
e-mail: richmuzyczny@bn.org.pl
www.richmuzyczny.bn.org.pl

LITERATURA na świecie

Miesięcznik - przede wszystkim od lat oblatujące wywiady, co ze współczesnej literatury europejskiej oraz świata.
tel. (022) 627 47 91, tel./fax 627 05 05
e-mail: litnawswiecie@bn.org.pl

НОВАЯ ПОЛЬША

Nowaja Polsha - miesięcznik, jedyny w swoim rodzaju w języku polskim. Byłby wyjątkowo publikował materiały publicystyczne i reportaże. Pisydła, literatury w Rosji utworów polskiej prozy i poezji.
tel. (022) 627 05 05, tel./fax 627 05 05
e-mail: nowapolsha@bn.org.pl, www.nowapol.org.pl

odra

Miesięcznik społeczno-pracowniczy społecznej i artystycznej wspólnoty, literatury krytycznej refleksji humanitarnej. Polska i świat, historia i możliwa przyszłość.
tel. (022) 627 13 94, tel./fax 627 05 07
e-mail: odra@odra.pl, www.odra.pl

a akcent

Żywa, nieustraszone i nieustraszone, poświęcony literaturze i literaturze, doświadczenia i stylu w kontekście najnowszych osiągnięć kultury i literatury.
Ukazuje się od 1980 roku w Lublinie.
tel./fax (022) 627 05 05
e-mail: akcent_pismo@gazeta.pl
www.akcent.pl

TEATR

Miesięcznik poświęcony teatrowi współczesnemu. Omówienia najnowszych premier w Polsce i za granicą. Teksty krytyczne, eseje, komentarze.
tel. (022) 627 05 05, tel./fax 627 05 07
e-mail: teatr@bn.org.pl

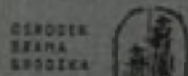


Zakład Wydawniczy Czasopism Patronackich

02-086 Warszawa, ul. Niepodległości 213, tel. (022) 608 23 74, tel./fax (0-22) 608 24 88

LUBLIN - DROGI DO WOLNOŚCI

S I Ę A W O L N E G O S Ł O W A



TEATR NN

- LUDZIE - DRUKARZE -
- WYDAWNICTWA - DRUGI OBIEG -
- SOLIDARNOŚĆ - STAN WOJENNY -

36
NR



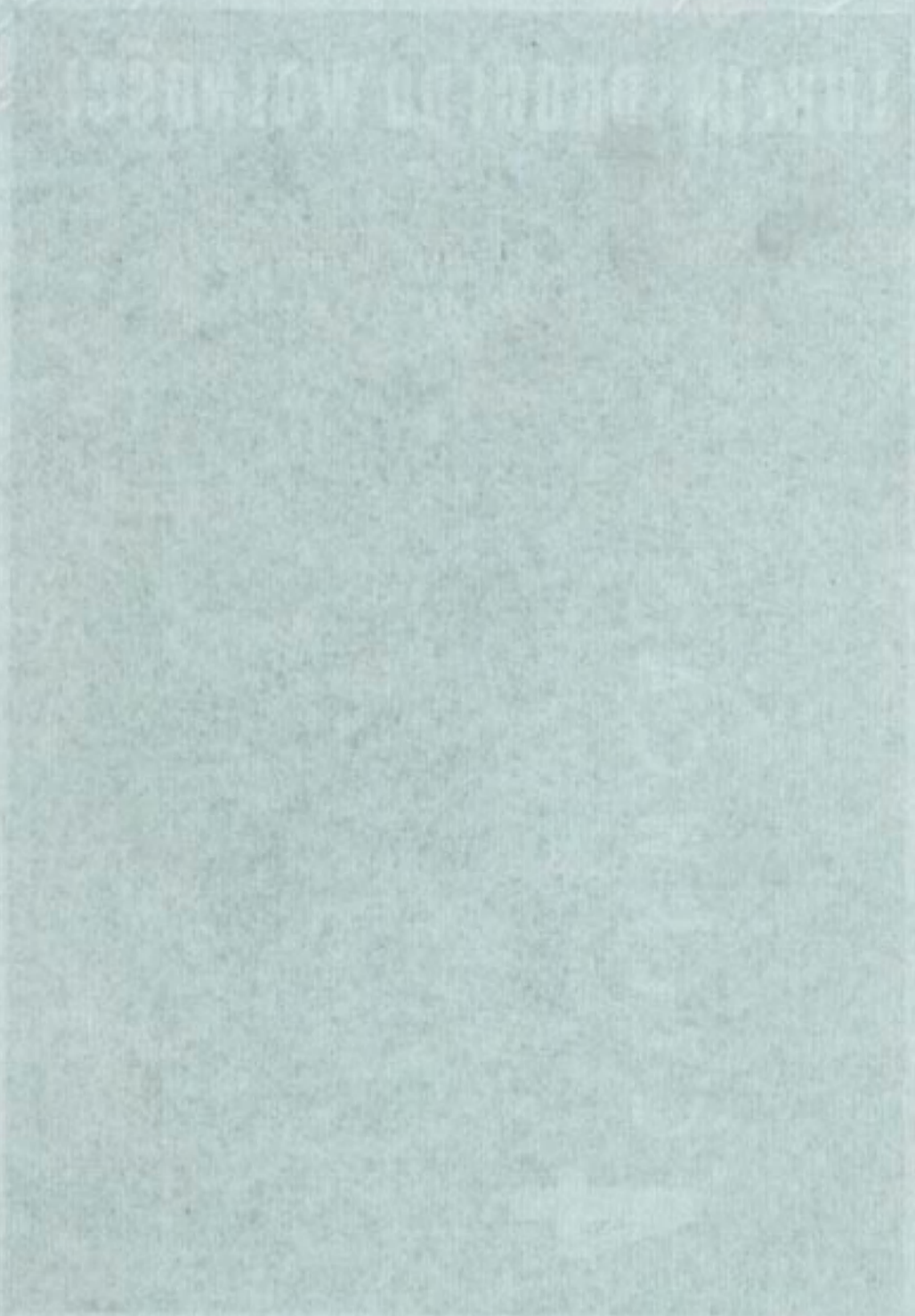
4 CZERWCA

1989 2009

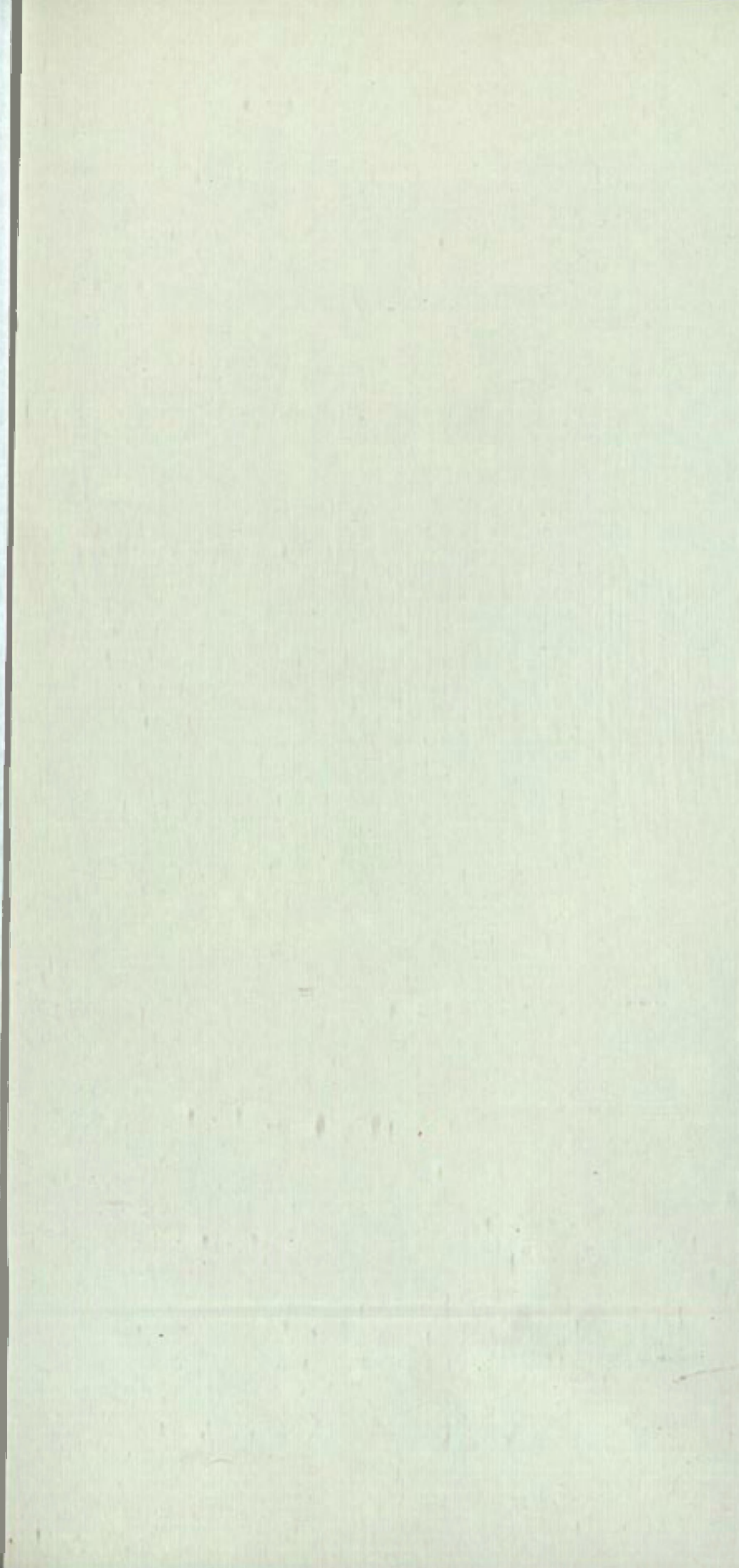


„Scriptores” dostępne w sieci EMPiK oraz pod adresem www.sklep.inn.pl

100
6



Zakład Wydawniczy Czasopism Patronackich



akcent

a

rok III
nr 3 (9) 1982

akcent

literatura i sztuka
kwartalnik

wydawnictwo lubelskie

akcent

a

rok III
nr 3 (9) 1982

akcent

literatura i sztuka
kwartalnik

wydawnictwo lubelskie

akcent

a

rok III
nr 3 (9) 1982

akcent

literatura i sztuka
kwartalnik

wydawnictwo lubelskie